

PREQUEL BESTSELLEROWEJ TRYLOGII "WIĘZIEŃ LABIRYNTU"

JAMES DASHNER

**ROZKAZ
ZAGŁADY**

PAPIER  WYKSIEŻYC

PRZETRWAJ ALBO CIŃ

JAMES DASHNER

Seria

Więzień Labiryntu

tom 0,5

ROZKAZ ZAGŁADY

Tłumaczenie Agnieszka Hałas

PAPIER  WYKSIEZYC

Słupsk 2015

SPIS TRESCI

PROLOG

TRZYNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[Epilog](#)

Dwa lata później
Podziękowania

PROLOG

Teresa patrzyła na swojego najlepszego przyjaciela i zastanawiała się, jakie to będzie uczucie – zapomnieć o nim.

Wydawało się to niemożliwe, choć przecież widziała, jak wszczepiano Zatarcie tuzinom chłopców przed Thomasem. Płowe włosy, bystre spojrzenie i wiecznie zamyślona mina – jak mógłby stać się dla niej kimś obcym? Jak mogliby znaleźć się w jednym pomieszczeniu i nie żartować z jakiegoś zapachu albo nie nabijać się z nieogarniętego typka siedzącego obok? Jak mogłaby kiedykolwiek stanąć przed nim i nie nawiązać czym prędzej telepatycznego kontaktu?

Niemożliwe.

A jednak miało to nastąpić za zaledwie dobę.

W jej przypadku. W przypadku Thomasa – za kilka minut. Leżał na stole operacyjnym, oczy miał zamknięte, jego pierś unosiła się i opadała w cichych, miarowych oddechach. Już ubrany w standardowy uniform Strefera złożony z szortów i koszulki, wyglądał niczym migawka z przeszłości – zwykły chłopiec ucinający sobie zwykłą drzemkę po długim dniu spędzonym w zwykłej szkole, zanim rozbłyski słoneczne oraz zaraza zniszczyły zwykłość świata. Zanim śmierć i zniszczenie sprawiły, że konieczne stało się wykradanie dzieci – wraz z ich wspomnieniami – i wysyłanie ich do tak straszego miejsca jak Labirynt. Zanim ludzkie mózgi zaczęto nazywać strefą zagłady, którą trzeba było obserwować i badać. Wszystko w imię nauki i medycyny.

Lekarz i pielęgniarka już przygotowali Thomasa do zabiegu, a teraz opuszczali maskę na jego twarz. Towarzyszyły temu kliknięcia, syki i pikanie; Teresa patrzyła, jak metalowe druty i plastikowe rurki suną po skórze Thomasa i wpełzają do jego uszu, widziała, jak ułożone wzdłuż ciała ręce chłopaka drgają konwulsyjnie. Prawdopodobnie odczuwał we śnie ból pomimo leków, ale nie było szans, aby to zapamiętał. Maszyna rozpoczęła pracę, usuwając obrazy z pamięci Thomasa. Wymazując jego mamę, ojca i dotychczasowe życie. Wymazując ją.

Jakaś cząstka Teresy wiedziała, że powinno to w niej wzbudzić gniew. Powinna zacząć krzyczeć, wrzeszczeć – i odmówić współpracowania z nimi choćby przez sekundę dłużej. Jednakże większa część jej wnętrza była równie niewzruszona, jak skaliste klify na zewnątrz. Tak, większa część trwała w pewności tak głębokiej, że Teresa wiedziała, że będzie ją czuła nawet jutro, kiedy zostanie poddana tej samej procedurze. Ona i Thomas udowadniali swoje przekonanie o słuszności całego przedsięwzięcia, pozwalając, żeby zrobiono im to samo, co pozostałym. A jeżeli zginą, trudno. DRESZCZ wynajdzie lek, całe rzesze zostaną ocalone, i życie na Ziemi pewnego dnia wróci do normy. Teresa wiedziała to w głębi serca, tak samo jak wiedziała, że ludzie się starzeją, a liście opadają jesienią z drzew.

Thomas ze świstem wciągnął powietrze, potem wydał krótki jęk i poruszył się. Przez jedną przerażającą sekundę Teresa myślała, że chłopak się ocknie, doprowadzony do hysterii przez koszmarny ból – końcówki maszyny tkwiły w jego mózgu i lepiej było nie zgadywać, co dokładnie tam robią. Znieruchomiał jednak, jego oddech ponownie stał się cichy i miarowy. Kliknięcia i syki nie ustawały, a wspomnienia jej najlepszego przyjaciela gasły niczym echa.

Wcześniej oficjalnie się pożegnali, a słowa *Do zobaczenia jutro* nadal rozbrzmiewały w jej głowie. Z jakiegoś powodu naprawdę poczuła się wstrząśnięta, kiedy Thomas je wypowiedział – czyniły to, co miał zrobić, jeszcze bardziej surrealistycznym i smutnym. Owszem, zobaczą się jutro, ale ona będzie w śpiączce, on zaś nie będzie miał zielonego pojęcia, kim ona jest – nie licząc niepokojącego poczucia, że chyba skądś ją zna. Jutro. Po wszystkim, przez co przeszli – tyle strachu, treningów i planowania – zbliżał się kulminacyjny moment. To, co zrobiono Alby’emu, Newtowi, Minho i całej reszcie, zostanie zrobione również ich dwojgu. Nie było już odwrotu.

Ale spokój wypełniał ją jak narkotyk. Czuła się pogodzona z losem i ta świadomość uśmierzała strach przed takimi rzeczami, jak Bóldożercy i Poparzeńcy. DRESZCZ nie miał wyboru. Ona i Thomas też nie mieli wyboru. Jak mogłaby się wzdragać przed poświęceniem kilku istnień, żeby ocalić tyle innych? Jak *ktokolwiek* mógłby? Nie miała czasu na litość, smutek ani marzenia. Co się stało, już się nie odstanie; zrobiono to, co zrobiono; a co będzie... to będzie.

Nie było odwrotu. Ona i Thomas pomogli skonstruować Labirynt; równocześnie Teresa poświęciła mnóstwo wysiłku, żeby zbudować mur odcinający ją od emocji.

Jej myśli przycichły; zdawało się, że szybują zamrożone w bezruchu, gdy czekała, aż procedura, której poddawano Thomasa, dobiegnie końca. Kiedy to nastąpiło, lekarz wcisnął kilka przycisków na swoim ekranie i piknięcia, syki oraz kliknięcia zaczęły rozbrzmiewać szybciej. Ciało Thomasa lekko zadrgało, gdy rurki i druty wypełzły z jego głowy, by wsunąć się z powrotem w głąb maski. Wszystkie dźwięki ucichły i znieruchomiał, maska również, przechodząc do stanu czuwania. Pielęgniarka pochyliła się i zdjęła urządzenie z jego twarzy. Skóra chłopaka była zaczerwieniona, z odcisniętymi liniami w miejscach, gdzie spoczywało. Nadal miał zamknięte oczy.

Przez krótką chwilę Teresie zdawało się, że mur, za którym uwięziła swój smutek, pęknie. Gdyby Thomas teraz się zbudził, nie pamiętałby, kim ona jest. Poczwała strach – niemalże panikę – na myśl o tym, że już wkrótce spotkają się w Strefie i nie rozpoznają się nawzajem. Była to miazdząca świadomość, która przypominała Teresie aż nadto wyraziście, czemu miał służyć jej mur. Niczym murarz wciskający cegłę w twardniejącą zaprawę, dziewczyna wzmocniła go jeszcze bardziej. Żadnych szczelin.

Nie było odwrotu.

Dwóch ochroniarzy weszło, żeby zabrać Thomasa. Podnieśli go tak bezceremonialnie, jakby był wypchany słomą. Jeden trzymał nieprzytomnego chłopaka za ręce, drugi za stopy. Umieścili go na szpitalnym wózku. Nawet nie spojrzawszy w stronę Teresy, skierowali się ku drzwiom sali operacyjnej. Nie było tajemnicą, dokąd go zabierają. Lekarz i pielęgniarka sprząkali stół po zabiegu – wykonali już swoje zadanie. Teresa skinęła im głową, chociaż nie patrzyli w jej stronę, po czym wyszła w ślad za ochroniarzami na korytarz.

Niemal nie była w stanie patrzeć na Thomasa w czasie długiej wędrówki korytarzami głównej siedziby DRESZCZu, od windy do windy. Jej mur znowu osłabł. Thomas był taki blady jego twarz pokrywały krople potu. Tak jakby nie stracił całkowicie przytomności, walczył z lekami, świadom, że czekają go straszne rzeczy. Serce ją bolało od patrzenia na niego. I przerażała ją świadomość, że ona będzie następna. Jej głupi mur. Jakie miał znaczenie? I tak odbiorą jej go razem ze wszystkimi wspomnieniami.

Dotarli na podziemny poziom pod konstrukcją Labiryntu, szli teraz przez magazyn, między rzędami półek wypełnionych zapasami dla Streferów. Tu na dole było ciemno i chłodno; Teresa poczuła, że jej przedramiona pokrywają się gęsią skórą. Wzdrygnęła się i roztała je. Ciało Thomasa podskakiwało na wózku, gdy ten natrafiał na pęknięcia w betonowej posadzce, i obijało się o jego krawędzie. Przez cały czas zdawało się, że pozorny spokój jego uśpionej twarzy lada chwila zmieni się w wyraz przerażenia.

Dotarli do szybu windy, gdzie spoczywał wielki metalowy sześcian.

Pudło.

Znajdowali się tylko parę pięter pod właściwym poziomem Labiryntu, ale na użytek mieszkańców Strefy stwarzano wrażenie, że podróż w górę jest niesamowicie mozolna i długa. Miało to stymulować określony zestaw emocji i wzorów aktywności mózgu, od zagubienia i dezorientacji po ślepe przerażenie. Idealny początek dla tych, którzy mieli za zadanie zmapować Thomasową strefę zagłady. Teresa wiedziała, że nazajutrz sama odbędzie tę podróż, zaciskając w ręku kartkę z wiadomością. Ale przynajmniej ona będzie wtedy w śpiączce, co oszczędzi jej półgodzinnej podróży przez ciemność. A Thomas obudzi się w Pudle, zupełnie sam.

Dwaj mężczyźni podprowadzili wózek do ściany Pudła. Zabrzmiał okropny zgrzyt metalu o beton, gdy jeden z nich przyciągnął do sześcianu dużą składaną drabinę malarską. Nastąpiło kilka chwil niezręcznego mocowania się, kiedy razem wchodzili po płaskich stopniach, niosąc Thomasa. Teresa mogłaby im pomóc, ale nie uznała za stosowne tego zrobić. Z zawziętym uporem stała w miejscu i obserwowała ich, całą siłą woli chroniąc swój mur przed zawaleniem.

Po paru stękniciach i przekleństwach mężczyźni wywindowali Thomasa nad górny brzeg sześcianu. Jego ciało znalazło się w takiej pozycji, że Teresa mogła po raz ostatni spojrzeć prosto w jego zamknięte oczy. Chociaż wiedziała, że chłopak jej nie usłyszy, sięgnęła ku niemu umysłem i telepatycznie wyszeptwała:

Robimy to, co trzeba, Thomas. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Mężczyźni pochylili się i opuścili Thomasa tak nisko, jak się dało, trzymając go za ręce, po czym pozwolili, żeby spadł do wnętrza sześcianu. Teresa usłyszała głuchy stuk, gdy jego bezwładne ciało runęło na zimną stalową podłogę Pudła. Jej najlepszy przyjaciel.

Odwróciła się i odeszła. Za plecami usłyszała przenikliwy odgłos metalu trącego o metal, a potem donośny, rozbrzmiewający echem huk, gdy Pudło się zatrasnęło. Pieczętując los Thomasa, bez względu na to, jaki ten los miał być.

TRZYNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

1

Mark zadrżał z zimna, po raz pierwszy od bardzo dawna.

Dopiero co się zbudził. Przez szpary między kłodami, z których wzniesiono ściany chatki, przesączała się szarość wczesnego świtu. Chłopak prawie nigdy nie korzystał z koca. Był z niego dumny – koc został sporządzony ze skóry olbrzymiego łosia, którego Mark osobiście zabił przed zaledwie dwoma miesiącami – ale kiedy go używał, to zwykle raczej po to, żeby poczuć się pod nim bezpiecznie, nie dla ciepła. Ostatecznie żyli w świecie wyniszczonym przez upały. Może jednak nadszedł znak, że coś się zmienia; autentycznie czuł, że lekko marznie pod wpływem porannego chłodu, który wnikał do środka przez te same szczeliny, co światło. Okrył się włochatą skórą aż po szyję i przewrócił się na wznak, ziewając jak hipopotam.

Alec wciąż jeszcze twardo spał na pryczy pod przeciwległą ścianą chatki – całe dwa metry dalej – chrapiąc wniebogłosy. Starszy mężczyzna był mrukliwym, zahartowanym w bojach niegdysiejszym żołnierzem, który rzadko się uśmiechał. A jeśli już, zwykle miało to coś wspólnego z faktem, że akurat burczy mu w brzuchu. Jednakże Alec miał złote serce. Po tym, jak spędzili w swoim towarzystwie ponad rok, walcząc o przetrwanie razem z Laną, Triną i całą resztą, Mark nie czuł się onieśmielony w obecności tego starego niedźwiedzia. Na dowód schylił się i złapał leżący na podłodze but, po czym rzucił nim w mężczyznę, trafiając w ramię. Alec ryknął i gwałtownie usiadł – lata wojskowej zaprawy sprawiły, że ocknął się od razu.

– Co u... – wrzasnął, ale Mark już rzucił w niego drugim butem, tym razem trafiając w klatkę piersiową.

– Ty szcurzy ryjku – stwierdził chłodno Alec. Nie wzdrygnął się ani nie poruszył po drugim ataku, tylko wpatrywał się w Marka zmrużonymi oczami. Było w nich jednak widać błysk rozbawienia. – Lepiej, żebyś się przekonująco wytłumaczył, czemu postanowiłeś ryzykować życiem, budząc mnie w taki sposób.

– HmMMM – odparł Mark, pocierając podbródek, jakby intensywnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Potem pstryknął palcami. – Już wiem. Głównie po to, żeby przerwać te okropne dźwięki, które wydawałeś. Serio, chłopie, powinieneś spać na boku czy coś. To chrapanie nie wyjdzie ci na zdrowie. Któregoś dnia po prostu zakrztusisz się własnym językiem.

Chrzękając i gderając pod nosem, Alec zsunął się z pryczy i zaczął się ubierać. Wśród ledwo zrozumiałych słów, jakie wymamrotał, było coś, co brzmiało jak „wolałbym nigdy”, a także „lepiej byłoby” i „rok piekła”, ale Mark nie zdołał rozróżnić nic więcej. Jednak przesłanie było jasne.

– Oj tam, sierzancie – powiedział, wiedząc, że jakieś trzy sekundy dzieli go od przeholowania. Alec odszedł z wojska już dawno temu i bardzo, bardzo, *bardzo* go wkurzało, kiedy Mark tak się do niego zwracał. Kiedy doszło do katastrofalnego wzrostu aktywności Słońca, Alec był pracownikiem kontraktowym w Departamencie Obrony. – Nigdy byś nie dotarł do tej uroczej osady, gdybyśmy cię nie ratowali z kłopotów dzień w dzień. Może by tak tulaka na zgodę?

Alec wciągnął koszulę przez głowę, po czym spojrzał w dół na Marka. Krzaczaste siwe brwi starszego mężczyzny ściągnęły się w jedną linię, niczym para włochatych stworzonek.

– Lubię cię, dzieciaku. Szkoda byłoby kazać ci wąchać kwiatki od spodu. – Wymierzył Markowi kuksańca w bok głowy: najbardziej czytelny wyraz sympatii, na jaki starego żołnierza było stać.

Żołnierz. Wprawdzie od tamtej pory minęło dużo czasu, ale Mark nadal lubił tak o nim myśleć. Sprawiało to, że czuł się lepiej – bezpieczniej. Uśmiechnął się, gdy Alec ciężkim krokiem wyszedł z ich chatki zmierzyć się z kolejnym dniem. Prawdziwy uśmiech. Zjawisko, które nareszcie zaczynało występować nieco częściej po tym, jak minął rok śmierci i grozy, który zapędził ich tutaj, w wysokie partie Apalachów w zachodniej części stanu Karolina Północna. Mark postanowił, że wbrew wszystkiemu wypchnie z pamięci złe wspomnienia i będzie miał dzisiaj dobry dzień. Żeby nie wiem co.

A to oznaczało, że musi znaleźć Trinę, zanim upłynie kolejne dziesięć minut. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł, żeby jej poszukać.

Znalazł ją przy potoku, w jednym z tych cichych zakątków, gdzie chodziła czytać książki z zapasu uratowanego ze starej biblioteki, na którą natrafili w trakcie swojej wędrówki. Ta dziewczyna uwielbiała czytać jak

nikt inny i teraz nadrabiała miesiące, kiedy uciekali na złamanie karku, a o książki było ciężko. Te cyfrowe wszystkie dawno przepadły jak podejrzewał Mark – diabli je wzięli, gdy usmażyły się wszystkie komputery i serwery. Trina czytała te staromodne, papierowe.

Spacer do niej był równie trzeźwiący jak zawsze – z każdym krokiem słabło postanowienie Marka, że to będzie dobry dzień. Patrzenie na żalostną zbieraninę szałasów, chatek i wygrzebanych w ziemi jam składających się na kipiącą życiem metropolię, w której żyli – wszystkie były sklecone z kłód, powiązanych szpagatem gałęzi i wysuszonego błota, przekrzywione w prawo albo w lewo – momentalnie psuło mu humor. Nie był w stanie przejść ciasnymi uliczkami osady, nie wspominając przy tym starych, dobrych czasów, gdy mieszkał w wielkim mieście, a życie było wspaniałe i pełne obietnic. Wszystko na świecie miał w zasięgu ręki, tylko brać. I nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Mijał rzesze wychudzonych, brudnych ludzi, którym – jak się zdawało – śmierć stale zaglądała w oczy. Nie tyle litował się nad nimi, co nienawidził świadomości, że wygląda dokładnie tak samo. Mieli wystarczająco dużo żywności – wyszperanej w ruinach, upolowanej w lesie, czasem przywożonej z Asheville – ale była racjonowana i wszyscy wyglądali tak, jakby codziennie jedli o jeden posiłek za mało. A mieszkając w lesie, nie dało się nie ubrudzić tu i ówdzie, bez względu na to, jak często człowiek kąpał się w potoku.

Niebo było niebieskie, z ledwie widoczną buropomarańczową mgiełką, która stale utrzymywała się w atmosferze od czasu, kiedy niszczycielskie rozbłyśki słoneczne spustoszyły planetę praktycznie bez ostrzeżenia. Nastąpiło to ponad rok wcześniej, ale pył nadal wisiał w górze niczym woal mający im stale przypominać o katastrofie. Nikt nie wiedział, czy życie kiedykolwiek wróci do normy. Chłód, który Mark poczuł po przebudzeniu, wydawał się teraz kpiną – chłopak już się pocił pod wpływem rosnącej temperatury. Brutalne słońce wyłoniło się zza linii rzadkich drzew porastających wznoszące się dokoła górskie szczyty.

Nie wszystko, co widział, źle wróżyło. Gdy opuścił osadę i zagłębił się w las, dostrzegł różne obiecujące sygnały. Rosnące młode drzewka, stare drzewa wypuszczające odroślą, wiewiórki śmigające po szerniałym igliwiu, zielone pędy i pączki jak okiem sięgnąć. W oddali ujrzał nawet coś, co wyglądało jak pomarańczowy kwiatek. Poczuł pokusę, żeby go zerwać

dla Triny, ale wiedział, że ta zrugałaby go na czym świat stoi, gdyby odważył się wyrządzić szkodę w lesie. Może ten dzień jednak będzie dobry. Przetrwali najgorszą katastrofę w dziejach ludzkości – może najgorsze mieli już za sobą.

Oddychał ciężko, zdyszany pod wpływem wspinaczki po zboczu, kiedy w końcu dotarł tam, gdzie Trina uwielbiała szukać spokoju. Zwłaszcza rano, kiedy prawdopodobieństwo, że ktokolwiek tu się zjawi, było nikłe. Przystanął i patrzył na nią zza drzewa. Wiedział, że usłyszała jego kroki, ale cieszył się, że udawała, że o nim nie wie.

Ludzie, ależ była ładna. Siedziała oparta plecami o potężny granitowy głaz, wyglądający tak, jakby umieścił go tu olbrzym o zapędach architekta krajobrazu. Na kolanach trzymała grubą książkę. Odwróciła stronę, a jej zielone oczy śledziły słowa. Miała na sobie czarny T-shirt, podniszczone dżinsy i tenisówki liczące sobie ze sto lat. Wiatr mierzwił jej krótkie blond włosy. Wyglądała jak ucieleśnienie spokoju i komfortu. Jakby należała do świata, który istniał, zanim wszystko uległo spaleni.

Mark od zawsze czuł, że to, że została jego dziewczyną, wynikało po prostu z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Praktycznie wszyscy inni ludzie, których znała, zginęli; on był strzępem przeszłości, który ocalał po to, by Trina mogła go sobie wziąć, bo inaczej została by zupełnie sama. Ale z radością grał swoją rolę, uważał nawet, że ma szczęście – nie wiedział, co by począł bez niej.

– Ta książka byłaby znacznie lepsza, gdyby jakiś podejrzany typek nie podglądał mnie, kiedy próbuję ją czytać. – Trina powiedziała to bez najlżejszego uśmiechu. Przewróciła kolejną stronę i kontynuowała lekturę.

– To tylko ja – odparł Mark. Połowa z tego, co mówił w jej obecności, wciąż jeszcze brzmiała głupio po wypowiedzeniu. Wyszedł zza drzewa.

Roześmiała się i wreszcie popatrzyła na niego.

– No, wreszcie się tu pofatygowałeś! Jeszcze chwila i zaczęłabym gadać do siebie. Czytam tak od świtu.

Podszedł i usiadł na ziemi obok niej. Uściskali się. Uścisk był mocny, ciepły i pełen tej obietnicy, którą Mark powziął zaraz po przebudzeniu.

Odsunął się i popatrzył na Trinę, nie dbając o to, że najprawdopodobniej szczyrzy się od ucha do ucha w głupim uśmiechu.

– Wiesz co?

– Co? – spytała.

– Dziś będzie naprawdę idealny dzień.

Trina uśmiechnęła się, a potok nadal szumiał w de, tak jakby słowa Marka nic nie znaczyły.

2

– Nie przeżyłam idealnego dnia, odkąd skończyłam szesnaście lat – odparła Trina. Zagięła kciukiem róg strony i odłożyła książkę. – Trzy dni później ty i ja uciekaliśmy na złamanie karku tunelem, który był gorętszy niż słońce.

– Dobre czasy – odparł w zamyśleniu Mark, siadając wygodniej. Również oparł się o głaz, krzyżując nogi przed sobą. – Dobre czasy.

Trina zerknęła na niego z ukosa.

– Moje przyjęcie urodzinowe czy rozbłyski słoneczne?

– Ani jedno, ani drugie. Na twoim przyjęciu był ten idiota John Stidham i podobał ci się. Pamiętasz?

Na jej twarzy przelotnie odmalowało się poczucie winy.

– Hm, tak. Mam wrażenie, jakby to się działo trzy tysiące lat temu.

– Pół świata musiało ulec zniszczeniu, żebyś mnie wreszcie zauważyła. – Mark uśmiechnął się, ale z poczuciem pustki. Prawda była dość przygnębiająca – nawet jako przedmiot żartów – i nad jego głową zaczynały się zbierać ciemne chmury. – Zmieńmy temat.

– Popieram. – Trina zamknęła oczy i oparła głowę o głaz. – Nie chcę o tym myśleć przez choćby sekundę dłużej.

Mark kiwnął głową, chociaż dziewczyna nie mogła go widzieć. Nagle stracił wszelką ochotę do rozmowy, a jego plany w kwestii idealnego dnia popłynęły z nurtem potoku. Wspomnienia. Nigdy go nie opuszczały, nawet na pół godziny. Zawsze musiały napłynąć z powrotem, a wraz z nimi cała groza.

– Wszystko okej? – spytała Trina. Złapała go za rękę, ale Mark wyszarpnął dłoń, wiedząc, że jest cała spocona.

– Tak, spoko. Chciałbym po prostu, żebyśmy mogli przeżyć jeden dzień, nie wracając do tego. Mógłbym być tutaj zupełnie szczęśliwy, gdybyśmy tylko mogli zapomnieć. Jest coraz lepiej. Musimy tylko... zostawić to za sobą! – Ostatnie słowa niemal wykrzyczał, ale nie miał pojęcia, gdzie właściwie kieruje swój gniew. Po prostu nienawidził tego, co miał w

głowie. Obrazów. Dźwięków. Zapachów.

– Zostawimy, Mark. Zostawimy. – Znów wyciągnęła do niego dłoń, i tym razem Mark ją ujął.

– Lepiej wróćmy tam na dół. – Zawsze to robił. Gdy wspomnienia wracały, zawsze przechodził w tryb „zająć się czymś”. Zająć się pracą i przestać używać mózgu. Tylko to pomagało. – Głowę dam, że Alec i Lana mają dla nas ze czterdzieści zadań.

– Które trzeba zrobić *dzisiaj* – dodała Trina. – Dzisiaj! Bo inaczej nastąpi koniec świata!

Uśmiechnęła się, co podniosło go na duchu. Przynajmniej troszeczkę.

– Później będziesz mogła dalej czytać swoją nudną książkę. – Wstał, pociągając Trinę za sobą. Potem ruszyli górską ścieżką w dół, z powrotem do prowizorycznej osady, którą nazywali domem.

Zapachy uderzyły Marka w pierwszej kolejności. Zawsze tak było, gdy szło się do Głównej Budy. Gnijąca leśna ściółka, gotujące się mięso, żywica sosnowa. Wszystko doprawione tą nutką spalenizny, która definiowała świat po rozbłyskach słonecznych. W zasadzie nie była to nieprzyjemna woń. Po prostu przyprawiała o dyskomfort.

On i Trina weszli między koślawe budynki osady, wyglądające, jakby sklecono je na łapu capu. Większość schronień po tej stronie obozowiska została wzniesiona w pierwszych miesiącach, zanim udało się znaleźć ludzi, którzy przed katastrofą byli architektami i budowniczymi, i powierzyć im kierowanie pracami. Lepianki z kłód i gliny zmieszanej z sosnowymi igłami. Puste otwory w miejscu okien i wejścia o dziwnym kształcie. Tu i ówdzie znajdowały się zwykłe jamy wygrzebane w ziemi, wyścielone plastikową folią; nakrywano je daszkami z powiązanych razem konarów, gdy przychodziły deszcze. Całość różniła się drastycznie od wybetonowanego miejskiego krajobrazu i drapaczy chmur, w cieniu których dorastał.

Alec powitał Marka i Trinę mruknięciem, gdy weszli przez krzywe drzwi do zbudowanej z bali Głównej Budy. Zanim zdążyli się przywitać, energicznym krokiem podeszła do nich Lana. Ta tęga kobieta o czarnych włosach, zawsze ściągniętych w ciasny kok, pełniła dawniej funkcję pielęgniarki wojskowej i była młodsza niż Alec, ale starsza od rodziców Marka. Towarzyszyła Alecowi, kiedy Mark spotkał ich w tunelach pod miastem Nowy Jork. Przed katastrofą oboje pracowali w Departamencie

Obrony. Alec był jej szefem; tamtego dnia wybierali się na jakieś spotkanie. Zanim wszystko się zmieniło.

– A wy gdzieście się podziewali? – spytała Lana, zatrzymując się zaledwie kilkanaście centymetrów przed twarzą Marka. – Mieliśmy dzisiaj wyruszyć o świcie, pójść w stronę południowej doliny i rozejrzeć się za lokalizacją dla kolejnej osady. Jeszcze parę tygodni tego przepełnienia i moja cierpliwość może się wyczerpać.

– Dzień dobry – odparł Mark. – Wydajesz się dzisiaj w świetnym humorze.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi; Mark wiedział, że tak będzie.

– Fakt, przechodzę od razu do rzeczy, nieprawdaż? Aczkolwiek trzeba mi mocno zależeć za skórę, żebyśmy zrobiła się tak burkliwa jak Alec.

– Sierżant? Taa, masz rację.

Jak na komendę stary niedźwiedź chrząknął.

– Przepraszam, że przyszliśmy tak późno – odezwała się Trina. – Wymyśliłabym jakieś genialne usprawiedliwienie, ale uczciwość jest najlepszą polityką. Mark namówił mnie, żebyśmy poszli nad strumień i... no wiecie.

Obecnymi czasy trzeba było się mocno postarać, żeby zaskoczyć Marka, a tym bardziej sprawić, żeby się zarumienił, ale Trina potrafiła osiągnąć jedno i drugie. Zająknął się, a Lana przewróciła oczami.

– Och, dajcie spokój. – Machnęła ręką i dodała: – Teraz idźcie raz dwa coś przekąsić, jeśli nie jedliście jeszcze śniadania, a potem spakujcie się i ruszamy. Chcę, żebyśmy wrócili w ciągu tygodnia.

Tydzień w dziczy, nowe widoki, świeższe powietrze... wszystko to brzmiało świetnie i poprawiło Markowi zepsuty humor. Poprzysiągł sobie, że w czasie wędrowki będzie myślał tylko o teraźniejszości i po prostu postara się cieszyć z wycieczki.

– Wiecie może, gdzie są Darnell i Ropuch? – spytała Trina. – Albo Misty?

– Zakręcone trio? – spytał Alec, po czym prychnął śmiechem. Tego człowieka bawiły naprawdę przedziwne rzeczy. – Przynajmniej oni pamiętali, jaki jest plan. Już zjedli, poszli się spakować. Powinni wrócić lada chwila.

Mark i Trina zdążyli uporać się z połową porcji naleśników i kiełbasy z jelenia, gdy usłyszeli znajome głosy pozostałej trójki przyjaciół poznanych w tunelach pod Nowym Jorkiem.

– Zdejmij to z głowy! – rozległ się wysoki, niezadowolony głos, a zaraz potem w drzwiach pojawił się nastoletni chłopak z majtkami naciągniętymi na brązową czuprynę jak kapelusz. Darnell. Mark był przekonany, że ten dzieciak przez całe życie nigdy nie traktował niczego poważnie. Nawet kiedy słońce próbowało ugotować go żywcem rok wcześniej, zdawało się, że jest gotów żartować zawsze i wszędzie.

– No co, podoba mi się taka czapka! – odparł wchodząc do Budy. – Chroni mi fryzurę i osłania przed słońcem. Dwa w cenie jednego!

Za nim weszła wysoka, chuda dziewczyna o długich rudych włosach, trochę starsza od Marka. Nazywali ją Misty, chociaż nigdy im nie powiedziała, czy to jej prawdziwe imię. Patrzyła na Darnella z miną wyrażającą po części obrzydzenie, a po części rozbawienie. Ropuch – niski i krępy, jak implikowało jego przydomkowanie – wbiegł i przepchnął się obok niej, żeby schwycić gatki dekorujące głowę Darnella.

– Oddawaj je! – zawołał, podskakując z wyciągniętą ręką. Był najniższym dziewiętnastolatkiem, jakiego Mark kiedykolwiek widział, ale zbudowanym solidnie jak pień dębu – same mięśnie, ścięgna i żyły. Z jakiegoś powodu pozostali uważali przez to, że mogą mu dokuczać ile wlezie, bo wszyscy wiedzieli, że mógłby ich zbić na kwaśne jabłko, gdyby naprawdę mu zależało. Ale Ropuch lubił znajdować się w centrum uwagi. A Darnell lubił się wygłupiać i irytować ludzi.

– Czemu w ogóle uznałeś za stosowne wsadzić na głowę te wstrętne majty? – spytała Misty. – Zdajesz sobie sprawę, gdzie one ostatnio były, prawda? Na czterech literach Ropucha?

– To nader słuszna uwaga – odparł Darnell z udawanym obrzydzeniem, akurat w chwili, gdy Ropuch wreszcie zdołał ściągnąć mu majtki z głowy.

– Bardzo nierozsądne z mojej strony. – Darnell wzruszył ramionami. – Wydawało mi się, że to będzie śmieszne.

Ropuch upychał odzyskaną własność z powrotem w plecaku.

– No cóż, ja się pośmieję ostatni. Nie prąłem tych gaci od co najmniej dwóch tygodni.

Wstał, parszcząc tym swoim chichotem, który Markowi kojarzył się z psem walczącym o kawałek mięsa. Ilekroć Ropuch zaczynał się tak śmiać, wszyscy obecni po prostu musieli mu zawtórować, a lody oficjalnie topniały. Mark wciąż jeszcze nie potrafił określić, czy śmieje się z sytuacji, czy z dźwięków wydawanych przez Ropucha. W każdym razie takie chwile

zdarzały się rzadko i przyjemnie było się pośmiać, a jeszcze przyjemniej – zobaczyć rozweseloną buzię Triny.

Nawet Alec i Lana chichotali pod nosem, co kazało Markowi pomyśleć, że może ten dzień mimo wszystko będzie idealny.

Ale potem śmiech wszystkich urwał się jak nożem uciął, gdy zabrzmiał dziwny dźwięk. Dźwięk, którego Mark nie słyszał od ponad roku, i nie spodziewał się go nigdy więcej usłyszeć.

Odgłos silników dobiegający z nieba.

3

Był to dudniący huk, który zatrzęsł Budą od góry do dołu. Chmurki kurzu wystrzeliły spomiędzy ułożonych byle jak kłód połączonych zaprawą. Pulsujący ryk przetoczył się bardzo blisko, tuż nad drzewami. Mark zakrył uszy do momentu, gdy dźwięk przycichł na tyle, że Buda przestała dygotać. Ałec był już na nogach i skierował się do drzwi, zanim ktokolwiek inny zdążył sobie uświadomić, co się dzieje. Lana szybko ruszyła za nim, a pozostali poszli w jej ślady.

Nikt nie odezwał się ani słowem, póki wszyscy nie znaleźli się na zewnątrz, w jaskrawym blasku porannego słońca. Mark zmrużył oczy, osłaniając je dłonią. Wpatrywał na niebie źródła hałasu.

– To górolot. – Ropuch oznajmił oczywisty fakt. – Co u...

Od czasu katastrofy Mark nie widział ani jednego z tych olbrzymich statków powietrznych i teraz poczuł się nieswojo. Nie potrafił sobie wyobrazić, po co górolot – górolot, który przetrwał kataklizm – miały lecieć przez Apallachy. Ale oto był – wielki, błyszczący i okrągły. Dysze wylotowe ryczących silników pluły błękitnym ogniem, gdy zniżył lot pośrodku osady.

– Co on tu robi? – spytała Trina, gdy całą grupką biegli truchtem przez wioskę śladem powietrznego statku. – Do tej pory zawsze zostawiali zapasy w większych osadach, takich jak Asheville.

– Może... – zaczęła Misty – ...może to misja ratunkowa czy coś w tym rodzaju? Zabiorą nas gdzieś indziej?

– Nie wierzę – odparł pogardliwie Darnell. – Zrobiliby to już dawno.

Mark nic nie mówił, biegnąc z tyłu grupy, wciąż jeszcze trochę zaskoczony nagłym pojawieniem się olbrzymiego górolotu. Pozostali cały czas wspominali o tajemniczych *nich*, mimo że nikt nie wiedział, kim *oni* właściwie są. Wcześniej pojawiały się sygnały i pogłoski, że powstaje coś w rodzaju centralnego rządu, ale żadnych informacji na ten temat nie można było uznać za godne choćby cienia zaufania. Z całą pewnością nie było jeszcze żadnych oficjalnych doniesień. Natomiast do obozów wokół

Asheville faktycznie dostarczano sprzęt i żywność, a ludzie stamtąd zwykle dzielili się tym wszystkim z osadami położonymi dalej.

Górolot zawisł bez ruchu. Płonące błękitem dysze wylotowe silników skierowane były teraz w dół. Wisiał kilkanaście metrów nad Placem, z grubsza kwadratową pustą przestrzenią, którą pozostawiono, kiedy osada była budowana. Grupa przyśpieszyła kroku, a gdy dotarli na Plac, odkryli, że zdążył się tam zebrać tłum ludzi, którzy gapili się na latającą maszynę, jakby była to mityczna bestia. Ryk i oślepiający błękitny blask rzeczywiście stwarzały takie wrażenie. Tym bardziej, że od tak dawna nie widziano tu żadnych wytworów zaawansowanej technologii.

Większość tłumu zebrała się pośrodku Placu. Twarze ludzi wyrażały wyczekiwanie i podniecenie. Zupełnie jakby wszyscy doszli do tego samego wniosku co Misty – że górolot przybył z misją ratunkową, albo przynajmniej z dobrymi wieściami. Jednakże Mark pozostał nieufny. W ciągu ostatniego roku wielokrotnie odebrał lekcję, że lepiej nie robić sobie nadziei.

Trina pociągnęła go za rękaw, po czym nachyliła się, żeby powiedzieć:

– Co on robi? Tu jest za mało miejsca, żeby mógł wylądować.

– Nie wiem. Nie widać żadnych oznaczeń ani niczego, co by wskazywało, czyj to górolot i skąd przyleciał.

Alec stał blisko i jakimś sposobem usłyszał ich rozmowę mimo warkotu silników. Prawdopodobnie dzięki superczułemu żołnierskiemu słuchowi.

– Te, które zostawiają zapasy w Asheville, podobno mają na kadłubach wymalowany wielkimi literami skrót KKO. Kryzysowa Koalicja Ocalałych. – Praktycznie krzyczał. – Trochę dziwne, że ten nie ma nic.

Mark w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Nie był pewien, czy podane przez Aleca informacje faktycznie mają znaczenie. Uświadomił sobie, że ogarnęło go coś w rodzaju oszołomienia. Znów popatrzył w górę, zastanawiając się, kim jest załoga latającego statku i po co tu przybyli. Trina uściśnęła jego dłoń, a on odwzajemnił uścisk. Oboje byli spoceni.

– Może w środku jest Bóg! – zawołał Ropuch nieco piskliwie, jak zwykle, kiedy podnosił głos. – Przyleciał, żeby nas przeprosić za tę całą chryję z rozbłyskami słonecznymi.

Kątem oka Mark dostrzegł, jak Darnell łapie oddech i otwiera usta, pewnie po to, żeby zaserwować Ropuchowi ciętą i zabawną ripostę.

Jednak przerwał mu dobiegający z góry głośny dźwięk odskakujących rygli, a potem jęk i pisk hydrauliki. Mark patrzył z fascynacją, jak w dolnej części górolotu zaczyna się otwierać duży kwadratowy luk, odchylając się na zawiasach, by utworzyć rampę. Wewnątrz było ciemno. W miarę jak otwór się powiększał, ze środka ulatywały obłoczki pary.

W ciżbie zabrzmiały westchnienia i okrzyki; ręce się wyciągały, a palce pokazywały w górę. Mark na moment oderwał wzrok od górolotu, żeby się rozejrzeć, i uderzyło go wrażenie zbiorowej bo jaźni. Stali się desperatami – desperatami, którzy codziennie żyli z ciężarem świadomości, że następny dzień może być ich ostatnim. I oto stali tu wszyscy, patrząc w niebo tak, jakby żart Ropucha był czymś więcej. Wiele oczu wokół Marka wyrażało stęsknione wyczekiwanie, tak jakby ludzie naprawdę wierzyli, że ocali ich jakaś nadprzyrodzona siła. Sprawilo to, że poczuł lekkie mdłości.

Przez tłum zebrany na Placu przetoczyła się nowa fala westchnień, a Mark gwałtownie podniósł głowę, by z powrotem spojrzeć w górę. Z ciemnego wnętrza górolotu wyłoniło się pięć osób ubranych w stroje, których widok sprawił, że chłopakowi dreszcze przebiegły po plecach. Zielone, gumowe, obszerne jednoczęściowe kombinezony skrywające ciało od stóp do głów. Hełmy tych ubiorów miały z przodu przezroczyste szybki, przez które właściciele mogli patrzeć, ale odbłaski słońca i odległość uniemożliwiały Markowi rozróżnienie ich twarzy. Stąpali ostrożnie w czarnych buciorach z cholewami naciągniętymi na zielony materiał, aż cała piątka znalazła się przy krawędziach opuszczonej rampy. Ich sztywne pozy zdradzały wysiłek, jakiego wymagało utrzymanie równowagi.

Każdy z obcych trzymał w dłoniach czarną rurkę, jakby był to pistolet.

Ale te rurki nie przypominały żadnego pistoletu, jaki Mark kiedykolwiek widział. Były cienkie i długie, z przyczepionym po jednej stronie ustrojstwem sprawiającym, że wyglądały jak części hydrauliczne wymontowane z pompy przemysłowej. Gdy tylko nieznajomi zajęli pozycje, podnieśli te rurkowate przyrządy i wycelowali je prosto w ludzi stojących w dole.

Mark uświadomił sobie, że Alec wrzeszczy na cały głos, popychając i szarpiąc ludzi, żeby zmusić ich do ucieczki. Dokoła narastał chaos – krzyki i panika – ale chłopak zapadł jakby w trans, patrząc, jak obcy w swoich

dziwnych strojach i z niebezpieczną bronią wychodzą z górolotu, podczas gdy cała reszta tłumu wreszcie zdała sobie sprawę, że ci ludzie nie przybyli tu, żeby kogokolwiek ratować. Co się stało z tym Markiem, który potrafił szybko działać? Który przeżył rok piekła po tym, jak rozbłyśki słoneczne spustoszyły Ziemię?

Nadal stał bez ruchu, zagapiony, gdy z góry padł pierwszy strzał. Coś świsnęło w powietrzu – coś małego, ciemnego i szybkiego wystrzeliło z jednej z tych rurek. Oczy Marka śledziły trajektorię pocisku. Usłyszał paskudny tępy odgłos uderzenia i odwrócił głowę w samą porę, żeby zobaczyć, że z ramienia Darnella wystaje kilkunastocentymetrowa strzałka, której metalowy grot utkwiał głęboko w mięśniu. Z rany ciekła krew. Chłopak z dziwnym stęknieniem osunął się na ziemię.

I to wreszcie sprawiło, że Mark się ocknął.

4

Krzyki rozdarły powietrze, gdy ludzie w panice rozbiegli się we wszystkie strony. Mark nachylił się, żeby schwycić Darnella pod ramiona. Świszczący lecących strzałek przecinał powietrze z lewej i z prawej – pociski trafiały w cele, przynaglając go do pośpiechu, wymazując z jego umysłu wszelkie inne myśli.

Mark szarpnął Darnella, wlokąc jego ciało po ziemi. Trina upadła, ale Lana była tam, pomagała dziewczynie stanąć na nogi. Obie podbiegły, żeby pomóc, i każda złapała Darnella za jedną ze stóp. Stękając unisono, dźwignęli go i czym prędzej opuścili Plac, schodząc z otwartej przestrzeni. To był cud, że nikt inny z ich grupki nie został trafiony strzałką.

Ziu, ziu, ziu. Stuk, stuk, stuk. Wrzaski i padające ciała.

Pociski nadal nadlatywały, lądując wszędzie wokół nich, a Mark, Trina i Lana posuwali się najszybciej jak mogli, wspólnymi siłami niezdarnie niosąc Darnella. Minęli skupisko drzew – Mark usłyszał kilka głośniejszych stuknięć, gdy strzałki trafiały w gałęzie i korę – a potem ponownie znaleźli się na otwartej przestrzeni. Pośpiesznie przebiegli przez polankę i skręcili w dróżkę, przy której stało kilka zbudowanych byle jak chatynek z bali. Wszędzie wokół kłębili się ludzie, rozpaczliwie waląc do drzwi, wskakując do środka przez otwarte okna.

Potem Mark usłyszał ryk silników i w twarz uderzył go ciepły wiatr. Ryk stał się głośniejszy, a wiatr przybrał na sile. Chłopak podniósł wzrok w kierunku źródła hałasu i zobaczył, że górolot zmienił pozycję, lecąc za tłumami uciekających. Mark dostrzegł Ropucha i Misty. Krzyżąc przynaglali ludzi do pośpiechu. Huk górolotu zagłuszał ich głosy.

Mark nie wiedział, co począć. Schronienie się gdzieś wydawało się najlepszą opcją, ale zbyt wielu ludzi próbowało zrobić to samo, a wpakowanie się w ten chaos razem z dźwiganym Darnellem oznaczałoby, że zostaną dosłownie zdeptani. Górolot ponownie zawisł w powietrzu, a obcy w dziwnych kombinezonach raz jeszcze unieśli broń i otworzyli ogień.

Ziu, ziu, ziu. Stuk, stuk, stuk.

Jedna ze strzałek otarła się o koszulę Marka i spadła na ziemię; ktoś nadepnął na nią, wbijając ją głębiej. Inna trafiła w szyję mężczyzny przebiegającego obok – wrzasnął i runął do przodu, krwawiąc obficie. Gdy upadł, legł bez ruchu i trzy inne osoby potknęły się o niego. Mark nie uświadomił sobie, że stanął przerażony tym co widzi, dopóki Lana nie wrzasnęła na niego, żeby się nie zatrzymywał.

Strzelcom w górze wyraźnie udało się poprawić celność strzałów. Strzałki powalały ludzi na prawo i lewo, a powietrze było pełne wrzasków bólu i przerażenia. Mark czuł się zupełnie bezsilny – nie widział żadnego sposobu, żeby się uchronić przed ostrzałem. Mógł tylko daremnie próbować uciekać przed latającą maszyną, przed którą nie było ucieczki.

Gdzie był Alec? Ten twarżel ze swoimi żołnierskimi odruchami? Dokąd pobiegł?

Mark parł naprzód, wlokąc ciało Darnella, zmuszając Trinę i Lanę, żeby utrzymywały takie samo tempo. Ropuch i Misty biegli teraz koło nich, usiłując pomóc nie wchodząc jednocześnie w drogę. Z góry nadal sypały się strzałki. Więcej krzyków, więcej padających ciał. Mark skręcił za róg i chwiejnie ruszył dróżką prowadzącą z powrotem w stronę Budy, trzymając się blisko budynku po prawej, który posłużył im teraz za częściową osłonę. Mniej ludzi pobiegło w tym kierunku i nie trzeba było się uchylać przed tyloma strzałkami.

Ich mała grupka posuwała się najszybciej, jak byli w stanie iść niosąc nieprzytomnego przyjaciela. W tej części osady budynki wzniesiono praktycznie jeden na drugim – nie było którędy się przemknąć na skróty i uciec w otaczające lasy.

– Jesteśmy już prawie przy Budzie! – krzyknęła Trina. – Szybciej, zanim górolot tu wróci!

Mark odwrócił się tak, żeby iść normalnie, przodem, przytrzymując Darnella za koszulę za plecami. Posuwanie się tyłem obciążało jego mięśnie nóg do granic wytrzymałości, tak że płonęły od gorąca i zaczynał odczuwać skurcze. Nic nie blokowało teraz drogi, więc Mark przyśpieszył. Lana i Trina dotrzymywały mu kroku; każda trzymała Darnella za jedną nogę. Ropuch i Misty przepchnęli się bliżej i każde chwyciło rękę nieprzytomnego kolegi, przejmując część obciążenia. Skradali się wąskimi dróżkami i przejściami, przełaząc przez wystające korzenie i po udeptanej

ziemi, skręcając w lewo, w prawo i znów w lewo. Ryk górolotu dobiegał z prawej, stłumiony przez znajdujące się po drodze chatki i rzędy drzew. Wreszcie Mark skręcił za róg i zobaczył Budę po drugiej stronie polanki. Przygotował się do sprintu przez ostatni odcinek, ale właśnie wtedy z drugiej strony wysypała się horda uciekających mieszkańców osady, gnających w dzikiej panice, żeby dopaść do jakichkolwiek drzwi. Chłopak zamarł, gdy nad jego głową przemknął górolot, lecący teraz bliżej ziemi niż wcześniej. Na rampie pod tylnym lukiem stało teraz tylko trzech strzelców, ale otworzyli ogień, gdy tylko statek ponownie zawisł bez ruchu.

Powietrze przecięły srebrne smużki, sypiąc się jak deszcz na ludzi pędzących przez polankę. Zdawało się, że każda strzałka znalazła cel, wbijając się w szyje i ramiona mężczyzn, kobiet i dzieci. Trafieni krzyczeli i prawie od razu padali na ziemię, a inni, panicznie biegnący w kierunku schronienia, przewracali się o ich ciała.

Mark i jego mała grupka przywarli do ściany najbliższego budynku i położyli Darnella na ziemi. Ból i zmęczenie obezwładniały ręce i nogi Marka, sprawiając, że miał ochotę upaść obok nieprzytomnego przyjaciela.

– Powinniśmy byli po prostu go tam zostawić – powiedziała Trina, która wsparła dłonie o kolana i usiłowała złapać oddech. – Spowolnił nas, a wcale nie udało nam się go wynieść w bezpieczne miejsce.

– Poza tym nie wiemy, czy w ogóle żyje – wychrypiał Ropuch.

Mark spojrzał na niego ostro, ale starszy chłopak przypuszczalnie miał rację. Niewykluczone, że ryzykowali życiem, aby uratować kogoś, kto od początku nie miał żadnych szans.

– Co się teraz dzieje? – spytała Lana, podchodząc do rogu budynku, żeby wyrzeć na polankę. Zerknęła na nich przez ramię. – Oni po prostu strzelają do ludzi jak do kaczek. Czemu używają strzałek, a nie kul?

– Ciężko dociec – odpowiedział Mark.

– Czy nie możemy czegoś zrobić? – spytała Trina, która dygotała od stóp do głów chyba bardziej z frustracji niż ze strachu. – Dlaczego pozwalamy tym ludziom na to?

Mark podszedł do Lany i razem wyjrżeli zza rogu. Polankę zaścielały teraz ciała, a wbite w nie strzałki sterczały w górę niczym miniaturowy las. Górolot nadal wisiał w górze, a jego silniki huczały błękitnym ogniem.

– Gdzie są nasi ludzie z ochrony? – szepnął Mark, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Wzięli sobie dzień wolny czy co?

Nikt nie odpowiedział, ale jakiś ruch przy drzwiach Budy zwrócił uwagę Marka i chłopak westchnął z ulgą. To był Alec, przywołujący ich gorączkowym machaniem. Mężczyzna trzymał coś, co wyglądało jak dwie olbrzymie strzelby mające na końcach haki umocowane do wielkich zwojów liny.

Żołnierz z krwi i kości – nawet po tych wszystkich latach. Miał plan i potrzebował pomocy. Zamierzał walczyć z tymi potworami. Podobnie jak Mark.

Mark oderwał się od ściany i rozejrzał. Zobaczył kawał drewna po drugiej stronie ścieżki. Nie mówiąc pozostałym, co robi, podbiegł, żeby go schwycić. Osłonił się nim jak tarczą, po czym rzucił się sprintem przez polankę w stronę Budy, gdzie stał Alec.

Mark nie musiał podnosić wzroku – wyraźnie słyszał świst pocisków, którymi do niego strzelano. Usłyszał metaliczne stuknięcie, gdy jedna ze strzałek wbiła się w drewno. Biegł dalej.

5

Mark starał się zmylić strzelców, przyśpieszając i zwalniając, biegnąc zygzakiem, cały czas kierując się tam, gdzie znajdował się Alec. Strzałki wbijały się w ziemię wokół stóp chłopaka; już druga uderzyła w jego zaimprovizowaną tarczę. Gdy biegł przez otwartą przestrzeń, Alec – nadal trzymając swoje strzelby – ruszył na skos w stronę środka polany. Niemal zderzyli się ze sobą pod samym brzuchem górolotu, a Mark natychmiast się nachylił, próbując osłonić ich obu swoją tarczą.

Oczy Aleca płonęły stanowczością i determinacją. Mimo siwych włosów wyglądał teraz tak, jakby odmłodził o dwadzieścia lat.

– Musimy się śpieszyć! – krzyknął. – Zanim to bydlę postanowi odlecieć!

Dysze wylotowe silników jarzyły się nad ich głowami, a strzałki nadal trafiały w ludzi wszędzie naokoło. Wrzaski mroziły krew w żyłach.

– Co mam robić? – zawołał Mark. Znajoma mieszanka adrenaliny i przerażenia wezbrała w nim, gdy czekał na instrukcje przyjaciela.

– Osłaniaj mnie. Weź to.

Alec przytrzymał obie strzelby pod pachą i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pistolet – matowy, czarny, którego Mark nigdy wcześniej nie widział. Nie było czasu na wahanie. Mark ujął pistolet wolną ręką i po ciężarze broni poznał, że jest naładowana. Gdy ją odbezpieczał, kolejna strzałka rąbnęła w drewno. Obcy z górolotu zauważyli, że dwóch ludzi pośrodku polany coś kombinuje. Więcej strzałek zaczęło walić w ziemię niczym nagły grad.

– Strzelaj, chłopcze – warknął Alec. – I celuj dobrze, bo masz tylko dwanaście kul. Nie chybiaj. Teraz!

Z tymi słowami okręcił się na pięcie i odbiegł, zatrzymując się jakieś pięć metrów dalej. Mark wycelował pistolet w ludzi stojących na rampie górolotu i wystrzelił dwukrotnie, wiedząc, że musi natychmiast ściągnąć na siebie ich uwagę, żeby nie zauważyli Aleca. Trzy zielone kombinezony wycofały się i padły na kolana, kuląc się, żeby metalowa rampa znalazła się między nimi a strzelającym. Jeden z nich odwrócił się i wspiął z

powrotem do wnętrza statku.

Mark odrzucił swoją drewnianą tarczę na bok. Chwycił pistolet oburącz, stanął pewnie na nogach i skoncentrował się. Znad krawędzi metalowego prostokąta w górze wychyliła się głowa i Mark szybko w nią wycelował, po czym nacisnął spust. Odrzut szarpnął jego rękoma, ale chłopak zobaczył czerwoną mgłę, rozbryzgi krwi w powietrzu; ciało stoczyło się z rampy i runęło na grupkę trzech osób na ziemi. Ze wszystkich stron dobiegły kolejne fale wrzasków, gdy do ludzi dotarło, co się dzieje.

Znad brzegu rampy wychyliła się ręka trzymająca rurkową broń, żeby strzelać na chybił trafił. Mark nacisnął spust, usłyszał ostre „ping”, gdy kula trafiła w metalowe urządzenie, po czym zobaczył, jak urządzenie spada na ziemię. Jakaś kobieta podniosła je i zaczęła oglądać, próbując dociec, jak można byłoby go użyć, żeby się bronić. To mogło tylko pomóc.

Mark zaryzykował szybkie zerknięcie do tyłu, na Aleca. Mężczyzna trzymał w górze zakończoną hakiem broń, jakby był marynarzem szykującym się do strzelenia harpunem w wieloryba. Zabrzmiało trzaśnięcie i nagle hak poszybował w stronę górolotu, a lina rozwijała się za nim niczym smuga dymu. Z brzękiem rąbnął o jeden z zawiasów hydraulicznych rampy i zaczepił się o niego. Alec naciągnął mocno linę.

– Rzuć mi pistolet! – wrzasnął do chłopaka.

Mark popatrzył w górę, żeby się upewnić, że nikt się nie wyłonił z wnętrza pojazdu, aby wystrzelić kolejną salwę strzałek; potem podbiegł sprintem do Aleca i wręczył mu pistolet. Gdy tylko mężczyzna go ujął, Mark usłyszał kliknięcie i nagle Alec wystrzelił w niebo – jego urządzenie wciągało go po linie w stronę wiszącego w powietrzu górolotu. Jedną ręką trzymał broń od haków, a w drugiej miał pistolet, z którego celował w górę. Gdy tylko minął krawędź rampy, rozległy się trzy szybkie strzały. Na oczach Marka mężczyzna wspiął się na metalową płytę – jego stopy zniknęły z widoku jako ostatnie. Kilka sekund później kolejne ciało w zielonym kombinezonie przeleciało przez krawędź i rąbnęło o grunt.

– Drugi hak! – wrzasnął do niego z góry Alec. – Szybko, zanim wyjdzie ich tu więcej albo postanowią odlecieć! – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się w kierunku kadłuba górolotu.

Serce Marka waliło w opętańczym tempie, tak mocno tłukąc o żebra, że prawie czuł ból. Odwróciwszy głowę dostrzegł drugą masywną strzelbę na ziemi, tam, gdzie Alec ją upuścił. Mark podniósł ją, obejrzał, poczuł

przyptyw panicznego strachu, że nie będzie wiedział, jak używać tego badzewia.

– Po prostu wyceluj ją tu w górę! – krzyknął do niego Alec.

– Jeśli hak się nie zaczepi, sam go przywiążę. Pośpiesz się!

Mark uniósł strzelbę i wycelował dokładnie w środek rampy. Nacisnął spust. Odrzut był silny, ale tym razem chłopak pochylił się w odpowiednim momencie. Poczł bolesne uderzenie w ramię. Hak wraz z liną poszybował w stronę górolotu, przeleciał nad krawędzią rampy. Brzęknął i osunął się z powrotem, ale Alec złapał go w porę. Mark patrzył, jak starszy mężczyzna podbiega do jednego z zawiasów hydraulicznych i obwiązuje go liną.

– Okej! – wrzasnął Alec. – Wciśnij zielony przycisk zwija...

Urwał, gdy silniki górolotu zaryczały głośniej i pojazd wzbił się w powietrze. Mark mocno ścisnął kolbę urządzenia akurat w momencie, gdy lina szarpnęła go w górę i pofrunął w niebo. Usłyszał, jak Trina krzyczy do niego z dołu, ale ziemia oddalała się w szybkim tempie, a ludzie maleli z każdą sekundą. Zdjęty strachem Mark trzymał się kurczowo, zaciskając palce tak mocno, że zbiełały jak kość. Patrzenie w dół sprawiało, że kręciło mu się w głowie, a żołądek podjeżdżał do gardła, więc zmusił się, żeby podnieść wzrok na klapę luku.

Alec właśnie przelazł z powrotem przez krawędź rampy – omal nie został z niej zrzucony na pewną śmierć. Wymachując nogami wspiął się w bezpieczne miejsce, używając tej samej liny, której uczeplł się kurczowo Mark. Potem opadł na brzuch i zagapił się na chłopaka, wytrzeszczając oczy.

– Znajdź zielony przycisk, Mark! – wrzasnął. – Wciśnij go!

Powietrze świstało wokół ciała Marka – wiatr w połączeniu z pędem silników. Górolot wznosił się, był już z siedemdziesiąt metrów nad ziemią i leciał naprzód, kierując się na drzewa. Mark mógł uderzyć w nie lada chwila i albo rozdarłyby go na strzępy, albo oderwałyby od liny. Trzymając się, rozpaczliwie szukał na urządzeniu właściwego przycisku.

Wypatrzył go kilka centymetrów poniżej spustu, który wystrzelił hak wraz z liną. Nie chciał puszczać kolby, nawet na sekundę, ale skupił wszystkie siły w prawej dłoni, zaciskając palce jeszcze mocniej, po czym rozwarł lewą. Jego całe ciało dyndało w powietrzu, kołysząc się w przód i w tył wraz z wiatrem, szarpane każdym wstrząsem górolotu. Wierzchołki

sosen i świerków pędziły ku niemu. Nie był w stanie opanować swoich ruchów na tyle, żeby wcisnąć przycisk.

Nagle nad nim rozległ się szczęk, brzęk i pisk metalu. Mark podniósł wzrok. Kłapa luku zaczynała się zamykać.

6

– Pośpiesz się! – wrzasnął do niego z góry Alec.

Mark właśnie miał znowu spróbować wcisnąć przycisk, kiedy dotarli do drzew. Z powrotem chwycił lewą ręką kolbę i ścisnął ją najsilniej jak mógł. Zwinął się w kłębek i zacisnął powieki. Górne gałęzie najwyższej sosny rąbnęły w niego, gdy górolot przeleciał nad nią. Igły pokłuły mu skórę, a ostro zakończone gałązki szarpały jego ubranie i kaleczyły twarz. Przypominały ręce szkieletów usiłujące go oderwać od liny, pociągnąć w dół, ku śmierci. Zdawało się, że każdy centymetr jego ciała został podrapany.

Jednak przeżył – pęd górolotu i szarpnięcie liny wyrwały go z uścisku drzewa. Mark rozluźnił nogi, po czym zamachał nimi dziko, gdy statek wziął ostry skręt, sprawiając, że chłopak zatoczył w powietrzu wielki łuk. Kłapa luku była w połowie drogi do zamknięcia się, a Alec wychylał się nad krawędzią, próbując podciągnąć linę. Jego twarz spurpurowiała od krzyku. Słowa niknęły wśród hałasu.

Żołądek Marka wywracał się, ale chłopak wiedział, że ma już tylko jedną szansę. Lewą ręką puścił kolbę urządzenia i zaczął je macać z boku, aż ponownie wymacał spust, po czym przesunął w palce w miejsce, gdzie – jak wiedział – znajdował się przycisk. Kątem oka zobaczył, że w jego stronę pędzi więcej drzew. Teraz górolot się zniżał, tak że nie było szans, aby Mark zdołał przeżyć spotkanie z nimi.

Znalazł przycisk, wcisnął go, ale jego palce się ześliznęły. Gałęzie wyciągnęły się po niego i spróbował ponownie. Przyciągnął do siebie urządzenie, żeby móc się zaprzeć, po czym mocno nacisnął guzik. Coś kliknęło i Mark wystrzelił w górę akurat w chwili, gdy jego ciało wpadło w gęste listowie drzew. Śmignął przez gałęzie, obrywając kilkoma po twarzy, i pofrunął w kierunku luku. Urządzenie z cichym warkotem zwijało linę. Podjechał blisko Aleca, który czekał z wyciągniętą ręką. Między metalową kłapą a kadłubem pozostało zaledwie kilkadziesiąt centymetrów przestrzeni, góra metr.

Mark puścił urządzenie tuż przed tym, nim uderzył w ostry róg unoszącej się powoli platformy. Rzucił się, żeby złapać rękę Aleca, a drugą dłońią złapać metalową krawędź. Jego palce się ześliznęły, ale Alec trzymał go mocno i przeciągnął go głową do przodu przez malejący z każdą chwilą otwór. Mark z trudem się w nim zmieścił, musiał się więc i kopać, ale w końcu udało mu się przecisnąć w ostatniej chwili, chociaż musiał wyszarpnąć but spomiędzy zamykających się szczęk luku. Kłapa zatrzasnęła się z grzmiącym hukiem, który odbił się echem w mrocznych trzewiach górolotu.

Wewnątrz było chłodno, a gdy echa ucichły, Mark słyszał już tylko własny zdyszany oddech. Panowały zupełne ciemności – przynajmniej dla jego nieprzyzwyczajonych oczu, które chwilę wcześniej znajdowały się w oślepiającym słońcu. Wyczuł w pobliżu obecność Aleca, który też sapiąc łąpał powietrze. Każdy centymetr ciała Marka bolał, a w kilku miejscach chłopak czuł sączącą się krew. Górolot zawisł nieruchomo w powietrzu i trwał tak, bucząc silnikami.

– Nie mogę uwierzyć, że właśnie to zrobiliśmy – powiedział Mark. Jego głos odbijał się echem od ścian. – Ale czemu nie czeka tutaj cała armia, żeby się nami zająć, wyrzucić nas za burtę? Zastrzelić nas tymi strzałkami?

Alec westchnął ciężko.

– Nie wiem. Może mają na pokładzie tylko minimalną załogę, ale sądzę, że tam w środku jest co najmniej jeden gość, który na nas czeka.

– Może właśnie w tej chwili celuje w moją głowę z jednego z tych strzałkowych pistoletów.

– Ha! – Alec splunął. – Po mojemu ci goście to amatorzy wysłani do roboty, którą powinni byli wykonać zawodowcy. Może załatwiliśmy całą załogę. W każdym razie wszystkich poza pilotem.

– A może zaraz za ścianą czeka dziesięciu gości ze spluwami – wymamrotał Mark.

– No cóż, jeden z tych scenariuszy jest bliższy prawdy – podsumował Alec. – Chodź, idziemy.

Były żołnierz z szuraniem ruszył naprzód. Mark był w stanie określić kierunek i sposób poruszania się tylko w oparciu o wydawane odgłosy. Wyglądało na to, że Alec pełźnie.

– Ale... – zaczął Mark, a potem uświadomił sobie, że nie ma nic do powiedzenia. Co innego mogli zrobić, tkwić tu i bawić się w ciuciubabkę

czekając, aż ktoś wyjdzie im na powitanie z kawą i ciastkami? Opadł na czworaki, krzywiąc się, gdy znów odczuł skutki cięgow, które zebrał chwilę wcześniej, i ruszył za przyjacielem.

Kilka metrów przed nimi pojawiło się źródło słabego światła, a gdy zbliżyli się do niego, otoczenie zaczęło się stawać trochę lepiej widoczne. Wyglądało na to, że znajdują się w czymś na kształt magazynu, z półkami biegnącymi wzdłuż ścian i paskami oraz drzwiczkami z drucianej siatki mającymi zabezpieczać ładunek. Ale co najmniej połowa regałów świeciła pustkami.

Źródłem światła był jarzący się panel nad niskimi metalowymi drzwiami mającymi śruby rozmieszczone wzdłuż krawędzi.

– Ciekawe, czy nas tu zamknęli – powiedział Alec, który wreszcie wstał. Podszedł do drzwi i sprawdził klamkę. Rzeczywiście nawet nie drgnęły.

Mark z ulgą wstał – posuwanie się na kolanach po twardej podłodze nie należało do przyjemności – ale jego mięśnie zaprotestowały, gdy dźwignął się na nogi. Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio zużył tyle energii, a po raz pierwszy w życiu został brutalnie pobity przez szajkę drzew.

– O co tu w ogóle chodzi? – spytał. – Co komu zawiniła nasza malutka wioska? I żeby strzelać do nas *strzałkami*? Co to, kurde, miało być?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Alec mocniej pociągnął drzwi, szarpiąc za klamkę, nadal bez efektu. – Ale ludzie padali jak muchy, gdy tylko to draństwo w nich utkwiało. – Ze sfrustrowaną miną odwrócił się od drzwi, po czym wsparł ręce na biodrach niczym starsza pani.

– Padali jak muchy – powtórzył cicho Mark. – Tak się składa, że Darnell oberwał strzałką. Myślisz, że nic mu nie jest?

Alec posłał mu spojrzenie mówiące: *Jesteś za mądry, żeby zadawać takie pytania*. I Mark wiedział, że to prawda. Serce na moment w nim zamarło. Odkąd przyleciał górolot, wszystko działo się w tak obłądnym tempie, że dopiero teraz dotarła do niego prawda: Darnell prawdopodobnie nie żył.

– Po co tu jesteśmy? – spytał Mark.

Alec wycelował w niego palec.

– Bo to się robi, kiedy ktoś pojawia się w twoim domu i atakuje twoich bliskich. Walczy się. Nie zamierzam pozwolić, żeby tym krwiopijcom uszło to na sucho.

Mark pomyślał o Darnellu, o wszystkich rannych, ogłupiałych ludziach, i

uświadomił sobie, że Alec ma rację.

– Dobra, jestem z tobą. To co robimy?

– Najpierw musimy otworzyć te przeklęte drzwi. Pomóż mi szukać, może znajdzie się tu coś, czym da się to załatwić.

Mark obszedł pomieszczenie naokoło, chociaż niewiele widział w żałośnie słabym świetle.

– A w ogóle to czemu wisimy teraz w powietrzu zamiast lecieć?

– Jesteś specjalistą od zadawania pytań, na które nie potrafisz odpowiedzieć. Po prostu wytycz patrzaki i bierz się do szukania.

– Okej, okej.

Z początku Mark widział tylko graty, graty i więcej gratów. Części zamienne, narzędzia, pudła z zapasami zawierające wszystko od mydła po papier toaletowy. Potem zobaczył coś przypiętego do ściany i z miejsca wiedział, że spodoba się to Alecowi: dwuręczny młot.

– Hej, zobacz! – krzyknął Mark. Wyciągnął narzędzie z pasów, zważył je w dłoniach. – Porządny i ciężki. Idealny, żebyś mógł nim rozwalić te drzwi, jak go weźmiesz w swoje gargantuiczne żołnierskie łapska.

– Nie są już tak silne jak dawniej.

Stary niedźwiedź błysnął zębami w uśmiechu. Słabe światło odbiło się w jego oczach, gdy ujął drewniane stylisko młota. Pomaszerował do zamkniętych drzwi i zaczął w nie tłuc. Nie miały najmniejszych szans, ale Mark ocenił, że ich rozwalenie może zająć dobrą minutę czy dwie. Miał tylko nadzieję, że kiedy się otworzą, po drugiej stronie nie będzie czekać banda zbirów w zielonych kombinezonach.

Bam. Bam. Bam. Alec walił wytrwale, a wgniecenia stawały się coraz większe.

Mark wrócił do szperania w magazynie, licząc, że znajdzie jakąś broń, zanim wreszcie uda się otworzyć drzwi. Alec przynajmniej mógł wymachiwać wielkim młotem. Coś znajdującego się w najciemniejszym rogu pomieszczenia przykuło uwagę chłopaka – regał wypełniony sztywnymi pudełkami mającymi jakieś sześćdziesiąt centymetrów długości oraz po trzydzieści centymetrów szerokości i wysokości, wyglądającymi tak, jakby służyły do przechowywania czegoś ważnego. Niektóre były otwarte i puste, inne – zapieczętowane.

Podszedł tam szybko i wytyczył wzrok, ale było za ciemno, żeby mógł cokolwiek zobaczyć. Podniósł jedno z zapieczętowanych pudełek –

okazało się łżejsze niż przypuszczał – i wrócił w pobliże źródła światła, po czym postawił pudełko na metalowej kratownicy podłogowej. Nachyliwszy się, wreszcie mógł się dobrze przyjrzeć.

Na pokrywie naklejony był symbol ostrzegawczy sygnalizujący, że zawartość stanowi zagrożenie biologiczne. Poniżej widniała etykieta następującej treści:

Wirus VC321xb47
Materiał wysoce zakaźny
24 strzałki
Uwaga! Niebezpieczeństwo!

Mark nagle pożałował, że w ogóle tego dotknął.

7

Mark wyprostował się i odsunął o metr czy dwa. Nie mógł uwierzyć, że wziął to pudełko do rąk. Może nawet by je otworzył, gdyby nie przyniósł go najpierw bliżej światła. Kto wie, może pojemniczki w tych strzałkach popękały, kiedy górolot leciał. Może wirus przeniknął przez szczeliny opakowania. Nie wspominając już o tym, że na półkach stały otwarte pudełka, chociaż wyglądały na puste.

Wytarł ręce o spodnie, cofnął się jeszcze o kilka kroków.

Bam. Bam. Bam.

Alec przestał walić. Oddychał ciężko.

– Jeszcze jedno czy dwa uderzenia i myślę, że to draństwo puści. Musimy być gotowi. Znalazłeś jakąś broń?

Mark czuł się chory. Zupełnie jakby mikroskopijne zarazki przeskoczyły z pudełka na jego skórę i teraz wnikały do krwi.

– Nie, tylko pudełko pełne strzałek ze śmiertelnościami wirusem. Może moglibyśmy nimi rzucać? – Miał to być żart, ale wypowiedzenie tych słów na głos sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej.

– Co? Wirus? – powtórzył z powątpiewaniem Alec. Podszedł i mrużąc oczy przyjrzał się leżącemu na podłodze pudełku. – A niech mnie... Więc to tym do nas strzelali? Kim są ci ludzie?

Marka ogarnęła panika.

– Co jeśli czają się po drugiej stronie, za tymi drzwiami? – spytał. – I tylko czekają, żeby nam władować takie strzałki w szyję? Co my tu w ogóle robimy? – Słyszał we własnym głosie narastający strach i wstydził się go.

– Uspokój się, chłopcze. Bywaliśmy już w znacznie większych opałach – odparł Alec. – Po prostu znajdź coś, cokolwiek, co będziesz mógł wziąć w ręce i walnąć kogoś w łeb, gdyby się na nas rzucili. Ci ludzie strzelali ze strzałkowców do naszych przyjaciół, chcesz, żeby im to uszło na sucho? Jesteśmy tu na górze. Nie ma odwrotu.

Bojowy ton Aleca sprawił, że Mark poczuł się lepiej, stał się bardziej pewny siebie.

– Dobra. Poszukam.

– Pośpiesz się!

Wcześniej Mark zauważył klucz francuski przyczepiony do ściany w pobliżu młota. Podbiegł i ściągnął go. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś prawdziwą broń, ale póki co trzydziestocentymetrowy kawał metalu musiał mu wystarczyć.

Alec ponownie ujął młot, szykując się do rąbnienia w poobijaną klamkę.

– Masz rację, że mogą nas ostrzelać, gdy tylko te drzwi się otworzą. Nie będziemy szarżować jak dwa głupie goryle. Stań tam i czekaj na moją komendę.

Mark spełnił polecenie, przywierając plecami do ściany po przeciwnej stronie drzwi i ściskając w ręku klucz.

– Jestem gotowy. – Strach pulsował w jego wnętrzu.

– No to dajemy.

Alec podniósł młot wysoko, po czym walnął nim w klamkę. Potrzeba było jeszcze dwóch ciosów, żeby ta w końcu odpadła z chrupnięciem. Jeszcze jeden zamach i drzwi otwarły się, odskakując na zewnątrz, aż walnęły o ścianę po drugiej stronie. Prawie natychmiast trzy strzałki przeszły powietrze, *ziu, ziu, ziu* i z brzękiem odbiły się od ściany. Potem coś z łoskotem wylądowało na podłodze i usłyszeli kroki oddalające się biegiem. Tylko jedna osoba.

Alec uniósł dłoń, jakby myślał, że Mark rzuci się w pościg za tym kimś. Potem wyrżał za krawędź framugi.

– Czysto. I szczerowi widocznie zabrakło strzałek, skoro rzucił broń na ziemię. Zaczynam sądzić, że tym górolotem leci tylko parę osób. Chodź, złapiemy tę łasicę.

Alec wychylił się trochę dalej, jeszcze raz omiatając wzrokiem jedną i drugą połowę korytarza. Potem ruszył naprzód, w półmrok. Mark głęboko zaczerpnął tchu i poszedł w jego ślady. Ze wstrętem kopnął na bok porzucony pistolet strzałkowy. Gdy broń z brzękiem przeleciała przez pomieszczenie i uderzyła w ścianę, przypomniał sobie Darnella ze strzałką sterczącą z ramienia. Pożałował, że w rękach nie trzyma czegoś groźniejszego niż klucz francuski.

Skradając się wąskim przejściem, Alec trzymał młot oburącz, w pogotowiu. Korytarz lekko zakręcał, tak jakby prowadził wzdłuż zewnętrznego brzegu okrągłego statku. Jarzące się panele podobne do

tego, który widzieli w magazynie, były rozmieszczone co jakieś trzy metry i stanowiły jedyne źródło światła. Minęli kilka drzwi. Alec sprawdzał je, ale wszystkie okazały się zamknięte na klucz.

Gdy szli, Mark walczył z nerwami, próbując być przygotowany na wypadek, gdyby ktoś na nich wyskoczył. Miał właśnie spytać Aleca, jak wygląda rozkład pomieszczeń w górolocie – przypomniał sobie, że starszy mężczyzna był kiedyś pilotem – kiedy gdzieś z przodu trzasnęły drzwi, a potem znowu rozległy się kroki.

– Za mną! – wrzasnął Alec.

Serce Marka szarpnęło się i ruszył sprintem za towarzyszem. Gdy gnali łukowatym korytarzem, chłopakowi tylko raz mignęła z przodu biegnąca sylwetka, ale wyglądała jak jeden z tych ludzi w zielonych kombinezonach, których widzieli wcześniej, tylko bez hełmu. Tamten człowiek wykrzyczał coś, ale słów nie dało się rozróżnić, bo odbijały się echem od ścian. Z całą pewnością był to mężczyzna. Najprawdopodobniej ten sam, który do nich strzelał.

Zewsząd dobiegło wycie silników zwiększających obroty i górolot gwałtownie ruszył – wystrzelił naprzód z szaloną prędkością. Mark stracił równowagę i walnął w ścianę, odbił się, po czym potknął się o Aleca, który wyłożył się jak długi na podłodze. Obaj pośpiesznie zerwali się na nogi, schwycili swoją zaimprovizowaną broń.

– Kokpit jest tam, przed nami! – wrzasnął Alec. – Szybko!

Nie czekał na odpowiedź, tylko pognał korytarzem jak zając, a Mark pobiegł za nim. Wypadli na otwartą przestrzeń, gdzie znajdowały się krzesła i stół, akurat w chwili, gdy ścigany mężczyzna zniknął za okrągłym włazem w pomieszczeniu, które musiało być kokpitem. Zaczął zamykać klapę, ale Alec w ostatniej chwili zdążył cisnąć młotem. Ten rąbnął w ścianę tuż obok włazu i upadł na podłogę, uniemożliwiając zatrzaśnięcie klapy. Mark nie zatrzymał się – minął Aleca, pierwszy dobiegł do kokpitu i zajrzał do środka, nie dając sobie czasu na zastanowienie.

Szybkim rzutem oka ogarnął dwa fotele pilotów i okna nad szerokimi pulpitemi pełnymi instrumentów, zegarów oraz ekranów wyświetlających informacje. Jeden z foteli zajmowała kobieta, która panicznie wciskała guziki, podczas gdy górolot pędził naprzód, a drzewa w dole coraz szybciej umykały do tyłu. Ledwo Mark zdążył dostrzec to wszystko, ktoś

rzucił się na niego z prawej i obaj zwalili się z hukiem na podłogę.

Uderzenie pozbawiło Marka tchu, a atakujący usiłował go przygwoździć i unieruchomić. Potem mężczyzna został rąbnęty w ramię młotem Aleca i poleciał do tyłu. Upadając stęknął z bólu, a Mark pośpiesznie dźwignął się na nogi, usiłując wciągnąć powietrze. Alec złapał mężczyznę za przód zielonej koszuli i podniósł go szarpnięciem, zbliżając twarz do jego twarzy.

– Co tu się dzieje?! – ryknął były żołnierz, pryskając śliną.

Pilotująca kobieta nadal skupiała całą swoją uwagę na pulpicie sterowniczym, ignorując chaotyczną scenę za plecami. Mark podszedł do niej, niepewny, co powinien zrobić. Nakazał sobie spokój i polecił z całą stanowczością, na jaką było go stać:

– Natychmiast zatrzymaj maszynę. Zawróć, zabierz nas z powrotem.

Zachowywała się tak, jakby go nie słyszała.

– Mów do mnie! – ryczał Alec do swojego jeńca.

– Jesteśmy nikim! – wyjęczał żałośnie mężczyzna. – Wysłano nas tylko, żebyśmy odwalili ich brudną robotę.

– Wysłano? – powtórzył Alec. – Kto was wysłał?

– Nie mogę wam powiedzieć.

Mark słuchał tego, co działo się po drugiej stronie pomieszczenia. Irytowało go, że pilot zignorowała jego polecenie.

– Powiedziałem, zatrzymaj maszynę! Ale już! – Podniósł klucz francuski, ale czuł się przy tym jak kompletny kretyn.

– Tylko wykonuję rozkazy, synu – odparła kobieta. Bez śladu emocji w głosie.

Mark usiłował wymyślić ripostę, ale jego uwaga została odwrócona przez odgłosy bicia – Alec tłukł leżącego mężczyznę pięścią.

– Kto was wysłał? – powtórzył były żołnierz. – Co było w tych strzałkach? Jakiś wirus?

– Nie wiem – wychlipał tamten. – Proszę, proszę, nie róbcie mi krzywdy.

Uwaga Marka była teraz skupiona na człowieku w zielonym kombinezonie i chłopak zobaczył, że twarz jeńca nagle poszarzała, zupełnie jakby wniknęła w niego jakaś widmowa istota.

– Zrób to – rozkazał mężczyzna prawie jak robot. – Skasuj maszynę.

– Co? – spytał Alec. – Co to ma być?

Pilot odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Marka, który zagapił się na nią zdumiony. Miała takie same nieruchome, martwe oczy jak facet w

zielonym kombinezonie.

– Tylko wykonuję rozkazy.

Wyciągnęła rękę, chwyciła dźwignię i pchnęła ją do przodu, najdalej jak się dało. Górolot zachybotał się i runął ku ziemi. Okna kokpitu nagle wypełniła zielen.

Mark został zwalony z nóg i rąbnął w pulpit sterowniczy. Coś ogromnego roztrzaskało się i jego uszy wypełnił ryk silników; rozległ się głośny huk, a potem eksplozja. Górolot zatrzymał się gwałtownie i jakiś twardy przedmiot przeleciał przez całe pomieszczenie, trafiając Marka w głowę.

Chłopak poczuł ból i zamknął oczy, zanim krew zdążyła je zalać. A potem powoli osunął się w nieświadomość, słysząc, jak Alec krzyczy doń z drugiego końca mrocznego, ciągnącego się w nieskończoność tunelu.

Tunel, jak to pięknie pasuje – pomyślał, zanim do reszty stracił przytomność. W końcu to w tunelu wszystko się zaczęło...

8

W pędzącym wagonie ekspresowego transmetra Mark odchyła głowę do tyłu, opierając ją o fotel. Zamyka oczy, uśmiecha się. W szkole mieli ciężki dzień, ale już po wszystkim. Żadnych lekcji przez najbliższe dwa tygodnie. Teraz może się wyluzować, obijać do woli, zaliczyć totalny czilaut. Grać na wirtboksie i pochłaniać potworne ilości jedzenia. Spędzać czas z Triną, gadać z Triną, wkurzać Trinę. Może po prostu powie swoim rodzicom „adios” i porwie ją, uciekną razem. I już.

Otwiera oczy.

Trina siedzi naprzeciwko, kompletnie go ignorując. Nie ma zielonego pojęcia, że Mark snuje fantazje na jej temat, nie wie nawet, że chłopak szaleje za nią. Przyjaźnią się od dawna, głównie dlatego, że samo tak wyszło. Kiedy mieszkasz z kimś drzwiami w drzwiach, ten dzieciak będzie twoim kumplem, bo tak działa wszechświat. Chłopak, dziewczyna, kosmita – to bez znaczenia. Ale skąd miał wiedzieć, że Trina zmieni się w tę piękną istotę z fantastycznym ciałem i obłądnymi oczami? Oczywiście ma to jedną wadę: w ich szkole nie ma ani jednego gościa, który by jej nie lubił. A Trina lubi być lubiana. To jest jasne jak słońce.

– Hej tam – mówi Mark. Transmetro mknie przez tunele pod Nowym Jorkiem, ciche jak szept, jego pęd niemal uspokaja. Sprawia, że chłopak ma ochotę znowu zamknąć oczy. – O czym teraz myślisz?

Oczy Triny napotyka ją jego spojrzenie; potem uśmiech rozjaśnia jej twarz.

– O niczym. To właśnie zamierzam robić przez dwa tygodnie. Nie myśleć. A jeśli już zacznę myśleć, zamierzam bardzo intensywnie myśleć o niemyśleniu do czasu, aż przestanę myśleć.

– Uau. To się prawie wydaje trudne.

– Nie. Sama frajda. Tylko prawdziwi geniusze to potrafią.

To jeden z tych momentów, kiedy Mark czuje przemożną, idiotyczną chęć, żeby powiedzieć, że ją lubi, zaprosić ją na oficjalną randkę, wziąć za rękę. Zamiast tego, jak zwykle, z jego ust wysypują się głupie słowa.

– O najmędrsza z mądrych, może mogłabyś mnie nauczyć tej metody myślenia o niemyśleniu.

Jej twarz lekko się krzywi.

– Ależ z ciebie pajac.

Taa. Właśnie owinął ją sobie wokół palca. Mark ma ochotę jęknąć, może nawet walnąć się pięścią w twarz.

– Ale lubię pajaców – oznajmia Trina, żeby złagodzić cios.

I Mark znów czuje się dobrze.

– To... jakie właściwie masz plany? Wybieracie się gdzieś czy zostajecie w domu?

– Może wybierzemy się na parę dni do mojej babci, ale większą część przerwy spędzimy w domu. Mam się któregoś dnia spotkać z Dannym, ale jeszcze nic nie jest ustalone. A ty?

Został zrzucony o kilka szczebli w dół. Z tą dziewczyną zawsze było jak na huśtawce.

– Ee, tak. Znaczy, nie. My tylko... Nic. Będę się obijał i jadł chipsy. Dużo bekania. Dużo patrzenia, jak moją młodszą siostrę rozpieszczają prezentami. – Madison. Tak, jest rozpieszczona, ale połowę odpowiedzialności za ten fakt ponosi Mark.

– To może będziemy mogli spędzić razem trochę czasu.

I Mark znów szybuje w górę.

– Byłoby super. Może codziennie? – To najodważniejsza propozycja, jaką kiedykolwiek jej złożył.

– Okej. Może nawet spróbujemy... – Trina rozgląda się z przesadną ostrożnością, po czym patrzy z powrotem na Marka – ...pocałować się ukradkiem w twojej piwnicy.

Przez jedną długą sekundę chłopak jest przekonany, że powiedziała to serio, i jego serce zamiera, a gęsia skórka pokrywa skórę. Wewnątrz jego klatki piersiowej płonie fala emocji.

Ale potem Trina zaczyna się śmiać jak szalona. W zasadzie nie złośliwie, i może nawet daje się w tym zauważyć cień autentycznego flirtu. Ale przede wszystkim Mark widzi, że Trina traktuje go jak swojego odwiecznego kumpla i nic więcej. Że myśl o całowaniu się w piwnicy jest zabawna przez swoją absurdalność. Mark oficjalnie decyduje się porzucić na jakiś czas własne rojenia.

– Jesteś zabójczo śmieszna – mówi. – Śmieję się w środku.

Trina przestaje chichotać i zaczyna wachlować dłonią twarz.

– Wiesz, naprawdę bym to zrobiła.

Nim jeszcze ostatnie słowo na dobre wydostanie się z jej ust, wszystkie światła gasną.

Pozbawiony napędu pociąg zaczyna zwalniać; Mark omal nie wypada z fotela prosto na kolana Triny. W innych okolicznościach może byłoby to fajne, ale teraz chłopak po prostu się boi. Słyszał opowieści o tym, jak podobne sytuacje zdarzały się za dawnych lat, ale za jego życia trakcja elektryczna pod ziemią nigdy nie zawodzi. Znajdują się w absolutnej, całkowitej ciemności. Pasażerowie zaczynają krzyczeć. Ludzki mózg nie został stworzony do tego, żeby bez ostrzeżenia lądować w takiej nieprzebitej czerni. To przerażające. W końcu jarzące się ekraniki kilku wristfonów odrobinę rozjaśniają mrok.

Trina łapie go za rękę i ściska ją.

– Co jest? – pyta po prostu.

Mark czuje się nieco uspokojony, bo dziewczyna nie wydaje się szczególnie wystraszona. I to przywraca go do rzeczywistości. Choć nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, transmetro z pewnością kiedyś musiało zaliczyć awarię.

– Pewnie coś się zepsuło. – Wyciąga palmfona (nie jest tak bogaty, żeby móc sobie sprawić jeden z tych wypasionych nadgarstkowych modeli), ale o dziwo nie ma zasięgu. Chłopak wkłada urządzenie z powrotem do kieszeni.

Zapala się mdłe żółte oświecenie awaryjne – paski biegnące wzdłuż sufitu wagonów. Słabo świecą, ale tak czy owak stanowią pożądaną odmianę po zupełnej ślepotcie. Wszędzie wokół Marka ludzie wstają, rozglądają się po pociągu, szepcząc między sobą jak opętani. Wydaje się, że w takiej sytuacji należy szeptać.

– Przynajmniej nie musimy się nigdzie śpieszyć – mówi Trina. Szeptem, rzecz jasna.

Mark już nie odczuwa tamtego pierwszego przyływu paniki. Teraz jedyne, czego by chciał, to zapytać, co miała na myśli, kiedy powiedziała „Wiesz, naprawdę bym to zrobiła”. Ale tamta chwila została zestrzelona i zabita na śmierć. Nie ma jak parszywy zbieg okoliczności.

Pociąg trzęsie się. Tylko trochę. To właściwie drżenie, nic więcej, silna wibracja. Ale jest to niepokojące i ludzie znowu krzyczą, chodzą tam i z

powrotem. Mark i Trina wymieniają spojrzenie pełne ciekawości z małą domieszką strachu.

Dwóch zdeterminowanych mężczyzn podchodzi do drzwi wagonu i zaczyna się z nimi mocować. W końcu udaje się je rozsunąć i mężczyźni wyskakują na chodnik biegnący środkiem tunelu. Niczym stado szczurów uciekających przed ogniem, reszta pasażerów podąża w ich ślady, przepychając się, szturchając i przeklinając, póki wszyscy nie znajdą się na zewnątrz. W ciągu dwóch czy trzech minut Mark i Trina zostają sami w wagonie transmetra. Białe światła jarzą się nad ich głowami.

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy wychodzić na zewnątrz – mówi Trina, z jakiegoś powodu *nadal* szepcząc. – To urządzenie na bank niedługo włączy się z powrotem.

– Taa – odpowiada Mark. Pociąg nadal lekko dygocze i zaczyna go to coraz bardziej niepokoić. – Nie wiem. Właściwie to mam wrażenie, że coś jest mocno nie w porządku.

– Myślisz, że powinniśmy wyjść?

Chłopak zastanawia się nad tym przez sekundę.

– Tak. Jeśli będziemy tu po prostu siedzieć, chyba zwariuję.

– Dobra. Może masz rację.

Mark wstaje, Trina też. Podchodzą do otwartych drzwi, po czym złączą na chodnik. Jest wąski i pozbawiony poręczy, co oznacza, że stanie się naprawdę niebezpieczny, jeśli transmetro znowu zacznie jeździć. W tunelu również zapaliło się oświetlenie awaryjne, ale niemal nie rozprasza mroku w miejscu znajdującym się tak głęboko pod ziemią.

– Poszli w tamtą stronę – mówi Trina, wskazując w lewo. I coś w tonie jej głosu każe Markowi uznać, że dziewczyna daje do zrozumienia, że powinni pójść w przeciwnym kierunku. Chłopak jest tego samego zdania.

– No to... idziemy w prawo – odpowiada, kiwając głową.

– Tak. Nie chcę się zbliżać do tych ludzi. Nie umiem nawet powiedzieć, dlaczego.

– Zachowywali się jak motłoch.

– Chodź.

Dziewczyna ciągnie go za rękę i zaczyna iść po wąskiej półce. Każde z nich dotyka jedną dłońią ściany tunelu, niemal opierając się o nią, żeby mieć pewność, że nie przewrócą się na tory. Ściana wibruje, ale nie tak silnie jak pociąg. Może to coś, co spowodowało przerwę w zasilaniu,

wreszcie zaczyna się uspokajać. Może to było tylko lekkie trzęsienie ziemi i wszystko będzie dobrze.

Idą od jakichś dziesięciu minut, nie odzywając się do siebie ani słowem, gdy z przodu rozlegają się krzyki. Nie. To nie są zwykłe krzyki. To coś więcej. Czysta groza, jakby zarzynano tam ludzi. Trina przystaje, ogląda się na Marka. Wszelkie wątpliwości – czy raczej nadzieje – znikają.

Stało się coś strasznego.

Instynkt Marka każe mu się odwrócić i uciekać w przeciwnym kierunku, ale chłopak czuje wstyd, kiedy Trina otwiera usta i pokazuje, jaka jest dzielna.

– Musimy tam pójść i zobaczyć, co się dzieje. Sprawdzić, czy możemy pomóc.

Jak mógłby odmówić? Biegną, tak ostrożnie i szybko, jak tylko są w stanie, aż docierają na szeroką platformę stacji transmetyra. I wtedy się zatrzymują. Scena, która rozgrywa się przed nimi, jest zbyt przerażająca, żeby umysł Marka potrafił ją przetworzyć. Ale chłopak już wie, że nic w jego życiu nigdy, przenigdy nie będzie takie samo.

Posadzkę zaścielają ciała, nagie i poparzone. Wrzaski i okrzyki bólu świdrują jego uszy, odbijają się echem od ścian. Ludzie kuśtykają tu i tam z wyciągniętymi sztywno rękami, ich ubrania płoną, a twarze są na wpół roztopione jak wosk. Wszędzie krew. A przez powietrze napływa nieprawdopodobna fala gorąca, jakby znaleźli się w piecu.

Trina odwraca się, łapie go za rękę. Na jej twarzy maluje się wyraz przerażenia – Markowi przelatuje przez myśl, że ten obraz na zawsze pozostanie wypalony w jego pamięci. Dziewczyna znów ciągnie go za sobą, gdy biegną z powrotem tam, skąd przyszli.

Mark przez cały czas myśli o swoich rodzicach. O swojej małej siostrzyczce.

W wyobraźni widzi, jak płoną gdzieś tam na powierzchni. Widzi, jak Madison krzyczy.

I serce mu pęka.

9

– Mark!

Wizja zniknęła, ale wspomnienie tunelu nadal zaciemniało jego umysł niczym sączący się szlam.

– Mark! Obudź się!

To był głos Aleca. Bez wątpienia. Alec wrzeszczał na niego. Czemu? Co się stało?

– Obudź się, do cholery!

Mark otworzył oczy, zamrugał, gdy oślepiło go słońce przeświecające przez gałęzie wysoko w górze. Potem pojawiła się twarz Aleca, zasłaniając światło, i chłopak zobaczył wszystko wyraźniej.

– No, nareszcie – stwierdził stary niedźwiedź z teatralnym westchnieniem. – Zaczynałem już panikować, dzieciaku.

Właśnie wtedy głowę Marka przeszyła błyskawica bólu – ból po prostu ocknął się później niż on sam. Szalał w jego czaszce, wydawał się równie wielki jak mózg. Chłopak zajęczał i nakrył dłońmi czoło, poczuł pod palcami śliskość krzepnącej krwi.

– Au – to było wszystko, co zdołał powiedzieć, zanim jęknął ponownie.

– Taa, mocno oberwałeś, gdy się rozbiliśmy. Masz szczęście, że żyjesz. I masz szczęście, że czuwał nad tobą anioł stróż w mojej osobie, żeby ci uratować skórę.

Mark pomyślał, że to go chyba zabije, ale musiał to zrobić. Zaciskając zęby usiadł. Zamrugał, żeby przegnać mroczki z pola widzenia, i poczekał, aż jego głowa oraz całe ciało przestaną tak strasznie boleć. Potem się rozejrzał.

Siedzieli na polance otoczonej drzewami. Powykręcane korzenie wiły się wśród igliwia i opadłych liści. Jakies trzydzieści metrów dalej spoczywał wrak górolotu, wciśnięty między dwa olbrzymie dęby, prawie jakby tam zakwitł niczym gigantyczny metalowy kwiat. Poskręcany i pogięty, dymił obficie, chociaż nie było ani śladu ognia.

– Co się stało? – spytał Mark, wciąż jeszcze zdezorientowany.

– Nie pamiętasz?

– Nie, w każdym razie odkąd to coś, cokolwiek to było, rąbnęło mnie w głowę.

Alec wymownie podniósł ręce.

– Co tu gadać. Rozwaliliśmy się i wywlokłem cię na zewnątrz. Potem siedziałem tu i patrzyłem, jak się tarzasz po ziemi, jakby śniły ci się koszmary. Znowu wspomnienia?

Mark był w stanie tylko przytaknąć. Nie chciał o tym myśleć.

– Przetrzęsnałem wewnątrz górolotu, na ile się dało – powiedział Alec, zmieniając temat. Mark był mu wdzięczny za zaprzestanie drążenia. – Ale dym z silników za bardzo przeszkadzał. Kiedy da się tam w środku chodzić i nie kipnąć, chcę poszperać jeszcze trochę. Odkryję, kim są ci ludzie i o co im chodziło, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

– Okej – odpowiedział Mark. Potem tknęła go myśl, która wywołała napływ paniki. – A co z tym, co widzieliśmy, z tym całym wirusem? Co jeśli pojemniki i strzałki się porozbijały i to coś jest teraz wszędzie?

Alec wyciągnął rękę i poklepał Marka po klatce piersiowej.

– Wiem, wiem. Nie martw się. Musiałem przejść przez tę ładownię, żeby wyjść na zewnątrz, i widziałem pudełka. Nadal są szczelnie zamknięte i bezpieczne.

– No a... jak działa wirus? Znaczy... czy jest szansa, żeśmy się zarazili? Bylibyśmy w stanie się zorientować? – Nie podobała mu się niepewność. – Jak sądzisz, co to w ogóle za wirus?

Alec zachichotał z cicha.

– Synu, to jest mnóstwo dobrych pytań, na które nie znam odpowiedzi. Będziemy po prostu musieli spytać naszego eksperta, jak już wrócimy. Może Lana słyszała o tym szczepie. Ale podejrzewam, że póki nie rozłoży cię paskudne grypsko, nie należy się zamartwiać na wyrost. Pamiętaj, to coś od razu powaliło rannych, a ty nadal stoisz.

W głowie Marka pojawiły się słowa z etykiety, ale spróbował się odprężyć. *Wysoce zakaźny.*

– Będę to mieć na uwadze – odparł ostrożnie. – Jak sądzisz, jak daleko odlecieliśmy od osady?

– Cholera wie. Powrót może nam trochę zająć, ale nie jest tragicznie.

Mark z powrotem położył się na ziemi i zamknął oczy, zasłonił je przedramieniem.

– Daj mi parę minut. Potem... myślę, że powinniśmy przeszukać statek. Kto wie, co tam znajdziemy.

– Mówisz i masz.

Pół godziny później Mark był z powrotem we wnętrzu górolotu i nogą odrzucał na bok szczątki, tylko teraz szedł po ścianie, a nie po kratownicy podłogowej.

Fakt, że górolot leżał na boku, wytrącał chłopaka z równowagi – płatał figle jego umysłowi oraz zaostrzał mdłości i pulsujący ból głowy – ale Mark czuł taką samą determinację jak Alec, żeby znaleźć coś, co im powie, do kogo należał pojazd. Najwidoczniej nie byli już bezpieczni w swojej małej górskiej siedzibie.

Najwięcej dałoby im włamanie się do systemu komputerowego, ale Alec próbował to zrobić wcześniej – bez skutku. Komputery były wyłączone, martwe. Jednak istniała szansa, że Mark lub Alec znajdą we wraku telefon komórkowy albo workpada – i jeśli dopisze im szczęście, sprzęt będzie cały. Minęły wieki, odkąd Mark widział taką technologię. Po katastrofie zostało im tylko to, co mieli przy sobie i co się nie usmażyło, a baterie dość szybko się wyczerpują. Ale jeśli ktoś posiada górolot, należy przypuszczać, że dysponuje też bateriami.

Górolot. Znajdował się we wnętrzu górolotu. Tak naprawdę dopiero teraz zaczynało do niego docierać, jak bardzo zmienił się jego świat zaledwie w ciągu roku. Kiedyś zobaczenie górolotu było równie emocjonujące co zobaczenie drzewa. A jeszcze poprzedniego dnia Mark przypuszczał, że już nigdy nie zobaczy żadnego. Teraz zaś w poszukiwaniu sekretów przetrząsał wrak górolotu, do kraksy którego się przyczynił. Było to ekscytujące, chociaż do tej pory udało mu się znaleźć tylko śmieci, ciuchy, rozwalone części mechanizmów i więcej śmieci.

A potem natrafił na skarb. W pełni sprawny workpad. Urządzenie było włączone – to świecący ekran zwrócił uwagę Marka. Workpad tkwił wciśnięty między materac a koję w jednej z małych kabin. Chłopak wyłączył urządzenie, gdy tylko je wyciągnął – gdyby bateria się wyczerpała, nie byłoby jak jej naładować.

Znalazł Aleca w innej kabinie. Starszy mężczyzna pochylał się nad walizką na rzeczy osobiste i klnąc siłował się z zamknięciem.

– Hej, popatrz, co znalazłem – oznajmił z dumą Mark, pokazując towarzyszowi workpad. – A ty?

Alec wyprostował się, a jego oczy rozjaśniły się na widok znaleziska.

– Nic, cholera, i znudziło mi się już szukanie. Chodźmy zerknąć na to чудо.

– Martwię się, że bateria może się rozładować – powiedział Mark.

– Tja, no cóż, to jeszcze jeden dobry powód, żeby przyjrzeć mu się teraz, nie?

– Więc zróbmy to na zewnątrz. Mam dość tej kupy złomu.

W cieniu drzewa Mark i Alec pochylili się wspólnie nad workpadem i siedzieli tak, podczas gdy słońce powoli przesunęło się po niebie. Mark mógłby przysiąc, że czas zwalnia bieg, gdy ono świeci tam w górze, atakując ich swymi nienormalnie intensywnymi promieniami. Posługując się ekranem dotykowym workpada, co chwila musiał wycierać spocone dłonie.

Workpad. Wyglądało na to, że urządzenie służyło właścicielowi do wszystkiego poza pracą. Gry, książki, stare programy informacyjne sprzed katastrofy. Był tam osobisty dziennik, który mógłby dostarczyć mnóstwa interesujących informacji, gdyby znajdowały się tam wpisy z ostatnich dni. Jednak urządzenie nie zawierało zbyt wielu plików związanych z pracą.

W końcu jednak znaleźli oprogramowanie mapujące. Oczywiście nie polegało na danych ze starych satelitów GPS – wszystkie uległy zniszczeniu podczas holokaustu radiacyjnego, jakim były rozbłyski słoneczne. Jednak wyglądało na to, że program posiada łączność z urządzeniami śledzącymi trasę zamontowanymi w górolocie, działającymi w oparciu o staroświecki radar lub inną technologię bazującą na falach krótkich. I znajdował się w nim log wszystkich podróży, jakie statek odbył, nim uległ rozbiciu.

– Spójrz na to – powiedział Alec, wskazując punkt na mapie. Wszystkie linie oznaczające trasy przebyte przez górolot prędzej czy później zbiegały się właśnie tam. – To ewidentnie ich centrala czy baza, jak zwał tak zwał. I sądząc ze współrzędnych oraz z tego, co wiem o tym paśmie wzgórz, które nazywamy domem, to miejsce nie może się znajdować dalej niż osiemdziesiąt do stu kilometrów od nas.

– Może to stara baza wojskowa – podsunął Mark.

Alec zastanawiał się przez chwilę.

– Może bunkier. Zbudowanie czegoś takiego wysoko w górach miałoby sens. Wybierzemy się tam, chłopcze. Raczej prędzej niż później.

– Teraz? – Mark wiedział, że jego mózg nadal kiepsko działa po tym, jak oberwał w czasie kraksy, ale stary żołnierz z pewnością nie zamierzał wypuszczać się na piechotę tak daleko przed powrotem do osady.

– Nie, nie teraz. Musimy wrócić do osady i sprawdzić, co tam się stało. Zobaczyć, czy Darnell jest cały i zdrowy. I pozostali.

Wzmianka o Darnellu sprawiła, że Mark z miejsca posmutniał.

– Pamiętasz, co widzieliśmy w górolocie? Tamte pudełka strzałek? Niemożliwe, żeby tamci zadali sobie tyle trudu tylko po to, żeby nas ostrzelać z powietrza wirusami grypy.

– Masz rację. Za cholerę, mi się to nie podoba, ale masz rację, dzieciaku. Nie spodziewam się, żebyśmy po naszym triumfalnym powrocie zastali dobre wieści. Ale tak czy owak musimy dowlec nasze tyłki z powrotem. Więc chodź.

Alec wstał, a Mark poszedł w jego ślady, wsunąwszy workpad do tylnej kieszeni spodni. Sto razy wolał wracać do wioski niż szukać bunkra.

Ruszyli. Mark nadal czuł się otumaniony i bolała go głowa. Jednak im dalej szli, im bardziej jego puls przyśpieszał, tym lepiej chłopak się czuł. Drzewa, słońce, krzaki i korzenie, wiewiórki, chrząszcze i węże. Powietrze wypełniające jego płuca było ciepłe, ale świeże, pachniało żywicą i przypalonymi tostami.

Górolot wywiózł ich znacznie dalej od osady niż sądzili, i w efekcie dwukrotnie musieli przenocować w lesie, odpoczywając tylko przez czas potrzebny, żeby odzyskać siły. Drobną zwierzyną upolowaną przez Aleca przy pomocy noża stanowiła całe ich pożywienie. W końcu dotarli w pobliże osady późnym popołudniem trzeciego dnia po ataku górolotu.

Mark i stary żołnierz znajdowali się niecałe dwa kilometry od wioski, gdy smród śmierci uderzył w nich niczym nowa fala nieznośnego gorąca.

10

Tylko parę godzin zostało do zachodu słońca, kiedy znaleźli się u podnóża wzgórza. Nieco wyżej wznosiły się pierwsze szałas i chaty.

Mark już wcześniej oddał szeroki pasek materiału od swojej koszuli, żeby zakryć nim nos i usta. Przycisnął do niego dłoń, kiedy pokonywali ostatni odcinek zbocza dzielący ich od wioski. Smród był potworny. Chłopak czuł go na języku – stęchły, zgniły, spleśniały – i w gardle, aż do żołądka, tak jakby połknął coś, co zaczęło się rozkładać. Walcząc z odruchem wymiotnym, stawiał krok za krokiem, szykując się na ujście straszliwych następstw ataku.

Darnell.

Mark nie robił sobie żadnych nadziei, z ciężkim sercem zaakceptował świadomość, że jego przyjaciel może być martwy. Ale co z Triną? Laną? Z Misty i Ropuchem? Czy żyli? Czy zaatakował ich jakiś popaprzany wirus? Mark zatrzymał się, gdy Alec wyciągnął rękę i dotknął jego klatki piersiowej.

– Dobra, posłuchaj – powiedział stary żołnierz stłumionym głosem; jego usta też były zasłonięte pasem tkaniny. – Musimy ustalić sobie parę rzeczy, zanim tam wejdziemy. Nie możemy pozwolić, żeby rządziły nami emocje. Bez względu na to, co zobaczymy, naszym priorytetem numer jeden musi być uratowanie tylu ludzi, ile się da.

Mark przytaknął ruchem głowy, po czym chciał wznowić marsz, ale Alec go powstrzymał.

– Mark, muszę się upewnić, że nadajemy na tych samych falach. – Mówił z powagą, marszcząc brwi; jego mina skojarzyła się chłopakowi ze zdenerwowanym nauczycielem. – Jeśli wejdziemy tam i zaczniemy przytulać ludzi, płakać i próbować robić rzeczy, które nie mają sensu, z ludźmi, którzy nie mają szans, wszystko dlatego, że jesteśmy załamani... na dłuższą metę to tylko zaszkodzi pozostałym. Rozumiesz? Musimy myśleć długofalowo. I bez względu na to, jak samolubnie to brzmi, musimy chronić siebie w pierwszej kolejności. Rozumiesz, co mówię?

Siebie. Ratowanie jak największej liczby ludzi oznacza, że martwi nie pomożemy nikomu.

Mark popatrzył mu w oczy i ujrzał w nich coś twardego jak skała. Wiedział, że Alec ma rację. Workpad, mapa oraz rzeczy, które wiedzieli o ludziach z załogi górólota jasno wskazywały, że dzieje się coś większego.

– Mark? – podjął Alec, pstrykając palcami, żeby zwrócić uwagę chłopaka. – Powiedz coś, kolego.

– Co właściwie masz na myśli? – spytał Mark. – Jeśli ludzie wyglądają na chorych... jeśli te strzałki naprawdę sprawiły, że ludzie zaczęli chorować... mam się od nich trzymać z daleka?

Alec dał krok do tyłu. Twarz miał ściągniętą w wyrazie, którego Mark nie potrafił rozszyfrować.

– Kiedy ujmujesz to w ten sposób, nie brzmi to zbyt bratersko, ale masz świętą rację, Mark. Nie możemy ryzykować zachorowania. Nie wiemy, co zastaniemy tam w górze. Z czym marny do czynienia. Chodzi mi tylko o to, że musimy być przygotowani... i jeśli będzie podejrzenie, że ktoś...

– Zostawić i niech zjedzą ich zwierzęta – powiedział Mark zimnym tonem, mając nadzieję, że sprawi Alecowi przykrość.

Były żołnierz tylko pokręcił głową.

– Nie wiemy nawet, czego się spodziewać, chłopcze. Po prostu chodźmy tam i zobaczmy, co zastaniemy. Odszukajmy naszych przyjaciół. Tylko nie rób niczego głupiego, to wszystko. Nie zbliżaj się do nikogo, a tym bardziej nikogo nie dotykaj. Cały czas chowaj buźkę za tą szmatą. Rozumiesz?

Mark rozumiał. W każdym razie trzymanie się z dala od ludzi, którzy zostali trafieni strzałkami, z całą pewnością miało sens. Wysoce zakaźny. Te słowa ponownie przemknęły mu przez głowę. Wiedział, że Alec ma rację.

– Rozumiem. Nie zrobię niczego głupiego. Obiecuję. Będę brał z ciebie przykład.

Na twarzy Aleca odmalowało się współczucie – coś, czego Mark nie widywał zbyt często. W jego oczach pojawiła się autentyczna życzliwość.

– Byliśmy w piekle i wróciliśmy, dzieciaku. Wiem o tym. Ale dzięki temu jesteśmy twardsi, zgadza się? Damy radę zrobić to, co potrzeba, żeby przeżyć kolejne wyzwanie. – Zerknął w górę, na ścieżkę prowadzącą do wioski. – Miejmy nadzieję, że naszym przyjaciołom nic nie jest.

– Miejmy nadzieję – powtórzył Mark. Ciśniej owinął twarz maską z tkaniny.

Alec sztywno skinął głową – znów profesjonalny w każdym calu – po czym ruszył w górę zbocza. Mark opanował się, poprzysiągł w myślach, że na razie odsunie emocje na bok, i podążył za towarzyszem.

Gdy tylko wspięli się na grzbiet wzgórza, źródło potwornego smrodu znalazło się w polu widzenia.

Tyle ciał.

Na samym skraju wioski znajdowała się prosta drewniana konstrukcja, która pierwotnie służyła za schronienie podczas ulewnego deszczu, a później, gdy już wzniesiono solidniejsze budynki, była wykorzystywana jako tymczasowy magazyn. Miała trzy ściany i otwarty przód. Strzechę pokryto dodatkowo warstwą błota, aby wewnątrz w miarę możliwości pozostawało suche. Wszyscy nazywali to cudo Krzywusem, bo chociaż konstrukcja była dość mocna, całość wyglądała, jakby lada chwila miała się zsunąć po zboczu góry.

Ktoś zdecydował, że wszystkie trupy zostaną umieszczone w Krzywusie.

Mark był przerażony. Zasadniczo nie powinien – w ciągu ostatniego roku widział więcej zwłok niż stu przedsiębiorców pogrzebowych w dawnych czasach obejrzałoby w ciągu całego życia. Ale i tak było to szokujące.

Co najmniej dwadzieścia ciał leżało jedno przy drugim, zajmując całą podłogę. Większość twarzy pokrywała krew – wokół nosa, ust, oczu i uszu. Sądząc po zabarwieniu skóry oraz po odorze, wszyscy nie żyli od co najmniej doby, jeśli nie dwóch. Szybki rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że Darnella nie ma wśród nich. Mimo to Mark nie odważył się żywić jakichkolwiek nadziei. Mocniej przycisnął tkaninę do nosa oraz ust i zmusił się, żeby odwrócić wzrok od tej makabry.

Wyglądało na to, że straszny widok zrobił na jego towarzyszu znacznie niniejsze wrażenie. Alec nadal wpatrywał się w ciała, a jego mina wyrażała raczej frustrację niż obrzydzenie. Może miał ochotę tam wejść, obejrzeć zwłoki i spróbować odgadnąć, co się dzieje, ale wiedział, jak nierozsądne by to było.

– Wejźmy do osady – powiedział Mark. – Odszukajmy naszych przyjaciół.

– Okej – brzmiała odpowiedź.

Wioska była jak wymarła. Nic, tylko kurz, suche drewno i gorące powietrze.

Ani na ścieżkach, ani między budynkami nie było widać żywej duszy, ale Mark co rusz spostrzegał czyjeś oczy wyglądające przez okna, szpary czy szczeliny w niefachowo skleconych konstrukcjach. Nie znał wszystkich mieszkańców osady – bynajmniej – ale był pewien, że do tej pory ktoś powinien go rozpoznać.

– Hej! – krzyknął Alec ku zaskoczeniu chłopaka. – To ja, Alec. Niech ktoś się tu pofatyguje i powie nam, co się działo pod naszą nieobecność!

Odpowiedział mu lekko stłumiony głos dobiegający z jakiegoś miejsca przed nimi.

– Nikt nie wychodzi na zewnątrz od rana po tym, jak przyleciał tamten górolot. Ludzie, którzy pomagali tym, którzy zostali postrzeleni... w większości też się rozchorowali i zmarli. Zajęło to tylko trochę dłużej.

– To przez te strzałki! – zawołał Alec w odpowiedzi, na tyle głośno, żeby wszyscy w zasięgu głosu mogli go usłyszeć. – To może być wirus. Dostaliśmy się na pokład tego górolotu. On się rozbił jakieś dwa dni drogi stąd. Znaleźliśmy pudełka z tymi strzałkami, którymi do nas strzelali. Mogły zainfekować trafionych... no, czymś.

Teraz wewnątrz schronień było słychać mamrotanie i szepty, ale nikt nie odpowiedział.

Alec odwrócił się do Marka.

– Cieszymy się, że byli na tyle sprytni, żeby się zabarykadować w domach. Jeśli to naprawdę jakiś wirus, może to powstrzymało go od rozprzestrzeniania się lotem błyskawicy. Kto wie? Jeśli nikt nie wychodzi na zewnątrz i nikt więcej nie jest chory, może to coś wymarło razem z tymi biedakami, którzy leżą w Krzywusie.

Mark spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Obyś miał rację.

Zanim Alec zdążył odpowiedzieć, rozległy się kroki. Obaj odwrócili się w stronę środka wioski, akurat w porę, żeby zobaczyć, jak zza rogu wybiega Trina, zmierzając w ich stronę. Była brudna, spocona i – sądząc z wyrazu twarzy – nieprzytomna ze strachu. Ale jej oczy rozbłysły na widok Marka, a chłopak wiedział, że sam zareagował podobnie. Trina wyglądała na zdrową, co sprawiło, że poczuł falę ulgi. Ruszyła ku niemu sprintem i nie

zamierzała zwolnić, dopóki Alec jej nie powstrzymał.

Stanął między nią a Markiem, unosząc obie ręce. Trina stanęła gwałtownie.

– Dobra, dzieciaki – powiedział Alec. – Bądźmy czujni i darujmy sobie uściski na powitanie. Ostrożności nigdy nie dość.

Mark spodziewał się, że Trina będzie próbowała protestować, ale ona kiwnęła głową, głęboko wciągając powietrze.

– Okej. Ja tylko... Tak strasznie się cieszę, że was tu widzę. Ale chodźcie szybko, muszę wam coś pokazać. Chodźcie! – Zamachała na nich, po czym odwróciła się i pognęła z powrotem tam, skąd przybiegła.

Mark i Alec ruszyli za nią bez wahania, biegiem przez środek osady. Chłopak słyszał dolatujące z mijanych chat zaskoczony westchnienia, szepty i widział przez szpary w zamkniętych oknach, że ludzie pokazują ich sobie palcami. Po kilku minutach Trina zatrzymała się wreszcie przed małą budą której drzwi zostały zabarykadowane za pomocą trzech desek przybitych w poprzek.

Od zewnątrz.

Ktoś został tam uwięziony.

I ten ktoś wrzeszczał wniebogłosy.

11

Wrzaski brzmiały niemal nieludzko.

Trina cofnęła się o kilka kroków, gdy dobiegła do zabarykadowanej budy, po czym odwróciła się do Marka i Aleca. Z jej oczu płynęły łzy, i gdy stała tam, oddychając ciężko, Mark pomyślał, że nigdy nie widział kogoś, kto wydawałby się tak niewiarygodnie smutny. Nawet po tym całym apokaliptycznym syfie, przez który przeszli.

– Wiem, że to straszne – powiedziała, podczas gdy więzień nadal wrzeszczał. Mark był w stanie poznać, że to mężczyzna lub chłopiec, ale nie miał pojęcia, czy to ktoś, kogo zna. Dźwięki brzmiały przerażająco. – Ale to on nas zmusił. Powiedział, że podetnie sobie żyły, jeśli tego nie zrobimy. I od tamtej pory jest tylko coraz gorzej. Nie wiemy, czemu on po prostu nie umarł, tak jak pozostali. Ale Lana od początku dopilnowała, żebyśmy zachowali ostrożność. Martwiła się, że to może być coś zakaźnego. Kiedy więcej ludzi zaczęło chorować, kazała nam go odizolować. To stało się szybko.

Mark był oszołomiony. Otworzył usta, żeby zadać pytanie, ale zamknął je z powrotem. Pomyślał, że chyba zna odpowiedź. Alec powiedział ją na głos.

– To Darnell siedzi tam w środku, nie?

Trina potaknęła i z jej oczu popłynęła świeża fala łez. Jedyne, czego pragnął Mark, to przytulić ją, trzymać ją w ramionach przez resztę dnia i całą noc. Ale do dyspozycji miał teraz tylko słowa.

– Już dobrze, Trina. Już dobrze. Zrobiliście to, co było trzeba. Tak jak powiedziała Lana, Darnell wiedział, że tamci mogli go czymś zainfekować. Wszyscy musimy być ostrożni, dopóki nie będziemy mieli pewności, że to coś przestało się rozprzestrzeniać.

Z budy znowu dobiegły wrzaski, wyraźnie słyszalne dzięki szparom w ścianach. Brzmiało to tak, jakby Darnell rozrywał sobie gardło na strzępy i Mark najchętniej zatkałby uszy.

– Moja głowa!

Mark odwrócił się gwałtownie, obrzucając budę spojrzeniem. Darnell po raz pierwszy użył zrozumiałych słów. Mark nie był w stanie się powstrzymać; podbiegł do okna zabitego deskami, między którymi widniała szczelina pięciocentymetrowej szerokości.

– Mark! – wrzasnął Alec. – Wracaj tu!

– Spoko! – odparł Mark. – Niczego nie będę dotykał.

– Nie ucieszę się, jeśli złapiesz jakieś paskudne choróbsko. Ani trochę.

Mark spróbował go uspokoić.

– Chcę tylko zobaczyć mojego przyjaciela. – Mocniej przycisnął materiał do nosa i dramatycznie uniósł brwi, patrząc na Aleca.

Ten mruknął coś i odwrócił wzrok. Ale Trina wpatrywała się w niego wojowniczo, najwyraźniej rozdarła między pragnieniem powstrzymania Marka a dołączeniem do niego.

– Po prostu zostań tam! – zawołał do niej chłopak, zanim zdążyła się poruszyć. Zakrywająca usta tkanina stłumiła jego głos, ale Trina usłyszała go wystarczająco wyraźnie. Lekko skinęła głową, po czym spuściła wzrok.

Mark popatrzył na szparę między dwiema deskami. Wrzaski dobiegające ze środka ucichły, ale słyszał teraz, jak Darnell cicho popłakuje, jękliwie wypowiadając te same dwa słowa co kilka sekund.

– Moja głowa, moja głowa, moja głowa.

Mark dał jeszcze krok do przodu, potem następny. Jego twarz znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od szpary. Mocniej zawiązał pasek tkaniny na karku, upewniając się, że jego nos i usta są całkowicie zasłonięte. Potem nachylił się i zajrzał do środka.

Wąskie promienie zachodzącego słońca padały na klepisko, ale wewnątrz w większości pograżone było w mroku. W jednej z plam światła Mark zobaczył stopy i nogi Darnella, przyciągnięte ciasno do ciała, ale twarz chorego pozostawała niewidoczna. Wyglądało na to, że zasłaniał głowę rękami.

Nadal popłakiwał i mamrotał. I dygotał od stóp do głów, jakby znalazł się na dworze w śnieżycy.

– Darnell? – odezwał się Mark. – Hej... to ja, Mark. Chłopie, wiem, że nie jest z tobą dobrze. Naprawdę... naprawdę mi przykro... Hej, dorwaliśmy drani, którzy ci to zrobili. Rozwaliliśmy ich górolot i w ogóle.

Jego przyjaciel nie odpowiedział, po prostu leżał tam, na wpół skryty w cieniu, dygocząc i jęcząc. Mamroczał te dwa słowa.

– Moja głowa, moja głowa, moja głowa.

Wnętrznosci Matka zjechały głęboko w czarną przepaść i poczuł się pusty w środku. Widział tyle strasznych rzeczy, tyle śmierci, ale patrzenie, jak jego przyjaciel cierpi samotnie... to było dla Marka jak śmiertelny cios. Zwłaszcza że to było tak bezsensowne. Niepotrzebne. Czemu ktoś uznał za stosowne zrobić coś takiego innym po tym, jak cały świat zmienił się w piekło? Czy nie było już i tak wystarczająco źle?

Ogarnęła go nagła wściekłość. Mark rąbnął pięścią w szorstkie drewno budy, zdzierając sobie do krwi skórę z kostek. Miał nadzieję, że pewnego dnia ktoś zapłaci za to wszystko.

– Darnell? – zawołał ponownie. Musiał coś powiedzieć, żeby poczuć się lepiej. – Może... może jesteś silniejszy niż pozostali. Dlatego nie umarłeś. Po prostu trzymaj się twardo, chłopie. Przeczekaj to. Może... – Puste słowa. Takie miał wrażenie. Jakby okłamywał swojego przyjaciela. – W każdym razie sierżant i ja, Trina, Lana, ktokolwiek... odkręcimy to jakoś. Ty tylko...

Ciało Darnella nagle zeszywniało. Jego nogi wyprostowały się gwałtownie, a ręce wyprężyły się jak druty. Z jego umęczonego gardła wydarł się kolejny wrzask, jeszcze gorszy od poprzednich, brzmiący niczym ryk rozwścieczonego zwierzęcia. Mark odskoczył zdumiony, ale szybko nachylił się z powrotem, zbliżając oko do otworu na tyle, na ile mógł nie dotykając desek. Darnell wyturlał się na środek klepiska, a jego twarz była teraz w pełni widoczna w plamie słońca. Trząśł się i trząśł.

Krew pokrywała jego czoło, policzki, podbródek, szyję. Zlepiła jego włosy. Sączyła się z jego oczu i uszu, kapała z warg. Chłopak w końcu odzyskał kontrolę nad rękami i przycisnął je do boków głowy, kręcąc nią w jedną i drugą stronę, jakby usiłował ją odkręcić od szyi. A wrzaski rozbrzmiewały nadal, przerywane przez – jak się zdawało – jedyne dwa słowa, jakie pamiętał.

– Moja głowa! Moja głowa! Moja głowa!

– Darnell – wyszeptał Mark, wiedząc, że nie ma możliwości, aby mógł teraz rozmawiać z przyjacielem. A bez względu na to, jak fatalnie się czuł i jakie miał poczucie winy, wiedział też, że w żadnym wypadku nie może wejść do środka i próbować pomóc. To byłoby bezdennie głupie.

– Moja głooooowaaaaa! – wykrzyczał Darnell. Jego przeciągłe, zawodzące wycie brzmiało tak dziko, że Mark znowu się cofnął. Nie był

pewien, czy będzie w stanie jeszcze raz zajrzeć do środka.

Z wnętrza budy doleciał odgłos poruszenia, szurające kroki. Potem donośne uderzenie w drzwi. I kolejne. I kolejne.

Łup. Łup. Łup.

Mark zamknął oczy. Wiedział, co to za okropny dźwięk. Trina nagle znalazła się obok, chwyciła go w ramiona, przytuliła mocno, dygocząc od szlochu. Alec protestował, ale bez przekonania. Było za późno.

Zabrzmiało jeszcze kilka głuchych uderzeń, a potem ostatni długi, przeszywający wrzask, który zakończył się mokrym bulgotem. Potem Mark usłyszał, jak Darnell osuwa się na klepisko, wypuszczając oddech.

Było mu wstyd, ale gdy nastąpiła cisza, czuł tylko ulgę, że upiorne doświadczenie wreszcie dobiegło końca. I że to nie Trina.

12

Mark nigdy nie posądzał Aleca o tkliwość. Nie przeszłoby mu to przez myśl. Ale kiedy były żołnierz podszedł, żeby rozdzielić Marka i Trinę, zrobił to z ciepłym wyrazem twarzy. Potem powiedział:

– Wiem, że dużo razem przeszliśmy. – Zerknął w stronę budy, gdzie znajdował się Darnell. – Ale to, co nas teraz spotkało, mogło być najgorsze ze wszystkiego, sądząc z tego, co słyszeliśmy przed chwilą. – Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował. – Cóż, nie możemy się poddać. Od pierwszego dnia skupialiśmy się na tym, żeby przeżyć.

Mark skinął głową i popatrzył na Trinę.

Ta otarła łzę, posyłając Alecowi zimne spojrzenie.

– Mam dość tej całej walki o przetrwanie. Przynajmniej Darnell ma już świat z głowy.

Przez wszystkie lata, odkąd Mark ją znał, nigdy nie sprawiała wrażenia równie rozgniewanej.

– Nie mów takich rzeczy – powiedział chłopak. – Wiem na bank, że tak nie myślisz.

Popatrzyła na niego i jej wzrok zmiękł.

– Kiedy to się skończy? Przetrwaliśmy całe miesiące piekarnika, kiedy słońce usiłowało usmażyć całą planetę, znaleźliśmy miejsce, gdzie mogliśmy zbudować schronienia, znaleźć żywność. Kilka dni temu śmialiśmy się! A potem jacyś goście przylatują tu górolotem, strzelają do nas strzałkami i ludzie umierają? Co to ma być, jakieś jaja? Czy ktoś tam w górze śmieje się z nas, gra nami jak w jakiejś wirt-grze?

Jej głos załamał się i znowu zaczęła płakać, zasłaniając twarz dłońmi. Usiadła na ubitej ziemi, krzyżując nogi. Jej ramiona dygotały od bezgłośnego szlochania.

Mark spojrzął na Aleca, którego oczy zwęziły się, tak jakby chciał powiedzieć: *Ona jest twoją przyjaciółką – powiedz coś.*

– Trina? – odezwał się cicho Mark, Podszedł i ukląkł za nią, potem wyciągnął ręce i ujął ją za ramiona. – Wiem... akurat kiedy sądziliśmy, że

nic gorszego już nie może nas spotkać. Tak mi przykro. – Wiedział, że nie ma sensu udawać, że jest lepiej niż w rzeczywistości. To było bezsensowne oszukiwanie się i wszyscy dawno poprzysięgli, że dadzą sobie z nim spokój.

– Ale obiecuję, że będziemy się trzymali razem, choćby nie wiem co – kontynuował. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się nie zarazić tym czymś, co zabiło Darnella i pozostałych. Ale jeśli mamy o to zadbać...

– Poglaskał jej plecy, po czym popatrzył w górę, na Aleca, oczekując podpowiedzi.

– Musimy być czujni – dokończył tamten. – Musimy być ostrożni i sprytni. I bez skrupułów, jeśli zajdzie taka konieczność.

Mark wiedział, że dotykanie Triny może być nierozsądne. Ale nie obchodziło go to. Gdyby Trina zmarła, naprawdę nie wiedział, czy byłby w stanie dalej funkcjonować.

Trina opuściła dłonie, którymi dotąd zasłaniała twarz, i popatrzyła na Aleca.

– Mark, wstań i odsuń się ode mnie.

– Trina...

– Zrób to. Już. Idź i stań obok Aleca, tak, żebym widziała was obu.

Mark spełnił polecenie. Ponownie stanął koło starszego mężczyzny, ponad trzy metry dalej. Gdy się odwrócił, zobaczył, że płacząca, bezradna, mam-wszystkiego-dość Trina zniknęła bez śladu, a jej miejsce z powrotem zajęła ta zdecydowana kobieta, do której Mark przywykł. Wstała i splótła ręce na piersi.

– Byłam naprawdę ostrożna, odkąd wy dwaj dostaliście się na pokład tego górolotu. Kombinezony, które mieli na sobie ci dranie, strzałki, to, jak szybko rozchorowali się ci ludzie, którzy zostali trafieni... Zanim jeszcze Lana cokolwiek nam powiedziała, było oczywiste, że coś jest na rzeczy. Jediną osobą z którą miałam do czynienia, był Darnell, a on wiedział, że musi się ode mnie trzymać z daleka. To on się zabarykadował w tej budzie i kazał mi zabić wejście deskami.

Zrobiła pauzę, żeby zaczerpnąć tchu, i spojrzała im obu w oczy.

– Chcę przez to wszystko powiedzieć, że nie sądzę, żebym była chora. Zwłaszcza że to coś tak szybko załatwiło wszystkich zarażonych.

– Widzę właśnie, ale... – zaczął Alec. Jednak Trina przerwała mu.

– Jeszcze nie skończyłam – powiedziała, piorunując go wzrokiem. –

Wiem, że powinniśmy być ostrożni. Mogę być chora. Wiem, że się dotykaliśmy, ale spróbujmy więcej tego nie robić do czasu, aż będziemy zupełnie pewni. Poza tym wszyscy troje musimy sobie zrobić nowe maski i solidnie wyszorować ręce i twarze.

Markowi spodobało się, że przejęła komendę.

– Jak dla mnie to brzmi sensownie.

– Pełna zgoda – przytaknął Alec. – A gdzie są pozostali? Lana, Misty, Ropuch?

Trina wskazała kilka kierunków.

– Wszyscy gdzieś się pochowali, trzymają się z dala od reszty. Tak na wszelki wypadek, do czasu, gdy nikt nie będzie wykazywał żadnych objawów choroby. Może jeszcze przez parę dni.

Siedzenie na tyłku przez dzień czy dwa brzmiało zdaniem Marka jak najgorszy możliwy pomysł.

– Zwariuję, jeśli tak zrobimy. Znaleźliśmy workpad z mapą, która pokazuje, skąd przyleciał ten górolot. Spakujmy zapasy i zabierajmy się stąd; może uda nam się czegoś dowiedzieć.

– Jestem za – zawtórował Alec. – Powinniśmy się wynieść jak najdalej od tego miejsca.

– Czekajcie, a co z Darnellem? – spytał Mark. Chociaż wiedział, co mu odpowiedzą, miał poczucie, że lepiej będzie przynajmniej zapytać. – Czy powinniśmy go pochować?

Spojrzenia Triny i Aleca powiedziały mu wszystko. Nie mogli ryzykować przebywania w pobliżu zwłok przyjaciela.

– Zabierz nas do Lany i pozostałych – powiedział Alec do Triny. – A potem zwijamy się stąd.

Gdy szukali swoich przyjaciół w osadzie, Mark martwił się, że ludzie będą chcieli do nich dołączyć. Jednak panował powszechny strach i nikt nie odważył się opuścić schronienia. W wiosce było niepokojąco cicho, ale chłopak czuł oczy, które śledziły go, gdy szedł drózkami i wydeptanymi skrótami. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej go to dziwiło. Świat już wystarczająco wszystkich pokarał – czemu miałoby ryzykować ściągnięcie na siebie kolejnych nieszczęść? Zgarnęli Misty i Ropucha z górnego piętra chaty z bali znajdującej się na obrzeżu osady, po przeciwległej stronie w stosunku do Krzywusa i leżących tam ciał. Trina nie miała pewności, gdzie może być Lana. Znaleźli ją jakąś godzinę po

rozpoczęciu poszukiwań. Spała za krzakami nad potokiem. Zdenerwowała się, że zastali ją śpiącą, ale była po prostu wyczerpana. Gdy tylko Mark i Alec dostali się na pokład górolotu, objęła dowodzenie. Zarządziła kwarantannę, kazała znieść wszystkie zwłoki w jedno miejsce – powiedziała, że zrobiono to w rękawiczkach i maskach – oraz pomagała roznosić jedzenie od domu do domu. Nikt w osadzie nie wiedział, co dokładnie się stało, ale Lana od początku nalegała, żeby zachowywać ostrożność na wypadek, gdyby mieli do czynienia z czymś zakaźnym.

– Nie jestem chora – zakończyła, gdy przygotowywali się do powrotu znad potoku do wioski. – To się stało tak szybko, a ci, którzy zachorowali później, już nie żyją. Sądzę, że do tej pory zaczęłabym mieć objawy.

– Jak szybko? – spytał Mark. – Jak szybko to zadziało?

– Wszyscy poza Darnellem zmarli w ciągu dwunastu godzin – odparła. – Ocknęli się, a w ciągu dwóch czy trzech godzin zaczęli mieć objawy. Sądzę, że jeśli ktokolwiek jest teraz żywy i nie ma żadnych objawów, jest czysty.

Mark objął spojrzeniem ich grupę. Ropuch wiercił się nerwowo, Misty patrzyła w ziemię, Alec i Lana spoglądali na siebie przenikliwie, tak jakby toczyli milczący dialog. A Tri-na patrzyła na Marka. Jej oczy powiedziały mu wszystko. Przetrwają to, tak jak przetrwali wszystko inne.

Godzinę później byli z powrotem przy Głównej Budzie i ładowali do plecaków tyle prowiantu oraz innych zapasów, ile mogli unieść. Pracując, zachowywali dystans od siebie nawzajem. Zdawało się, że ostrożność stała się już ich naturalnym odruchem. W trakcie szafu pakowania Mark umył ręce co najmniej trzy razy.

Właśnie skończyli i wszyscy stali objuczeni wyładowanymi plecakami, kiedy Misty jęknęła. Mark odwrócił się, żeby przytaknąć – plecaki były ciężkie – ale kiedy zobaczył jej twarz, serce w nim zamarło.

Dziewczyna pobladła i oburącz opierała się o stół. Mark osłupiał – ostatnim razem, kiedy na nią patrzył, nic jej nie było. Ale teraz jej nogi odmówiły posłuszeństwa i osunęła się na jedno kolano. Dotknęła policzka, z wahaniem, jakby niepokoilo ją, co może wymacać.

– Boli mnie... głowa – wyszeptała.

13

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyknęła Lana. – Ale już!

Mark oniemiał. Wszystko w jego wnętrzu domagało się, żeby postąpić dokładnie na odwrót. Chciał pomóc przyjaciółce.

– Wyjdźcie na zewnątrz. Tam pogadamy! – nalegała Lana. Wskazała drzwi.

– Idźcie – powiedziała słabym głosem Misty. – Zróbcie, co każe.

Mark i Trina wymienili spojrzenia, ale Trina zawahała się tylko przez sekundę, po czym wymaszerowała przez drzwi. Alec wyszedł tuż za nią, a Lana po nim.

Mark odwrócił się, żeby pójść w ich ślady, ale spostrzegł, że Ropuch się nie poruszył.

– Hej... chodź, chłopie. Po prostu wyjdźmy i obgadajmy to. Misty, powiedz mu coś.

– On ma rację, Ropuszku – powiedziała Misty. Zdążyła tymczasem zsunąć plecak i usiąść obok. Mark nie mógł uwierzyć, że jeszcze chwilę temu była zupełnie zdrowa, a teraz znalazła się na ziemi, zbyt słaba, żeby utrzymać się na nogach. – Idźcie i pozwólcie mi obczaić, co się dzieje. Może po prostu zjadłam coś, co mi zaszkodziło. – Ale Mark widział, że sama w to nie wierzy.

– Nie możemy ciągle porzucać ludzi i odchodzić – stwierdził Ropuch, piorunując Marka wzrokiem.

– A kogo obchodzi, co zrobicie, jeśli to sprawi, że skończycie jako trupy! – zaprotestowała Misty. – Jak byś się czuł, gdybyś to ty był chory? Chciałbyś, żebym wyszła. Teraz idź! – Zdawało się, że ta przemowa w dużym stopniu pozbawiła ją energii; dziewczyna oklapła, prawie kładąc się na ziemi.

– Chodź – powiedział Mark. – Nie porzucamy jej. Po prostu wychodzimy na zewnątrz, żeby porozmawiać.

Ropuch gniewnie wyszedł z Budy, cały czas mamrocząc pod nosem.

– To wszystko jest popaprane. Totalnie popaprane. Mark popatrzył na

Misty, ale ona wpatrywała się w podłogę, oddychając powoli i głęboko.

– Przepraszam – to było wszystko, co zdołał wykrztusić. Potem dołączył do pozostałych.

Postanowili dać jej jedną godzinę. Zobaczyć, co się stanie. Czy stan Misty się poprawi, czy pogorszy.

Czy też pozostanie bez zmian.

Ta godzina omal nie doprowadziła Marka do szału. Nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Chodził tam i z powrotem koło Budy, nękany przez całe mnóstwo obaw. Sama myśl, że może ten wirus właśnie podstępnie atakuje jego organizm, była nie do zniesienia. I organizm Triny też. Chciał wiedzieć. Teraz. To było tak przytłaczające, że prawie zapomniał, że Misty prawdopodobnie jest chora i może wkrótce umrzeć.

– Myślę, że powinniśmy teraz inaczej patrzeć na sytuację – powiedziała Lana, gdy umówiony czas prawie dobiegł końca. Stan Misty ani się nie poprawił, ani nie pogorszył – nadal leżała na podłodze w Budzie, oddychając równo. W ogóle się nie poruszając. Nic nie mówiąc.

– Co masz na myśli? – spytał Mark. Był wdzięczny, że ktoś przerwał milczenie.

– Darnell i Misty stanowią dowód, że cokolwiek to jest, objawy niekoniecznie pojawiają się od razu.

Alec przemówił.

– Sądzę, że powinniśmy wykorzystać czas, który mamy. Powinniśmy wyruszyć piechotą do tego miejsca na mapie. I musimy to zrobić najszybciej, jak to możliwe. – Zniżył głos i dodał: – Przykro mi, ale musimy się stąd wynieść, a czy mamy jakieś lepsze opcje niż udanie się w miejsce, gdzie będziemy mieli szanse się dowiedzieć, co jest grane? Wszystkiemu winne jest to coś, co było w strzałkach, więc musimy dotrzeć tam, skąd te strzałki pochodzą. Może istnieje coś... jakiś lek na tę chorobę. Kto wie?

Wszystko, co mówił, wydawało się dość zimne. Szorstkie. Ale Mark nie potrafił zaprotestować. Miał poczucie, że musi uciec z tego miejsca – tylko to było dla niego oczywiste.

– Nie możemy zostawić Misty – powiedziała Trina. Ale nawet w jej głosie nie było przekonania.

– Nie mamy wyboru – odparł Alec.

Lana wstała z miejsca, gdzie siedziała oparta o ścianę, i otrzepała spodnie.

– Nie musimy się obciążać poczuciem winy – mruknęła. – Chodźmy zapytać Misty. Jesteśmy jej to winni. I postąpimy zgodnie z jej decyzją.

Mark uniósł brwi i obejrzał się na pozostałych, którzy zareagowali tak samo.

Lana potraktowała to jak milczącą zgodę i podeszła do otwartych drzwi Budy. Nie wchodząc do środka, zastukała we framugę i odezwała się głośno:

– Misty? Co tam u ciebie?

Mark siedział na ziemi w miejscu, skąd mógł zajrzeć do wnętrza budynku. Misty leżała na plecach, ale odwróciła się powoli, żeby popatrzeć na nich.

– Musicie stąd iść – powiedziała słabym głosem. – Coś jest cholernie nie w porządku z moją głową. Czuję się tak, jakby w środku były robaki i zjadały mi mózg. – Kilka razy głęboko zaczerpnęła tchu, tak jakby ta krótka wypowiedź wyczerpała jej siły.

– Ale, kochanie, mamy cię tu zostawić? – spytała Lana.

– Nie zmuszajcie mnie już do mówienia. Po prostu idźcie. – Kolejny głęboki oddech. Mark widział ból w oczach dziewczyny.

Lana odwróciła się do pozostałych.

– Misty mówi, że mamy iść.

Mark wiedział, że wszyscy są zahartowani – musieli stać się twardzi, żeby przetrwać w świecie spustoszonego przez rozbłyski słoneczne. Jednakże po raz pierwszy byli zmuszeni porzucić kogoś, kto nadal wydawał się daleki od śmierci. Chociaż decyzję podjęła sama Misty, pomyślał, że będzie go gryzło poczucie winy.

Kiedy popatrzył na Trinę, jego determinacja wzrosła. Niemniej, pozwolił Alecowi być tym złym.

Były żołnierz dźwignął się już na nogi i założył plecak.

– W tej chwili najlepsze, co możemy zrobić, to uszanować wolę Misty, ruszyć w drogę i dowiedzieć się czegoś, co mogłoby pomóc.

Mark kiwnął głową i poszedł w jego ślady, skracając paski plecaka. Trina zawahała się, po czym podeszła do otwartych drzwi, stanęła przodem do Misty.

– Misty... – zaczęła, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

– Idźcie! – krzyknęła chora dziewczyna, co sprawiło, że Trina omal nie zatoczyła się do tyłu. – Idźcie, zanim te paskudztwa w moim mózgu

wyskoczą i was pogryzą. Idźcie! Idźcie! – Zdołała się podźwignąć i oprzeć na łokciach, i wrzeszczała tak dziko, że Mark pomyślał, że mogła sobie zrobić krzywdę. Może właśnie zdała sobie sprawę, że czeka ją ta sama męczarnia, co Darnella.

– Dobrze – powiedziała ze smutkiem Trina. – Dobrze.

Ropuch, który był zdecydowanie najbliższym przyjacielem Misty, do tej pory nie odezwał się ani słowem. Po prostu stał wpatrując się w ziemię ze łzami w oczach. Ale kiedy Mark i pozostali szykowali się do odejścia, krępy nastolatek się nie poruszył. Alec w końcu spytał go, co zamierza zrobić.

– Ja nie idę – oznajmił Ropuch.

Gdy tylko to powiedział, Mark uświadomił sobie, że właśnie tego się spodziewał. Żadnego zaskoczenia. Wiedział też, że nie ma ludzkiej mocy, aby zdołali skłonić Ropucha do zmiany zdania. Będą musieli się pożegnać z dwojgiem przyjaciół.

Alec wdał się z Ropuchem w kłótnię, podobnie jak Lana. Trina nawet nie próbowała, najwyraźniej doszedłszy do tego samego wniosku co Mark. I, zgodnie z przewidywaniami Marka, Ropuch nawet nie drgnął.

– Ona jest moją najlepszą przyjaciółką. Nie zostawię jej.

– Ale ona chce, żebyś ją zostawił – powiedziała Lana. – Nie chce, żebyś tu został i być może umarł razem z nią. Chce, żebyś żył.

– Nie zostawię jej – powtórzył Ropuch i zmierzył Lanę zimnym spojrzeniem. Misty nic nie mówiła – albo nie słyszała ich rozmowy, albo była zbyt słaba, żeby zareagować.

– W porządku – odparła Lana, nie próbując ukrywać rozdrażnienia. – Dogoń nas, jeśli zmienisz zdanie.

Mark chciał tylko odejść. Sytuacja stała się nie do zniesienia. Zanim ruszył, po raz ostatni popatrzył na Misty przez otwarte drzwi. Leżała zwinięta w kłębek, mówiąc dziwnym głosem, chociaż zbyt cicho, żeby dało się rozróżnić słowa. Ale kiedy odchodzili, Mark mógłby przysiąc, że dziewczyna śpiewa.

Pomyślał, że jej odwaliło. Definitywnie odwaliło.

14

Zdołali przejść niecałe pięć kilometrów, potem zrobiło się zbyt ciemno, żeby iść dalej. Zresztą Mark nie mógł się doczekać postoju – był wyczerpany po szalonym dniu. Alec musiał mieć świadomość, że nie dadzą rady zajść daleko, ale pozostanie w wiosce nie wchodziło w grę. Teraz, gdy wreszcie opuścili tamto miejsce, znaleźli się wśród gęstych drzew i na świeżym powietrzu, pomogło to złagodzić napięcie i emocjonalną huśtawkę, która towarzyszyła im przez kilka poprzednich godzin.

Nikt nie mówił za wiele, gdy rozbijali obóz i jedli późny obiad złożony z paczkowanej żywności pochodzącej z fabryk Asheville. Lana nalegała, aby każde z nich trzymało się na dystans od pozostałych, więc Mark położył się na boku dwa metry od Triny i wpatrywali się w siebie nawzajem, marząc o tym, żeby móc się przynajmniej przytulić. Mark sto razy czuł pokusę, żeby przysunąć się do dziewczyny, ale powstrzymywał się. Zresztą wiedział, że nie pozwoliłaby mu. Prawie się nie odzywali, po prostu patrzyli sobie w oczy.

I Mark był pewien, że Trina myśli o tym samym, co on. O tym, że ich świat znowu się rozpadł. Że właśnie stracili troje przyjaciół, którzy przetrwali ich wspólną straszliwą wędrówkę po katastrofie – ze zgliszcz Nowego Jorku aż w Apallachy. I oczywiście rozmyślała o wirusie. Nie były to wesołe myśli.

Alec ignorował wszystkich – skupił się na workpadzie, który wynieśli z górolotu. Posługując się ołówkiem i kawałkiem papieru, zdążył już sporządzić przybliżoną kopię mapy którą tam znaleźli, ale chciał się przekonać, czy uda mu się wyszukać więcej przydatnych informacji. Wyjął swój kompas, robił notatki, a Lana siedziała obok, podsuwając sugestie.

Mark uświadomił sobie, że powieki mu opadają. Trina uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech. Żałosne czy nie, przynajmniej były to uśmiechy. Zapadł w sen, a wtedy ponownie napłynęły wspomnienia. Nigdy nie pozwalały mu zapomnieć.

Ktoś ich śledzi.

Zaledwie parę godzin minęło od momentu, gdy TO się stało w mieście, tam w górze. Mark nie ma pojęcia, co to było, ale zakłada, że bomba podłożona przez terrorystów albo wyciek gazu. Coś, co spowodowało pożar.

Gorąco jest nie do wytrzymania. Podobnie jak wrzaski. On i Trina uciekli tunelami transmetra, wyszukując opuszczone odgałęzienia, schodząc coraz głębiej. Ale wszędzie są ludzie, w większości szalejący z przerażenia. Dookoła dzieją się złe rzeczy – kradzieże, zastraszanie i jeszcze gorzej. Wygląda na to, że katastrofę przetrwali głównie zatwardziali kryminaliści.

Trina znalazła pudło instaprowiantu, które ktoś porzucił w tym chaosie. Teraz Mark je niesie. Oboje już przełączyli się w swego rodzaju instynktowny tryb przetrwania. Ale jest oczywiste, że innych też to dotyczy. Wydaje się, że każda osoba, jaką mijają biegnąc, wie lub domyśla się, że Mark i Trina mają coś, co może się przydać innym. I może nie chodzi tylko o jedzenie.

Bez względu na to, ile razy skręcają w podziemnym labiryncie brudnych, rozgrzanych jak piekarnik korytarzy, nie udaje im się zgubić mężczyzny, który podąża ich śladem. Jest wysoki, szybki i stał się niczym cień. Jednak wszystko wskazuje na to, że nieznajomy chowa się w niszach czy zagłębieniach murów za każdym razem, gdy Mark spogląda w jego stronę.

Biegają teraz długim korytarzem, po kostki w wodzie, rozchlapując ją przy każdym kroku. Telefon komórkowy Marka stanowi jedyne źródło światła i chłopak boi się myśleć o chwili, gdy bateria się wyczerpie. Przeraża go myśl, że znajdą się tutaj zupełnie sami, nie mając pojęcia, dokąd powinni iść, w kompletnej ciemności. Nagle Trina zatrzymuje się i łapie Marka za rękę, wciąga go w otwór po prawej, którego chłopak nie spostrzegł. Znajdują się w małym pomieszczeniu wyglądającym na stary magazynek z czasów, gdy ta część tuneli była użytkowana – kiedy jeszcze kursowało dawne metro.

– Wyłącz to! – szepcze gniewnie Trina, wciągając chłopaka w głąb pomieszczenia, po czym staje za nim.

Mark wyłącza telefon, pogrążając ich w tej ciemności, której dopiero co się bał. W pierwszym odruchu ma ochotę spanikować, wrzeszczeć i macać wkoło na oślep. Ale to tylko przelotna chwila obłądu, która zaraz mija.

Chłopak oddycha spokojniej i jest wdzięczny za to, że czuje na plecach dotyk dłoni Triny.

– Nie mógł być wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, jak tu wchodzimy, nie ma takiej możliwości – szepcze mu do ucha dziewczyna. – I nie da rady być cicho w tej wodzie. Poczekajmy, aż sobie pójdzie.

Mark kiwa głową, a potem przypomina sobie, że Trina go nie widzi.

– Dobra – odpowiada cicho. – Ale jeśli mimo wszystko tu wejdzie, mam dość uciekania. Rzucimy się na niego razem i zrobimy z nim porządek.

– Okej. Będziemy walczyć.

Trina ściska jego ramiona i wtula się w niego. Mimo absurdalności tego uczucia w takim momencie, w tych okolicznościach, Mark oblewa się rumieńcem, czuje dreszcze i gęsią skórę na całym ciele. Gdyby tylko ta dziewczyna wiedziała, jak strasznie on ją lubi. Czuje ukłucie wstydu, że gdzieś w głębi serca jest wdzięczny za tragedię, która rozegrała się na powierzchni ziemi, bo dzięki temu są teraz razem.

Słyszy w oddali kilka pluśnięć. Potem kilka kolejnych – ewidentnie są to kroki w wodzie wypełniającej mały tunel za magazynkiem. Potem słychać miarową serię kroków, które stają się coraz głośniejsze, w miarę jak człowiek, który ich śledzi – Mark zakłada, że to właśnie on – podchodzi bliżej. Chłopak przywiera do Triny i do ściany za nią, marząc, by mogli magicznym sposobem wsiąknąć w cegły.

Po prawej nagle zapala się światło, przez co Mark omal nie wydaje okrzyku zaskoczenia. Zbliżające się kroki zamierają. Mark mruży oczy – jego źrenice już zdążyły przywyknąć do ciemności – usiłując dostrzec źródło blasku. Światło porusza się, jego snop omiata pomieszczenie, po czym zatrzymuje się na twarzy Marka, oślepiając go. Chłopak spuszcza wzrok. To musi być ktoś z latarką.

– Kim jesteś? – pyta Trina. Szeptem, ale Mark jest tak zdenerwowany, że ma wrażenie, jakby mówiła przez megafon.

Latarka ponownie się przesuwa, gdy jej właściciel wyłazi z dziury w ścianie i staje prosto. Mark ledwie daje radę rozróżnić szczegóły, ale wygląda na to, że nieznajomy jest mężczyzną. Brudnym, rozczochranym mężczyzną w obszarpanym ubraniu. Za nim pojawia się następny, a potem jeszcze jeden. Wszyscy wyglądają tak samo – niemcy, zdesperowani i niebezpieczni. Jest ich trzech.

– Myślę, że to my będziemy zadawać pytania – stwierdza nieznajomy. –

Byliśmy tu na długo przed wami i niezbyt lubimy gości. A w ogóle to skąd tu nagle tyle luda? Co się stało? Wy dwoje nie wyglądacie na takich, co chcieliby się zakumplować z takimi jak my.

Mark jest wystraszony do szpiku kości. Nigdy nie przydarzyło mu się nic, co by choćby w przybliżeniu przypominało tę sytuację. Jąkając się szuka słów, z poczuciem, że musi odpowiedzieć, ale Trina odpowiada pierwsza.

– Słuchaj no, rusz głową. Nie byłoby nas tutaj, gdyby tam na górze nie stało się coś strasznego. W mieście.

Markowi wreszcie udaje się wydobyć głos.

– Nie zauważyliście, jak tu gorąco? Sądzymy, że to mogła być bomba, wybuch gazu, coś w tym guście.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Myślisz, że nas to obchodzi? Interesuje mnie tylko mój następny posiłek. I... może jeszcze coś miłego, co nam dzisiaj samo wpadło w łapki. Mała niespodzianka dla mnie i dla chłopców. – Omiata Trinę spojrzeniem.

– Nie tkniecie jej – mówi Mark; wyraz oczu mężczyzny sprawia, że chłopaka wypełnia ta odwaga, której nie mógł w sobie znaleźć przed kilkoma minutami. – Mamy trochę jedzenia, możecie je sobie wziąć, jeśli w zamian zostawicie nas w spokoju.

– Nie oddamy mu naszego prowiantu! – warczy Trina.

Mark odwraca się do niej i szepcze:

– To lepsze niż pozwolić, żeby nam poderżnęli gardła.

Słyszy kliknięcie, potem kolejne. Gdy ponownie odwraca się do mężczyzn, widzi, że w świetle latarki błyszczą srebrzyste ostrza.

– Powinniście sobie uświadomić jedną rzecz – mówi inny z mężczyzn. – Tu na dole nie bawimy się w negocjowanie. Zabierzemy jedzenie i wszystko, co zechcemy

Ruszają do przodu, a wtedy przez znajdujące się po lewej drzwi, z tunelu, nagle wpada postać. Mark niemal nie oddycha, podczas gdy na jego oczach rozgrywa się krótka, ale brutalna scena chaosu. Wirujące ciała, machające dziko ręce, noże odrzucane na bok, ciosy pięścią i stęknienia. Wygląda to tak, jakby do pomieszczenia wbiegł superbohater, wykorzystując swoją szybkość i siłę, żeby sprać trzech intruzów na kwaśne jabłko. Nie mija nawet minuta, gdy wszyscy trzej leżą skuleni na posadzce, jęcząc i klnąc. Latarka, która zdążyła upaść, oświetla buciory potężnego mężczyzny.

Tego, który ich śledził.

– Później mi podziękujecie – oznajmia przybysz głębokim, ochrypłym głosem. – Nazywam się Alec. I sądzę, że mamy znacznie większy problem niż tych trzech kretynów.

15

Mark obudził się, czując tępy ból głęboko w boku. Wyglądało na to, że przeleżał długie godziny na kamieniu. Z jękiem przewrócił się na wznak, popatrzył na przejaśniające się niebo widoczne między gałęziami w górze... i przypomniał sobie sen o przeszłości równie wyraźnie, jakby go oglądał jako film na ekranie.

Tamtego dnia Alec ich uratował, tak jak robił to później jeszcze niezliczoną ilość razy. Jednakże Mark czuł się pewnie ze świadomością, że miał już możliwość się odwdzińczyć przy więcej niż jednej okazji. Ich losy były ze sobą związane równie ściśle, jak skały i ziemia tej góry, na której nocowali.

Pozostali wstali w ciągu pół godziny. Alec przyrządził im wszystkim szybkie śniadanie, wykorzystując jajka, które przytargał z Głównej Budy. Wkrótce będą musieli zacząć polować; Mark cieszył się, że nie musi grać roli eksperta w tej dziedzinie, chociaż zdążył zebrać trochę doświadczenia jako myśliwy. Gdy siedzieli i jedli, nadal mało co mówiąc i starając się w miarę możliwości nie dotykać nawzajem oraz nie dotykać rzeczy, których dotknął ktoś inny, Mark dumiał ponuro. Robiło mu się niedobrze na myśl o tym, że ktoś wszystko zrujnował akurat w momencie, gdy zaczęli mieć poczucie, że życie z powrotem staje się normalne.

– Gotowi do marszu? – spytał Alec, gdy już całe jedzenie zniknęło.

– Taa – odparł Mark. Trina i Lana tylko skinęły głowami.

– Ten workpad spadł nam z nieba – oznajmił Alec. – Mając tę mapę i kompas, jestem prawie pewien, że dotrzemy na miejsce jak po sznurku. I kto wie, co znajdziemy.

Ruszyli, wchodząc między na wpół spalone drzewa, depcząc odrastające poszycie.

* * *

Szli cały dzień, najpierw w dół zboczem jednej góry, potem wspinając

się na kolejną. Mark głowił się, czy nie natrafią na inne obozowisko lub wioskę – plotki głosiły, że w całych Apalachach powstało mnóstwo osad. To było jedyne odpowiednie miejsce po rozbłyskach słonecznych, po tym, jak poziom mórz się podniósł, a wszystkie mniejsze i większe miasta oraz cała roślinność uległy zniszczeniu. Mark miał nadzieję, że pewnego dnia wszystko wróci do normy. Może nawet jeszcze za jego życia.

Zatrzymali się właśnie na popołudniowy postój nad strumykiem, kiedy Trina pstryknęła palcami, zwracając na siebie jego uwagę. Kiedy na nią popatrzył, skinęła głową w kierunku lasu. Potem wstała i oznajmiła, że musi skorzystać z ekologicznej toalety. Kiedy odeszła, Mark odczekał dwie długie minuty, po czym powiedział, że musi zrobić to samo.

Spotkali się jakieś sto metrów dalej, pod wielkim dębem. Powietrze od dawna nie pachniało równie świeżo – zielenią i życiem.

– Co jest grane? – spytał Mark. Stali mniej więcej półtora metra od siebie, posłuszni poleceniu, mimo że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć.

– Mam już tego dosyć – odparła Trina. – Popatrz na nas. Praktycznie się nie przytulaliśmy, odkąd ten górolot zaatakował wioskę. Oboje wyglądamy na zdrowych i czujemy się zdrowo, więc chyba nie ma sensu, żebyśmy dalej trzymali się od siebie z daleka.

Jej słowa napełniły go ulgą. Chociaż wiedział, że okoliczności nie mogłyby być gorsze, ucieszyła go świadomość, że Trina nadal chce być z nim blisko.

Mark się uśmiechnął.

– Więc... odpuśćmy sobie tę durną kwarantannę. – Powiedziane na głos brzmiało to wyjątkowo głupio.

– Nawet jeśli będziemy to ukrywać przed Laną, bo inaczej wyjdzie z siebie i stanie obok. – Trina podeszła do Marka, objęła go ramionami w pasie i pocałowała. – Tak jak mówiłam, wydaje mi się, że to całe kombinowanie jest bez sensu. Nie mamy żadnych objawów, więc chyba można założyć, że jesteśmy zdrowi.

Mark nie zdołałby nic powiedzieć, nawet gdyby chciał. Nachylił się i pocałował ją, i tym razem pocałunek trwał znacznie dłużej.

Trzymali się za ręce do czasu, aż podeszli blisko obozu, potem się rozdzielili. Sądząc po uczuciach, które teraz przepływały przez Marka, nie wiedział, jak długo będzie w stanie udawać. Jednak chwilowo nie chciał

mieć do czynienia z wściekłością Lany lub Aleca.

– Sądzę, że powinniśmy tam dotrzeć pojutrze – oświadczył Alec, kiedy wrócili. – Może nie przed świtem, ale damy radę tam dojść. Odpocznimy, a potem rano zastanowimy się, co zrobić.

– Brzmi dobrze – odparł z roztargnieniem Mark, z powrotem pakując swoje rzeczy. Mentalnie nadal po trosze bujał w obłokach, przynajmniej tymczasowo o nic się nie troszcząc.

– To przestańmy trzaskać paszczami i szykujmy się do trzaskania po paszczach – podsumował Alec.

Nie wydało się to Markowi szczególnie sensowne, ale wzruszył ramionami i popatrzył na Trinę. Na jej twarzy malował się uśmiech. Chłopak miał nadzieję, że pozostała dwójka zaśnie tego wieczoru naprawdę wcześniej.

Gdy ruszyli w ślad za starym niedźwiedziem i Laną, musieli walczyć z pokusą wzięcia się znowu za rękę.

Tej nocy ich obóz był mroczny i cichy, nie licząc chrapania Aleca oraz cichych westchnień Triny leżącej z głową opartą na piersi Marka. Zaczekali, aż Alec i Lana usną snem sprawiedliwych, po czym przysunęli się blisko i wtulili w siebie.

Mark popatrzył w górę na gałęzie drzew, wyszukał przerwę między nimi, w której było widać jaśniejące na niebie gwiazdy. Kiedy był jeszcze całkiem mały, mama nauczyła go rozróżniać konstelacje, i później przekazał tę cenną wiedzę swojej młodszej siostrze, Madison. Najbardziej lubił historie związane z konstelacjami i uwielbiał się nimi dzielić. Zwłaszcza że mieszkając w tak olbrzymiej metropolii jak Nowy Jork człowiek rzadko miał okazję oglądać wygwieżdzone niebo. Każda wycieczka za miasto stanowiła wielką atrakcję. Spędzali całe godziny, omawiając różne mity i legendy widoczne wysoko w górze.

Dostrzegł Oriona, którego pas błyszczał znacznie jaśniej niż wtedy, kiedy Mark widywał go wcześniej. To była ulubiona konstelacja Madison, bo tak łatwo dawało się ją znaleźć i wiązała się z nią tak niesamowita historia – myśliwy uzbrojony w miecz, jego psy, ich wspólna walka z demonicznym bykiem. Za każdym razem, gdy Mark opowiadał tę legendę, wzbogacał ją po swojemu. Wspomnienie spowodowało, że w jego gardle urosła gęła, a oczy zwilgotniały. Tak strasznie tęsknił za Madison. Tak strasznie. Mroczniejsza część jego duszy niemal pragnęła o niej

zapomnieć, bo to tak bardzo bolało.

Usłyszał trzask łamanych gałęzi gdzieś w lesie.

Myśli o młodszej siostrzyczce wyparowały, gdy usiadł gwałtownie, praktycznie spychając Trinę ze swojej piersi, zanim zdążył się zastanowić nad tym, co robi. Wymamrotała coś, po czym przewróciła się na bok, z powrotem zapadając w głęboki sen, podczas gdy z lasu dobiegł kolejny trzask.

Mark położył dłoń na ramieniu dziewczyny, po czym dźwignął się na klęczki i rozejrzał. Było o wiele zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek w gęstwinie drzew, mimo poświaty księżyca i gwiazd. Ale jego słuch znacznie się wyostrzył od czasu, gdy elektryczność i sztuczne oświetlenie w dużej mierze stały się wspomnieniem z przeszłości. Uspokoił się i skoncentrował. *Słuchał* Wiedział, że to może być jelen, wiewiórka, mnóstwo rzeczy. Ale nie przetrwałby roku w świecie spustoszonego przez słońce, gdyby miał zwyczaj zakładać wszystko z góry.

Usłyszał więcej trzaskania gałązek i łamania gałęzi. Źródło hałasu było ciężkie i zdecydowanie dwunożne.

Już miał wykrzyknąć imię Aleca, kiedy przed nim pojawił się cień, wychodząc zza drzewa. Zabrzmiał odgłos zapalanej zapałki, po czym jej czubek rozjarzył się płomieniem, ukazując człowieka, który ją trzymał. Ropuch.

– Co... – powiedział Mark; ulga wypełniła jego pierś niczym chmura. – Ropuch. Holender, chłopie, omal zawału przez ciebie nie dostałem.

Ropuch osunął się na kolana i zbliżył zapałkę do swojej twarzy. Sprawiał wrażenie wymizerowanego, a oczy miał wilgotne i znekane.

– Dobrze się czujesz? – spytał Mark, mając nadzieję, że przyjaciel jest po prostu zmęczony.

– Nie – odparł Ropuch. Twarz dygotała mu, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem. – Nie czuję się dobrze, Mark. Czuję się bardzo niedobrze. W mojej czaszce są obcy.

16

Mark potrząsaniem obudził Trinę i pośpiesznie dźwignął się na nogi, pomagając dziewczynie wstać. Ropuch był z całą pewnością chory i stał zaledwie parę metrów od ich obozowiska. Nic nie wiedzieli o tej chorobie, ale to tylko czyniło ją bardziej przerażającą. Trina sprawiała wrażenie zdezorientowanej, ale Mark nie odpuszczał i na wpół zaciągnął ją na drugą stronę wygasłych pozostałości ogniska, które rozpalili wieczorem.

– Alec! – krzyknął. – Lana! Wstawajcie!

Oboje zerwali się na nogi w ciągu trzech sekund, tak jakby nadal byli żołnierzami. Ale żadne jeszcze nie dostrzegło przybysza.

Mark nie tracił czasu na wyjaśnienia.

– Ropuch. Cieszę się, że przyszedłeś, że jesteś bezpieczny. Ale... czujesz się chory?

– Dlaczego? – spytał Ropuch, nadal na klęczkach. Jego twarz pozostawała skryta w cieniu. – Dlaczego zostawiliście mnie samego po tym wszystkim, przez co przeszliśmy?

Markowi pękało serce. Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi.

– Ja... ja... próbowaliśmy cię namówić, żebyś poszedł z nami. Ropuch zachowywał się tak, jakby nie usłyszał.

– W mojej czaszce są obcy. Potrzebuję, żeby ktoś pomógł ich stamtąd wydostać. Zanim zjedzą mi mózg i zaczną drążyć kanał do serca. – Zaskowyczał; Markowi ten odgłos skojarzył się bardziej ze zranionym psem niż z człowiekiem.

– Jakie masz objawy? – zapytała Lana. – Co się stało z Misty?

Na oczach Marka Ropuch podniósł ręce i przycisnął je do boków głowy. Nawet sama jego sylwetka wyglądała niepokojąco, gdy to robił.

– W mojej... głowie... są obcy – powtórzył powoli. Z emfazą. Jego głos był pełen gniewu. – Myślałem, że spośród wszystkich ludzi na tej cholernej planecie moi przyjaciele, których znam od ponad roku, będą gotowi mi pomóc usunąć ich stamtąd. – Stanął na nogi i zaczął krzyczeć. – Usuńcie tych obcych z mojej głowy!

– Lepiej się uspokój, Ropuch – powiedział Alec z wyraźną groźbą w głosie.

Mark nie chciał, aby sytuacja błyskawicznie rozwinęła się w coś, czego później wszyscy będą żałować.

– Ropuch, posłuchaj mnie. Pomożemy ci, jeżeli będziemy w stanie. Ale najpierw musisz usiąść i przestać krzyczeć. Wrzeszczenie na nas w niczym ci nie pomoże.

Ropuch nie odpowiedział, ale wyglądało na to, że znieruchomiał. Mark widział, że jego dłonie są zaciśnięte w pięści.

– Ropuch? Potrzebujemy, żebyś usiadł. A potem opowiedział nam wszystko, co się wydarzyło, odkąd opuściliśmy wioskę.

Ich przyjaciel się nie poruszył.

– No – nalegał Mark. – Chcemy pomóc. Po prostu usiadź i się odpręż.

Po kilku sekundach Ropuch usłuchał i osunął się na ziemię. Leżał skulony na boku, jakby go postrzelono. Z jego ust wydarło się kilka jęków, gdy się poruszył, po czym zaczął się bujać w przód i w tył.

Mark głęboko zaczerpnął tchu z poczuciem, że sytuacja z powrotem znalazła się mniej lub bardziej pod kontrolą. Uświadomił sobie, że on i Trina stoją tuż obok siebie, ale wyglądało na to, że ani Alec, ani Lana jeszcze tego nie zauważyli. Mark podszedł parę kroków do przodu, na skraj wygasłego ogniska, i usiadł.

– Biedny dzieciak – usłyszał za sobą słowa wymamrotane przez Aleca, na szczęście zbyt cicho, żeby Ropuch je usłyszał. Czasem stary żołnierz mówił na głos dokładnie to samo, co Mark myślał.

Na szczęście w Lanie odezwał się instynkt pielęgniarzki i kobieta przejęła ster konwersacji.

– W porządku – zaczęła. – Ropuch. Wygląda na to, że bardzo cię boli. Naprawdę mi przykro z tego powodu. Ale jeśli mamy ci pomóc, musimy się dowiedzieć kilku rzeczy. Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby o nich porozmawiać?

Ropuch nadal bujał się i pojękiwał. Ale odpowiedział:

– Zrobię co w mojej mocy, kochani. Nie wiem tylko, jak długo obcy w mojej głowie będą mi na to pozwalać. Lepiej się pośpieszcie.

– Dobrze – odparła Lana. – Dobrze. Zacznijmy od tego momentu, kiedy zostawiliśmy cię w wiosce. Co wtedy zrobiłeś?

– Usiadłem przy drzwiach i rozmawiałem z Misty – odparł Ropuch

zmęczonym głosem. – Co innego mógłbym zrobić? Ona jest moją najlepszą przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem. Nic innego mnie nie obchodzi. Jak ktokolwiek mógłby porzucić swoją najlepszą przyjaciółkę?

– Jasne. Rozumiem. Cieszę się, że ktoś przy niej był.

– Potrzebowała mnie. Widziałem, kiedy zrobiło się z nią źle, więc wszedłem tam i objąłem ją. Trzymałem ją przy piersi, tuliłem i całowałem ją w czoło. Jak dziecko. Jak moje dzieciątko. Nigdy nie czułem się tak szczęśliwy jak wtedy, kiedy ją trzymałem i patrzyłem, jak umiera powoli w moich ramionach.

Mark poruszył się niespokojnie; słowa Ropucha przyprawiły go o mdłości. Miał nadzieję, że Lana będzie w stanie z nich odczytać, co się dzieje.

– W jaki sposób zmarła? – spytała Lana. – Czy bardzo ją bolało; tak jak Darnella?

– Tak. Tak, Lano. Bardzo ją bolało. Krzyczała i krzyczała aż do chwili, gdy obcy wyleźli z jej głowy i wleźli do mojej. Wtedy skróciliśmy jej cierpienia.

Zdawało się, że po ostatnich słowach w całym lesie zapadła martwa cisza, a powietrze znieruchomiło w płucach Marka. Wyczuł, że Alec poruszył się za jego plecami, ale Lana go uciszyła.

– My? – powtórzyła. – Co masz na myśli? I co to znaczy, kiedy mówisz, że obcy wleźli do twojej głowy?

Ich przyjaciel ścisnął głowę dłońmi.

– Czemu nie chcesz tego pojąć? Ile razy muszę wam powtarzać? My! Ja i obcy w mojej głowie! Nie wiem, czym oni są! Słyszysz mnie? Nie... wiem... czym... oni... są! Ty durna, durna babo!

Z jego ust wydarł się skowyt – nieludzki i przeszywająco głośny, coraz wyższy i o rosnącym natężeniu. Mark skoczył na równe nogi i cofnął się o kilka kroków. Wydawało się, że drzewa dygoczą od dźwięku wydawanego przez Ropucha, a wszystkie żywe stworzenia w promieniu półtora kilometra uciekają w panice. Był tylko ten straszliwy wrzask.

– Ropuch! – krzyknęła Lana, ale jej głos został zagłuszony.

Ropuch oburącz kołysał swoją głowę na boki, wrzeszcząc bez ustanku. Mark popatrzył na swoich przyjaciół, chociaż w zasadzie nie mógł rozróżnić w mroku ich twarzy – nie miał zielonego pojęcia, co robić, i najwyraźniej Lana też nie wiedziała.

– Dostyc tego – zabrzmiał ledwie słyszalny głos Aleca, a potem mężczyzna ruszył do przodu, mijając Marka i potracając go przy tym. Mark potknął się, ale złapał równowagę, zastanawiając się, co były żołnierz zamierza zrobić.

Alec podszedł prosto do Ropucha, chwycił go za koszulę i szarpnięciem postawił na nogi, po czym powlókł go głębiej w las. Wrzaski nie ustały, po prostu stały się bardziej urywane i sporadyczne, gdy Ropuch łapał powietrze i szamotał się w daremnych próbach uwolnienia. Wkrótce zniknęli w mroku pod drzewami, ale Mark słyszał, jak ciało Ropucha wleczone jest po ziemi. Jego skowyt cichł w miarę, jak się oddalali.

– Co ten człowiek kombinuje? – spytała z napięciem Lana.

– Alec! – zawołał głośno Mark. – Alec!

Nie było odpowiedzi, nadal dobiegały do nich tylko wrzaski i krzyki Ropucha. A potem urwały się gwałtownie. Tak gwałtownie, jakby Alec wrzucił go do dźwiękoszczelne-go pomieszczenia i zatrzaskał drzwi.

– Co do... – szepnęła Trina za plecami Marka.

Wkrótce usłyszeli kroki przybliżające się z powrotem w energicznym tempie. Mark na sekundę spanikował, przekonany, że Ropuch jakimś sposobem zdołał się wyrwać, zrobił krzywdę Alecowi, kompletnie oszalał i teraz wraca, żeby wykończyć pozostałych. Spragniony krwi.

Jednak z mroku pod drzewami wyłonił się Alec. Cień skrywał jego twarz. Mark mógł sobie tylko wyobrazić, jaki smutek się na niej maluje.

– Nie mogłem ryzykować, że zrobi coś szalonego – powiedział stary żołnierz zaskakująco roztrzęsionym głosem. – Nie mogłem. Skoro to wszystko ma coś wspólnego z wirusem. Ja... Muszę iść się umyć w strumieniu.

Wyciągnął ręce przed siebie i rozcapierzył dłonie, przyglądając im się przez długą chwilę. Potem odmaszerował w kierunku pobliskiego potoku. Mark miał wrażenie, że usłyszał cichy szloch tuż przed tym, zanim Alec znowu zniknął wśród drzew.

17

Po tym wszystkim rozsądek kazał położyć się z powrotem spać. Od świtu dzieliły ich jeszcze całe godziny.

Nikt nie odezwał się ani słowem po tym, jak Alec zrobił z Ropuchem... to, co zrobił, cokolwiek to było. Mark miał wrażenie, że chyba zaraz eksploduje, był tak zdezorientowany tym, co się rozegrało w ciągu ostatnich trzydziestu minut. *Chciał pogadać.* Ale Trina odwróciła się od niego, gdy stanął przed nią. Osunęła się na ziemię i zwinęła w kłębek pod kocem, tłumiąc szloch. Markowi krajało się serce – nie płakała od kilku miesięcy, a teraz wszystko zaczynało się od nowa.

Trina stanowiła dla niego enigmę. Od początku była silniejsza, twardsza i odważniejsza niż on. Najpierw przyprawiało go to o zakłopotanie i wstyd, ale kochał ją tak bardzo, że zdołał z tym dojść do ładu. Jednak nie ukrywała swoich uczuć i zupełnie nie bała się ich odreagowywać poprzez płacz.

Lana w milczeniu kręciła się tu i tam, aż w końcu położyła się obok drzewa na obrzeżu ich małego obozowiska. Mark spróbował się położyć wygodnie, ale kompletnie nie czuł senności. Alec w końcu wrócił. Nikt nie miał nic do powiedzenia. Do świadomości Marka stopniowo znowu zaczęły docierać odgłosy lasu: owady oraz lekki wietrzyk poruszający gałęziami drzew. Ale jego myśli nadal krążyły jak opętane.

Co się stało przed chwilą? Co Alec zrobił z Ropuchem? Czy to naprawdę mogło być to, co Mark podejrzewał? Czy bolało? Jakim cudem wszystko mogło być tak popaprane?

Kiedy w końcu zapadł w sen, przynajmniej nic mu się nie przyśniło.

– Ten wirus ze strzałek – powiedziała Lana nazajutrz rano, gdy siedzieli wokół trzaskającego ognia, podobni do czterech zombie. – Wydaje mi się, że coś jest z nim nie w porządku.

To było dziwne stwierdzenie. Mark popatrzył na nią. Zanim się odezwała, gapił się w płomienie, rozmyślając o wydarzeniach, które rozegrały się poprzedniej nocy, a teraz został gwałtownie ściągnięty z

powrotem do teraźniejszości.

Alec wypowiedział swoje myśli na głos, nie przebijając w słowach.

– Sądzę, że coś jest nie tak z większością wirusów.

Lana spiorunowała go wzrokiem.

– Daj spokój. Wiesz, co mam na myśli. Nie zwróciliście na to uwagi?

– Na co? – spytał Mark.

– Że ten wirus chyba działa w różny sposób na różne osoby? – spytała Trina.

– Otóż to – potwierdziła Lana, wskazując dziewczynę, jakby była z niej dumna. – Ludzie, którzy zostali trafieni tymi strzałkami, zmarli w ciągu kilku godzin. Darnell oraz ci, którzy pomagali postrzelonym, chorowali przez parę dni. Ich głównym objawem było uczucie silnego ucisku wewnątrz czaszki – zachowywali się tak, jakby na ich głowach zaciskała się obręcz. Potem mamy Misty, która nie wykazywała żadnych objawów przez kilka dni.

Mark aż za dobrze pamiętał moment, gdy ją zostawili.

– Taa – wymamrotał. – Kiedy ją ostatnio widzieliśmy, śpiewała. Zwinięta w kłębek na ziemi. Powtarzała, że boli ją głowa.

– Wydawała się w jakiś sposób inna – podkreśliła Lana. – Nie było cię z nami, kiedy Darnell zachorował. Nie umarł tak błyskawicznie jak pozostali, ale bardzo szybko zaczął się dziwnie zachowywać. Misty wydawała się zdrowa do momentu, gdy zaczęła ją boleć głowa. Ale z obojgiem coś było nie w porządku tutaj. – Postukała się w skroń.

– I wszyscy widzieliśmy Ropucha zeszłej nocy – dodał Alec. – Kto wie, kiedy się zaraził; czy miał to świństwo tak długo jak Misty, czy też złapał je siedząc przy niej, kiedy umierała. Ale ześwirował na amen, jakby miał chorobę szalonych krów.

– Okaż trochę szacunku – warknęła do niego Trina.

Mark spodziewał się, że Alec odpowie kąśliwie lub będzie się bronił, ale stary niedźwiedź sprawiał wrażenie zawstydzonego.

– Przepraszam, Trino. Naprawdę mi przykro. Ale Lana i ja staramy się po prostu ocenić sytuację na miarę naszych sił. Rozkminić, co tu się dzieje. A Ropuch ewidentnie nie był zeszłej nocy przy zdrowych zmysłach.

Trina nie odpuszczała.

– Więc go zabiłeś.

– To nie fair tak na to patrzeć – odparł chłodno Alec. – Jeśli Misty zmarła

tak szybko po tym, jak zaczęła mieć objawy, można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że Ropuch też by umarł. Stanowił zagrożenie dla nas wszystkich, ale był też naszym przyjacielem. Wyświadczyłem mu przysługę i miejmy nadzieję, że kupiłem nam w ten sposób dodatkowy dzień czy dwa.

– Chyba że złapałeś to od niego – odparła beznamiętnie Lana.

– Byłem ostrożny. I zaraz potem dokładnie się wyszorowałem.

– Całe to gadanie wydaje się bez sensu – powiedział Mark. Humor pogarszał mu się z każdą sekundą. – Może wszyscy jesteśmy chorzy i to coś po prostu zabija niektórych ludzi wolniej, bo mają silniejszy układ odpornościowy.

Alec dźwignął się na klęczki.

– Zeszliśmy z tematu, Lanie chodziło o coś innego. Coś jest nie tak z tym wirusem. On nie działa na wszystkich jednakowo. Nie jestem naukowcem, ale czy on może mutować czy coś? Zmieniać się w miarę, jak przenosi się na kolejne ofiary?

Lana skinęła głową.

– Mutować, adaptować się, zwiększać swoją zjadliwość. Kto wie. Ale coś w tym guście. I wygląda na to, że w miarę jak przenosi się na kolejne ofiary, zabija je coraz wolniej. Wbrew temu, co moglibyście przypuszczać, tak naprawdę oznacza to, że wirus rozprzestrzenia się skuteczniej. Ciebie i Marka nie było tu, ale szkoda, że nie widzieliście, jak szybko zmarły pierwsze ofiary. Wyglądało to zupełnie inaczej niż śmierć Misty. To była krwawa, brutalna, straszna agonია, ale po godzinie czy dwóch następował koniec. Mieli konwulsje i krwawili, co tylko sprawiło, że więcej ludzi zaraziło się tym paskudztwem.

Mark cieszył się, że go to ominęło. Ale zważywszy na to, przez co przeszedł Darnell, zanim umarł, ci ludzie mogli mieć szczęście, że ich śmierć nastąpiła tak szybko. Mark aż zbyt wyraziście przypomniał sobie tamten łomot, kiedy Darnell tłukł czaszką o wewnętrzną stronę drzwi.

– To w jakiś sposób działa na głowę – wymruczała Trina.

Wszyscy popatrzyli na nią. Właśnie zwerbalizowała coś oczywistego, ale kluczowego.

– To zdecydowanie w jakiś sposób działa na głowę – poparł ją Mark. – Wszyscy chorzy skarżyli się na straszny ból. I tracili zmysły. Darnell halucynował, kompletnie oszalał. A potem Misty. I Ropuch...

Trina zadała pytanie.

– Może tamci postrzelili ludzi różnymi wirusami? Skąd wiemy, że wszyscy od początku chorowali na to samo?

Mark pokręcił głową.

– Oglądałem pudełka w ładowni górolotu – powiedział. – Mam wrażenie, że na wszystkich był ten sam numer identyfikacyjny.

Alec wstał.

– Cóż, jeśli to coś mutuje i jeśli ktokolwiek z nas zdążył się zarazić, miejmy nadzieję, że mamy do dyspozycji tydzień czy dwa, zanim ześwirujemy na amen. Chodźcie. Zbieramy się.

– Super – wymamrotała Trina, stając na nogi.

Kilka minut później byli znów w drodze.

Po południu w zasięgu wzroku pojawiła się kolejna osada. Znajdowała się daleko w bok od trasy, którą Alec nakreślił na swojej prowizorycznej mapie, ale między drzewami Mark dostrzegł kilka drewnianych budynków - sporych budynków. Humor od razu mu się poprawił na samą myśl, że znowu zobaczą duże grupy ludzi.

– Czy powinniśmy tam iść? – spytała Lana. Wyglądało na to, że Alec rozważa w myślach plusy i minusy. W końcu odpowiedział:

– Hmm. Nie wiem. Wolałbym, żebyśmy kontynuowali marsz zgodnie z trasą na mapie. Nic nie wiemy o tych ludziach.

– Ale może powinniśmy – zauważył Mark. – Mogą wiedzieć coś o tym bunkrze, centrali, czy jak tam nazwiemy miejsce, z którego przyleciał górolot.

Alec popatrzył na niego, ewidentnie rozważając wszystkie możliwości.

– Myślę, że powinniśmy to sprawdzić – powiedziała Trina. – Na pewno możemy przynajmniej ostrzec ich przed tym, co spotkało nas.

– Dobra. – Alec ustąpił. – Jedna godzina.

Smród uderzył ich, gdy wiatr zmienił kierunek, akurat w momencie, gdy podchodzili do pierwszych budynków. Były to nieduże chaty zbudowane z bali, kryte strzechą.

Ten sam odór, który zaatakował Marka i Aleca, kiedy zbliżali się do własnej wioski po tym, jak doprowadzili do kraksy górolotu i przywędrowali z powrotem. Smród gnijącego mięsa.

– Stop! – zawołał Alec. – To by było na tyle. Zawracamy.

Zanim skończył mówić, stało się jasne, co jest źródłem fetoru. Kawałek

dalej na ścieżce leżało kilka trupów zwalonych jeden na drugim. Potem pojawiła się postać. Mała dziewczynka nadchodziła w ich kierunku od strony zwłok. Mogła mieć pięć czy sześć lat. Jej ciemne włosy były skołtunione, ubranie zaś – niemiłosiernie brudne.

– Ej – powiedział Mark. Kiedy pozostali popatrzyli na niego, wskazał głową zbliżające się dziecko. Dziewczynka zatrzymała się jakieś sześć metrów od nich. Buzię miała umorusaną a minę smutną. Nie odzywała się. Po prostu patrzyła na nich zapadniętymi oczami. Odór zgnilizny wisiał w powietrzu.

– Hej tam! – zawołała Trina. – Nic ci nie jest, kochanie? Gdzie twoi rodzice? Gdzie jest reszta ludzi z twojej wioski? Czy... – Nie musiała kończyć; sterta ciał mówiła sama za siebie.

Dziewczynka odpowiedziała cicho, wskazując gęstwinę drzew za plecami Marka i pozostałych.

– Wszyscy pobiegli do lasu. Wszyscy uciekli.

18

Mark nie wiedział, czemu konkretnie jej słowa przyprawiły go o dreszcze, ale tak się stało i nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć przez ramię w kierunku, w którym spoglądała. Nie było tam nic oprócz drzew, poszycia oraz ruchomych plam słonecznego światła na ziemi.

Odwrócił się z powrotem do dziewczynki. Trina podeszła do małej, co oczywiście sprawiło, że Alec zaprotestował.

– Nie możesz tego robić – powiedział, ale nawet temu szorstkiemu upomnieniu brakowało stanowczości. Co innego zostawić dorosłych, ludzi, którzy mogli się o siebie zatroszczyć. Może nawet czym innym było skrócenie cierpień nastolatka – prawie dorosłego – tak jak Alec zrobił z Ropuchem. Ale teraz mieli przed sobą dziecko, i to zmieniało wszystko. – Przynajmniej postaraj się jej nie dotykać. Dla bezpieczeństwa nas wszystkich.

Dziewczynka wzdrygnęła się i cofnęła o kilka kroków, kiedy Trina zbliżyła się do niej.

– Nie bój się – powiedziała Trina, przystając. Uklękła na jedno kolano. – Nie zrobimy ci krzywdy, obiecuję. Pochodzimy z takiej samej wioski jak twoja, gdzie było mnóstwo dzieci. Masz tu przyjaciół?

Dziewczynka potaknęła, po czym, jak się zdawało, przypomniała sobie o czymś. Ze smutkiem pokręciła główką.

– Już ich nie ma?

Potaknięcie.

Trina obejrzała się na Marka z wyrazem oczu mówiącym, że pęka jej serce, po czym z powrotem odwróciła się do małej.

– Jak ci na imię? – spytała. – Ja jestem Trina, a ty?

Po długiej pauzie dziewczynka powiedziała:

– Deedee.

– Deedee, co? Strasznie mi się podoba twoje imię. Jest naprawdę słodkie.

– Mój brat ma na imię Ricky.

Te słowa wydawały się tak typowe dla małego dziecka i z jakiegoś powodu sprawiły, że w umyśle Marka natychmiast pojawiły się wspomnienia o Madison. Bolało go serce. Żałował, że ta dziewczynka nie jest jego młodszą siostrzyczką. I jak zwykle ze wszystkich sił usiłował powstrzymać swoje myśli od powędrowania najmroczniejszą ze wszystkich dróg, to znaczy wyobrażenia sobie, co mogło się z nią stać w dniu katastrofy.

– Gdzie jest Ricky? – spytała Trina.

Deedee wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Odszedł razem z innymi. Do lasu.

– Z twoją mamą i tatą?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie. Trafiły ich strzały z nieba. Oboje umarli. To było okropne. – W jej oczach wezbrały łzy, aż przelały się i pociekły po umorusanych policzkach.

– Ogromnie przykro mi to słyszeć, skarbie – powiedziała Trina. W jej głosie dźwięczała absolutna szczerłość. Mark mógłby przysiąc, że jeszcze nigdy nie lubił jej tak bardzo jak w tej chwili. – Ci sami ludzie... skrzywdzili paru naszych przyjaciół. Tak jak powiedziałaś, to okropne. Tak strasznie, strasznie mi przykro.

Deedee płacząc kołysała się na piętach w przód i w tył – ten szczegół również skojarzył się Markowi z Madison.

– Nie szkodzi – powiedziała tak słodkim głosem, że Mark nie wiedział, ile jeszcze zdoła znieść. – Wiem, że to nie wasza wina. To była wina złych ludzi. Tych, którzy noszą te śmieszne zielone stroje.

Mark oczami wyobraźni ponownie ujrzał tamten dzień, przypomniał sobie, jak patrzył w górę na tych samych ludzi lecących górolotem. Lub przyjaciół tych ludzi. Kto wie, ile górolotów latało teraz po świecie z pistoletami strzałkowymi pełnymi nie wiadomo czego. Ale czemu? Czemu?

Trina drążyła dalej, najdelikatniej jak się dało, w poszukiwaniu informacji.

– Dlaczego tamci odeszli? Czemu nie zabrali cię ze sobą?

Deedee podniosła prawą rączkę. Dłoń była zaciśnięta w pięść. Dziewczynka podciągnęła zniszczony rękaw, odsłaniając okrągłą ranę blisko ramienia, pokrytą strupem, ale wyglądającą tak, jakby nikt się nią porządnie nie zajął. Nic nie mówiła, po prostu wyciągnęła rączkę przed

siebie, żeby wszyscy mogli się przyjrzeć.

Mark raptownie wciągnął oddech.

– Wygląda na to, że trafiła ją strzałka!

– Przykro mi z powodu twojego kuku – powiedziała Trina, piorunując Marka spojrzeniem. – Ale... czy wiesz, czemu tamci odeszli? Dokąd poszli? Dlaczego nie poszłaś z nimi?

Dziewczynka ponownie wyciągnęła rączkę, wskazując ranę. Mark wymienił spojrzenia z Alekiem i Laną, pewny że tamci zadają sobie to samo pytanie co on. Dlaczego ta dziewczynka nie miała żadnych objawów choroby, skoro została trafiona strzałką?

– Naprawdę mi przykro, że tamci zrobili ci krzywdę – powiedziała Trina.

– Wygląda na to, że miałaś dużo szczęścia. Nie chcesz już odpowiadać na żadne pytania? Jeśli tak, nie szkodzi.

Deedee jęknęła sfrustrowana i raz jeszcze wskazała ranę.

– To dlatego! Dlatego mnie tu zostawili! Są źli, tak samo jak ci zieloni ludzie.

– Naprawdę mi przykro, skarbie.

Mark nie był w stanie dłużej milczeć.

– Powiem wam, co się stało. Tamci pewnie myśleli, że jest chora po trafieniu strzałką, dlatego odeszli bez niej. – Jednak te słowa brzmiały tak, jakby nie mogły być prawdą. Jak ktokolwiek mógł zrobić coś takiego? Małemu dziecku?

– Czy tak właśnie było? – spytała Trina. – Zostawili cię, bo sądzili, że możesz być chora? Tak jak pozostali?

Deedee kiwnęła główką, a po jej policzkach spłynęły nowe strugi łez.

Trina wstała i odwróciła się do Aleca. Żołnierz uniósł dłoń.

– Uciszę cię, zanim jeszcze zaczniesz mówić. Może i jestem twardy jak gład oraz brzydki jak noc listopadowa, ale nie jestem bez serca. Zabierzemy tę małą ze sobą.

Trina skinęła głową i po raz pierwszy tego dnia szczerze się uśmiechnęła.

– Ona prawdopodobnie jest zainfekowana – zauważyła Lana. – Po prostu choroba jeszcze się nie ujawniła.

– Przypuszczalnie wszyscy jesteśmy chorzy – mruknął gderliwie Alec, mocując się z paskami plecaka.

– Będziemy na nią uważać – powiedziała Trina. – Musimy się tylko

pilnować, żeby mieć czyste ręce i nie dotykać nosa i ust. W miarę możliwości nosić maski. Ale nie zamierzam spuszczać tej słodkiej kruszyny z oka, dopóki... – Ku uldze Marka nie dokończyła.

– To kolejna gęba do wykarmienia – powiedział Alec – ale myślę, że nie będzie dużo jadła. – Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że żartuje: rzadkie zjawisko. – Trochę mnie kusi, żeby przetrząsnąć tę osadę w poszukiwaniu zapasów, prowiantu, ale to draństwo, które kasuje ludzi na prawo i lewo, przypuszczalnie drzemie tu sobie w najlepsze na każdym brudnym centymetrze kwadratowym. Wynośmy się stąd.

Trina gestem przywołała Deedee, a ta o dziwo ruszyła za nimi bez słowa protestu. Alec poprowadził grupę z powrotem tam, skąd przyszli, do trasy, którą tak pieczołowicie wytyczył. Gdy wędrowali, Mark starał się nie myśleć o tym, że podążają dokładnie w kierunku, który Deedee wskazała wcześniej.

Przez kilka następnych godzin nie natrafili na nikogo – ani żywego, ani martwego – i Mark prawie zdążył zapomnieć o ludziach, którzy porzucili Deedee na pastwę losu. W czasie wędrówki dziewczynka zachowywała milczenie, nie skarżąc się ani razu, chociaż utrzymywali różne tempo, pod górę i w dół w skalistym terenie, a potem znowu pod górę i w dół. Trina przez cały czas szła obok niej, mając twarz obwiązaną szmatą.

Deedee z apetytem pochłonęła obiad – przypuszczalnie pierwszy przyzwoity posiłek, jaki jej się trafił od dłuższego czasu. Potem wędrowali jeszcze przez godzinę czy dwie, zanim rozbili obóz. Alec oznajmił, że zgodnie z jego obliczeniami od celu dzieli ich już tylko jeden dzień wędrówki.

Mark obserwował, jak Trina zajmuje się Deedee. Troskliwie opiekowała się dziewczynką – przygotowała jej pośłanie, pomogła umyć się w strumieniu, opowiedziała jej bajkę na dobranoc, gdy w lesistej dolinie zapadała ciemność.

Mark patrzył na to wszystko z nadzieją, że jeszcze nadejdzie dzień, kiedy życie znowu będzie dobre i bezpieczne. Kiedy skończą się koszmary, a największym problemem stanie się nuda. Kiedy taka dziewczynka jak Deedee będzie mogła biegać i śmiać się, jak niegdyś wszystkie dzieci.

Położył się obok Triny i małej, rozmyślając o przeszłości, aż w końcu zapadł w sen – tylko po to, żeby mroczniejsze wspomnienia wróciły i zgasiły jego złudne nadzieje.

19

Mark potrzebował góra dziesięciu minut, żeby sobie uświadomić, że powinien się trzymać blisko Aleca, dopóki oboje z Triną nie znajdą się z powrotem w domach, cali i zdrowi. Nieznajomy nie tylko rozbroił trzech mężczyzn i spacyfikował ich w ciągu mniej niż trzydziestu sekund, jest też byłym żołnierzem, który nie zwlekając przejął dowodzenie i wyjaśnia im teraz, jak się sprawy mają.

– Czasem w pogłoskach i czczej gadaninie jest trochę prawdy – mówi, gdy chlapiąc brną zalanym korytarzem, oddalając się od magazynu, gdzie natknęli się na uzbrojonych zbirów. – Przeważnie to jakiś kwadratowy matoł usiłuje zrobić wrażenie na panienkach. Ale kiedy w większości plotek powtarzają się te same informacje, to znak, że trzeba nadstawić uszu i słuchać. Pewnie zastanawiacie się właśnie, co u diabła próbuję przez to powiedzieć.

Mark spogląda na Trinę – ledwie jest w stanie rozróżnić jej twarz w słabej poświacie latarki, którą trzyma idący przed nimi Alec. Dziewczyna posyła mu spojrzenie mówiące: *Kim jest ten facet?* Nadal dźwiga pudło z prowiantem, które znalazła wcześniej. Traktuje je niczym swój koc bezpieczeństwa – nikomu nie chce pozwolić go dotknąć. Jeszcze nie.

– Tak, zastanawiamy się właśnie – odpowiada v końcu Mark.

Alec zatrzymuje się i okręca na pięcie z prędkością atakującej żmii. W pierwszej chwili Mark jest pewien, że jego odpowiedź zabrzmiała nie tak jak trzeba, sarkastycznie, i facet zaraz go znokautuje. Ale zamiast tego stary twardziel tylko unosi palec.

– Mamy najwyżej godzinę, jedną, żeby się wydostać z tych szcurzych tuneli. Słyszycie? Godzinę. – Z powrotem odwraca się do nich plecami i wznawia marsz.

– Zaraz, co? – pyta Mark, podczas gdy oboje z Tiną usiłują nadążyć. – Co ma pan na myśli? Dlaczego? To chyba nie jest dobry pomysł, żeby wracać na górę, dopóki... no cóż, nie wiem.

– Rozbłyśki słoneczne.

Alec wypowiada te dwa słowa tak, jakby nie musiał mówić nic więcej. Jakby spodziewał się, że rozmówcy będą natychmiast znali jego myśli.

– Rozbłyski słoneczne? – powtarza za nim Trina. – Sądzi pan, że to właśnie stało się tam na górze?

– Prawie na pewno, urocza damo. Prawie na pewno.

Te wieści sprawiają, że złe przeczucia Marka narastają w tempie wykładowym. Jeśli to nie odosobniony przypadek, tylko naprawdę coś tak globalnego jak rozbłyski słoneczne... to nikła nadzieja, którą żywił, że jego rodzinie nic się nie stało, właśnie się rozwiąła.

– Skąd pan wie?

Słyszy drżenie we własnym głosie. Alec odpowiada bez najlżejszego drgnienia.

– Bo zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu miejsc opisywało to samo zjawisko, zanim oddzieliłem się od mas. I podobno agencje informacyjne upubliczniły ostrzeżenie tuż zanim to się stało. Tak, to rozbłyski słoneczne. Ekstremalne gorąco i promieniowanie. Podwójne uderzenie. Świat sądził, że jest przeszkolony i przygotowany na coś takiego. Moim skromnym zdaniem świat się mylił.

Wszyscy troje milkną. Alec idzie dalej, a Mark i Trina za nim. Skręcają, wchodzą do kolejnych tuneli, omijają innych ludzi, ilekroć jacyś się zbliżają. Przez cały czas serce Marka zjeżdża niżej i niżej w czarną dziurę. Chłopak nie wie, jak dojść do ładu z czymś takim. Odmawia przyjęcia do wiadomości, że jego rodziny już nie ma, i poprzysięga sobie, że nie spocznie, póki nie odnajdzie ich całych i zdrowych. W końcu Alec zatrzymuje się w połowie długiego korytarza, który niczym specjalnie nie odróżnia się od innych.

– Mam tu jeszcze kilku przyjaciół – mówi. – Zostawiłem ich, żeby poszukać żywności i dowiedzieć się paru rzeczy. Współpracowałem z Laną przez długie lata. Pracowaliśmy dla Departamentu Obrony; ona jest byłym żołnierzem, jak ja. Pielęgniarką z armii. Pozostali to przypadkowe osoby, które pozbieraliśmy tu i tam. Wasza dwójka wyczerpuje limit; nie możemy już wziąć nikogo więcej, inaczej nie damy rady dotrzeć do celu.

– To znaczy dokąd? – pyta Mark.

– Na powierzchnię – odpowiada Alec i jest to ostatnia rzecz, jaką chłopak spodziewał się usłyszeć. – Z powrotem do miasta, nawet jeśli panuje tam piekło. Tak długo, dopóki będziemy się trzymać wewnątrz

budynków, nic nie powinno nam się stać. Ale musimy tam wyjść, zanim woda zaleje te tunele i wszystkich nas potopi.

Mark zbudził się i przekręcił na bok. Oczywiście miał szeroko otwarte i ciężko oddychał. A jeszcze nie przyśniło mu się to, co było najpaskudniejsze. Nie chciał tego wspominać. Nie chciał ponownie przeżywać grozy tamtego dnia.

Proszę – pomyślał. Proszę, nie. Proszę. Nie dzisiaj. Nie mogę. Nie wiedział nawet, do kogo mówi. Czy rozmawiał z własnym mózgiem? Może zaraził się od Ropucha i zaczynał tracić zmysły.

Opadł na wznak, zagapił się na widoczne w górze gałęzie i gwiazdy. Na niebie nie pojawiła się jeszcze najmniejsza zapowiedź świtu. Było ciemno, ciemno, ciemno. Chciał, żeby już nadszedł ranek, chciał przynajmniej na kilka godzin uwolnić się od groźby snów. Może zdoła się jakoś powstrzymać od zasypiania. Usiadł, rozejrzał się. Ale niewiele widział, tylko zarysy drzew oraz sylwetki przyjaciół leżących wokół na ziemi.

Pomyślał, że mógłby obudzić Trinę. Rozumiałaby, że potrzeba mu towarzystwa. Nawet nie musiałby jej mówić, co mu się śniło. Ale wyglądała teraz tak spokojnie, oddychała cicho. Jęknąwszy pod nosem zrezygnował ze swojego pomysłu, wiedząc, że miałby wyrzuty sumienia, że pozbawia ją cennego snu. Nie tylko mieli szmat drogi do przejścia następnego dnia, Trina będzie się też musiała zajmować małą Deedee. Mark opadł z powrotem na ziemię i przewracał się z boku na bok tak długo, aż poczuł, że leży wygodnie. Nie chciał śnić. O wzburzonej wodzie, o wrzaskach tonących. O panicznym, rozpaczliwym strachu, gdy uciekali przed tym wszystkim. Nawet na jawie miał przed oczami tamto pomieszczenie w podziemiach pod Nowym Jorkiem, gdzie po raz pierwszy zobaczyli Lanę i pozostałych. Pooraną zmarszczkami twarz Aleca, gdy tłumaczył im, że po tym, jak przetrwali tak potężne rozbłyski słoneczne, ich największym i najpilniejszym zmartwieniem będzie zbliżające się szybko tsunami. Rozbłyski musiały mieć porażającą skalę – spowodowały katastroficzne zniszczenia na całym świecie i wzrost temperatury do iście piekielnych wartości.

Co oznaczało błyskawiczne topnienie czap lodowych na biegunach. Co oznaczało, że poziom mórz będzie wzrastał w przerażającym, apokaliptycznym tempie. Co oznaczało, że wyspa Manhattan w ciągu kilku godzin znajdzie się cztery metry pod wodą. Wyjaśnił im to wszystko,

podczas gdy kulili się w pomieszczeniu położonym głęboko pod ziemią, gdzie powódź odszuka i zatopi wszystko, co znajdzie na swojej drodze.

Teraz, gdy Mark powrócił do świata jawy, myśli o tym nękały go co najmniej przez kolejną godzinę – i wiedział, że jeśli zacznie śnić, będzie tylko jeszcze gorzej. Przerazało go bycie przerażonym.

Odpłynął w nieświadomość mimo rozpaczliwych prób powstrzymania się przed uśnięciem. Sen zatopił go niczym zimne, wzburzone fale.

20

Lincoln Building, jeden z najwyższych, najnowszych, najwspanialszych budynków w Nowym Jorku. Jeden z niewielu posiadających zejście bezpośrednio do systemu transmetra.

Alec powtarza, że to tam muszą się dostać. Mówi, że ma mapę wszystkich tuneli transmetra zapisaną w telefonie, ale gołym okiem widać jego niepokój, że nie dadzą rady tam dotrzeć na czas. Zanim wyruszyli, Mark nawet w słabym świetle był w stanie dostrzec, że Alec ma duże wątpliwości. Kłóci się to z ogólnym obrazem zahartowanego w bojach twardziela. Mark jest skłonny przypuszczać, że gdyby tego gościa zamknięto w klatce z tuzinem głodnych lwów, nadal miałby na twarzy ten swój uśmieszek, zastanawiając się, którego zabić w pierwszej kolejności.

Lincoln Building – mówi do siebie Mark. *Dostań się tam, a potem będziesz mógł odszukać swoją rodzinę.*

Wszyscy biegną jednym z niezliczonych, pozornie niekończących się tuneli pod miastem. Alec przodem, a za nim kobieta, o której powiedział, że miał przyjemność z nią współpracować przez dwanaście lat: Lana. Następny jest chłopak imieniem Darnell, mniej więcej w wieku Marka, potem dziewczyna imieniem Misty – też nastolatka, ale starsza, może osiemnastoletnia. Po niej chłopak, też starszy od Marka, ale niższy i mocno umięśniony. Misty zwraca się do niego per Ropuch, a on, o dziwo, wyraźnie lubi tę ksywkę. Za nim idą Mark i Trina, a pochód zamyka chłopiec imieniem Baxter. Baxter jest najmłodszy z nich wszystkich, ma jakieś trzynaście lat, ale Mark widzi, że to twardy mały skurczybyk. Sam nalegał, żeby iść z tyłu, mówiąc, że chce wszystkich bronić przed atakami z zasadzki.

Gdy biegną, Mark ma nadzieję, że zostało mu w życiu wystarczająco dużo czasu, aby się zaprzyjaźnić z tym dzieciakiem.

– Mam nadzieję, że ten facet wie, co robi – mówi cicho Trina. Biegną truchtem obok siebie i Mark przyłapuje się na idiotycznej myśli, że byłoby fajnie, gdyby znajdowali się teraz na plaży, a zachodzące słońce

odbijałoby się w wodzie. W duchu dziękuje opatrności, że Trina nie potrafi czytać mu w myślach.

– Wie – zapewnia ją Mark. Nie chce też, żeby wiedziała, że on prawie dygocze ze strachu przed tym, co może się zdarzyć w każdej chwili, do tego stopnia, że strach utrudnia mu bieg. Przeżył na tym świecie prawie siedemnaście lat, nie mając świadomości, jaki z niego tchórz.

– Tsunami. – Trina wypowiada to słowo tak, jakby było najpaskudniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek wydostała się z jej ust. – Znajdujemy się w samym środku systemu transmetra w Nowym Jorku i to podobno ma być nasze największe zmartwienie. Tsunami?

– Znajdujemy się pod ziemią – odpowiada Mark. – A nasze miasto leży nad oceanem, na wypadek gdybyś nie pamiętała. Woda spływa w dół. No wiesz, grawitacja i tak dalej.

Czuje, że Trina posłała mu gniewne spojrzenie, i wie, że na to zasłużył. Widocznie nerwy ostatecznie wzięły górę, skoro zebrało mu się na mędrkowanie. Usiłuje się zrehabilitować w jedyny sposób, jaki zna – poprzez uczciwość.

– Przepraszam – mamrocze. Zdążył już się zmęczyć, oddycha ciężko. – Po prostu boję się jak jasna cholera. Serio, przepraszam.

– Nie szkodzi. To w sumie nie miało być pytanie. Po prostu... Nie wiem. Chyba chciałam tylko powiedzieć, że to wszystko jest porąbane. Rozbłyśki słoneczne i tsunami. Jeszcze parę godzin temu nie pomyślałabym, że takie rzeczy mogą mnie dotyczyć. W życiu.

– Masakra jakaś. – To jedyny komentarz, jaki Mark jest w stanie z siebie wykrzesać. Po prostu nie ma już ochoty o tym gadać. Im dłużej rozmawiają, tym bardziej skręcają mu się wnętrzności z niepokoju i desperacji.

Gdy docierają do końca aktualnego tunelu, Alec zwalnia. Zatrzymuje się i odwraca twarzą do nich. Wszyscy ciężko dyszą, a całe ciało Marka oblewa pot.

– Musimy teraz przejść przez jedną z nowszych sekcji transmetra – mówi Alec. – Na bank spotkamy tam ludzi i cholera wie, w jakim będą nastroju. Co poniektórym odwała szajba i robią się niebezpieczni, kiedy wydaje im się, że nadszedł koniec świata.

Teraz, gdy ich grupka złapała oddech, Mark słyszy słabe odgłosy dolatujące zza pleców przywódcy. Pomruk tłumy, rozmowy, ludzie

kręcący się tu i tam. Słysząc też kilka niepokojących dźwięków: odległe krzyki, płacz i zawodzenie. Odosobnienie w małym, zawilgoconym magazynie nie wydaje się teraz takie złe.

Lana podejmuje wątek.

– Musimy tylko przejść przez tłum. Idźcie szybko, ale nie sprawiajcie wrażenia, jakbyście wiedzieli, dokąd zmierzacie. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby cokolwiek nieść ze sobą; odłóżcie to, co macie w rękach, i opróżnijcie kieszenie, inaczej mogą nas zaatakować. Będziemy musieli po prostu liczyć na to, że znajdziemy prowiant we wnętrzu Lincoln Building.

Do tego momentu kilkoro z nich niosło opakowania żywności, którą wcześniej znalazła Trina. Rzucają wszystko na ziemię. Wygląda na to, że ten akt wysysa z Triny część życia.

– Przejdziemy przez te drzwi – mówi Alec, spoglądając na ekran swojego telefonu; bateria musi już być na wyczerpaniu. – A potem zeskoczymy na tory. Jeśli nie będziemy wchodzić do samej hali dworcowej, może nie napatoczmy się na tylu ludzi. Naginamy prosto przez niecały kilometr, potem będziemy mogli wejść dolnymi drzwiami na klatkę schodową Lincoln Building. Te schody ciągną się w górę aż do dziewięćdziesiątego piętra. To nasza jedyna szansa.

Mark zerka na pozostałych i widzi, że są niespokojni, zdenerwowani. Ropuch podskakuje w miejscu, co w jego przypadku wydaje się idiotycznie adekwatne.

– Idziemy – oznajmia Alec. – Trzymajcie się blisko siebie, wszyscy razem. Brońcie się nawzajem. To sprawa życia i śmierci.

Trina słysząc to wydaje jęk, a Mark wolałby, żeby facet wypluł te słowa.

– Już, już, już! – krzyczy Lana; czy z frustracji, czy po to, żeby ich zmobilizować do działania, tego Mark nigdy się nie dowie.

Alec otwiera drzwi i przechodzi na drugą stronę. Inni podążają w ślad za nim, podczas gdy przez otwór wpada podmuch wściekłego gorąca, omiatając ich. Mark czuje się tak, jakby coś wypalało w jego płucach cały tlen; walczy o każdy oddech, nim w końcu udaje mu się przyzwyczaić do tej temperatury.

Wchodzi do większego tunelu tuż za Triną. Stają na wąskiej półce niecałe dwa metry nad torowiskiem – Alec i Lana pierwsi zeskoczyli na dół, teraz wyciągają ręce, żeby pomóc pozostałym. Wszyscy kolejno

ujmują ich dłonie, zeskakują, lądują z głuchym stukiem na ugiętych nogach, żeby zamortyzować wstrząs. Mark podnosi wzrok. Światło pada w dół od strony schodów, które prowadzą aż na powierzchnię ziemi, do zniszczonego świata nad nimi. Przygląda się ludziom, którzy kręcą się wyżej, w hali dworcowej. Wszyscy oni wpatrują się bacznie w nowo przybyłych.

To, co Mark widzi tam w górze, sprawia, że jego serce najchętniej przestałoby bić.

Schody wypełnia tłum. Przynajmniej połowa tych ludzi ma takie czy inne obrażenia. Skaleczenia, rany cięte. Straszliwe oparzenia. Niektórzy spośród rannych leżą na ziemi, krzycząc. Pełno tam dzieci w różnym wieku; wiele z nich też jest poszkodowanych. To najbardziej łamie Markowi serce. W jednym miejscu dwóch mężczyzn bije się brutalnie, tłukąc się pięściami, szarpiąc i drapiąc. Nikt nawet nie próbuje ich rozdzielić. Jakaś kobieta siedzi skulona na krawędzi peronu i praktycznie nie ma twarzy – tylko spaloną skórę i krew. Mark czuje się tak, jakby zajrzał w głąb piekła.

– Idźcie – komenderuje Alec, gdy już wszyscy stoją na torach.

Zaczynają iść, trzymając się tak blisko siebie nawzajem, jak to możliwe. Mark ma po lewej stronie Trinę, po prawej – chłopca imieniem Baxter. Dzieciak wygląda na przerażonego. Mark chętnie by coś powiedział, żeby go trochę podnieść na duchu, ale nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Zresztą i tak byłyby puste. Alec i Lana idą przed Markiem, a ich mowa ciała daje do zrozumienia, że tylko czekają, aż jakiś dureń odważy się im zastąpić drogę.

Przeszli już połowę długości głównego sektora hali dworcowej, kiedy dwóch mężczyzn i kobieta zeskakują na tory i zastępują im drogę, zmuszając całą grupę do zatrzymania się. Obcy są brudni, ale sprawiają wrażenie całych i zdrowych. W każdym razie fizycznie. Ich oczy są udręczone okropnościami, które widzieli.

– A wy dokąd się wybieracie? – pyta kobieta.

– Taa – dorzuca jeden z jej kolegów. – Wyglądacie na waśniaków. Wiecie o jakimś schronieniu, o którym my nie wiemy?

Drugi mężczyzna podchodzi bliżej Aleca.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, czy nie, ale słońce postanowiło nas obrzygać. Zginęli ludzie, koleś. Mnóstwo ludzi. I nie podoba mi się, że

wydaje ci się, że możesz tak po prostu przemaszerować tędy udając, że wszystko jest w porządku.

Jeszcze kilka osób zeskakuje na tory, zbierając się za tamtą trójką obcych. Blokują przejście.

– Zobaczmy, czy mają jakieś jedzenie! – woła ktoś.

Alec daje krok wstecz i wymierza cios pięścią mężczyźnie, który stoi przed nim. Głowa tamtego odskakuje do tyłu, a z nosa tryska mu krew. Typ osuwa się na ziemię. Dzieje się to tak nagle i jest tak szokujące, że przez sekundę nikt się nie rusza. Potem kilkoro ludzi szarżuje na grupę Marka, wrzeszcząc i krzycząc.

Wywiązuje się chaos. Latają pięści, nogi kopią, palce łapią za włosy i szarpiają. Mark obrywa pięścią w twarz akurat w chwili, gdy widzi, jak jakiś mężczyzna odciąga Trinę. Mark czuje wybuchającą wściekłość i zaczyna walczyć z tym kimś, kto go walnął, wymachując dziko rękami, aż udaje mu się dwukrotnie trafić. Potem odpycha tego gościa i widzi, że inny przygniótł Trinę – szarpie się z nią na ziemi, usiłując ją złapać za rękę, podczas gdy ona desperacko próbuje się przed nim obronić.

Mark rzuca się na napastnika całym ciałem. Spycha go z Triny i obaj przetaczają się po ziemi. Mężczyzna trafia Marka pięścią, a Mark oddaje cios, prawie nie czując, że oberwał. Potem szamoczą się, wiją na ziemi, wymachując rękami, kopiąc. Markowi udaje się wyrwać, odpełza, sprawdza, czy Trinie nic się nie stało. Obcy podbiega do niej, ale Mark ponownie rzuca się na niego, trafiając go ramieniem w brzuch. Mężczyzna stęka, pada i zwija się w kłębek, podczas gdy Mark podnosi się i łapie Trinę za rękę. Oboje wyrywają się z kłębowiska walczących, po czym rozglądają się, szukając pozostałych.

Bójka trwa, ale przynajmniej nie dołączył do niej nikt więcej z hali dworcowej. Mark widzi, jak Ropuch wymierza komuś cios pięścią; Alec i Lana usiłują odciągnąć mężczyznę i kobietę od Misty i Baxtera. Dwie inne osoby uciekają od ich grupy. Może już prawie po wszystkim. I wtedy dzieje się TO.

Słychać odległy grzmot, z początku ledwie słyszalny, ale szybko narastający. Przez tunel przebiega drzenie. Wszystkie bójki zostają momentalnie przerwane, ludzie wstają, rozglądają się. Mark też się rozgląda, poszukując źródła hałasu. Nadal trzyma Trinę za rękę.

– Co to? – woła dziewczyna.

Mark kręci głową, nadal omiatając spojrzeniem tunel. Posadzka drży pod jego stopami, a grzmot narasta, przemienia się w ogłuszający ryk. Wzrok chłopaka pada na schody prowadzące z hali dworcowej do góry, i właśnie wtedy wybuchają krzyki – niezliczone, niezliczone krzyki, a tłum zaczyna się kotłować w panice.

Monstrualny wodospad brudnej wody leje się w dół po szerokich stopniach.

21

Mark się zbudził. Bez wrzasków, bez okrzyków, nie usiadł gwałtownie, nie wciągnął głośno oddechu. Nic z tych rzeczy. Po prostu otworzył oczy i z miejsca uświadomił sobie, że są wilgotne od łez, a twarz ma mokrą. Słońce już wzeszło, przeświecało przez gałęzie drzew.

Ściana wody.

Nigdy, przenigdy nie będzie mu dane zapomnieć tego uczucia, kiedy patrzył, jak spieniona fala pędzi w dół po schodach niczym żywa bestia. I grozy, kiedy zaczęła zmiatać pierwszych ludzi na dole.

– Nic ci nie jest?

Trina. Super.

Pośpiesznie otarł twarz i odwrócił się w jej stronę, licząc, że dziewczyna jakimś cudem się nie zorientowała, że płakał przez sen jak małe dziecko. Ale jedno spojrzenie na nią rozwiało te nadzieje. Wyglądała jak zmartwiony rodzic.

– Ee, hej – wymamrotał Mark. Czuł się strasznie głupio. – Cześć. Jak leci?

– Mark, nie jestem idiotką. Powiedz mi, co się stało. Popatrzył na nią, próbując dać do zrozumienia spojrzeniem, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. Potem zobaczył Deedee, która opierała się o drzewo kawałek dalej, obrywając korę z małej gałązki. Może nie wyglądała na szczęśliwą, ale przynajmniej nie miała już tak bezgranicznie smutnej miny. Zawsze to jakiś początek.

– Mark?

Odwrócił się z powrotem do Triny.

– Po prostu... Miałem zły sen.

– O czym?

– Wiesz, o czym. Zmarszczyła brwi.

– A tak konkretnie? Może pomogłoby ci pogadanie o tym.

– Nie sądzę. – Mark westchnął, po czym uświadomił sobie, że nie jest zbyt miły. Dziewczyna po prostu próbowała sprawić, żeby poczuł się lepiej. – Przyśniło mi się to, co się działo tuż zanim woda zaczęła zalewać

tamtą halę. Kiedy biliśmy się z tymi nedorobionymi gangsterami. Zbudziłem się akurat w momencie, kiedy miało się zrobić paskudnie. – Paskudnie. Tak jakby wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było bułeczką z masełkiem.

Trina wbiła wzrok w ziemię.

– Szkoda, że nie możesz przestać śnić tych snów. Przeżyliśmy i tylko to się liczy. Musisz jakoś przestać ciągle wracać do przeszłości. – Jej twarz przybrała przeproszający wyraz. – To znaczy, wiem, że łatwiej powiedzieć niż zrobić. Chyba po prostu *chciałabym*, żebyś przestał wracać do przeszłości. To wszystko.

– Wiem, wiem. Ja też.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po kolanie, co wydawało się głupie w tej sytuacji, ale Alec i Lana dopiero wracali znad strumienia, niosąc świeżą wodę.

– Jak ona się miewa? – zapytał Trinę, zerkając w stronę Deedee.

– Wydaje mi się, że naprawdę nieźle. Nie chce jeszcze za dużo mówić, ale przynajmniej wygląda na to, że się mnie nie boi. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, jaki to był dla niej horror, kiedy została tam sama jedna. Biedactwo.

Te słowa ponownie obudziły w Marku gniew.

– Jak oni mogli? To znaczy... co za kompletne dupki...

Trina skinęła głową.

– Tak... ale nie wiem. Ciężkie czasy i tak dalej.

– Tak, ale ona ma najwyżej cztery lata! – Teraz szeptał podniesionym głosem. Nie chciał, żeby Deedee usłyszała ich rozmowę, ale nie był w stanie się powstrzymać. Ta historia doprowadzała go do furii.

– Wiem – odparła miękko Trina. – Wiem.

Podeszła do nich Lana. Wyraz jej oczu świadczył, że rozumiała, jak Mark się czuje.

– Lepiej ruszajmy – powiedziała. – Potem pomyślimy, co dalej.

Dzień włókł się i włókł.

Początkowo Mark obawiał się, że napotkają ludzi z wioski Deedee. Nadal martwił go fakt, że zmierzają w tym samym kierunku, który dziewczynka wskazała zapytana, dokąd tamci poszli. Jeżeli miała rację, to znaczyło, że są gdzieś tutaj i robią nie wiedzieć co. W zasadzie nie miał konkretnego powodu, żeby się ich obawiać – byli zwykłymi ludźmi, jakich

wielu. Uciekali przed następstwami ataku, przed zarazą. Ale było coś złowróbnego w tym, jakim tonem mówiła o nich Deedee. I doskonale pamiętał, z jaką oskarżycielską miną wskazała swoją ranę. Wszystko to go niepokoiło.

Po tym, jak przez kilka godzin nie zobaczyli ani śladu tamtych, odprężył się i skoncentrował na monotonnej czynności, jaką było wędrowanie, wędrowanie i jeszcze więcej wędrowania. Szli przez las, przechodzili przez strumienie, przedzierali się przez poszycie. Zachodził w głowę, czy podążanie w miejsce, którego szukali, ma jakikolwiek sens.

Był środek popołudnia, kiedy zatrzymali się na odpoczynek. Jedli batony musli i pili wodę z pobliskiej rzeki. Mark często myślał, że jest jedna rzecz, której im nigdy nie brakowało. Teren obfitował w ciekie wodne. Chociaż tyle.

– Jesteśmy już blisko – oznajmił Alec, żując. – Być może powinniśmy być bardziej ostrożni; niewykluczone, że tamci rozstawili strażę wokół swojej bazy. Założę się, że mnóstwo ludzi chętnie by się osiedliło w eleganckim bunkrze, czy gdzie tam ci dranie mają swoją siedzibę. Na pewno mieli tam mnóstwo zapasów żywności na sytuacje kryzysowe.

– No, my zdecydowanie doświadczyliśmy sytuacji kryzysowej – wymamrotała Lana. – Kimkolwiek są ci ludzie, będą się musieli gęsto tłumaczyć.

Alec odgryzł kolejny kęs i z pełnymi ustami odparł:

– Podoba mi się takie podejście.

– Czy w armii nie uczą manier? – spytała Trina. – Wiesz, równie łatwo jest ugryźć kęs po tym, jak coś powiesz, a nie przed.

Alec dalej gryzł swojego batona.

– Tak? – Zaśmiał się ochryple i z jego ust wystrzeliły okruszki. To sprawiło, że ryknął jeszcze głośniejszym śmiechem. Zakrztusił się, zakaszał, a potem znowu zaczął się śmiać.

Alec zachowujący się w ten sposób był doprawdy rzadkim widokiem. Mark w pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować. Ale potem poddał się nastrojowi i też zaczął się śmiać pod nosem, mimo że już zapomniał, co w zasadzie było takie śmieszne. Na twarzy Triny malował się uśmiech, a mała Deedee chichotała radośnie. Ten dźwięk napełnił Marka otuchą i przegnał jego ponury nastrój.

– Tak wam wesoło, jakby ktoś za przeproszeniem pierdnął – oznajmiła

Lana ze śmiertelnie poważną miną.

To sprawiło, że zgodnie ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Zbiorowa głupawka trwała przez dobre kilka minut, a za każdym razem, kiedy przygasała, Alec rozśmieszał wszystkich na nowo, wydając charakterystyczne gromkie odgłosy. Mark śmiał się tak, że aż rozboleła go twarz, więc usiłował przestać, a to sprawiało, że śmiał się jeszcze bardziej wariacko.

W końcu były żołnierz głośno wypuścił powietrze i zamilkł. Zapadła cisza. Wtedy Alec wstał.

– Czuję, że mógłbym teraz przebiec ze trzydzieści kilometrów – powiedział. – Ruszajmy.

Kiedy wznowili marsz, Mark uświadomił sobie, że sen, który go nawiedził poprzedniej nocy, znowu wydaje się tylko odległym wspomnieniem.

22

Alec i Lana byli teraz o wiele ostrożniejsi – mniej więcej co kwadrans przystawali, żeby nasłuchiwać czujnie, wypatrywali strażników lub pułapek i w miarę możliwości starali się, żeby cała grupa pozostawała pod osłoną drzew.

Słońce już się zniżało, a do zmierzchu zostały może ze dwie godziny, kiedy Alec zatrzymał się i kazał pozostałym podejść blisko. Wyglądało na to, że w którymś momencie dwójka dorosłych przestała dbać o to, żeby wszyscy trzymali się na dystans od siebie nawzajem. Znajdowali się na polance otoczonej zewsząd przez grube dęby i strzeliste sosny – starsze drzewa, które nie zostały spalone przez rozbłyski słoneczne – wyrastające z uschniętego, trzeszczącego pod nogami poszycia. Polanka znajdowała się w dolince między dwoma średniej wielkości wzgórzami. Mark nadal miał dobry humor i był ciekaw, co też starszy mężczyzna zaplanował.

– Staraniem się to robić możliwie rzadko – powiedział Alec – ale pora spojrzeć na workpad i upewnić się, że ta moja ręcznie nabazgrana mapa jest nadal aktualna. Miejmy nadzieję, że mój podstarzały mózg nas nie zawiódł.

– Tak – dodała Lana. – Miejmy nadzieję, żeśmy jeszcze nie zawędrowali do Kanady albo do Meksyku.

– Bardzo śmieszne.

Alec włączył urządzenie i uruchomił aplikację do przeglądania map, po czym znalazł tę, na której zaznaczone były trasy, którymi poruszał się górolot. Wszystkie linie zbiegały się w jednym punkcie. Wyciągnął też swój kompas. Podczas gdy pozostali obserwowali go w milczeniu, Alec przez minutę czy dwie studiował workpad, przesuwając palcem tam i nazad, porównując obraz ze swoją ręcznie narysowaną kopią. Co jakiś czas robił pauzę, żeby zamknąć oczy i się zastanowić. Mark pomyślał, że stary żołnierz pewnie próbuje odtworzyć w głowie trasę, którą przebyli, i dopasować ją do tego, co widzi na mapach. W końcu wstał i obrócił się dookoła własnej osi, spoglądając w górę, na słońce, a potem sprawdził

kompas.

– Taa – wymamrotał. – Taa, taa.

Potem kucnął z powrotem i przez kolejną minutę studiował obie mapy, nanosząc drobne poprawki na papierową wersję. Mark zaczynał się już niecierpliwic, głównie dlatego, że bał się usłyszeć, że zawędrowali daleko na manowce. Ale kiedy Alec w końcu się odezwał, jego słowa przegnały tę obawę.

– Uu, niezły jestem. Serio, po tych wszystkich latach myślałby kto, że przestanę zadziwiać sam siebie. A tu nie.

– O ludzie – jęknęła Lana.

Alec popukał w mapę, kawałeczek w lewo od kółka wyznaczającego miejsce, gdzie na ekranie workpada zbiegały się trasy górolotu.

– Jeżeli ten wirus nie wyżarł mi dziur w mózgu i nadal kontaktuję, stoimy o, tutaj. Jakies osiem kilometrów od miejsca, gdzie ten górolot parkuje każdej nocy.

– Jesteś pewien? – spytała Trina.

– Umiem czytać mapy i umiem czytać rzeźbę terenu. Wiem też, jak odczytywać kierunki z kompasu i ze słońca. Wszystkie te góry, wzgórza i doliny mogą wam się wydawać identyczne, kochana, ale nie są. Możesz mi wierzyć. I spójrz tutaj. – Wskazał kropkę na mapie. – To Asheville, zaledwie kilka kilometrów na wschód. Jesteśmy blisko. Sądzę, że w ciągu paru następných dni może się zrobić bardzo ciekawie.

Mark miał przeczucie, że jego dobry humor już długo nie potrwa.

Podeszli jeszcze jakies dwa kilometry w kierunku celu, zagłębiając się w jeden z najgęstszych lasów, przez jakie zdarzyło im się dotąd wędrować. Alec chciał, żeby znajdowali się pod osłoną drzew na wypadek, gdyby ludzie, z którymi planował konfrontację, wysyłali w nocy patrole. Rozbili obóz, zjedli pośpieszną kolację, po czym usiedli razem, mając przed sobą pustą ziemię – nie rozpalali ogniska w obawie, że mogliby zostać wypatrzeni. Nie mogli ryzykować, że ich obecność zostanie wykryta tak blisko bazy, z której pochodził górolot.

Siedzieli tak, jedno obok drugiego, popatrując na siebie, podczas gdy zmierzch gęstniał, a w lesie coraz głośniejsze grały świerszcze. Mark zapytał o plany na następny dzień, ale Alec stwierdził, że nie są jeszcze gotowe. Chciał spokojnie pomyśleć, potem omówić wszystko z Laną i dopiero wtedy przedstawić swój zamysł pozostałym.

– Myślisz, że nie mielibyśmy żadnych sensownych sugestii? – spytała Trina.

– Prędzej czy później będziecie mogli się wykazać – mruknął oschle Alec. I to był koniec dyskusji.

Trina westchnęła teatralnie.

– A już zaczynałeś się znowu robić sympatyczny.

– Taa, no cóż. – Alec oparł się plecami o pień drzewa i zamknął oczy. – Teraz pozwól mi przez chwilę poużywać mózgu.

Trina spojrzała na Marka, szukając wsparcia, ale chłopak tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Już dawno przyzwyczaił się do zachowań starego niedźwiedzia. Poza tym po trosze się z nim zgadzał. Mark nie miał zielonego pojęcia, co powinni zrobić rano. Jak uzyskać informacje z miejsca, które jest im zupełnie obce, od ludzi, na temat których nie wiedzą kompletnie nic?

– Jak się czujesz, Deedee? – spytał. Dziewczynka siedziała po turecku, wpatrując się w ziemię. – Nad czym tak zawzięcie rozmyślasz?

Deedee wzruszyła ramionami i posłała mu półuśmiech. Chłopak uświadomił sobie, że mała może się bać, nie wiedząc, jaka będzie jej rola następnego dnia.

– Hej, słuchaj, nie musisz się martwić tym, co będzie jutro. Nie pozwolimy, żeby stało ci się coś złego. Okej?

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Trina nachyliła się i mocno przytuliła dziewczynkę. Jeżeli wcześniej były jakieś wątpliwości w kwestii tego, czy Alec i Lana odpuścili walczenie o to, żeby ludzie nie zbliżali się do siebie, to niniejszym zostały rozwiane. Żadne nie powiedziało ani słowa.

– To wszystko sprawy dorosłych – powiedziała Trina dziewczynce. – Ty się o nic nie martw, okej? Zostawimy cię w jakimś bezpiecznym miejscu, a potem spróbujemy się tylko rozmówić z tymi ludźmi. Nic więcej. Wszystko będzie w najlepszym porządku.

Mark miał się właśnie włączyć do rozmowy ze słowami otuchy, kiedy usłyszał dolatujący z oddali dźwięk. Brzmiało to jak śpiew.

– Słyszycie to? – wyszeptał.

Pozostali ożywili się – zwłaszcza Alec. Gwałtownie otworzył oczy i wyprostował się.

– Co? – spytała Trina.

– Posłuchaj. – Mark przyłożył palec do ust i przekrzywił głowę w kierunku odległego głosu.

Dźwięk był cichy, ale wyraźnie słyszalny. Jakaś kobieta śpiewała rytmiczną pieśń, wcale nie tak daleko, jak Markowi w pierwszej chwili się zdawało. Poczłł lodowate dreszcze – przypomniało mu się nucenie Misty, kiedy dopadła ją choroba.

– Co to jest, do cholery? – wyszeptał Alec.

Nikt się nie odezwał; wszyscy nasłuchiowali dalej. Śpiew był wysoki i melodyjny. Właściwie brzmiałby całkiem przyjemnie, gdyby nie wydawał się całkowicie nie na miejscu. Jeżeli ktoś tam w lesie naprawdę śpiewał, to... to było kompletnie od czapy. Do kobiecego głosu dołączył męski, potem jeszcze kilka innych, a po chwili zawodził już cały chór.

– Co tam się dzieje? – spytała Trina. – Msza święta, czy co?

Alec nachylił się z poważną miną.

– Obawiam się, że musimy to sprawdzić. Ja pójdę. Wy tu zostańcie i zachowujcie się cicho. To może być pułapka.

– Pójdę z tobą – powiedział Mark niemal bez zastanowienia. Nie podobało mu się, że miałby siedzieć w lesie i nic nie robić. Poza tym dręczyła go ciekawość.

Alec nie sprawiał wrażenia przekonanego. Popatrzył na Lanę, a potem na Trinę.

– Co? – spytała go Trina. – Myślisz, że my, kobiety, nie poradzimy tu sobie same? Idźcie, nic nam nie będzie. Prawda, Deedee?

Mała nie sprawiała wrażenia równie przekonanej; wyglądało na to, że śpiewy okropnie ją wystraszyły. Ale pokiwała głową, patrząc w górę na Trinę, i spróbowała się uśmiechnąć.

– No dobra – powiedział Alec. – Chodź, Mark. Sprawdzimy, co to za jedni.

Deedee odchrząknęła i wyciągnęła rączki, tak jakby chciała coś powiedzieć.

– Co? – spytała Trina. – Czy coś wiesz?

Dziewczynka energicznie potaknęła, nadal z przerażoną miną, a potem raptownie zaczęła mówić. Odkąd ją znaleźli, nie wypowiedziała łącznie tylu słów co teraz.

– Ci ludzie, z którymi mieszkałam. To oni. Wiem, że to oni. Zrobili się

dziwni, zaczęli... robić takie różne rzeczy. Mówili, że drzewa i rośliny i zwierzęta są magiczne. Zostawili mnie, bo mówili, że jestem... zła. – Przy ostatnim słowie głos jej się załamał i zaszlochała. – Bo mnie postrzelono i nie zachorowałam.

Mark i pozostali popatrzyli na siebie – właśnie zrobiło się jeszcze dziwniej.

– To lepiej zorientujmy się, co to za jedni – powiedziała Lana. – W każdym razie musicie się upewnić, że są od nas wystarczająco daleko i nie zmierzają w naszą stronę. Ale uważajcie na siebie!

Alec skinął głową. Sprawiał wrażenie niespokojnego. Wyraźnie chciał jak najszybciej ruszyć na zwiad. Lekko klepnął Marka w ramię i miał właśnie odejść, kiedy Deedee powiedziała jeszcze jedno zdanie.

– Uważajcie na brzydkiego pana bez uszu.

Wtuliła się w ramię Triny i zaczęła szlochać. Mark popatrzył na Aleca, ale ten potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: nie męcz już dziecka. Gestem ponaglił chłopaka i obaj bez słowa zagłębili się w las.

23

Śpiew nie ustawał, gdy maszerowali przez gęstwiny. Starali się robić jak najmniej hałasu, ale od czasu do czasu Mark nadeptywał na gałązki albo opadłe gałęzie, łamiąc je, a wtedy trzask suchego drewna rozdzierał panującą w lesie ciszę niczym wybuch małej bomby. Alec za każdym razem piorunował chłopaka spojrzeniem, jakby taka wpadka była najgłupszą rzeczą, jaką człowiek może zrobić.

Mark mógł tylko odpowiadać:

– Sorry

Starął się stąpać jak najostrożniej, ale wyglądało na to, że obiekty wydające straszne dźwięki w jakiś niewytłumaczalny sposób przyciągają go do siebie.

Gdy skradali się wśród drzew, coraz bardziej przybliżając się do źródła niepokojących śpiewów, z nieba zniknęły ostatnie ślady dnia. Drzewa stały się pionowymi cieniami, złowrogie, wysokie i stłoczone. Prawie tak, jakby nachylały się ku Markowi bez względu na to, gdzie stał lub dokąd szedł. I coraz trudniej przychodziło mu poruszenie się cicho, przez co Alec posyłał mu jeszcze więcej niezadowolonych spojrzeń. Teraz przynajmniej zrobiło się zbyt ciemno, aby wyraźnie było widać jego zirytowaną minę. Chłopak szedł wytrwale w ślad za starym twarządem.

Po przebyciu kolejnych kilkuset metrów zobaczyli przed sobą źródło światła. Blask był pomarańczowy i migotliwy. Ogień. Wielkie ognisko. Śpiew stał się głośniejszy, a także bardziej... intensywny. Ci ludzie zaczęli się naprawdę angażować w to, co robili. Cokolwiek to było.

Alec podkradł się do starego, grubego drzewa i kucnął za nim. Mark poszedł w jego ślady, starając się poruszać jak najciszej. Przycupnęli jeden obok drugiego. Miejsca było dość.

– Co myślisz o tym wszystkim, co mówiła Deedee? – wyszeptał Mark.

Chyba powiedział to za głośno, bo starszy mężczyzna posłał mu standardowe spojrzenie mówiące: *Cicho bądź!* Potem odparł cicho:

– Bardzo możliwe, że to właśnie ci ludzie, którzy ją zostawili. Te śpiewy

brzmia tak, jakby mieli jajecznicę zamiast mózgów. A teraz postaraj się nie hałasować, dobra?

Mark wzniósł oczy do nieba, ale Alec już odwrócił się do niego plecami i nachylił się, żeby wyrzeć zza pnia. Po kilku sekundach ponownie obrócił się twarzą do chłopaka.

– Nie jestem w stanie rozróżnić ich wszystkich – powiedział – ale wokół tego ogniska tańczy co najmniej czterech czy pięciu szajbusów, jakby próbowali przyzywać duchy przodków.

– Może właśnie to robią – podsunął Mark. – Dla mnie to wygląda jak jakaś sekta.

Alec wolno pokiwał głową.

– Może zawsze tacy byli.

– Deedee powiedziała, że mówili, że siedzi w niej zło. Może ten wirus, czy cokolwiek to jest, sprawił, że dostali większej szajby. – Członkowie dziwnego kultu cierpiący na chorobę, która uczyniła ich jeszcze bardziej szalonymi. Brzmiało to uroczo. – Aż mi ciarki chodzą po plecach, a nawet ich nie zobaczyłem z bliska.

– Taa, lepiej podejźmy bliżej. Chcę jeszcze raz rzucić na nich okiem, upewnić się, że nie stanowią dla nas zagrożenia.

Schylili się i wypęzli z kryjówki, przekradając się powoli od drzewa do drzewa. Alec za każdym razem sprawdzał, czy mogą bezpiecznie podejść do następnego. Mark był z siebie dumny – już od dłuższego czasu udawało mu się nie hałasować.

Peźli, aż znaleźli się jakieś sto metrów od tańczących. Śpiewy stały się krystalicznie wyraźne, a płomienie sprawiały, że wśród gałęzi w górze wirowały i przemykały cienie. Mark tym razem przykucnął za innym drzewem niż Alec i wychylił głowę zza pnia, żeby spojrzeć w dół zbocza.

Ogień huczał. Stos miał co najmniej trzy metry szerokości, a jęzory płomieni strzelały wysoko w powietrze, niemal liżąc niższe konary otaczających drzew. Mark nie wierzył własnym oczom – banda kretynów ryzykowała wzniesienie pożaru, który zniszczyłby cały las. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jaka susza wciąż jeszcze panowała wskutek zwiększonej aktywności słońca.

Pięcioro czy sześcioro ludzi tańczyło i wirowało wokół ogniska. Wymachiwali rękami, kłaniali się aż do ziemi, a potem odsuwali się na bok, żeby zacząć wszystko od początku. Mark spodziewał się, że będą odziani

w jakieś wariackie szaty lub nadzy, ale mieli na sobie normalne ubrania: T-shirty, podkoszulki bez rękawów, dżinsy, szorty, tenisówki. Mniej więcej dwanaścioro innych stało w dwóch rzędach po drugiej stronie ogniska, śpiewając tę dziwną pieśń, której Mark słuchał od dłuższego czasu. Nie rozumiał z niej ani słowa.

Alec trącił go w ramię, sprawiając, że chłopak podskoczył.

Mark odwrócił się do towarzysza i zmusił się, żeby mówić cicho.

– Ależ mnie wystraszyłeś.

– Przepraszam. Słuchaj, mam złe przeczucia co do tych ludzi. Bez względu na to, czy są dla nas zagrożeniem czy nie, ekipa z bunkra, do którego zmierzamy, na pewno już wie o ich obecności i zwiększyła czujność.

Mark zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma to swoich dobrych stron.

– Ale jeśli ci wariaci odwrócą ich uwagę, łatwiej nam będzie się tam podkraść. Nie sądzisz?

Alec zamyślił się, rozważając jego słowa.

– Taa, możliwe. Przypuszczalnie powinniśmy...

– Kto tam jest?

Mark zamarł, podobnie jak Alec. Gapili się na siebie z otwartymi ustami. Mark widział, jak płomień ogniska migoczą odbite w oczach towarzysza.

– Spytałam, kto tam jest? – To była kobieta, jedna z zebranych przy ognisku. – Nie chcemy wam zrobić krzywdy. Chcemy was tylko zaprosić, byście wraz z nami sławili przyrodę i duchy.

– O szlag – wyszeptał Alec. – Raczej nie skorzystamy.

– Zdecydowanie nie – potwierdził Mark.

Zatrzeszczały łamane gałązki i zanim zdążyli cokolwiek zrobić, stanęły nad nimi dwie osoby. Miały ognisko za plecami, więc Mark nie był w stanie rozróżnić twarzy. Ale sylwetki wyglądały na męską i kobiecą.

– Chodźcie zatańczyć i zaśpiewać z nami. Zapraszamy – powiedziała kobieta. Ton jej głosu wydawał się o wiele zbyt... spokojny, biorąc pod uwagę okoliczności. W tym nowym świecie do obcych należało podchodzić z większą ostrożnością.

Alec stanął prosto – nie było sensu dłużej kucać w krzakach jak dzieciaki podglądające dorosłych – więc Mark zrobił to samo. Jego towarzysz splótł ręce na piersi i wypiął pierś niczym niedźwiedź próbujący bronić

swojego terytorium.

– Słuchajcie no – warknął, jak to on. – Czuję się zaszczycony waszym zaproszeniem, ale jesteśmy zmuszeni uprzejmie odmówić. Na pewno nam wybaczycie.

Mark skrzywił się, myśląc, że ci ludzie są zbyt nieprzewidywalni – może wręcz niezrównoważeni – żeby ryzykować zwracanie się do nich nieuprzejmie czy z sarkazmem. Żałował, że nie widzi ich twarzy – wtedy mógłby ocenić, jak zareagowali – te jednak nadal pozostawały skryte w cieniu. – Cemu tu przyszliście? – spytał mężczyzna, tak jakby nie usłyszał, co powiedział Alec. – Cemu tu jesteście i nas szpiegujecie? Myślałby kto, że poczujecie się zaszczycony, że was zapraszamy.

Alec gwałtownie zaczerpnął tchu; Mark wyczuł jego rosnące napięcie.

– Byliśmy ciekawi – odparł spokojnie Alec.

– Dlaczego zostawiliście Deedee? – wypalił ni stąd ni zowąd Mark. Nie wiedział, co go podkusiło. W końcu nie miał nawet pewności, czy ci ludzie rzeczywiście byli z tej samej wioski, czy nie. – To przecież małe dziecko. Cemu zostawiliście ją jak psa?

Kobieta nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Mam złe przeczucia w kwestii was obu – odparła. – Nie możemy ryzykować. Złapcie ich.

Zanim Mark zdążył pojąć jej słowa, na szyję zarzucono mu pętlę ze sznura i szarpnięto tak mocno, że chłopak stracił równowagę. Zacharczał i chwycił się za gardło, usiłując poluzować ucisk. Zaraz potem zwałił się na plecy, tak że stracił oddech. Alec został schwytany w taki sam sposób; Mark słyszał, jak towarzysz klnie i się dławi. Kopiąc i wykręcając całe ciało, chłopak usiłował się odwrócić twarzą do napastnika, ale silne ręce złapały go pod pachami i podniosły z ziemi.

Prześladowcy zaczęli go wlec w dół zbocza.

W stronę ognia.

24

Mark w końcu przestał się szamotać, kiedy ktoś zdzielił go pięścią w twarz, tak że policzek przeszyła salwa bólu. Chłopak uświadomił sobie, że próby ucieczki są bezcelowe. Rozluźnił mięśnie i pozwolił, żeby napastnicy powlekli go tam, dokąd chcieli go zabrać. Zobaczył, że Alec nadal szarpie się w uścisku dwóch zwalistych mężczyzn, którzy coraz mocniej zaciskali sznur na jego szyi. Charczenie towarzysza sprawiało, że Markowi pękało serce.

– Przestań! – krzyknął. – Alec, przestań! Zabiją cię!

Oczywiście stary niedźwiedź nie posłuchał, tylko szarpał się dalej.

W końcu wywleczono ich na otwartą przestrzeń, gdzie nadal huczało ognisko. Na oczach Marka jakaś kobieta podeszła i dorzuciła jeszcze dwa polana do ryczącego inferno. Płomienie strzeliły wyżej, plując jaskrawymi czerwonymi iskrami. Człowiek, który złapał chłopaka, zawlókł go na drugą stronę ogniska i cisnął na ziemię przed podwójnym rzędem ludzi. Tamci przestali śpiewać i wszystkie oczy skierowały się na Marka oraz Aleca.

Mark zakaszlał i splunął – szyja paliła go od sznura – po czym spróbował usiąść. Wysoki mężczyzna – przypuszczalnie ten sam, który go tu przywlókł – oparł nogę w wielkim bucie o klatkę piersiową chłopaka i pchnął go z powrotem na ziemię.

– Leż – rozkazał. Bez gniewu czy zdenerwowania; powiedział to takim tonem, jakby nie sądził, że Markowi choćby przejdzie przez myśl, żeby się zbuntować.

Potrzeba było dwóch mężczyzn, żeby zwlec Aleca po zboczu, a Mark i tak był zszokowany, że im się udało. Zwalili go na ziemię obok chłopaka. Stary żołnierz stękał i jęczał, ale nie opierał się, bo tamci nadal trzymali drugi koniec sznura, którym obwiązano jego szyję. Rozkaszał się, co trwało dłuższą chwilę, po czym charknął i splunął krwią na piach.

– Dlaczego to robicie? – spytał Mark, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Leżał na wznak, wpatrując się w plątaninę gałęzi oraz odbłaski płomieni tańczące na liściach. – Nie przyszliśmy tu, żeby wam

zrobić krzywdę. Chcieliśmy się tylko dowiedzieć, kim jesteście i co robicie!

– To dlatego spytałeś o Deedee?

Przekręcił głowę i zobaczył, że parę metrów dalej stoi kobieta. Po sylwetce poznał, że to ta sama osoba, która przemówiła do nich wcześniej na zboczu góry.

Mark nie mógł uwierzyć w jej brak emocji.

– Więc to jednak wy ją zostawiliście. Dlaczego? I dlaczego nas uwięziliście? Chcemy tylko poznać odpowiedzi!

Alec nagle zaczął rozpaczliwie działać. Chwycił sznur, skoczył na równe nogi i wyszarpnął go z rąk mężczyzn trzymających drugi koniec. Potem skoczył na nich, wysuwając do przodu ramię niczym taran. Wpadł na jednego z tamtych i obaj zwalili się na ziemię, lądując z głuchym łomotem. Pięści Aleca poszły w ruch i udało mu się wymierzyć powalonemu kilka ciosów, zanim dwaj inni rzucili się na niego i ściągnęli go z ofiary. Podbiegł jeszcze jeden i we trzech zdołali rzucić Aleca na plecy, unieruchamiając mu ręce i nogi. Obalony wcześniej facet pozbierał się z ziemi i zaatakował starego, trzykrotnie kopiąc go w żebra.

– Przestańcie! – wrzasnął Mark. – Stop!

Szarpnął za sznur, który okalał jego własną szyję, i zaczął wstawać, ale ciężki but ponownie obalił go na piach.

– Nie waż się, powtarzam, nie waż się ponownie ruszyć – rozkazał jego prześladowca tym samym beznamiętnym tonem co wcześniej.

Pozostali nadal tłukli i kopali Aleca, ale były żołnierz się nie poddawał, usiłując walczyć mimo przeważającej liczby wrogów.

– Alec – jęknął Mark. – Przestań, bo naprawdę cię zabiją. Myślisz, że martwy przydasz nam się do czegoś?

Te słowa wreszcie przemówiły upartemu towarzyszowi do rozumu. Alec znieruchomiał, po czym powoli zwinął się w kłębek. Twarz wykrzywił mu wściekły grymas bólu.

Niemal dygocząc z gniewu, Mark z powrotem skupił uwagę na kobiecie, która po prostu stała tam, obserwując całą scenę z tym samym doprowadzającym do furii brakiem emocji.

– Kim wy jesteście? – spytał. To było wszystko, co zdołał z siebie wydusić, ale starał się zawrzeć w słowach tyle złości, ile tylko mógł.

Kobieta gapiła się na niego przez kilka sekund, nim odpowiedziała.

– Jesteście tu nieproszonymi gośćmi, intruzami. A teraz powiedz mi, co

z Deedee. Czy dziewczynka jest z wami? W waszym obozowisku, gdzieś w pobliżu?

– Co was to obchodzi? Zostawiliście ją! Co, boicie się, że zakradnie się do waszego obozu i zarazi was wszystkich? Ona jest zdrowa. Nic jej nie jest!

– Mamy swoje powody – odparła kobieta. – Duchy przemawiają, a my spełniamy ich rozkazy. Po tym, jak z nieba spadł deszcz demonów, opuściliśmy naszą wioskę w poszukiwaniu świętszych miejsc. Wielu naszych pobratymców odeszło, odmówiło przyłączenia się do nas. Błąkają się gdzieś w tym lesie, przypuszczalnie knując coś razem z demonami. Może ty jesteś ich szpiegiem.

Mark nie wierzył własnym uszom, słuchając tej absurdalnej wypowiedzi.

– Zostawiliście niewinną małą dziewczynkę dlatego, że mogła być chora? Nic dziwnego, że reszta ludzi z waszej wioski nie chciała mieć z wami nic wspólnego.

Kobieta sprawiała wrażenie autentycznie zdezorientowanej.

– Posłuchaj, chłopcze. Tamci są znacznie bardziej niebezpieczni niż my; atakują bez ostrzeżenia, zabijają bez wyrzutów sumienia. Po świecie grasuje zło w wielu odmianach. Nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko, zwłaszcza po tym, jak wymówiłeś imię Deedee. Jesteście uwięzieni i rozprawimy się z wami. Wypuszczenie was groziłoby zaalarmowaniem tych, którzy chcą nam zrobić krzywdę.

Mark gapił się na nią, a w głowie miał mętlik. Nagle dopadły go złe przeczucia. Im dłużej kobieta mówiła, tym bardziej się nasilały.

– Deedee powiedziała nam, że strzałki spadały z nieba. Widzieliśmy trupy w waszej małej osadzie. Nas spotkało to samo. Próbujemy tylko odkryć, dlaczego.

– Ta dziewczynka *sprowadziła* na nas zło. Stało się tak za sprawą jej nikczemnej natury. Jak sądzisz, czemu ją zostawiliśmy? Jeśli uratowaliście ją i przyprowadziliście w pobliże nas, uczyniliście coś strasznego niż możecie przypuszczać.

– Co to za pierdafony? – wykrztusił w końcu Alec. – Mamy większe problemy niż wy jesteście w stanie sobie wyobrazić, paniusiu.

– Musicie nas wypuścić – dodał pośpiesznie Mark, zanim Alec zdążył powiedzieć cokolwiek więcej. Stary może i był najtwardszym gościem w ich drużynie, ale kompletnie nie nadawał się na negocjatora. – Próbujemy tylko znaleźć bezpieczne miejsce, żeby się schronić. Proszę. Obiecuję, że

po prostu stąd odejdziemy. Nie powiemy nikomu o was i nie będziemy przyprawiać Deedee w pobliże was, jeśli nie chcecie. Zajmiemy się nią.

– Smuci mnie, jak niewiele pojmujecie – odrzekła kobieta. – Naprawdę.

Mark miał ochotę wrzasnąć, ale zmusił się do zachowania zimnej krwi.

– Proszę posłuchać. Spróbujmy sobie wszystko spokojnie wyjaśnić po kolei. Czy tak będzie fair? Chcę zrozumieć. I naprawdę, naprawdę potrzebuję, żeby pani zrozumiała nas. Czy może pani po prostu porozmawiać z nami, zamiast nas traktować jak zwierzęta? – Kiedy nie odpowiedziała, usiłował się chwycić czegokolwiek, żeby podtrzymać dialog. – To... może zaczniemy od początku? Od tego, jak znaleźliśmy się w tych górach.

Jej oczy były teraz szeroko otwarte, a spojrzenie puste.

– Zawsze uważałam, że demony będą się starały sprawiać miłe wrażenie, gdy przybędą po nas. Podstępem doprowadziliście do tego, że skrupowaliśmy was i przyprowadziliśmy tutaj. Zatem możecie nas ponownie oszukać, sprawiając miłe wrażenie. Demony. Wszyscy jesteście demonami. – Sztywno skinęła głową w kierunku jednego z mężczyzn stojących w pobliżu Marka i Aleca.

Ten wziął zamach i kopnął Marka w żebra. Ból eksplodował w boku chłopaka, który nie zdołał się powstrzymać od krzyku. Mężczyzna kopnął go ponownie, tym razem w plecy, prosto w nerkę. Po ciele Marka rozlało się dojmujące, tępe rwanie. Oczy zapiekły go od łez i krzyknął jeszcze głośniej.

Alec zaprotestował.

– Przestań, ty żałosny sukin... – Urwał, gdy jeden z prześladowców schylił się i walnął go pięścią w twarz.

– Czemu to robicie? – wrzasnął Mark. – Nie jesteśmy demonami! Potraciliście rozumy, ludzie! – Kolejny kopniak trafił go w żebra. Ból był nie do zniesienia. Chłopak zwinął się w kłębek, osłaniając się ramionami. Przygotował się na dalsze katowanie, wiedząc, że nie ma szans uciec.

– Stop!

To słowo wprost zagrzmiało w powietrzu, wykrzywane przez głęboki męski głos po przeciwnej stronie ogniska. Mężczyźni tłukący Marka i Aleca natychmiast odskoczyli w tył i uklękli, spuszczając twarze. Kobieta również padła na kolana i wbiła wzrok w ziemię.

Mark, nadal wzdrygając się z bólu, rozprostował nogi, usiłując dostrzec,

kto wypowiedział prostą, lecz skuteczną komendę. Za płomieniami zobaczył ruch i podążył za nim wzrokiem. W polu widzenia pojawił się nadchodzący mężczyzna. Gdy znalazł się w odległości paru metrów, przystanął, a oczy Marka powędrowały od jego grubych butów w górę, wzdłuż dżinsów i obcisłej kraciastej koszuli, aż do twarzy, która była pokryta ohydnyimi bliznami, niemal nieludzka. Mark najchętniej odwróciłby wzrok, ale nie pozwolił sobie na to. Odwzajemnił spojrzenie oszpeconego nieznajomego, spoglądając w jego przeszywające, pełne bólu oczy. Mężczyzna nie miał włosów. I nie miał uszu.

25

– Mam na imię Jedidiah – oznajmił nowo przybyły. Jego wargi były żółte i zniekształcone, wykrzywione w bok. Dziwnie seplenił, a głos miał pozbawiony intonacji. – Ale moi uczniowie nazywają mnie Jed. Wy też będziecie mnie nazywać Jed, widzę bowiem, że zostaliście źle potraktowani, a teraz jesteście moimi przyjaciółmi. Czy to jasne?

Mark skinął głową, natomiast Alec tylko mruknął niezrozumiale. Buntowniczy do ostatka, stary żołnierz usiadł, kiedy prześladowcy rozkazali im obu położyć się na wznak. Jednak mężczyźni, którzy bili ich chwilę wcześniej, teraz wszyscy poklękali jak do modlitwy. Mark też usiadł, mając nadzieję, że nie pociągnie to za sobą żadnych konsekwencji. Jed sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Doskonale – powiedział. – Wygląda na to, że wreszcie udało nam się zawrzeć pokój. – Podszedł bliżej i usiadł między nimi a ogniskiem, mając płomień za plecami. Ich drgająca poświata sprawiała, że zarys jego głowy wydawał się wilgotny i lśniący, niemal jakby skóra ponownie topiła się od żaru. Topiła się. Mark doszedł do wniosku, że to właśnie musiało nieszczęśnika spotkać.

– Czy to rozbłyśki słoneczne tak pana urządziły? – spytał.

Jed śmiał się cicho przez kilka sekund, ale jego śmiech nie był w najmniejszym stopniu sympatyczny ani wesoły. Raczej niepokojący.

– Zawsze mnie bawi, kiedy ktoś tak określa plagę demonów. Gdy do niej doszło, owszem, myślałem, że to tylko losowe kosmiczne zdarzenie, które przypadkiem dotknęło Ziemię. *Zbieg okoliczności. Niefortunny traf. Zwyczajny pech.* Oto słowa, które wówczas przebiegły mi przez myśl.

– A teraz uważasz, że to wielkie, złe demony posypały się z nieba? – spytał Alec. Jego ton jasno wskazywał, co stary żołnierz sądzi o tym pomysle. Mark posłał mu spojrzenie i poczuł się okropnie. Twarz towarzysza była pokryta krwią i zdążyły się na niej uwidocznic pręgi oraz sińce – efekty brutalnego bicia.

– To się wydarzyło już dwukrotnie – odrzekł Jed. Nic nie wskazywało na

to, żeby zauważył sarkazm Aleca. – Za każdym razem zguba przychodziła z niebios; najpierw było to słońce, później statki. Sądzimy, że mogą tu przybywać co roku, by nas karać za nasze zaniedbania i przypominać o tym, jacy powinniśmy się stać.

– Dwukrotnie... słońce, a później statki – powtórzył Mark. – Masz na myśli rozbłyśki słoneczne, a potem strzałki z górolotu?

Głowa Jeda gwałtownie obróciła się w prawo i w lewo, po czym mężczyzna ponownie zogniskował wzrok na Marku. *Co u diabła?*

– Tak, dwukrotnie – odrzekł mężczyzna, tak jakby to, co zrobił, było najzupełniej normalne. – A fakt, że nie dostrzegacie istotności tych wydarzeń, smuci mnie, ale i raduje. To znaczy, że wasze umysły nie wyewoluowały jeszcze na tyle, byście byli w stanie pojąć, co naprawdę oznaczają.

– Demony – powiedział Mark. Omal nie przewrócił przy tym oczami, ale powstrzymał się w samą porę.

– Demony. Tak, demony. Spaliły moją twarz, stopiły ją w to, co widzicie dzisiaj. Dzięki temu nigdy nie zapomnę o mym powołaniu. A potem przyszedł czas na małe strzałki z nieba, wypełnione ich nienawiścią. Minęły już dwa miesiące, a my nadal opłakujemy tych, którzy postradali życie tamtego dnia. To dlatego palimy ogniska, śpiewamy pieśni i tańczymy nasz taniec. I obawiamy się tych mieszkańców naszej wioski, którzy postanowili nie przyłączać się do nas. Bez wątpienia współpracują z demonami.

– Zaraz, dwa miesiące? – spytał Alec. – Jak to dwa miesiące?

– Tak – odrzekł powoli Jed, jakby przemawiał do zdezorientowanego dziecka. – Pieczołowicie liczymy dni. Każdy dzień. Minęły dwa miesiące i trzy dni.

– Ej no, moment – zaprotestował Mark. – Nie mogło upłynąć aż tyle czasu. Nas spotkało to zaledwie kilka dni temu.

– Nie lubię... kiedy ludzie poddają w wątpliwość moje słowa – stwierdził Jed, przy czym jego ton uległ drastycznej zmianie w połowie zdania. Głos mężczyzny nagle zabrzmiał groźnie. – Jak możecie tam siedzieć i zarzucać mi, że kłamię? Czemu miałbym kłamać? Próbowałem zawrzeć z wami pokój, dać wam szansę na nowe życie, a wy tak mi się odpłacacie? – Każde kolejne słowo wypowiadał głośniejsz, a kilka ostatnich wykrzyczał, dygocząc na całym ciele. – To... to sprawia, że głowa mnie boli.

Mark widział, że Alec może w każdej chwili wybuchnąć, więc pośpiesznie ścisnął go za ramię.

– Bądź cicho – szepnął. – Po prostu bądź cicho. – Potem z powrotem zwrócił się do Jeda. – Nie, proszę posłuchać. To nie tak. Po prostu próbujemy zrozumieć. Naszą wioskę te... statki ostrzelały strzałkami mniej niż tydzień temu. Dlatego założyliśmy, że z wami było podobnie. I... powiedział pan, że ludzie poumierali w dniu, gdy to się stało. Widzieliśmy zwłoki, które wyglądały na świeższe. Proszę, niech pan nam pomoże poskładać fakty w całość.

Mark miał przeczucie, że od tych ludzi dowie się ważnych informacji. Nie podejrzewał, by oszpecony mężczyzna kłamał w kwestii czasu, jaki upłynął od ataku. Krył się tu jakiś haczyk.

Jed tymczasem podniósł ręce i przycisnął dłonie w miejscach, gdzie kiedyś znajdowały się jego uszy. Kołysał się powoli z boku na bok.

– Niektórzy zmarli natychmiast. Inni dopiero później. Z biegiem czasu przybywało cierpiących. Przybywało zmarłych. Nasza wioska rozpadła się na frakcje. Wszystko przez demony. – Zaczął jęczeć rytmicznie, niemal zawodzić.

– Wierzymy panu – zapewnił Mark. – Chcemy tylko zrozumieć. Proszę po prostu mówić, niech pan opowiada, co działo się dalej, krok po kroku.

– Starał się, żeby w jego głosie nie było słychać frustracji, ale bez powodzenia. Jak miał prowadzić tę rozmowę?

– Sprawileś, że ból powrócił – rzekł napiętym tonem Jed, nie przestając się kołysać. Mięśnie rąk miał napięte i nadal z całej siły ścisnął głowę dłońmi, tak że jego łokcie sterczały na boki. Wyglądało to tak, jakby usiłował zgnieść własną czaszkę. – Tak strasznie boli. Nie mogę... Muszę... Musiały was przysłać demony. To jedyne wytłumaczenie. Mark uświadomił sobie, że jego czas się kończy.

– Nie, przysięgam, że nie. Jesteśmy tu, bo chcemy się od was dowiedzieć ważnych rzeczy. Może głowa boli pana dlatego, że... posiada pan wiedzę, którą powinien się pan z nami podzielić.

Alec spuścił wzrok.

– Przybyli dwa miesiące temu – powiedział Jed, a jego głos dobiegał jakby z daleka. – Od tamtej pory śmierć powracała falami. Za każdym razem trwało to dłużej. Dwa dni. Pięć dni. Dwa tygodnie. Miesiąc. A niektórzy ludzie z naszej własnej wioski – ludzie, których kiedyś zwaliśmy

przyjaciółmi – teraz próbują nas pozabijać. Nie rozumiemy, czego chcą od nas demony. Nie rozumiemy. Nie... rozu... miemy. Tańczymy, śpiewamy, składamy ofiary...

Padł na kolana, potem osunął się na ziemię, nadal przyciskając obie dłonie do głowy. Wydał przeciągły, pełen bólu jęk.

Markowi zabrakło cierpliwości. Jego zdaniem mężczyzna zachowywał się jak kompletny wariat i nie istniał sposób, żeby z nim racjonalnie rozmawiać. Chłopak popatrzył na Aleca i po wyrazie jego oczu poznał, że stary żołnierz jest gotów znowu spróbować ucieczki. Ich prześladowcy wciąż jeszcze klęczeli ze spuszczonej głowami – wyglądało to tak, jakby oddawali jakąś chorą cześć wijącemu się z bólu Jedowi. Teraz albo nigdy.

Mark miał właśnie rozważyć swój następny ruch, usiłując się skupić mimo jęków i zawodzenia Jeda, gdy w lesie za ich plecami zabrzmiały nowe dźwięki. Wrzaski, krzyki, śmiechy. Naśladowanie odgłosów ptasich i zwierzęcych. Towarzyszyło im trzeszczenie deptanego leśnego poszycia. Wszystkie te niepokojące dźwięki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, w miarę jak nieznajomi podchodzili bliżej. Potem, co było znacznie bardziej przerażające, najwyraźniej otoczyli polanę z ogniskiem, bo chór krakania, kukania, ryków i histerycznego śmiechu dobiegał teraz ze wszystkich stron. Cały ten zgiełk musiał się wydobywać z co najmniej kilku tuzinów gardeł.

– Co teraz? – spytał Alec z wyraźnym obrzydzeniem.

– Ostrzegaliśmy was przed nimi – powiedziała kobieta z miejsca, gdzie klęczała. – Niegdyś byli naszymi przyjaciółmi, rodziną. Teraz opętały ich demony i wszystko, czego pragną, to nas torturować, pozabijać.

Jed nagle dzwignął się z powrotem na klęczki, krzycząc na całe gardło. Gwałtownie spuścił głowę, potem pokręcił nią w lewo i prawo, jakby usiłował coś obluzować wewnątrz czaszki. Mark mimo woli odsunął się do tyłu, pełznąąc na czworakach, aż sznur obwiązany wokół jego szyi się napiął. Drugi koniec nadal znajdował się w rękach jednego z klęczących mężczyzn.

Jed wydał przeszywający, straszliwy wrzask, który zagłuszył wszystkie dźwięki dobiegające z lasu.

– Zabiły mnie! – zawył. Dźwięki dosłownie wydierały mu się z gardła. – Demony... wreszcie... mnie... zabiły!

Jego ciało napięło się, ręce zeszytniały wzdłuż boków i upadł, wydając

ostatnie tchnienie. Znieruchomiał, a z jego nosa i ust zaczęła się sączyć krew.

26

Mark zamarł, gapiąc się na ciało Jeda, które spoczywało na ziemi, nienaturalnie skręcone. Chłopak był w zasadzie pewien, że w całym swoim życiu ani razu nie przeżył tak dziwacznej godziny jak ta, która upłynęła od momentu, gdy przybyli do tego obozu szaleństwa. A jakby już nie mogło się zrobić dziwniej, teraz ze wszystkich stron otaczali ich wariaci, wydający zwierzęce odgłosy i śmiejący się histerycznie.

Mark powoli spojrzał na Aleca. Towarzysz był tak zaskoczony, że trwał bez ruchu, gapiąc się na Jeda.

W lesie nadal było słychać poruszenie i hałasy. Miauki, gwizdy, wiwaty i pohukiwania. Trzask gałązek i chrupot kroków.

Kłęczący mężczyźni – ci, którzy wcześniej tłukli Marka i Aleca – wstali, spoglądając na sznury, jakby nie byli pewni, co robić. Zerkali na więźniów, potem na siebie nawzajem i znowu na sznury. Śpiewacy stojący w dwóch szeregach za nimi zachowywali się tak samo – rozglądali się, jakby oczekując, że ktoś im powie, co robić. Wyglądało na to, że Jed pełnił rolę swoistego ogniwa spajającego ich wszystkich, a teraz, gdy go zabrakło, jego towarzysze byli zdezorientowani i niezdolni do funkcjonowania.

Alec pierwszy przeszedł do działania, wyraźnie chcąc wykorzystać sytuację. Zaczął szarpać sznur, którym obwiązano jego szyję, aż udało mu się wcisnąć palce pod pętlę i poluzować ją. Mark bał się, że mężczyźni widząc to otrząsną się z oszołomienia i zaatakują ich, ale oni zareagowali dokładnie na odwrót, puszczając swoje końce sznurów. Mark natychmiast wziął wzór z Aleca i zaczął pracować nad swoją pętlą, aż wreszcie udało mu się ją poluzować. Ściągnął ją przez głowę, uwalniając się akurat w momencie, gdy Alec cisnął swój sznur na ziemię.

– Wynośmy się stąd! – burknął starszy mężczyzna.

– A co z ich kumplami tam w lesie? – spytał Mark. – Jesteśmy otoczeni.

Alec westchnął głośno.

– Chodź. Będziemy po prostu musieli się przez nich przebić, jeśli spróbują nas zatrzymać. Zostawmy ich tym szajbusom.

Kobieta, która przemówiła do nich jako pierwsza, podeszła szybkim krokiem. Jej twarz wyrażała niepokój.

– Próbowaliśmy tylko ustrzec się przed demonami. Tylko tyle. I zobacz, obróciliście wszystkie nasze wysiłki wniwecz. Jak mogliście ściągnąć tu naszych wrogów? Po tych słowach wzdrygnęła się i zatoczyła o krok do tyłu, przyciskając dłoń do skroni. – Jak mogliście? – wyszeptała.

– Niezmiernie mi przykro – burknął Alec. Wyminął ją i zbliżył się do ognia. Z ryczących płomieni wystawał długi kawał drewna. Stary żołnierz ujął go za nietknięty koniec i wzniosł jak pochodnię. – To powinno sprawić, że zastanowią się dwa razy, zanim spróbują się do nas dobrać. Chodź, młody.

Mark obejrzał się na kobietę, która ewidentnie cierpiała z powodu bólu głowy, i wszystko zaczęło się układać w spójną całość.

– Powiedziałem: chodź! – wrzasnął na niego Alec.

W tejże chwili z otaczającego ich lasu wypadły z wrzaskiem tuziny wymachujących pięściami ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz szaleńczej wściekłości zmieszanej z rozradowaniem, Mark – pewien, że nigdy nie widział niczego podobnego – ruszył do akcji, biorąc wzór z towarzysza, i wyszarpnął z ogniska grube polano. Gdy nim machnął, z drugiego końca wystrzeliły płomienie. Uniósł tę zaimprovizowaną pochodnię przed sobą jak miecz.

Fala atakujących wpadła na szeregi śpiewaków. Napastnicy rzucali się na nich z dzikim bojowym rykiem. Dwóch mężczyzn wyskoczyło w powietrze i runęło wprost w ognisko. Na oczach przerażonego Marka ich ubrania i włosy zajęły się ogniem. Z ich gardeł wydarły się wrzaski, gdy zataczając się wyleźli z płomieni, ale było za późno. Cali w ogniu, płonąc żywcem, pognali w głąb lasu. Było w zasadzie pewne, że wzniecą pożar. Mark odwrócił się z powrotem do wyznawców dziwnego kultu. Bito ich i duszono, zewsząd otaczał go chaos. Działo się zbyt wiele, by jego umysł mógł to ogarnąć.

– Mark! – wrzasnął gdzieś w pobliżu Alec. – Może nie zauważyłeś, ale atakują nas!

– Proszę – krzyknął kobiecy głos za plecami Marka – zabierzcie mnie ze sobą!

Chłopak odwrócił się gwałtownie i ujrzał tę kobietę, która zarządziła, żeby ich pobito. Omal nie oparzył jej swoją pochodnią. Sprawiała

wrażenie odmienionej, pokornej. Jednak zanim zdążył odpowiedzieć, nagle znaleźli się w samym środku gigantycznego zamętu – wyglądało na to, że tysiąc osób tłucze się nawzajem pięściami. Marka zaczęto popychać i szturchać. Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że nowo przybyli atakują nie tylko obecnych. Wielu napastników walczyło między sobą – zobaczył, jak jakaś kobieta wpada w ogień. Jej wrzaski rozdarły powietrze.

Ktoś złapał Marka za koszulę i odciągnął go w bok. Chłopak już miał walnąć tego kogoś pochodnią, ale zobaczył, że to Alec.

– Masz cholerną skłonność do tego, żeby się pakować w kłopoty! – krzyknął stary żołnierz.

– Nie wiedziałem, od czego zacząć ani co robić! – zaprotestował Mark.

– Czasem trzeba po prostu działać! – Alec puścił koszulę chłopaka i obaj ruszyli w tym samym kierunku: w górę zbocza, dalej od ognia. Ale ze wszystkich stron otaczał ich tłum.

Biegając, Mark machał przed sobą pochodnią. Potem jednak ktoś skoczył mu na plecy. Chłopak upuścił płonący kij i padł jak długi, twarzą na ziemię. Sekundę później usłyszał łomot, okrzyk bólu i przygniatający go ciężar poleciał na bok. Mark spojrzał w górę i zobaczył, że to Alec wymierzył napastnikowi potężnego kopniaka.

– Wstawaj! – wrzasnął stary niedźwiedź. Ale zaledwie wymówił to słowo, sam został powalony na ziemię przez mężczyznę i kobietę.

Mark pozbierał się pośpiesznie, złapał upuszczoną pochodnię, podbiegł do Aleca, szamoczącego się z dwójką napastników. Pchnął mężczyznę płonącym końcem w kark – typ wrzasnął, chwycił się za szyję i spadł z Aleca. Mark zamachnął się i z całej siły walnął kobietę w bok głowy. Gdy zwała się na ziemię, słyszał już tylko huk płomieni.

Sięgnął w dół, złapał Aleca za rękę, pomógł mu wstać.

Rzuciło się na nich więcej ludzi. Co najmniej piątka czy szóstka.

Mark zaczął wymachiwać pochodnią, porzucając wszelką kontrolę, zdając się na instynkt i adrenalinę. Rąbnął mężczyznę, potem zamachnął się i walnął kobietę prosto w nos. Wyciągnął pochodnię w kierunku typa, który szarżował prosto na niego, wepchnął mu jej czubek w brzuch i zobaczył, jak ubranie tamtego staje w ogniu.

Alec był tuż obok Marka. Tłukł atakujących pięściami i łokciami, kopał, podnosił ludzi i odrzucał ich na bok niczym worki pełne śmieci. W którymś

momencie upuścił swoją pochodnię i już jej nie podniósł, bo łatwiej mu było bronić się oburącz przed napastnikami. Znow był w każdym calu tym żołnierzem co kiedyś.

Czyjeś ramię owinęło się od tyłu wokół szyi Marka. Napastnik uniósł go z ziemi i zaczął dusić. Mark zacisnął obie ręce na pochodni, po czym w desperacji rąbnął nią w tył. Nie trafił, wziął drugi zamach i spróbował znowu, wkładając w cios całą siłę, na jaką było go stać, choć w jego płucach zaczynało brakować tlenu. Gdy trafił, poczuł, jak solidne było uderzenie; usłyszał chrupnięcie miażdżonej chrząstki i wrzask mężczyzny. Upragnione powietrze napłynęło do jego piersi, gdy ręka wroga zwolniła uścisk.

Mark upadł na ziemię, wciągając życie z powrotem do płuc. Alec, zgięty wpół, też łapał oddech. Zyskali chwilę spokoju, ale jedno spojrzenie wystarczyło, by się przekonać, że w ich stronę zmierza więcej ludzi.

Alec pomógł Markowi wstać. Skierowali się w górę zbocza i na wpół popełzli, na wpół wspięli się pod osłonę gęstych drzew. Mark usłyszał za plecami odgłosy pościgu – ci ludzie nie chcieli pozwolić, by ktokolwiek uciekł. On i Alec dotarli w miejsce, gdzie teren stał się trochę bardziej płaski, i rzucili się sprintem naprzód. I właśnie wtedy Mark to zobaczył. Jakieś sto metrów przed nimi.

Olbrzymia połać lasu stała w płomieniach.

Między nimi a ich obozowiskiem. Gdzie zostawili Trinę, Lanę i Deedee.

27

Wszystkie drzewa i krzaki były na wpół martwe – wystarczyła iskra, by stanęły w ogniu. Od ostatniej porządnej ulewy minęło kilka tygodni; wszystko, co zdążyło wyrosnąć od czasu katastrofy, przywiędło i podeschło. Mgliste macki dymu snuły się nad ziemią wokół ich stóp, a powietrze wypełniał zapach palącego się drewna.

– Rozprzestrzeni się jak pożar? – krzyknął Alec.

Mark pomyślał, że towarzysz żartuję, ten jednak miał poważną minę.

– *To jest pożar!* – odkrzyknął chłopak.

Jednak Alec już zaczął biec prosto w kierunku odległych płomieni, których – jak się zdawało – zdążyło przybyć w ciągu tych kilku chwil. Mark ruszył za nim, wiedząc, że muszą się przedostać na drugą stronę, zanim pożar rozsialeje się na dobre – musieli dotrzeć z powrotem do Triny, Deede i Lany. We dwóch przedzierali się przez poszycie, depcząc rosnące gęsto krzaki jeżyn, omijając pnie drzew i zwisające nisko konary. Za sobą nadal słyszeli odgłosy pościgu, te jednak zaczynały cichnąć, jakby nawet wariaci zdawali sobie sprawę, że bieg w stronę płonącego lasu to szaleństwo. Jednak Mark nadal słyszał w gęstwinie upiorne pohukiwania i gwizdy. Biegł dalej, skupiając się na tym, żeby wrócić do Triny. Ogień był coraz bliżej. Trzaskał, huczał i pluł iskrami. Zerwał się wiatr, podsycając płomienie. Wysoko w górze olbrzymi konar odłamał się i spadł z hukiem, ciskając wszędzie iskry, aż w końcu uderzył o ziemię. Alec dalej zmierzał w stronę płonącej połaci lasu, nie zwalnając, tak jakby jego jedynym i ostatecznym celem było ponieść śmierć w ogniu, kładąc kres wszystkiemu.

– Nie powinniśmy skręcić? – krzyknął do niego Mark. – Dokąd biegniesz?

Alec odpowiedział nie odwracając się, tak że Mark musiał wyteńczyć słuch, żeby go usłyszeć.

– Chcę się trzymać tak blisko ognia jak to możliwe! Biegnij wzdłuż brzegów pożaru, żebyśmy cały czas wiedzieli, gdzie jesteśmy! Może uda nam się przy okazji zgubić tych psycholi!

– A ty wiesz dokładnie, gdzie jesteśmy? – Mark pędził tak szybko jak był w stanie, ale nie potrafił dogonić starego żołnierza.

– Tak – padła lakoniczna odpowiedź. Ale Alec wyciągnął swój kompas i popatrzył na niego, nie przerywając biegu.

Dym zgęstniał, utrudniając oddychanie. Ogień zajmował teraz całe Markowe pole widzenia; płomienie wzbijały się wysoko, rozświetlając noc. Gorąco napływało falami, czuł je na twarzy, porywane przez wiatr wiejący zza jego pleców.

Jednak gdy się zbliżyli – teraz od pożaru dzieliło ich tylko kilkadziesiąt metrów – fale gorąca przestały mieć znaczenie. Temperatura gwałtownie wzrosła. Mark był zlany potem i miał wrażenie, że jego skóra zaraz się roztopi. Kiedy już zaczął myśleć, że Alec chyba jednak postradał zmysły, jego towarzysz nagle skręcił ostro w prawo i biegł teraz równoległe do granicy rozprzestrzeniającego się ognia. Mark trzymał się tak blisko niego jak tylko mógł, powierzając staremu żołnierzowi swoje życie po raz nie wiadomo który, odkąd się spotkali w tunelach transmetra.

Gdy biegł, parzący żar oblewał jego ciało. Z lewej zionęło wściekłym gorącem, z prawej napływało chłodniejsze powietrze. Ubranie Marka tak się rozgrzało, jakby miało lada chwila stanąć w ogniu, mimo że było mokre od potu. Jednak włosy miał suche – rozpalone powietrze wysysało z nich całą wilgoć. Wyobrażał sobie, że mogą lada chwila posypać się na ziemię jak zeschnięte sosnowe igły. I jego oczy. Miał wrażenie, że zapiekają się w oczodołach; mrużył powieki, przecierał je, usiłując pobudzić wydzielanie łez, ale bez skutku.

Biegł dalej śladem Aleca, mając nadzieję, że uda im się okrążyć pożar i oddalić się, zanim umrze z pragnienia czy od udaru cieplnego. Teraz słyszał już tylko huk płomieni – nieustający ryk, który brzmiał jak odpalone silniki tysiąca górolotów.

Nagle z lasu po ich prawej stronie wyłoniła się gnająca pędem kobieta. Ogień odbijał się w jej szalonych oczach. Mark przygotował się na walkę, pewny, że kobieta odwróci się i ich zaatakuje. Ona jednak przebiegła tuż przed nosem Aleca – gdyby poruszała się odrobinę wolniej, wpadłby prosto na nią. Biegła dalej, milcząca i zdeterminowana. Jej stopy deptały poszycie z głośnym trzaskiem. Potknęła się i upadła, wstała z powrotem. A potem zniknęła za ścianą ognia i jej krzyki urwały się raptownie.

Alec i Mark biegli dalej.

W końcu dotarli na skraj rozprzestrzeniającego się inferno, którego granica była znacznie wyraźniejsza niż Mark się spodziewał. Nadal trzymali się w tej samej odległości od ognia, ale poczuł się lepiej – jego ciało wypełniła świeża porcja adrenaliny – gdy skręcili w lewo, znów zmierzając w stronę Triny i pozostałych. Mark zaczął biec jeszcze szybciej, omal nie podciął nóg Alecowi, zrównując się z nim. Biegli teraz ramię w ramię.

Każdy oddech sprawiał Markowi trudność. Wciągane powietrze paliło jego gardło, a dym był jak trucizna.

– Musimy... się... oddalić... od tego pieca.

– Wiem! – odkrzyknął Alec, po czym rozkaszał się na dłuższą chwilę. Szybko zerknął na zaciskany w dłoni kompas. – Już... niedługo.

Wkrótce okrążyli kolejny róg płonącej połaci lasu i tym razem Alec skręcił w prawo, oddalając się od ognia. Mark podążył za nim, uświadamiając sobie, że kompletnie stracił orientację. Miał wrażenie, że nie powinni teraz zmierzać prosto przed siebie, ale zaufał starszemu mężczyźnie. Z nową energią przedzierali się przez las, jeszcze szybciej niż wcześniej. Z każdym wciąganiem do płuc oddechem Mark czuł, że powietrze staje się świeższe. Ryk płomieni też przycichł na tyle, że chłopak znowu słyszał trzeszczenie gałązek pod swoimi stopami.

Nagle Alec się zatrzymał.

Mark wyprzedził go o parę kroków, zanim sam przystanął. Odwrócił się do towarzysza i spytał, czy nic mu nie jest.

Alec opierał się o pień drzewa. Jego pierś wznosiła się i opadała, gdy krótkimi haustami łapał powietrze. Kiwnął głową, po czym z głośnym jękiem ukrył twarz w zgięciu łokcia.

Mark zgiął się wpół, opierając dłonie na kolanach, ciesząc się z chwili odpoczynku. Wiatr ucichł i wyglądało na to, że oddalili się na bezpieczną odległość od ognia.

– O rany, tam wcześniej napędziłeś mi niezłego stracha. Nie jestem pewien, czy to było najmądrzejsze, biec tuż obok szalejącego pożaru.

Alec popatrzył na chłopaka, ale większą część jego twarzy skrywał cień.

– Pewnie masz rację. Ale w takiej okolicy łatwo nocą pomylić kierunki. Skupiłem się na tym, żeby cały czas pamiętać, którądy wcześniej szliśmy. – Sprawdził swój kompas, po czym wskazał jakiś punkt ponad ramieniem Marka. – Nasz mały obóz jest tam.

Mark obejrzał się, ale nie zobaczył niczego, co by wyróżniało tamtą część lasu.

– Skąd wiesz? Ja widzę tylko mnóstwo drzew.

– Po prostu wiem.

Noc rozdarły dziwne odgłosy, zmieszane z jednostajnym rykiem pożaru. Wrzaski i krzyki. Nie sposób było poznać, skąd dochodzą.

– Wygląda na to, że ci popaprańcy nadal latają po lesie, prosząc się o kłopoty – stwierdził Alec zde gustowanym tonem.

– Popaprańcy, to fakt. Miałem nadzieję, że wszyscy zginą w tym pożarze. – Dopiero kiedy Mark wypowiedział te słowa na głos, uświadomił sobie, jak okropnie zabrzmiały. Ale ta część jego umysłu, która chciała przetrwać za wszelką cenę – ta, która w ciągu ostatniego roku stała się bezlitosna – wiedziała, że to prawda. Nie chciał się więcej o nich martwić. Nie chciał spędzić reszty nocy oraz całego następnego dnia, oglądając się przez ramię.

– Nadzieja matką głupich – stwierdził Alec. Głęboko zaczerpnął tchu. – Dobra. Lepiej się pośpieszmy i dołączmy z powrotem do naszych trzech pań.

Zaczęli truchtać, trochę wolniej niż wcześniej, ale niewiele. Fakt, że znowu słyszeli wariatów – nawet jeśli wyglądało na to, że ci chwilowo znajdują się dość daleko – oczywiście sprawił, że obaj czuli napięcie.

Po kilku minutach Alec zmienił kierunek, a później zrobił to ponownie. Zatrzymał się, rozejrzał, żeby się zorientować w terenie, przez chwilę rozgarniał gałęzie, a potem wskazał w dół zbocza.

– Aha – powiedział. – Nasz obóz jest tam w dole, kawałek dalej.

Ruszyli w tamtą stronę, ślizgając się i osuwając po zboczu, które stawało się coraz bardziej strome. Wiatr zmienił kierunek – dął teraz w stronę pożaru, wypełniając ich płuca świeżym powietrzem i przynajmniej tymczasowo zmniejszając to konkretne zagrożenie. Mark tak się przyzwyczaił do łuny płomieni, że nie zauważył, kiedy nadszedł świt – niebo widoczne między gałęziami nad jego głową było teraz fioletowe, nie czarne, i widział już, dokąd idzie. Teren zaczął wyglądać znajomo i nagle znaleźli się z powrotem w swoim obozowisku. Ich rzeczy nadal leżały dokładnie tak, jak je zostawili.

Ale nie było ani śladu Triny i pozostałych.

W piersi Marka zakiełkowało ziarenko paniki.

– Trina! – wrzasnął. – Trina!

On i Alec pośpiesznie przeczesali otaczający teren, cały czas wykrzykując imiona towarzyszek. Ale wokół panowała cisza.

28

Mark z trudem panował nad emocjami. Chociaż przeszli razem przez tyle syfu, do tej pory on i Trina w zasadzie ani razu nie zostali rozdzieleni. Wystarczyło dziesięć minut jej nieobecności, żeby poczuł się przytłaczająco bezsilny.

– Niemożliwe – powiedział do Aleca, gdy szukali towarzyszek, zataczając coraz większe kręgi wokół obozu. Słyszał desperację we własnym głosie. – Nie ma takiej opcji, żeby sobie po prostu pomaszerowały w las, kiedy nas nie było. Zostawiłyby nam przynajmniej kartkę z wiadomością albo coś. – Przeczesał ręką włosy, a potem wrzasnął głośno, tylko dlatego, że był wściekły i sfrustrowany.

Alecowi znacznie lepiej wychodziło zachowywanie spokoju.

– Uspokój się, chłopcze. Musisz pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Lana jest równie twarda jak ja i ma znacznie więcej pomysłu. Po drugie, zapominasz o szczegółach.

– Co masz na myśli? – spytał Mark.

– Tak, masz rację, w normalnych okolicznościach czekałyby tutaj, aż wrócimy. Ale to nie są normalne okoliczności. W pobliżu szaleje pożar lasu, a po zaroślach latają wariaci, wrzeszcząc jak w horrorze. Czy ty na ich miejscu siedziałbyś tu i dłubał w nosie?

Jego słowa ani trochę nie poprawiły Markowi samopoczucia.

– Więc... sądzisz, że ruszyły nas szukać? A co jeśli minęliśmy je, wracając tutaj? – Zacisnął pięści i przyłożył je do oczu. – Mogą być teraz gdziekolwiek!

Alec szybko podszedł do niego i złapał go za ramiona.

– Mark! Co się z tobą dzieje? Uspokój się, synu!

Mark opuścił ręce i popatrzył w oczy towarzysza, które w słabym porannym świetle były szare i twarde jak stal, ale spoglądały z autentyczną troską.

– Przepraszam. Ja tylko... Trochę mi odwala. Co my teraz zrobimy?

– Nie będziemy tracić głowy, zachowamy spokój i będziemy myśleć. A

potem ruszymy na poszukiwanie i znajdziemy Lanę i dziewczyny.

– Deedee to małe dziecko – powiedział Mark. – Co jeśli ci ludzie, którzy nas zaatakowali, jakimś cudem dotarli tu pierwsi? Porwali je?

– Wtedy je odbijemy. Ale najpierw musisz się opanować, bo inaczej nie mamy szans. Czaisz?

Mark zamknął oczy i pokiwał głową, starając się uspokoić łomoczące w szaleńczym rytmie serce i stłumić panikę, która w nim płonęła. Alec wykombinuje, co trzeba zrobić. Jak zawsze.

W końcu chłopak z powrotem podniósł wzrok na starego żołnierza.

– Okej. W porządku. Przepraszam.

– Dobra. Tak lepiej. – Alec cofnął się o krok i zaczął się przypatrywać ziemi. – Jest już dostatecznie jasno. Musimy znaleźć coś, co nam powie, którędy poszły – złamane gałęzie, ślady stóp, zdeptane poszycie, cokolwiek. Zacznij szukać.

Mark usłuchał. Desperacko potrzebował zająć umysł czymś innym niż wyobrażanie sobie każdego z możliwych strasznych scenariuszy. Z wiatrem nadal napływały odgłosy pożaru oraz – od czasu do czasu – wrzaski lub śmiech, ale wszystko to dobiegało z daleka. Przynajmniej na razie.

Przepatrzył cały pobliski teren, ostrożnie przyglądając się każdemu kawałkowi gruntu, zanim odważył się zrobić kolejny krok. Jego głowa obracała się do góry, w dół i na boki, jakby był robotem zaprogramowanym na wyszukiwanie i zbieranie przedmiotów. Potrzebowali tylko jednej konkretnej wskazówki – jeśli ją znajdą, pewnie uda im się złapać trop. Mark poczuł, że ogarnia go niemalże duch współzawodnictwa – chciał być tym, który pierwszy na coś natrafi. Potrzebował tego, żeby poczuć się lepiej, poczuć, że znaleźli się na ścieżce, która pozwoli mu uciec od dręczących go spanikowanych myśli.

Nie mógł stracić Triny. Nie teraz.

Alec szukał tropów jakieś sześć metrów dalej od obozu. Opadł na czworaki i dosłownie węszył na ziemi jak pies. Wyglądał idiotycznie, ale coś w jego zachowaniu wzruszyło Marka. Stary posiwiasty niedźwiedź rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje – chyba że akurat wrzeszczał, krzyczał czy walił w coś pięścią... lub w kogoś... ale często pokazywał, jak bardzo mu w rzeczywistości zależy. Mark nie miał wątpliwości, że towarzysz byłby gotów oddać życie tu i teraz, gdyby to oznaczało, że

uratuje jedną z trzech przyjaciółek. Czy on sam mógłby powiedzieć to samo o sobie?

Obaj wielokrotnie natrafiali na oczywiste ślady – złamane gałązki, odciski podeszew na ziemi, odsunięte gałęzie drzew czy krzaków – ale za każdym razem dochodzili do wniosku, że to oni sami zostawili je wcześniej. Po jakiejś półgodzinie Mark zdał sobie sprawę, że przez cały czas przeczesują teren po tej stronie obozu, w którą udali się ubiegłej nocy. Przystanął i wyprostował się.

– Hej, Alec – powiedział.

Starszy mężczyzna, nadal na czworakach, właśnie zaglądał między gałęzie krzewu. Burknął coś, co brzmiało z grubsza jak:

– Taa?

– Dlaczego cały czas szukamy po tej stronie?

Alec oderwał się od krzewu i obejrzał się na chłopaka.

– Wydawało mi się to logiczne. Założyłem, że albo poszłyby za nami, żeby nas szukać, albo zostały porwane przez tych samych szajbusów, którzy nas zaatakowali. Albo... może poszły sprawdzić, w którą stronę rozprzestrzenia się ogień.

Mark miał przeczucie, że towarzysz jest w błędzie.

– Albo uciekły przed ogniem. Nie każdy mieszkaniec tej planety jest tak rąbnięty jak wy, żołnierzu. Kiedy większość ludzi widzi potężne, ryczące inferno, które się przybliża, co robią? Biorą nogi za pas. Tak tylko mówię.

– Nie, nie sądzę. – Alec dźwignął się tymczasem na kolana i przeciągnął się, żeby dać nieco ulgi plecom. – Lana nie jest tchórzem. Nie ratowałyby siebie, zostawiając nas na śmierć.

Mark kręcił głową, zanim jeszcze stary żołnierz skończył mówić.

– Zastanów się jeszcze raz. Lana ma o tobie tak samo niebotycznie wysokie zdanie, jak ty o niej. Pomyślałaby, że jesteś bezpieczny i świetnie sobie radzisz sam. Wzięłaby też pod uwagę okoliczności i dopiero po namyśle zdecydowałaby, co robić. Mam rację czy mam rację?

Alec wzruszył ramionami, po czym spiorunował chłopaka wzrokiem.

– Więc myślisz, że po tym wszystkim Lana zostawiłaby nas, żebyśmy zginęli z rąk wariatów, i uciekłyby ile sił w nogach?

– Nie wiedziała, że wpadliśmy w ręce wariatów. Powiedzieliśmy jej, że idziemy tylko sprawdzić, co tam się dzieje, pamiętasz? Potem prawdopodobnie usłyszała więcej hałasu i zobaczyła, że zbliża się ogień.

Założę się, że przeszła w tryb piętrowej logiki i uznała, że najlepiej będzie uciekać w kierunku bazy tych ludzi od górolotu, bo my pewnie postanowiliśmy zrobić to samo. I że tam się spotkamy. Ostatecznie wcześniej wskazałeś ogólny kierunek, w którym mieliśmy iść.

Alec kiwał głową i burczał pod nosem. Trudno było dociec, co myśli.

– Nie wspominając o tym, że Lana ma pod opieką cywila – wypowiadając to słowo, Mark zrobił w powietrzu gest oznaczający cudzość – i małą dziewczynkę, która pewnie jest nieprzytomnie przerażona. Wątpię, czy Lana postanowiłaby je zostawić same, żeby nas szukać, albo poprowadziłaby je bliżej niebezpieczeństwa.

Alec dźwignął się na nogi i otrzepał kolana.

– Dobra, chłopcze, możesz już przestać gadać. Przekonałeś mnie. Ale... do czego zmierzasz? – Na jego twarzy malował się ledwie widoczny uśmiech. I Mark wiedział, czemu. Staremu niedźwiedziowi podobała się ta rozmowa – obserwował, jak uczeń sam dochodzi do sensownych wniosków. Mark wyciągnął rękę w przeciwnym kierunku, zidentyfikowanym poprzedniego dnia przez Aleca jako ten, w którym powinni zmierzać. Tam, gdzie znajdowała się baza górolotu. Miejsce, gdzie znajdą ludzi, którzy po raz drugi zrujnowali im życie.

– Tak jak mówiłem – Alec powiedział to z teatralnym westchnieniem – przekonałeś mnie. Chodź, poszukamy po tamtej stronie. – Mijając Marka, mrugnął do niego, ale potem zrobił marsową minę.

Mark się roześmiał.

– Ależ z ciebie dziwny gość.

Alec zatrzymał się i odwrócił do niego przodem.

– Moja mama tak mawiała. Budziła mnie rano, dostawałem od niej całusa i uścisk, a potem mówiła: „Mój słodki Alec. Ależ z ciebie dziwny mały gość.” Zawsze mnie to chwytało za serce. – Poklepał się po klatce piersiowej, po czym dramatycznie przewrócił oczami. – Bierzmy się do roboty.

– Widzisz? – spytał Mark, idąc za nim. – Czy potrzeba mi więcej dowodów? Dziwny. Mały. Gość. To oficjalnie potwierdzone.

– Jedno słowo się zgadza. Zdecydowanie jestem gość. Jestem gość że hej, szczeniaku. – Alec wydał zduszony, zdławiony odgłos, który mógł być śmiechem.

Gdy dotarli w miejsce wskazane przez Marka, zaczęli stąpać ostrożnie.

Wkrótce wrócili do szukania tropów, przeczesując każdy centymetr kwadratowy w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów. Mark przystanął, żeby nasłuchiwać dźwięków, które zlały się z tłem – ledwie się je zauważało, dopóki człowiek nie skupił się na nich. Ryczący, trzeszczący, trzaskający pożar lasu, nadal w bezpiecznej odległości, ale coraz bliżej, i dolatujące od czasu do czasu pohukiwanie, pokrzykiwanie czy śmiechy ich nowych, wrogo nastawionych przyjaciół. One również dobiegały z bezpiecznej odległości, chociaż ciężko było określić kierunek. Teraz, gdy wzeszło słońce, uwidoczniła się wisząca w powietrzu mgiełka dymu.

– Coś znalazłem – obwieścił Alec. – Uważaj! – wrzasnął, gdy Mark podbiegł, żeby spojrzeć.

– Oj. Przepraszam. – Chłopak zwolnił i podszedł ostrożnie, żeby stanąć obok starego żołnierza.

Alec klęczał, opierając się na piętach. W ręku miał patyk i mówiąc, wskazywał nim szczegóły.

– Tu są jakieś trzy krzaki pod rząd, przez które ktoś przeszedł, i na pewno była to więcej niż jedna osoba. Zobacz, tam są podeptane liście, dalej złamana gałąź, a tu i tu widać ślady stóp. – Wskazał jeden w pobliżu.

Mark nachylił się i zobaczył wgłębienie w kształcie stopy. Nieduże. Akurat takiej wielkości, która pasowałaby do Deedee.

– Jest tylko jeden problem – kontynuował Alec posępnym tonem.

– Jaki? – spytał pośpiesznie Mark.

Alec patykiem wskazał miejsce – tuż nad ziemią, po której przeszły ich towarzyszeki – gdzie rosła kępka liści. Ich lśniąca zieloną powierzchnię pstrzyły kropelki krwi.

29

Mark nie pozwolił sobie na kolejny atak paniki. Jednak nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, we wnętrznościach miał lód, a ręce śliskie od potu. Przypuszczał też, że twarz mu pobraźla. Niemniej, zmusił się do zachowania spokoju, podczas gdy Alec wstał i powoli zaczął iść po tropach, które znaleźli.

Stary żołnierz z rosnącym niepokojem wskazał dalsze ślady krwi wzdłuż ścieżki. Nie było ich wiele, ale wystarczająco dużo, żeby wyraźnie rzucały się w oczy.

– Trudno powiedzieć, jak poważna była rana. Wiem z doświadczenia, że tyle krwi potrafi polecieć z rozbitego nosa, ale widziałem też gościa z oderwaną ręką, który nie krwawił praktycznie wcale. Wybuch momentalnie skauteryzował mu ranę.

– To nie brzmi... pocieszająco – wymamrotał Mark.

Alec obejrzał się na niego.

– Przepraszam, dzieciaku. Próbuję tylko powiedzieć, że moim zdaniem to wszystko niekoniecznie źle wróży. Ten, kto jest ranny, mógł się po prostu głęboko skaleczyć. Niejeden już stracił znacznie więcej krwi i przeżył. Może dzięki temu łatwiej nam będzie iść ich tropem.

Alec ruszył dalej. Maszerując, zwracał głowę to w lewo, to w prawo, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu. Mark podążał tuż za nim, starając się nie patrzeć na ślady krwi. Nie był w stanie. Przynajmniej dopóki jego nerwy trochę się nie uspokoją. Miał nadzieję, że nie szukają wiatru w polu, lub jeszcze gorzej – nie pakują się prosto w pułapkę.

– Czy mamy jeszcze jakiś dowód, że to na pewno Trina i pozostałe? – spytał.

Alec zatrzymał się i pochylił nisko, żeby obejrzeć ziemię obok podeptanego krzaka.

– Sądząc po śladach, powiedziałbym, że to nasze piękne panie tu były. Wystarczająco wyraźnie widzę odciski ich butów. I... – Nerwowo zerknął do tyłu.

– I co?

– No cóż... Od jakiegoś czasu nie widziałem śladów Deedee, więc zgaduję, że ktoś musiał wziąć biedactwo na ręce tam wcześniej. – Pokazał kciukiem za siebie.

– Więc może to ona się zraniła – podsumował Mark. Ta myśl sprawiła, że poczuł w brzuchu chłód. – Może... może po prostu upadła i zdarła sobie skórę z kolana czy coś.

– Taa – odparł tępo Alec. – Ale jest jeszcze jedna rzecz...

Mark jeszcze nigdy nie widział, żeby towarzysz tak się wzdragał przed wypowiedzeniem czegoś na głos.

– Weź to po prostu wyduś z siebie! Co się dzieje?

– Kiedy tutaj dotarli – powiedział cicho Alec, zupełnie jakby nie zauważył przygany Marka – jestem na sto procent pewien, że biegły. I to biegły na oślep. Wszystko pasuje. Długość ich kroków, podeptane krzaki, połamane zarośla i gałęzie. – Napotkał spojrzenie Marka. – Jakby uciekały przed pościgiem.

To sprawiło, że Mark poczuł w gardle gulę. Potem coś sobie przypomniał.

– Ale dopiero co powiedziałaś, że widzisz ślady trzech osób i nikogo więcej. Czy widać tu cokolwiek, co wskazywałoby, że ktoś je gonił?

Alec spojrzał w górę, potem wskazał niebo.

– W tych okolicach zagrożenia potrafią latać, pamiętasz?

Tak jakby mało już mieli zmartwień.

– Nie sądzisz, że coś byśmy usłyszeli, gdyby przyleciał tu górolot i przegonił nasze przyjaciółki z tego zbocza?

– W samym środku tego burdelu, z którego udało nam się zwiać? Może nie. Poza tym mogło tu przylecieć coś innego niż górolot.

Mark ze znużeniem ponownie spojrzał w górę.

– Po prostu idźmy dalej.

Obaj wznowili marsz po śladach. Mark przez cały czas miał nadzieję, że nie znajdą już więcej krwi. A tym bardziej czegoś gorszego.

* * *

Ślady Triny, Lany i Deedee doprowadziły ich do długiego, płytkiego parowu, który prowadził do niemal niewidocznego kanionu. Mark nie

zauważył, jak zbocza gór po bokach stają się coraz wyższe, a nachylenie terenu było na tyle nieduże, że nie miał poczucia, by schodzili bardzo szybko. Zwłaszcza że ze wszystkich stron otaczał ich las, a przez większość czasu skupiali się na wypatrywaniu wskazówek i śladów pozostawionych przez ich przyjaciółki. Jednak w jednej minucie wędrowali przez gęsty zagajnik, a w następnej wyszli na rozległą polanę, po bokach której wznosiły się urwiska z szarego granitu – ściany kanionu. Były tak strome, że tylko trochę roślinności rośło w małych kępkach tu i ówdzie.

Alec wyciągnął swoją rysowaną odręcznie mapkę i zatrzymał się.

– Jesteśmy na miejscu. – Kazał Markowi się cofnąć i obaj schowali się za wielkim pniem dębu.

– Serio?

– Jestem prawie pewien, że to do tej doliny wracał nasz górolot po każdej podróży.

Mark wychylił się zza drzewa i przyjrzał się wysokim, groźnie wyglądającym ścianom.

– Trochę niebezpiecznie byłoby tu wlecieć, nie sądzisz?

– Może, ale to też idealne miejsce, żeby się ukryć. Gdzieś w pobliżu musi być lądowisko oraz wejście do tego czegoś, co nazywają domem. Nadal myślę, że to może być stary rządowy bunkier. Zwłaszcza że znajdujemy się tak blisko Asheville; miasto jest zaraz po drugiej stronie tego kanionu.

– Taa. – Jedna kwestia niepokoiła Marka. – To... jakie są szanse, że Lanę i resztę ścigano by na tak długim odcinku? Martwię się, że zostały złapane.

– Może nie. Lana wie, że bez sensu byłoby krążyć tu i tam po górach, szukając nas. Lepiej skierować się prosto w ten jeden punkt, który idealnie się nadaje na miejsce spotkania. Tutaj.

– To gdzie one teraz są?

Alec nie odpowiedział; coś na polanie przykuło jego uwagę.

– Być może obaj mamy rację – wyszeptał w końcu. Jego ochrypły głos brzmiał złowroźnie.

– Co zobaczyłeś?

– Trzymaj się blisko ziemi i chodź za mną.

Alec opadł na czworaki i wpełzł zza drzewa, trzymając się poniżej linii krzewów i krzaków. Mark zrobił to samo i wylazł w ślad za towarzyszem na polanę, pewien, że lada chwila jakiś górolot sfrunie z góry, żeby ich

zaatakować strzałkami. Trzymali się ledwie widocznej ścieżki, którą – jak zakładał Mark – podążały wcześniej Trina i jej towarzyszki. Z początku myślał, że może góroloty lądują na polanie, ale nic nie sugerowało, że tak jest – roślinność wszędzie rośla jednakowo gęsto.

Alec przedzierał się przez zarośla przez jakieś dziesięć metrów, po czym przystanął. Mark wyrzwał zza jego ramienia i zobaczył miejsce, gdzie krzaki zostały podeptane i zmiżdżone. To musiały być ślady walki. Serce w nim zamarło.

– O nie – to było wszystko, co zdołał wykrztusić.

Alec zwiesił głowę. Przesunął się i nachylił jeszcze niżej.

– Miałeś rację. Nie ma wątpliwości, że tu zostały schwytane. Popatrz, po drugiej stronie krzaki są zdeptane na amen. Tak jakby przemaszerowało po nich dwudziestu ludzi.

Mark znowu musiał zdławić panikę.

– To co robimy? Zawracamy, żeby się ukryć, czy ruszamy ich śladem?

– Nie tak głośno, dzieciaku. Bo i nam się dobiorą do skóry.

– Po prostu zawróćmy – wyszeptał Mark. – Zastanówmy się i zdecydujemy, co robić. – Korciło go, żeby ruszyć dalej po śladach, ale mądrzejsza część jego umysłu podpowiadała, że muszą to najpierw przemyśleć.

– Nie mamy czasu, żeby...

Głośny szcęk przerwał słowa Aleca – metaliczny odgłos uderzenia, który rozdarł powietrze niczym wystrzał z armaty. Mark opadł płasko na brzuch, nie wiedząc, czy ściany kanionu zaraz nie zawałą się na niego.

– Co to było? – spytał.

Zanim Alec zdążył odpowiedzieć, hałas rozbrzmiał ponownie. Krótki, ogłuszający huk wstrząsnął ziemią. Gdy ucichł, podłoże nadal drżało, wibrując tak mocno, że krzaki wokół nich zaczęły tańczyć. Mark i Alec popatrzyli na siebie, niepewni, co się dzieje.

Huk przeciął powietrze po raz trzeci, i ziemia pod ich stopami nagle zaczęła się wznosić ku niebu.

30

Mark skoczył na równe nogi, ciągnąc Aleca za rękę. Cały teren wokół nich dygotał, wznosząc się, i chłopak musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby znowu nie upaść. Wiedział, że to, co się dzieje, jest niemożliwe, i kazało mu się to zastanawiać, czy nie postradał zmysłów. Jednak ziemia pod ich stopami wznosiła się powoli i przechylała. Rozejrzał się gorączkowo, tak oszołomiony i dezorientowany, że nie wiedział, co robić. Wyglądało na to, że Aleca ogarnął taki sam stupor. Mark otrząsnął się pierwszy.

Jego umysł się rozjaśnił i chłopak zauważył kilka rzeczy jednocześnie.

Po pierwsze nie cała dolina wznosiła się ku niebu z powodu trzęsienia ziemi lub potężnych ruchów skorupy ziemskiej. Dotyczyło to tylko niewielkiego obszaru – polanki, na której stali. Otaczające ich drzewa trwały w spokojnym bezruchu, ani jeden podmuch wiatru nie poruszał ich gałęziami. Po drugie, powolny – lecz stale rosnący – przechył ruchomej połaci terenu kazał Markowi uświadomić sobie, że połowa tego obszaru *zapada się pod ziemię*. I wyglądało na to, że całość ma kształt koła. Po trzecie, było słyhać niegłośne, metaliczne zgrzytanie.

– To jest mechanizm! – zawołał, rzucając się do ucieczki. Alec ruszył za nim. – Obraca się na czymś w rodzaju trzpienia!

Alec szybko przytaknął i przyśpieszył kroku – obaj biegli w poprzek nachylonego obszaru, kierując się do miejsca, skąd będą mogli zeskoczyć z poruszającego się koła. Przechylało się ono na tyle wolno, że pierwsza fala paniki, jaka ogarnęła Marka, przygasła, a jej miejsce zajęła ciekawość. Najwyraźniej znaleźli się na czymś w rodzaju potężnej zapadni. Ale czemu była ona tak...

On i Alec przebiegli ostatnie kilka kroków, docierając do krawędzi obracającego się fragmentu terenu na wysokości trzpienia, skąd musieli przeskoczyć tylko jakieś półtora metra, żeby się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Pośpiesznie odbiegli do linii drzew i padli na ziemię, kryjąc się za tym samym wielkim dębem co wcześniej. Mark wysunął głowę zza pnia, żeby obserwować ciąg dalszy spektaklu. Górna krawędź dysku zdążyła się

już wznieść na dobre dziesięć metrów, a dolna skryła się pod ziemią. Zapadnia obracała się dalej przy akompaniamencie zgrzytania kół zębatych. Teraz zgrzytały głośniejsze.

– Wygląda jak obracająca się moneta – wymamrotał Alec.

– Naprawdę olbrzymia moneta. I obracająca się bardzo wolno – zgodził się Mark.

W jakąś minutę później okrągła połać terenu znalazła się idealnie w pionie – do połowy skryta pod poziomem gruntu, do połowy ponad nim – i nadal się obracała. Już wkrótce ziemia i krzaki obniżały się, odwrócone do góry nogami, a Mark wreszcie mógł zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie „monety”: płaska, szara powierzchnia wyglądająca jak beton, pocięta idealnie prostymi, równoległymi rowkami. Wiedział, że po niedługim czasie ten ruchomy dysk spocznie płasko na dnie doliny, obrócony ku niebu, czekając na coś, co ma na nim wylądować. Na szarej powierzchni tu i ówdzie rozrzucone były haki i łańcuchy, służące do mocowania lądujących pojazdów.

Lądowisko – pomyślał Mark. Lądowisko dla górolotu. Lub górolotów.

– Dlaczego ziemia i rośliny nie zsuwają się z drugiej strony? – spytał. – To wygląda jak czary.

– Przypuszczalnie wszystko jest sztuczne jak gumowa rękawiczka – odparł stary żołnierz. – Byłoby kiepsko, gdyby musieli odtwarzać pokrywę roślinności po każdym wykorzystaniu lądowiska, nie sądzisz?

– Wygląda niesamowicie realistycznie. To znaczy wyglądało. – Chłopak patrzył z fascynacją. Ruchoma połać terenu musiała mieć dobre sto metrów średnicy. – Myślisz, że nas zobaczyli? Przecież muszą tu mieć kamery.

Alec wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. Możemy tylko mieć nadzieję, że nie przyglądają się zbyt uważnie.

„Moneta” znajdowała się teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni i było widać, że tylko minuty dzielą ją od zamknięcia otworu w ziemi. Mark zastanawiał się, czy Alec myśli o tym samym co on.

– Powinniśmy to zrobić? – spytał. – Górolot może wylądować w każdej chwili. Teraz mamy szansę.

Towarzysz w pierwszej chwili wydawał się zaskoczony, tak jakby Mark czytał mu w myślach. Potem na jego twarzy pojawił się porozumiewawczy

uśmiech.

- To może być jedyny sposób, żeby się dostać do środka, nie?
- Możliwe. Teraz albo nigdy.
- Kamery i strażnicy? To duże ryzyko.
- Ale mają nasze przyjaciółki. Alec powoli skinął głową.
- Mówisz jak prawdziwy żołnierz.
- To chodźmy.

Mark wstał, ale pozostał pochylony, kryjąc się za pniem drzewa. Wykradł się zza niego ostrożnie. Musiał ruszyć, zanim zmieni zdanie, i wiedział, że Alec pójdzie w jego ślady. Między krawędzią poruszającego się dysku a otaczającym gruntem pozostawało jeszcze jakieś pięć metrów otwartej przestrzeni. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, żeby zebrać się w sobie, Mark rzucił się sprintem w stronę lewej strony, zastanawiając się, czy lada chwila nie rozlegną się strzały albo z mrocznego otworu nie wyłonią się żołnierze czekający na intruzów. Ale nic się nie stało.

Dotarli do krawędzi ruchomego koła. Mark zatrzymał się i opadł na kolana parę metrów dalej, po czym popęzł do przodu, żeby wyrzeć nad krawędzią. Alec zrobił to samo. Obaj wychylili się, zaglądając w głąb otworu. Mark poczuł mdłości, wiedząc, że obniżająca się zapadnia znajduje się tuż nad nim. Gdyby na ostatnim odcinku nagle opadła bez ostrzeżenia, przecięłaby ich obu wpół.

W dole panowały ciemności, ale Mark zdołał rozróżnić chodnik ze srebrzystego metalu – w przeważającej części skryty w cieniu – okalający olbrzymią przestrzeń w dole. Nie było tam żadnych źródeł światła i ani żywej duszy. Zerknął w górę i przeraziło go to, jak blisko znalazła się opadająca połowa dysku. Zostało im góra parę minut.

– Musimy zwiesić stopy w dół i zeskoczyć tam – powiedział Mark, wskazując wąski metalowy chodnik. – Jak sądzisz, dasz radę? – dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Alec już przeszedł do działania.

– Poradzę sobie lepiej niż ty, dzieciaku – odparł, puszczając oko.

Mark przekręcił się na brzuch i powoli zsunął ciało w głąb otworu, opuszczając stopy w głąb przepaści i trzymając się oburącz krawędzi. Mocno zacisnął na niej palce, po czym zaczął się huścić, wyrzucając nogi coraz dalej. Alec poradził sobie szybciej. Puścił się krawędzi, wyleciał do przodu i wylądował na chodniku; upadł ze stęknieniem, ale wyglądało na

to, że nic mu nie jest. Mark musiał zwalczyć natrętną wizję, że sam źle skoczy lub niezgrabnie wyląduje i spadnie z chodnika, by zniknąć w ciemnościach. Policzył w myślach do trzech, wybierając odpowiedni moment – zahuśtał się w tył, a potem puścił krawędź, gdy jego nogi pofrunęły do przodu.

Lecąc, odruchowo zadarł głowę i w ostatniej sekundzie zdążył jeszcze zobaczyć przez zwężającą się półksiężycowatą szparę, jak z nieba w górze opadają płonące błękitno silniki oraz metalowy brzuch górolotu. Potem przestał je widzieć i zwałił się na Aleca.

31

Minęła chwila, zanim udało im się pozbierać i wstać. Alec klął i stękał. W pewnym momencie Mark zaczął się zsuwać z chodnika i starszy mężczyzna wyciągnął go z powrotem do góry, po czym rzucił kolejną wiązaną przekleństw. W końcu obaj zdołali stanąć na nogi i otrzepać ubrania. Potem w komorze rozległ się ogłuszający huk, gdy kłapa nad nimi zatrzęsnęła się. Otoczyły ich nieprzebite ciemności.

– Super – Mark usłyszał głos Aleca. – Nic, cholera, nie widać.

– Wyciągnij workpad – odpowiedział chłopak. – Wiem, że bateria zdycha, ale nie mamy wyboru.

Alec potaknął burkliwie, coś zaszurało, po czym pomieszczenie rozjaśnił słaby blask wydobywający się z ekranu workpada. Mark na sekundę znalazł się z powrotem w tunelach transmetra, przez które biegli z Triną, oświetlając sobie drogę ekranikiem telefonu. Wspomnienia zaczęły napływać, przynosząc z powrotem całą grozę tamtego dnia, ale odepchnął je. Miał przeczucie, że kolejny dzień czy dwa zafundują mu świeżą porcję traumatycznych przeżyć. Z westchnieniem zadał sobie pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mu dane spokojnie przespać noc.

– W ostatniej sekundzie zanim zeskoczyłem, zobaczyłem lądujący górolot – powiedział Mark, wracając myślami do teraźniejszości i skupiając się na czekającym ich zadaniu. – Więc wiemy już, że mieli co najmniej dwa, zanim rozwaliliśmy im jeden.

Alec świecił ekranem workpada w różnych kierunkach, żeby się zorientować w otoczeniu.

– Tak, słyszałem ryk silników. Zgaduję, że lądowisko obniża się tutaj i górolot zsuwa się z niego, a potem płyta wraca na górę i ponownie się obraca. Lepiej się pośpieszmy, zanim dołączy do nas towarzystwo, którego nie chcemy.

Alec przestał poruszać workpadem i podniósł go, żeby oświetlić wejścia do dwóch komór na przeciwległych końcach tej, w której się znajdowali. Podłużne wgłębienia w posadzce pokazywały, któredy góroloty są

ściągane z płyty, gdy ta obniży się w głąb hangaru. Obie boczne kawerny były mroczne i puste.

Pomost okalający pustą przestrzeń pośrodku centralnej komory miał nieco ponad metr dwadzieścia szerokości, a gdy po nim pełzli, skrzypiał i trzeszczał. Konstrukcja wytrzymała, chociaż serce Marka tłukło się gorączkowo, dopóki z niej nie zszedł. Z westchnieniem ulgi chłopak podszedł do okrągłych drzwi z obrotowym mechanizmem zamykającym, jak na łodzi podwodnej.

– To miejsce zbudowano dawno temu – powiedział Alec, podając Markowi workpad. – Przypuszczalnie jako schron dla oficjeli rządowych na wypadek globalnej katastrofy. Szkoda, że mieli za mało czasu, żeby tu dotrzeć; dam głowę, że większość usmażyła się tak jak reszta populacji.

– Nieźle to wygląda – powiedział Mark, podnosząc workpad, żeby przyjrzeć się drzwiom. – Myślisz, że są zamknięte?

Alec podszedł i mocno złapał kolisty uchwyt obiema dłońmi, stając w rozkroku, jakby się spodziewał, że mechanizm ani drgnie. Jednak gdy spróbował nią zakręcić, obręcz z łatwością zrobiła pół obrotu, tak że zatoczył się na bok i wpadł na Marka. Obaj zachwiali się i upadli na pomost, przy czym Mark przewrócił się na towarzysza.

– Dzieciaku – powiedział Alec – stałeś mi się dzisiaj bliższy niż ktokolwiek, kogo znałem w życiu. Uważaj, żeby nie zlecieć z tego pomostu. Będziesz mi tu jeszcze potrzebny.

Mark roześmiał się, stając na nogi, przy czym wsparł się na brzuchu Aleca trochę mocniej niż było konieczne.

– Cholerna szkoda, że nigdy nie postarałeś się o dzieci, staruszk. Pomyśl tylko, jakim byłbyś fajnym dziadkiem.

– Tja, jasne – odparł ze stęknieniem stary żołnierz, wstając. – Miałbym mnóstwo frajdy, wyobrażając sobie, jak moje wnuki płoną żywcem w czasie katastrofy.

To momentalnie zabiło wesołość. Mark poczuł, jak uśmiech znika z jego twarzy, gdy słowa towarzysza sprawiły, że pomyślał o swoich rodzicach i o Madison. Chociaż nigdy się nie dowie, co się z nimi stało, jego umysł z upodobaniem podsuwał najgorsze z możliwych scenariuszy.

Alec zauważył, co się stało.

– Och, szlag, przepraszam. – Wyciągnął rękę i ścisnął Marka za ramię. – Chłopcze, powiadam ci tu i teraz, z całą szczerością, na jaką stać takiego

starego zgryźliwca jak ja, że przykro mi z powodu tego, co powiedziałem. Nie zazdroszczę ci strat, które poniosłeś tamtego dnia. W najmniejszym stopniu. Praca była moją rodziną i wiem, że to nie to samo.

Mark nigdy dotąd nie słyszał, żeby Alec powiedział cokolwiek podobnego.

– Nie szkodzi. Naprawdę. Dzięki. – Zawahał się, po czym dodał: – Dziadku.

Alec skinął głową, po czym podszedł z powrotem do obrotowej rączki i zakręcił nią, aż rozległo się głośne kliknięcie. Otworzył drzwi, które z głośnym brzękiem uderzyły o ścianę.

Po drugiej stronie nie było nic prócz ciemności, chociaż dudniące buczenie, jakby pracującej w oddali maszyny, przybrało na sile.

– Co to jest? – wyszeptał Mark. – Brzmi prawie tak, jakby mieli tu fabrykę albo co. – Skierował workpad w stronę otwartych drzwi, żeby oświetlić to, co znajdowało się za nimi. Ukazał się długi korytarz, niknący w ciemnościach.

– Na pewno generator – odparł Alec.

– Pewnie nie mogliby żyć tu na dole, nie dysponując przynajmniej odrobiną elektryczności. Inaczej jak to wszystko mogłoby działać? – Chłopak wyciągnął urządzenie przed sobą.

– Zgadza się. Od tak dawna żyliśmy w głuszy albo w osadach. To miejsce przywołuje z powrotem wspomnienia.

– Góroloty, generatory... Myślisz, że mają tu furę zmagazynowanego paliwa, czy że przywożą je z jakiegoś innego miejsca?

Alec zastanowił się przez sekundę.

– No cóż, od katastrofy upłynął rok, a te góroloty zużywają od cholery paliwa. Ja obstawiam, że przywożą je skądś.

– Idziemy dalej? – spytał Mark, choć odpowiedź była oczywista.

– Ano.

Mark wyszedł na korytarz jako pierwszy i poczekał, aż Alec do niego dołączy.

– Co zrobimy, kiedy ktoś nas zobaczy? – Mówił szeptem, ale w zamkniętej przestrzeni jego głos wydawał się donośny. – Przydałaby nam się teraz jakaś broń.

– Co ty nie powiesz. Słuchaj, nie mamy większego wyboru. I nie mamy wiele do stracenia. Po prostu chodźmy dalej i zobaczymy, co się będzie

działo.

Ruszyli w dół korytarza, ale wtedy za ich plecami rozległ się metaliczny łoskot, a potem pisk i zgrzytanie kół zębatach. Mark nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że lądowisko – przypuszczalnie wraz ze stojącym na jego powierzchni górolotem – zaczęło się zagłębiać pod ziemię.

Alec zachowywał się znacznie spokojniej niż Mark się czuł. Musiał się nachylić, żeby chłopak mógł usłyszeć jego głos mimo hałasu.

– Poczekajmy i zobaczymy, do której komory on trafi, a potem schowamy się w tej drugiej. Lepiej, żeby nas nie przyłapali w tym korytarzu.

– Dobra – odparł Mark. Serce mu łomotało, a nerwy miał napięte jak postronki. Wyłączył workpad; nie potrzebowali go teraz, bo z zewnątrz wpadało światło.

Przeszli z powrotem przez drzwi i zamknęli je za sobą, po czym przycupnęli w cieniu pomostu, podczas gdy olbrzymi górolot powoli opadał z góry. Na szczęście kokpit znajdował się po przeciwnej stronie, więc szanse, że zostaną dostrzeżeni, były niewielkie. Kiedy pojazd dotarł na samo dno hangaru, rozległo się więcej łoskotu i pisków, po czym statek zaczął się poruszać po szynach, zmierzając w stronę prawej komory. Alec i Mark pobiegli do tej drugiej i przycupnęli pod jej tylną ścianą, kryjąc się w mroku.

Oczekiwanie dłużyło się nieznośnie, w końcu jednak górolot znalazł się na przeznaczonym dla niego miejscu. Kiedy przestał się poruszać, ogromne lądowisko zaczęło się przemieszczać z powrotem ku górze – powoli, lecz płynnie. Ten, kto pilotował statek, zdążył już wysiąść, bo wśród zgiełku maszynierii Mark był w stanie rozróżnić odgłosy rozmowy, a potem dźwięk otwieranych okrągłych drzwi.

– Chodź – szepnął mu Alec wprost do ucha. – Pójdziemy za nimi.

Wysunęli się z komory i na palcach przekradli się pomostem. Pasażerowie górolotu zostawili uchylone drzwi i Alec zatrzymał się przy nich. Pochylił się, nasłuchując. Potem wyjrzał ostrożnie. Najwyraźniej upewniwszy się, że droga wolna, sztywno skinął głową Markowi i ponownie wyśliznął się na korytarz. Mark poszedł w jego ślady akurat w momencie, gdy dysk lądowiska nad jego głową przekreślił się na drugą stronę, niosąc krzaki, ziemię i małe drzewka z powrotem w kierunku nieba.

W korytarzu przed nimi rozbrzmiewały echem głosy, były jednak zbyt zniekształcone, żeby dało się zrozumieć słowa. Alec wziął workpad z rąk Marka i wsunął go do swojego plecaka. Potem złapał chłopaka za ramię i zaczął go ciągnąć do przodu, idąc wzdłuż ściany. Oczy miał zwięzione. Wkrótce wszystko pograży się z powrotem w ciemnościach.

Skradali się korytarzem – jeden ostrożny krok za drugim. Ludzie, którzy przylecieli górolotem, zdecydowali się przystanąć i rozmawiali dalej, bo ich głosy stawały się coraz wyraźniejsze w miarę, jak Mark i Alec podchodzili bliżej. W końcu Alec też się zatrzymał i nagle Mark mógł już rozróżnić każde słowo.

– ...kawałek na północ stąd – mówiła kobieta. – Wszystko spalone na amen. Założę się, że ma to coś wspólnego z tymi ludźmi, których złapali ostatniej nocy. Niedługo się dowiemy.

Odpowiedział jej mężczyzna.

– Lepiej, żeby tak było. I w dodatku jeszcze musieliśmy stracić nasz drugi górolot, tak jakbyśmy nie mieli już wystarczająco wielu kłopotów. Ci goście na Alasce mają nas totalnie w czterech literach. Teraz, kiedy wszystko się popaprało, założę się, że więcej się do nas nie odezwą.

– Na pewno – potwierdziła kobieta. – Wiesz, co to znaczy „spisani na straty”?

– Tak, ale to nie miało dotyczyć *nas*. To nie nasza wina, że wirus mutuje.

Zza ich pleców dobiegł łoskot dysku lądowiska, który przypuszczalnie zakończył swoją rotację. Wokół panowały ciemności. Nowo przybyli zaczęli odchodzić. Ich kroki były ciężkie, najwyraźniej nosili buty na grubej podeszwie. Jeden z przybyszy zapalił latarkę – smuga jej światła podskakiwała daleko na przedzie. Alec znowu chwycił Marka za ramię i podążyli śladem tamtych, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Dwoje nieznanym nie odezwało się ponownie, póki nie dotarli do drzwi. Mark usłyszał pisk zawiasów, gdy te się otwały. Potem mężczyzna powiedział coś, gdy wychodzili do pomieszczenia, którego Mark nie był w stanie zobaczyć.

– Nawiasem mówiąc, ta zaraza ma już nazwę. Mówią na nią „Pożoga”.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

32

Nie usłyszeli od tych dwojga zbyt wiele, ale Markowi i tak się to nie podobało.

– Pożoga. Powiedział, że zaczęli to nazywać Pożogą. Tego wirusa.

– Taa. – Alec ponownie włączył workpad. Poświata ekranu wydobyła z mroku jego twarz: oblicze człowieka wyglądającego tak, jakby przez całe życie nie uśmiechnął się ani razu. Same zmarszczki i obwisłe fałdy skóry – To niedobry znak. Jeśli coś dorobiło się ksywy, to znaczy, że wszyscy o tym gadają. Niedobrze.

– Musimy odkryć, co się stało. Ci ludzie tańczący wokół ogniska zostali zaatakowani na długo przed nami. A w każdym razie ich osada. Może potraktowano ich jak coś w rodzaju królików doświadczalnych?

– W takim razie mamy dwa cele, młody. Po pierwsze: odszukać Lanę, Trinę i tego uroczego pętaka. Po drugie: rozkminić, co tu się wyprawia.

Mark był dokładnie tego samego zdania.

– To chodźmy.

Alec wyłączył workpad, pogrążając korytarz w mroku.

– Po prostu przesuwaj dłońią wzdłuż ściany – wyszeptał. – Postaraj się na mnie nie nadepnąć.

Zaczęli się posuwać korytarzem. Mark stąpał ostrożnie i oddychał płytko, usiłując się zachowywać jak najciszej. Buczenie odległej maszyny przybrało na sile, a chłodna ściana, wzdłuż której jego palce kreśliły niewidoczną linię, wibrowała. Dotarli do miejsca, gdzie odznaczał się ledwie dostrzegalny prostokątny zarys drzwi, przez które przeszło dwoje przybyszów z górolotu. Były widoczne dzięki światłu, które przeświecało przez szczelinę. Alec zawahał się tuż przed nimi, po czym pośpieszył dalej, skradając się na palcach. Była to najbardziej nieżołnierska rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił na oczach Marka.

Mark postanowił być nieco dzielniejszy. Zatrzymał się przed drzwiami i nachylił się, przyciskając do nich ucho.

– Nie wygłupiaj się – skarcił go Alec szorstkim szeptem.

Mark nie odpowiedział, skupiając się na tym, co słyszał. Stłumione słowa, nie do rozróżnienia. Jednak wyglądało na to, że trwa tam dość zacięta dyskusja.

– Po prostu chodź – powiedział Alec. – Chcę się rozejrzeć, zanim ktoś nas zamknie w pace i wyrzuci klucz.

Mark skinął głową, chociaż wątpił, czy towarzysz wyraźnie go widzi. Odsunął się od drzwi i ponownie zajął pozycję obok przeciwległej ściany, przyciskając do niej dłoń. Szli dalej. Wkrótce znowu znaleźli się w ciemnościach, gdy słabe światło przeświecające przez szczelinę wokół drzwi zostało za nimi.

Korytarz ciągnął się i ciągnął. Wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć dudnienia maszynerii. Mark nie potrafił określić, kiedy to się stało, ale uświadomił sobie, że znowu coś widzi. W powietrzu wisiła zamglona czerwona poświata, na tyle wyraźna, że idący przed nim Alec przypominał skradającego się diabła. Mark podniósł dłoń i poruszył palcami – wyglądały jak pokryte krwią. Zakładając, że Alec też to zauważył, chłopak nic nie powiedział. Szli dalej.

W końcu dotarli do wielkich drzwi po lewej, które były lekko uchylone. Nad nimi wisiła czerwona żarówka zabezpieczona drucianą klatką. Alec zatrzymał się i gapił przed siebie, jakby oczekiwał, że ktoś wyjaśni, co znajduje się w środku. Odgłosy buczonej i łomoczonej maszynerii przybrały na sile i teraz rozbrzmiewały na tyle głośno, że Mark nie mógł szeptać, bo nie zostałyby usłyszane.

– To chyba odpowiada na pytanie o generatory – powiedział. Głowa zaczynała go naprawdę solidnie boleć, zwłaszcza za oczami, i uderzyło go, jak potwornie jest zmęczony. Byli na nogach przez całą noc i pół kolejnego dnia. – Może to tutaj są. Po prostu otwórz te durne drzwi.

Alec zerknął na niego przez ramię.

– Cierpliwości, chłopcze. Ostrożnie. Pochopny żołnierz to martwy żołnierz.

– A powolny żołnierz oznacza, że Trina i reszta mogą już nie żyć.

Zamiast odpowiedzieć, Alec wyciągnął rękę i szarpnął drzwi, które otwarły się na zewnątrz, na korytarz. Odgłosy maszynerii jeszcze przybrały na sile, a z wnętrza wylała się fala gorąca wraz ze smrodem spalin.

– O ludzie – powiedział Alec – zdążyłem zapomnieć, jak to śmierdzi. –

Ostrożnie zamknął drzwi. – Miejmy nadzieję, że niedługo znajdziemy coś bardziej przydatnego.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej natrafili na kolejne drzwi, za którymi widniały jeszcze trzy dalsze, a potem jedno po drugiej stronie, tam, gdzie korytarz się kończył. Każde z tych drzwi były uchylone na jakieś osiem centymetrów i oświetlone żarówką osadzoną w małej klatce, tak jak wejście do sali z generatorami. Jednak żarówki tutaj świeciły na żółto, a ich blask był bardzo słaby.

– Jest coś upiornego w tym, że te wszystkie drzwi są otwarte – wyszeptał Mark. – A w tych pomieszczeniach jest tak ciemno.

– I co z tego wynika twoim zdaniem? – spytał Alec. – Nabrałeś ochoty, żeby się stąd zwijać i wrócić do domu?

– Nie. Myślę tylko, że powinieneś tam wejść pierwszy.

Alec zaśmiał się z cicha. Wyciągnął stopę i pchnął pierwsze drzwi, które otwarły się do środka. Zawiasy zaskrzypiały metalicznie i słabe żółte światło zalało podłogę w pomieszczeniu, chociaż nie było wystarczająco jasne, żeby ukazać cokolwiek więcej. Drzwi znieruchomiały ze stłumionym stuknięciem i zapadła całkowita cisza.

Alec prychnął wzgardliwie i przeszedł do następnego pomieszczenia zamiast wchodzić do pierwszego. Lekko kopnął również i tamte drzwi, żeby się otworzyły, z podobnym efektem. Mrok, ani śladu ludzi, żadnych odgłosów. Przeszedł do kolejnych drzwi i pchnął je nogą, a potem zrobił to samo z ostatnimi na końcu korytarza. Nic.

– Pewnie powinniśmy tam wejść – powiedział. Odwrócił się z powrotem do Marka i skinął głową w sposób jasno wskazujący, że chłopak ma wejść razem z nim do ostatniego pomieszczenia. Mark prędko podszedł do towarzysza, gotów spełnić polecenie. Alec wyciągnął rękę, macając obok framugi drzwi w poszukiwaniu kontaktu, ale nic nie znalazł. Potem wszedł do środka, a Mark zaraz za nim. Stali tam przez chwilę, czekając, aż ich oczy się przyzwyczają, i przepatrując mrok.

W końcu Alec westchnął i ponownie wyciągnął workpad.

– Po co te generatory pracują, jeśli oświetlenie jest wyłączone? To ustrojstwo długo już nie pociągnie. – Włączył urządzenie.

Świecący ekran zalał duże pomieszczenie – większe niż Mark przypuszczał – lekko upiorną błękitną poświatą, ukazując dwa długie rzędy prycz rozmieszczonych wzdłuż obu ścian, około dziesięciu z każdej

strony. Wszystkie były puste poza jedną, blisko końca sali, gdzie tyłem do przybyszy siedziała zgarbiona postać; sądząc z pochyłonych ramion, starszy mężczyzna. Mark poczuł chłodny dreszcz na jego widok. W słabym świetle, w pustym pomieszczeniu, w niepokojącej ciszy... czuł się tak, jakby gapił się na plecy ducha, który lada chwila wypowie głośno, jaki tragiczny los zgotowało im obu przeznaczenie. Nieznajomy nie poruszył się, nie wydał żadnego dźwięku.

– Halo? – zawołał Alec. Jego głos rozdarł ciszę jak grzmot.

Zaszokowany Mark gwałtownie odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Co ty robisz?

Twarz Aleca niknęła w cieniu, bo workpad był odwrócony tak, żeby oświetlać pomieszczenie.

– Wyrażam się uprzejmie – wyszeptał. – Zamierzam zadać temu gościowi kilka pytań. – Potem głośniej zawołał: – Hej, proszę pana? Nie pomógłby nam pan?

Odpowiedziało mu ciche, ochryple mamrotanie – Mark pomyślał, że tak mógłby brzmieć głos człowieka leżącego na łożu śmierci. Słowa były niezrozumiałą zbitką sylab.

– Co proszę? – spytał Alec.

Mężczyzna nie poruszył się, nie odpowiedział. Siedział na swoim pościeliu, odwrócony do nich tyłem – bryła ludzkiego ciała. Zwieszona głowa, zgarbione ramiona.

Mark nagle poczuł, że musi się dowiedzieć – musi – co ten człowiek powiedział. Zaczął iść w jego kierunku przejściem między rzędami prycz, ignorując krótki okrzyk protestu ze strony Aleca. Gdy szybkim krokiem zmierzał w stronę mężczyzny, mijając puste miejsca między kolejnymi pościeliami, usłyszał, że Alec podbiega, żeby go dogonić. Światło rzucane przez workpad podskakiwało, sprawiając, że po ścianach tańczyły dziwaczne cienie.

Podchodząc do zgarbionego człowieka, Mark zwolnił, czując na skórze lodowate ciarki. Nieznajomy miał szerokie bary i muskularną pierś, ale pozycja, w jakiej siedział, sprawiała, że wydawał się wątpliwy i żałosny. Mark zatrzymał się w bezpiecznej odległości, jakieś półtora metra od niego. Zobaczył pograżoną w cieniu twarz, zwieszoną nisko.

– Co pan powiedział? – spytał Mark, stojąc przed mężczyzną. Alec

zatrzymał się u boku chłopaka i podniósł workpad, żeby oświetlić obcego, który wyglądał na pogrążonego w depresji. Siedział pochylony do przodu z łokciami opartymi na kolanach, pięści miał zaciśnięte, a jego twarz wyglądała tak, jakby lada chwila miała się roztopić i zacząć skapywać na podłogę.

Mężczyzna powoli podniósł wzrok i spojrzał na nich. Jego głowa przechyliła się przy tym na bok niczym zardzewiały mechanizm. Jego oblicze było posępne, długie i bardziej pomarszczone niż należałoby się spodziewać. Oczy przypominały mroczne kawerny, w głąb których nie docierała ani odrobina światła.

– Nie chciałem jej oddać – wychrypiał. – Och, Boże kochany, nie chciałem. Nie tym brutalom.

33

Mark miał tyle pytań, że nie potrafił ich wypowiedzieć dostatecznie szybko.

– Co ma pan na myśli? – spytał. – Kto został oddany? Co może nam pan powiedzieć o tym miejscu? O co chodzi z wirusem? Czy wie pan coś o dwóch kobietach i dziewczynce, które mogły zostać schwytane na zewnątrz? – Zrobił pauzę, żeby przełknąć kulę wielkości piłki golfowej, która urosła mu w gardle, po czym zaczął mówić wolniej. – Moja przyjaciółka ma na imię Trina. Blond włosy, dziewczyna w moim wieku. Była jeszcze druga kobieta i dziewczynka. Wie pan coś o nich?

Mężczyzna ponownie wbił wzrok w podłogę i ciężko westchnął.

– Tyle pytań.

Mark czuł taką frustrację, że musiał poświęcić sekundę, aby się uspokoić. Wziął głęboki oddech i podszedł, żeby usiąść na pryczy twarzą do zachrypniętego nieznanego. Może ten stary człowiek był szurnięty. Bombardowanie go pytaniami przypuszczalnie nie należało do najmądrzejszych posunięć. Mark podniósł wzrok i zobaczył, że Alec jest nieco zaskoczony jego wybuchem elokwencji. Jednak w następnej chwili stary żołnierz pokręcił głową i podszedł, żeby usiąść na pryczy obok Marka. Postawił workpad na podłodze, tak że rzucana przez ekran poświata padała teraz z dołu i nadawała im wszystkim ten lekko monstrialny wygląd, który człowiek przybiera, kiedy oświetli sobie twarz latarką, trzymając ją pod brodą.

– Co może nam pan powiedzieć? – spytał Alec jednym ze swoich łagodniejszych tonów. Najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku co Mark: ten gość był o włos od utraty zmysłów i należało się z nim ostrożnie obchodzić. – Co się tutaj stało? Wszystkie światła są wyłączone, nikogo nie ma. Gdzie są wszyscy?

Mężczyzna tylko jęknął w odpowiedzi, po czym zakrył twarz obiema dłońmi.

Alec i Mark wymienili spojrzenia.

– Pozwól, ja znowu spróbuję – powiedział Mark. Nachylił się, ostrożnie przesunął na skraj pryczy i oparł łokcie na kolanach. – Hej, proszę pana... Jak się pan nazywa?

Nieznajomy opuścił dłonie i Mark pomimo słabego światła zobaczył, że jego oczy zwilgotniały od łez.

– Moje imię? Chcesz poznać moje imię?

– Tak. Chcę poznać pana imię. Zapewniam, że nasze życie też jest kompletnie do kitu. Jestem Mark, a to mój przyjaciel Alec. Może nam pan zaufać.

Mężczyzna prychnął, po czym na chwilę zaniósł się suchym kaszlem. W końcu oznajmił:

– Na imię mi Anton. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Mark bał się kontynuować. Ten mężczyzna mógł im udzielić tylu odpowiedzi na tyle pytań. Chłopak nie chciał zmarnować tej szansy.

– Proszę posłuchać... Przybyliśmy tu z jednej z osad. Nasze trzy przyjaciółki zostały pojmane w kanionie powyżej tej bazy. A nasza wioska została zaatakowana przez ludzi stąd, tak w każdym razie sądzimy. Chcemy tylko... zrozumieć, co się dzieje. I uwolnić nasze towarzyski. To wszystko.

Wyczuł, że Alec chciałby coś powiedzieć, i posłał mu gniewne spojrzenie mówiące „trzymaj język za zębami”.

– Czy może nam pan cośkolwiek wyjaśnić? Na przykład... co to właściwie za miejsce? Co to za akcja tam na zewnątrz z górolotami, strzałkami i wirusem? Co się stało *tutaj*? Proszę nam powiedzieć tyle, ile pan wie. – Zaczynało go przygniatać ołowiane zmęczenie, ale zmusił się, żeby ponownie skupić wzrok na mężczyźnie siedzącym naprzeciwko, licząc na odpowiedzi.

Anton wziął kilka cichych, głębokich wdechów i z jego prawego oka spłynęła łza.

– Dwa miesiące temu wybraliśmy osadę – oznajmił w końcu. – Jako test. Nie żeby katastrofalne wyniki ostatecznie zmieniły plan. Ale dla mnie jedna dziewczynka zmieniła wszystko. Tyle trupów, ale to ta, która przeżyła, sprawiła, że dotarło do mnie, jak straszną zbrodnię popełniliśmy. Jak mówię, nie chciałem, żeby ją dzisiaj oddali ludziom z jej wioski. To wtedy stwierdziłem, że z tym wszystkim kończę. Oficjalnie kończę.

Deedee – uświadomił sobie Mark. Musiało chodzić o Deedee. Ale co z Triną i Laną?

– Proszę nam powiedzieć, co się stało – naciskał. Z każdą sekundą miał coraz większe poczucie winy, że nie szukają teraz przyjaciółek, ale potrzebowali informacji, inaczej być może nigdy ich nie odnajdą. – Proszę wszystko opowiedzieć od początku.

Anton zaczął mówić nieco rozkojarzonym tonem.

– Kryzysowa Koalicja Ocalałych na Alasce chciała czegoś, co będzie się szybko rozprzestrzeniać i szybko zabijać. Stało na wirusie, który jacyś psychopaci opracowali jeszcze w starych dobrych czasach, zanim rozbłyśki słoneczne wszystko spaliły. Podobno ta zaraza wyłącza umysł. Natychmiastowa śpiączka, tak mówili. Czyni ciało bezużytecznym, ale wywołuje gwałtowne krwotoki, które pomagają wirusowi rozprzestrzeniać się na kolejne ofiary. Zakażenie następuje poprzez krew, ale w sprzyjających warunkach infekcja przenosi się też drogą kropelkową. To dobry sposób, żeby wyludnić osady, których mieszkańcy są zmuszeni żyć w dużym zagęszczeniu na małej powierzchni.

Mężczyzna wyrzucił z siebie te wszystkie słowa bez zajknięcia, jednostajnym tonem. Umysł Marka wpadał w coraz większe odrętwienie z powodu wyczerpania, tak że chłopak miał problem z zarejestrowaniem wszystkich szczegółów. Wiedział, że wszystko, co słyszy, jest istotne, ale fakty nadal nie chciały się złożyć w spójną całość. Jak długo był już na nogach? Dwadzieścia cztery godziny? Trzydzieści sześć? Czterdzieści osiem?

– ...zanim dotarło do nich, że dali ciała po całości.

Mark ponownie pokręcił głową. Właśnie umknęła mu część wypowiedzi Antona.

– Co ma pan na myśli? – spytał Alec. – Jak to dali ciała?

Anton kaszlnął, potem pociągnął nosem i wytarł go dłonią.

– Ten wirus. Jest nie taki jak trzeba. Nie działał jak należy na obiekty doświadczalne w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, ale tamci i tak zdecydowali się wdrożyć plan, mówiąc, że to, co pozostało z zasobów planety, kurczy się szybko. Podnieśli tylko dawkę w tych strzałkach. Te sucze syny usiłują zlikwidować połowę populacji. Połowę!

– Co z dziewczynką? – Mark niemal to wykrzyczał. – Czy były z nią dwie kobiety?

Wyglądało na to, że Anton nie słyszy ani słowa z tego, co mówili do niego Mark i Alec.

– Powiedzieli, że jak już zrobimy co trzeba, zajmą się nami. Że ściągną nas wszystkich na Alaskę, zapewnią dach nad głową, żywność i ochronę. Pozwolimy, żeby pół świata kopnęło w kalendarz, a potem zaczniemy od nowa. Ale dali ciała, kapujecie? Ta dziewczynka przeżyła, mimo że została trafiona strzałką. A to nie wszystko. Wirus nie jest taki, jak myśleli. Owszem, szerzy się jak pożar. Szkoda tylko, że radzi sobie z nami znacznie lepiej niż my radzimy sobie z nim. Że tak w skrócie podsumuję problem.

Mężczyzna wydał odgłos, który brzmiał trochę jak chichot, ale szybko przemienił się w rzęzący kaszel. Nagle rozszlochał się otwarcie. Potem osunął się na bok i podciągnął nogi na pryczę, zwijając się w pozycję embrionalną. Ramiona mu dygotały, gdy płakał.

– Zaraziłem się tym draństwem – wykrztusił pomiędzy szlochami. – Jestem tego pewien. Wszyscy zdążyliśmy się już zarazić. Wy też. Nie miejcie żadnych wątpliwości, moi drodzy. Złapaliście wirusa. Powiedziałem moim współpracownikom, że nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Już nie. Zostawili mnie samego tu na górze. Nie mam nic przeciwko.

Mark obserwował całą scenę jak przez mgłę. Nie był w stanie się skoncentrować. Spróbował się otrząsnąć.

– Nie wie pan, gdzie mogą być nasze przyjaciółki? – spytał, tym razem spokojniej. – Gdzie są teraz pana współpracownicy?

– Wszyscy znajdują się tam na dole – wyszeptał Anton. – Nie byłem w stanie dłużej tego znieść. Przyszedłem tutaj, żeby umrzeć albo zwariować. Pewnie jedno i drugie. Cieszę się, że mi na to pozwolili.

– Tam na dole? – powtórzył Alec.

– Na dolnym poziomie bunkra – odrzekł Anton. Jego głos stawał się cichszy w miarę jak ustawał płacz. – Są tam na dole i snują plany. Planują wszcząć rewoltę w Asheville, żeby uświadomić tamtym, że nie jesteśmy uszczęśliwieni tym, jak się sprawy mają. Chcą dotrzeć z tą rewoltą aż na Alaskę.

Mark popatrzył na Aleca, który stał i gapił się na Antona. Zdawało się, że każde kolejne stwierdzenie tego nieszczęśnika jest dziwniejsze od poprzednich.

– Rewoltę? – powtórzył Mark. – Dlaczego w Asheville? I kim są ci ludzie?

– Asheville to ostatnie bezpieczne miejsce na wschodzie Stanów – odparł mężczyzna. Jego słowa z trudem dawały się teraz zrozumieć; chrząkał sucho, ledwie słyszalnie. – Są tam umocnienia i tak dalej. Byle jakie, ale są. A oni to moi współpracownicy, wszyscy wynajęci przez KKO: wszechmocną Kryzysową Koalicję Ocalałych. Moi szanowni współpracownicy chcą załatwić swoich szefów, zanim ci się ewakuują. Zanim podążą z powrotem na Alaskę przez Płaski Przenos.

– Anton – powiedział Alec. – Posłuchaj mnie. Czy jest tu ktoś jeszcze, z kim moglibyśmy się rozmówić? I jak możemy dowiedzieć się czegoś na temat przyjaciółek, których szukamy? Dziewczynki i dwóch kobiet.

Mężczyzna zakaszłał. Potem jego głos się nieco ożywił.

– Ci ludzie, z którymi pracowałem, zaczęli świrować. Rozumiecie? Nie jest... z nimi... dobrze. Spędzą tam na dole parę godzin, snując plany i intrygi. Zamierzają ruszyć do Asheville, a po drodze zebrać armię, jeśli będą musieli. Och, tamci gadają o antidotum, ale to wszystko kupa kitu. A w ostatecznym obrachunku moi koledzy postarają się o to, żeby inni nie mogli się cieszyć tym, co im zostało odebrane: życiem. I wiecie, co zrobią później. Wiecie, no nie?

– Co? – spytali równocześnie Mark i Alec.

Anton wsparł się na łokciu. Ką, pod jakim padało światło z workpada, sprawił, że połowa twarzy starca znalazła się w cieniu pryczy, a druga połowa w bladoniebieskiej poświacie. Oko po oświeconej stronie wyglądało tak, jakby w źrenicy jarzyła się iskra.

– Wybiorą się na Alaskę przez Płaski Przenos w Asheville – oznajmił mężczyzna. – Udadzą się tam, gdzie zebrali się członkowie rządów, i postarają się o to, żeby nastąpił koniec świata, mimo że wcale nie mają takiego zamiaru. Będą dalej szukali antidotum i spróbują obalić rząd tymczasowy. Ale jedyne, co naprawdę uda im się zrobić, to roznieść wirusa na cały świat. Zadbają o to, żeby zniszczyć wszystko, co ocalało po katastrofie. Głupcy. Banda głupców.

Anton z powrotem osunął się na pryczę, a po kilku sekundach pomieszczenie wypełniły odgłosy jego chrapania.

34

Mark i Alec długo siedzieli w milczeniu, słuchając świszczącego, urywanego oddechu śpiącego Antona.

– Nie jestem przekonany, czy powinniśmy wierzyć w większość rzeczy, które powiedział ten gość – powiedział po jakimś czasie Alec. – Ale jestem zaniepokojony, łagodnie rzecz ujmując.

– Taa – odparł bez emocji Mark. Jego głowa pulsowała bólem i mdliło go. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się tak zmęczony. Ale musieli wstać, wyjść z tego pomieszczenia. Znaleźć Trinę i jej towarzyszki.

Nie poruszył się.

– Chłopcze, wyglądasz jak zombie – stwierdził Alec, odwróciwszy ku niemu twarz. – A ja tak się czuję.

– Taa – powiedział ponownie Mark.

– Nie spodoba ci się to, co za chwilę powiem, ale nie będzie dyskusji.

Mark uniósł brwi. Nawet ten drobny ruch, jak się zdawało, wysał z niego całą energię.

– To znaczy?

– Musimy się przespać.

– Ale... Trina... Lana... – Nagle odkrył, że nie jest w stanie przypomnieć sobie imienia dziewczynki. Nieprawdopodobne. Głowa bolała go tak, jakby pod czaszką rozszalała się burza.

Alec wstał.

– Nie damy rady pomóc naszym przyjaciółkom, jeśli nie będziemy w stanie funkcjonować ze zmęczenia. Zdrzemniemy się tylko na chwilę. Może każdy po godzinie, podczas gdy ten drugi będzie czuwał. Anton powiedział, że jego współpracownicy są teraz na zebraniu, które miało potrwać parę godzin. – Wstał z posłania i szybko podszedł do drzwi pomieszczenia, zamknął je i przekręcił klucz w zamku. – To tak na wszelki wypadek.

Mark osunął się na bok, po czym wolno podciągnął nogi na pryczę. Podłożył dłonie pod głowę. Chciał zaprotestować, ale nie był w stanie

wydobyć głosu.

Alec znowu zaczął mówić.

– Wezmę pierwszą wartę, więc...

Ale Mark zasnął, zanim usłyszał cokolwiek więcej.

Nadeszły sny. Wspomnienia. Jaskrawsze niż kiedykolwiek. Tak jakby głębia jego wyczerpania była dla nich idealną pożywką.

35

Krótką chwilą wydaje się dłużyć w nieskończoność, gdy Mark widzi spienioną ścianę wody pędzącą w dół po stopniach stacji transmetycznym stado białych koni. Przez głowę przebiegają mu tysiące pytań. Jak się tu znalazł. Co stało się nad nimi, w mieście. Czy jego rodzina jest martwa. Co kryje przyszłość. Jakie to uczucie tonąć.

Wszystkie te myśli błyskają w jego umyśle w tej jednej sekundzie, której woda potrzebuje, żeby dotrzeć do podnóża schodów. Potem ktoś łapie go za ramię, ciągnie w drugą stronę, zmuszając, żeby odwrócił się od nadciągającej zagłady. Mark widzi Trinę, która szarpie go, a w jej oczach płonie najczystsza, chora panika, zmuszając go do działania.

Chłopak rzuca się do biegu, tym razem łapiąc Trinę za rękę, żeby mieć pewność, że się nie rozdzielą. Alec i Lana są tuż przed nimi, gnają pędem, mijając opryszków, którzy ich wcześniej napadli – teraz wydaje się to tak kretyńskie i bezsensowne, że znowu wprawia Marka w gniew. Trwa on tylko sekundę; chłopak biegnie dalej w dół tunelu, z Triną przy boku. Zerka szybko do tyłu i widzi, że Baxter, Darnell, Ropuch i Misty dotrzymują im kroku; ich oczy wypełnia ten sam strach co u Triny, ten sam strach, który czuje Mark.

Powietrze wypełnia ogłuszający szum, który przypomina Markowi, jak całą rodziną pojechali zobaczyć wodospad Niagara. Ludzie krzyczą, słychać odgłosy łamania, kruszenia, dźwięk pękającego szkła. Alec w niczym nie przypomina starego człowieka, gdy sprintem mija tylny kraniec peronu i niknie z powrotem w ciemnościach tunelu. Jest pewne, że nie mają wiele czasu, i Mark z dreszczem zgrozy uświadamia sobie, że zawierzył życie dwojgu ludzi, którzy biegną przed nim. Że nadeszła decydująca chwila. Że za kilka minut będzie albo żywy, albo martwy.

Za jego plecami ktoś krzyczy; potem Mark czuje silne uderzenie w ramię i się potyka. Łapie równowagę, puszczając Trinę, która nie jest w stanie się zatrzymać i gna do przodu. Mark ogląda się do tyłu i widzi dwie rzeczy: Misty upadła na ziemię, a wzbierająca fala płynie wzdłuż torów

transmetra od strony stacji. Kaskada lejąca się z ulicy już zatopiła peron, woda wlewa się przez szeroki otwór do tunelu i jest zaledwie kilkanaście metrów od nich.

Fala, która oblewa ciało Misty, ma głębokość dobrych kilku centymetrów. Dziewczyna odpycha się od ziemi, żeby wstać. Mark nachyla się, aby jej pomóc, ale Misty nagle wydaje okrzyk i skacze na równe nogi, jakby woda poraziła ją ładunkiem elektrycznym.

– Jest gorąca! – krzyczy, łapiąc dłoń Marka i ściskając ją.

Odwracają się i ponownie zaczynają biec, chlapiąc na wszystkie strony. Markowi zamakają buty i skarpetki, potem nogawki. Chłopak najpierw czuje ciepło wody, a po chwili odkrywa, jaka jest gorąca. Podskakuje niczym ktoś, kto wszedł do wanny i odkrył, że temperatura kąpieli przekracza oczekiwaną. Ten ukrop napełnia go strachem – sprawia, że piecze go skóra.

Biegną dalej w dół tunelu, opierając się prądowi wzbierającej rzeki. Fala ma już pół metra głębokości i Mark nie może uwierzyć, jak szybko to nastąpiło. Woda sięga mu powyżej kolan i teraz płynie szybciej – chłopak musi wolniej stawiać stopy, żeby nie stracić równowagi. Dogania Trinę; pozostali wyprzedzają ich tylko o metr czy dwa. Już nie biegną. Walczą z nurtem, balansując całym ciałem, gdy prąd naprzód – jeden ostrożny krok za drugim. Woda sięga Markowi niemal do połowy ud. Chłopak wie, że prąd lada chwila wygra walkę z nimi wszystkimi.

I fala pali, parzy jego skórę. Całe ciało swędzi go boleśnie.

– Tutaj! – wrzeszczy Alec. Brodząc w wzburzonej, brudnej rzece, walcząc z jej naporem, zdołał dotrzeć pod lewą ścianę. Znajduje się tam krótki ciąg schodów z żelaznymi poręczami po obu stronach. Stopnie prowadzą na podest, gdzie są drzwi. – Musimy tam wejść!

Mark zmierza w tamtą stronę, krok za krokiem, za każdym razem uważając, żeby mocno stanąć na nogach. Trina podobnie. Lana już dotarła do schodów. Baxter, Misty, Darnell i Ropuch są za Markiem i też wytrwale brodzą w wodzie. Przy tej sile prądu raczej nie wytrzymają długo. Ryk jest ogłuszający. Oprócz okrzyku Aleca, cały czas słychać jeszcze tylko wrzaski dolatujące od strony stacji, odbijające się od ścian tunelu. Ich liczba radykalnie się zmniejszyła i Mark wie dlaczego. Większość tamtych ludzi już nie żyje.

Jakby ta myśl potrzebowała ugruntowania w rzeczywistości, z kolanem

chłopaka zderza się ciało, po czym mknie dalej z nurtem. Kobieta. Jej twarz jest sina, martwa, otoczona plątaniną pływających włosów. Zwłoki obracają się powoli wokół własnej osi, sunąc w głąb czarnego tunelu. Potem nadpływa więcej ciał. Niektórzy z tych ludzi jeszcze żyją, ale większość się nie porusza – przypuszczalnie są martwi, jak uświadamia sobie Mark. Żywi rozpaczliwie machają rękoma i nogami, próbują płynąć albo stanąć na ziemi. Przez głowę Marka przelatuje myśl, że powinni spróbować pomóc tym nieszczęśnikom, łapać ich za ręce. Ale jest za późno – będą mieli szczęście, jeśli sami zdołają się uratować.

Alec już dotarł do schodów, chwycił się żelaznej poręczy, wszedł na drugi stopień. Mark daje kolejny powolny krok naprzód – woda sięga mu teraz do pasa. Parzy; chłopak niemal gotuje się żywcem. Alec nachyla się i pomaga Lanie wejść na schody. Potem Trina dociera do ich podnóża, łapie go za rękę. Wspina się na stopnie. Następny w kolejce jest Mark. Daje ostatni niepewny krok i nagle za przedramiona chwyta go ten starszy mężczyzna, który po raz kolejny ratuje mu życie. Ciało chłopaka gwałtownie leci do przodu, bo Alec szarpnął go mocno. Mark ląduje na schodach, omal nie padając na twarz. Trina łapie go, obejmuje mocno.

Ropuch wchodzi na stopnie, potem Darnell, potem Misty. Wszyscy oprócz Aleca wspinają się po schodach na podest, gromadząc się przed drzwiami. Młodszy chłopiec, Baxter, ma kłopoty. Mark nagle czuje wstyd, gdy uświadamia sobie, że dzieciak nadal jest w niebezpieczeństwie – prawie dwa metry poza zasięgiem wyciągniętej dłoni Aleca. Woda zalewa go, wznosi się i wznosi, chlapie w górę na jego przerażoną twarz.

Mark zbiega z powrotem po schodach, chociaż Trina wykrzykuje jego imię. Staje obok Aleca, zastanawiając się, co robić. Obok Baxtera przepływają ciała; na oczach Marka czyjaś stopa uderza chłopca w ramię. Tuż obok niego z rzeki wynurza się głowa, plując wodą, po czym znika z powrotem pod powierzchnią.

– Daj krok do przodu! – wrzeszczy do Baxtera Alec.

Chłopiec reaguje, spełnia polecenie. Potem robi kolejny krok. Jest już prawie w zasięgu ręki, ale woda tłucze o jego plecy, tak że wydaje się niewiarygodne, że jeszcze nie został zmieciony.

Tym razem to Mark krzyczy, żeby mu dodać otuchy.

– Jeszcze kawałek!

Baxter przesuwa się do przodu i nagle traci równowagę, pada w wodę

twarzą w dół. Alec skacze ku niemu, łapie rękę chłopca w momencie, gdy nurt uderza w nich obu, gotów ponieść ich w ciemność. Mark widzi, jak to wszystko się rozgrywa w błyskawicznym tempie, i reaguje bez zastanowienia. Lewą ręką łapie się żelaznej poręczy, a prawą wyciąga do przodu, chwytając rękaw koszuli Aleca, zanim ten znajdzie się poza zasięgiem. Dłoń mężczyzny podnosi się i zaciska na przedramieniu Marka akurat w momencie, gdy tkanina zaczyna się rozdzierać.

Nurt szarpie ciałem Marka, ale chłopak mocno trzyma się poręczy. Zostaje pociągnięty do przodu, a potem w bok, uderzając o betonową ścianę obok torów. Alec i Baxter również – ich ciała są splecione. Mark ma wrażenie, że jego ramię zostanie zaraz wyrwane ze stawu. Wszystkie jego mięśnie się napięły i krzyczy. Aby ignorować ból, może tylko skupić się na tym, żeby nie puścić poręczy. Woda napływa mu do ust i Mark wypluwa ją. Ciecz smakuje ziemią i olejem. Pali go w język.

Chłopak czuje, jak czyjeś dłonie łapią go za ramię, zaciskają się na jego koszuli i łokciu, ciągną go do góry. Czuje też, że Alec wspina się po nim jak po linie, używając obu rąk. Czyli już po Baxterze. Mark nie jest w stanie nic zrobić, jego siły się wyczerpały, całe ciało boli i piecze. Może tylko trzymać się mocno, pozostać ogniwem w ludzkim łańcuchu. Jego głowa zanurza się w wodzie i Mark zamyka oczy, zmusza się, by ignorować pragnienie zaczerpnięcia oddechu, który by go zabił.

Traci wszelką orientację. Jest tylko woda, gorąco i wściekły szum. I ból wypełniający jego ciało.

Potem Mark wynurza się z wody, czuje ręce dotykające jego klatki piersiowej, wsuwające się pod ręce. Jest wleczony tyłem po schodach. Alec znajduje się tuż przed nim; zdołał się złapać poręczy. Między nogami mocno trzyma Baxtera, jakby tym chwytem właśnie wygrał zawody we wrestlingu. Na oczach Marka twarz Baxtera unosi się, wyłania z wody i chłopiec oddycha, pluje, krzyczy.

Przeżyli. Wszyscy przeżyli.

Wkrótce stoją na podeście. Wszyscy. Woda podniosła się do górnej krawędzi rowu, którego dnem biegną tory, i zaczyna zalewać podest.

W każdym ruchu Aleca widać skrajne wyczerpanie. Przemoknięty do suchej nitki, dyszy ciężko i urywanie. Chwiejnie wlecze się do drzwi, otwiera je. Markowi przebiega przez głowę myśl, że mogły być zamknięte na klucz. Ich historia mogła się zakończyć właśnie tam, w tamtym miejscu.

Ale drzwi nie są zamknięte, i Alec otwiera je na oścież.
Gestem nakazuje wszystkim wejść do środka.
– Zbierzcie siły, będziemy się wspinać – mówi.

36

Mark zbudził się dygocząc w kompletnej ciemności.

Ciało miał zeszytywniałe; przesunął się na pryczy, a ta zaskrzypiała, gdy usiłował ułożyć się wygodniej, znaleźć pozycję, w której nie będą go boleć mięśnie. Słyszał, jak Alec i Anton głośno chrapią na dwa głosy. Alec najwidoczniej nie wytrzymał długo na warcie.

Mark w końcu legł na wznak i znieruchomiał. Senność definitywnie go opuściła i nie było innego wyjścia, jak tylko czekać, aż jego przyjaciel się zbudzi. Chłopak postanowił, że pozwoli towarzyszowi odpoczywać tak długo, jak to możliwe – przypuszczalnie obaj będą tego potrzebowali.

Sen, który mu się przyśnił, był tak jaskrawy, tak realistyczny. Serce Marka nadal łomotało pod wpływem adrenaliny, tak jakby przed chwilą na nowo doświadczył tamtych przeżyć. Czuł na języku smak brudnej wody, skóra piekła go od oparzeń. Pamiętał wyczerpującą wspinaczkę po niekończących się schodach, tak krętych, że przyprawiały o zawroty głowy. Wyczerpany do cna, obolały po kontakcie z wściekle gorącą wodą, nie wiedział, jakim cudem zdołał dotrzymać kroku pozostałym. Ale wspinali się wyżej i wyżej, podczas gdy woda wzbierała pod nimi. Nigdy nie zapomni uczucia, z jakim patrzył przez poręcz na kotłującą się w dole brudną ciecz, której poziom powoli się podnosił, ze świadomością, że jego życie omal nie dobiegło końca w tym odmęcie.

Alec uratował im życie tamtego dnia. Następne dwa tygodnie spędzili we wnętrzu tego drapacza chmur, uświadomiwszy sobie bardzo szybko, że nie mogą jeszcze wyruszyć na poszukiwanie swoich bliskich. Upał, promieniowanie oraz wznoszący się poziom wody – to było za wiele. Właśnie wtedy nadzieja Marka na to, że kiedykolwiek odnajdzie swoją rodzinę, zaczęła gasnąć.

Lincoln Building. Miejsce, które kryło wystarczająco dużo własnych koszmarów. Starali się trzymać możliwie blisko osi budynku, w jego środkowych korytarzach, żeby mury chroniły ich przed bezlitosnym promieniowaniem słonecznym. Mimo to wszyscy czuli się chorzy w

tamtym pierwszych miesiącach.

Od strony pryczy, gdzie spał Alec, dobiegł jęk. Myśli Marka odpłynęły, odsunięte na dalszy plan; później wróca, żeby go dręczyć. Jednak uczucie zgrozy, którego doznał w tamtych ostatnich chwilach w tunelu transmetra, nie chciało go opuścić. Wisiało nad nim jak dym ze zgaszonego ogniska.

– Och... szlag – stwierdził Alec.

Mark wsparł się na łokciu, spoglądając w kierunku przyjaciela.

– Co?

– Nie zamierzałem zasypiać. Ładny ze mnie żołnierz, nie ma co. I nie wyłączyłem tego cholernego workpada. Już po nim.

– Oj tam, bateria i tak pewnie była na wykończeniu – powiedział Mark, chociaż tak naprawdę oddałby w tamtej chwili wszystko, żeby jeszcze przez pięć minut móc dysponować światłem urządzenia.

Alec jęknął i Mark usłyszał, jak prycza zaskrzypiała, gdy starszy mężczyzna dźwignął się na nogi.

– Musimy znaleźć współpracowników tego gościa. Powiedział, że zebrali się na dolnym poziomie bunkra. To znaczy, że musimy poszukać jakichś schodów – oznajmił.

– A co zrobimy z nim? – Mark wskazał Antona, zapomniawszy na sekundę, że Alec nie widzi go w ciemnościach.

– Niech śpi, lepiej na tym wyjdzie. Chodź.

Mark poświęcił chwilę, żeby odzyskać orientację w przestrzeni, po czym wstał i po omacku przeszedł wzdłuż pryczy, docierając do przejścia biegnącego przez środek sali.

– Jak myślisz, jak długo spaliśmy? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział Alec. – Ze dwie godziny?

Dotarcie powoli do wyjścia na korytarz zajęło im kilka minut. Żarówka nad drzwiami nadal migotała, ale jej poświata ledwie wystarczała, żeby cokolwiek zobaczyć. W końcu udało im się znaleźć schody, o których wspominał Alec. Nawet w słabym świetle, w którym widzieli głównie zarysy kształtów oraz cienie przechodzące w czerń, ich widok przypomniawszy Markowi wzbierającą wodę i rozpaczliwą wspinaczkę po schodach drapacza chmur. Tamtego dnia otarli się o śmierć. Gdyby wiedział o wszystkim, co miało nastąpić później, czy też walczyłby tak zawzięcie o to, żeby przeżyć?

Tak – powiedział sobie. Tak, walczyłby. I zamierzał odnaleźć Trinę. Nie zachowując się przy tym jak w gorącej wodzie kąpany. Omal nie zaśmiał się z własnego żartu.

– Chodźmy – wyszeptał Alec, zaczynając schodzić po stopniach.

Mark ruszył za nim, powziąwszy twarde postanowienie, że nie będzie już się gryzł myśleniem o przeszłości. Musiał się skupić na przyszłości, inaczej nigdy jej nie dożyje.

Klatka schodowa sprowadziła ich tylko trzy poziomy niżej, przy czym nie było z niej żadnego wyjścia, dopóki nie dotarli na najniższe piętro. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w kolejnym korytarzu. Wreszcie dotarli do tej partii bunkra, w której zużywana była elektryczność wytwarzana przez hałaśliwe generatory na górze: drogę oświetlały lampy rozmieszczone w linii prostej wzdłuż sufitu. W przeciwieństwie do prostego korytarza na górze, z którego przyszli, ten tutaj zakręcał.

Mark zerknął na Aleca i ruszyli przed siebie. Wzdłuż ścian rozmieszczone były drzwi, ale Alec zasugerował, że powinni zbadać korytarz na całej długości, zanim zaczną sprawdzać, co znajduje się w bocznych pomieszczeniach. Skradali się tak cicho, jak byli w stanie, i wkrótce stało się jasne, że korytarz jest olbrzymim półksiężycem.

Przemierzili mniej więcej połowę jego widocznej długości, kiedy Mark usłyszał głosy, a potem zobaczył ich źródło. Z przodu, po lewej stronie znajdowały się podwójne drzwi, których jedno skrzydło stało otworem. Głosy dobiegały z wnętrza tamtego pomieszczenia. Odbywało się tam jakieś spotkanie – mężczyźni i kobiety rozmawiali ze sobą, przekrzykując się, tak że Mark nie był w stanie rozróżnić ani słowa. To musiało być to zebranie, o którym wspominał Anton. Jego współpracownicy.

Podchodząc do pomieszczenia, Alec zwolnił kroku. Powoli zbliżał się do drzwi, aż stanął tuż przy nich, opierając się plecami o zamknięte skrzydło. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Marka, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: teraz albo nigdy, po czym wyciągnął szyję w stronę otwartego skrzydła i nachylił się, żeby zajrzeć do wnętrza sali. Mark wstrzymał oddech, przez cały czas pamiętając, że nie mają żadnej broni.

Alec cofnął głowę i na palcach podkradł się z powrotem bliżej Marka.

– To aula. Dosyć spora, myślę, że pomieści ze dwieście osób. Teraz wszyscy siedzą na dole i patrzą na jakiegoś gościa, który przemawia ze sceny.

– Ilu ich tam jest? – wyszeptał Mark.

– Co najmniej czterdzieści luda. Może pięćdziesięcioro. Ani śladu naszych przyjaciółek, jeśli oczy mnie nie mylą. Wygląda na to, że wszyscy tam się kłócą o coś, ale nie jestem w stanie rozróżnić, co mówią.

– To co robimy? – spytał Mark. – Idziemy dalej? Ten korytarz pewnie niedługo się skończy.

– Jeśli wejdziemy do tej auli na czworakach, będziemy w stanie się podkraść bliżej przodu, chowając się za krzesłami. Możemy ukryć się w rogu po prawej. Myślę, że powinniśmy posłuchać tego, co oni mówią.

Mark zgodził się. Nie wiedzieli, kim są ci ludzie ani co knują, ale wyglądało na to, że to jedyny sposób, żeby się przekonać. A w każdym razie najbezpieczniejszy.

– Okej, zróbmy tak.

Opadli na czworaki i przygotowali się. Mark zajął pozycję za towarzyszem. Stary żołnierz pochylił się, żeby wyrzeć zza drzwi; potem wpełzł do dużej sali. Mark poszedł w jego ślady. Poczucił się niemal nagi, gdy otoczyła go przestrzeń auli. Jednak nikt nie siedział z tyłu – wszystkie głosy dobiegały z dołu i wyglądało na to, że ludzie znajdują się w sporej odległości. A sądząc z faktu, że wszyscy, jak się zdawało, gadali jeden przez drugiego, Mark miał przeczucie, że nie spodziewają się intruzów.

Alec popęzł wzdłuż ostatniego rzędu, przyciskając się bokiem do czarnych plastikowych krzesel, aż dotarł na przeciwległy koniec auli, której róg był pogrążony w ciemnościach. Zatrzymał się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, wciśnięty w przestrzeń między ostatnim krzesłem a ścianą. Mark przesunął się, żeby usiąść obok niego. Musiał się przysunąć tak blisko, że znalazł się w niewygodnej pozycji, żeby maksymalnie zejść z widoku.

Alec wyciągnął się w górę i wyrzwał ponad oparciem krzesła znajdującego się przed nimi, po czym szybko schował się z powrotem.

– Mało co widzę. Wygląda na to, że czekają, aż coś się zacznie. Albo może zrobili sobie przerwę, nie wiem.

Mark zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Siedzieli tam, jak się zdawało, przez wieczność. Minęło co najmniej dziesięć nieznośnie długich minut, w czasie których nic się nie zmieniło. Słyszeli tylko szum zmieszanych rozmów. Potem nagły ruch sprawił, że chłopak chwycił oddech. Jakiś mężczyzna wkroczył do auli z korytarza – tak szybko, że

dosłownie przemknął Markowi przed oczami, przechodząc przez drzwi, po czym zbiegł przejściem między rzędami krzeseł w stronę sceny. Mark westchnął z ulgi, że nie został zauważony.

Tłum ucichł i znieruchomiał, tak że aula pogrążyła się w niemal upiornej ciszy. Mark słyszał kroki mężczyzny, gdy ten zszedł na sam dół i wspiął się po schodkach na scenę.

– Ja teraz przejmę prowadzenie, Stanley – oznajmił głęboki głos, który odbił się echem od sufitu, mimo że mężczyzna nie mówił głośno. Akustyka.

– Dzięki, Bruce – odpowiedział Stanley, posiadacz znacznie wyższego głosu. – Posłuchajcie go wszyscy uważnie.

Dało się słyszeć, jak ktoś schodzi ze sceny, po czym siada na jednym z krzeseł. Gdy ponownie zapadła cisza, nowo przybyły zaczął mówić.

– Zaczynamy, moi drodzy. Niedługo wszyscy postradamy zmysły.

37

Tak jakby to stwierdzenie nie było wystarczająco dziwne, tłum w odpowiedzi zaczął klaskać i wiwatować, przyprawiając Marka o dreszcze. Bruce odczekał, aż zapadnie cisza, zanim ponownie się odezwał. Mark nie mógł się doczekać, żeby usłyszeć, co powie.

– Frank i Marla wrócili. Oblecieli tereny wokół Asheville. Tak jak przypuszczaliśmy, solidnie umocniono fortyfikacje. Ludzkość i miłosierdzie, przyjaciele? Te dni dawno minęły. KKO stworzyła armię potworów – ci ludzie, którzy gotowi byli oddać potrzebującemu ostatnią koszulę. Już nie. Ci szmatławcy na Alasce i w Północnej Karolinie – tu u nas, w Asheville – raz na zawsze wypięli się tyłkiem na osady. Co gorsza, wypięli się tyłkiem na nas. *Na nas!*

To wywołało chór wściekłych okrzyków, tupania nogami i walenia w podłokietniki krzesel. Zgiełk odbijał się echem od ścian auli do momentu, gdy Bruce przemówił ponownie.

– Przyszli nas tutaj! – zawołał. Jego głos był teraz donośniejszy. – Kazali nam wziąć udział w akcji, która stanowiła największe pogwałcenie praw obywatelskich od czasu wojny w 2020 roku. To holokaust! Ale zapewniali, że stawką jest przetrwanie rodzaju ludzkiego. Mówili, że chodzi o zaoszczędzenie tych ograniczonych zasobów, którymi dysponujemy, aby móc wykarmić tych ludzi, których oni uznają za warty przeżycia. Ale kim są, żeby decydować, kto jest wart przeżycia? – Zrobił pauzę, po czym kontynuował. – No cóż, panie i panowie, wygląda na to, że my nie jesteśmy go warci. Tamci przyszli nas tutaj, żebyśmy odwalili za nich brudną robotę, a teraz postanowili się na nas wypiąć. Kim oni są, pytam was wszystkich!

Praktycznie wyrzeszczał ostatnie zdanie, ponownie wprawiając tłum w stan bliski hysterii. Ludzie krzyczeli i tupali. Ryk sprawiał, że Mark czuł pulsowanie w skroniach i tępy ból w okolicach czoła. Miał wrażenie, że ten zgiełk się nigdy nie skończy, ale potem nagle zapadła cisza. Odgadł, że widocznie Bruce gestem nakazał słuchaczom milczenie.

– Oto na czym stoimy – oznajmił znacznie spokojniej. – Obiekty doświadczone z dnia na dzień coraz bardziej fanatycznie wyznają swój dziwaczny religijny kult. Zawarliśmy z nimi ugodę. Chcieli dostać dziewczynkę z powrotem. Wygląda na to, że chcą ją złożyć w ofierze swoim duchom. Myślę, że są kompletnie szaleni. Nie mamy żalnej możliwości im pomóc. Nie są w stanie wytrzymać nawet dnia w spokoju, ciągle walczą między sobą. Wciąż od nowa dzielą się na obozy, próbują zaczynać od początku, a potem znowu wybuchają między nimi wojna. Jednak udało nam się zawrzeć układ z tymi nielicznymi, którzy chyba są jeszcze zdolni do racjonalnego myślenia. Mam już powyżej uszu tego, że ilekroć wychodzę na zewnątrz, muszę mieć oczy naokoło głowy, inaczej ktoś zeskoczy z drzewa i mnie zaatakuje.

Zrobił pauzę, pozwolił, żeby długa, przeciągająca się chwila upłynęła w ciszy

– Oddaliśmy im dziewczynkę i te dwie kobiety, które jej towarzyszyły. Wiem, że to dość brutalne rozwiązanie, ale teraz przynajmniej przez jakiś czas będziemy mieli spokój. Nie chcę marnować tej cennej amunicji, która nam jeszcze została, na bronienie się przed jakąś sektą.

Markowi nagle zaszumiało w uszach. Dziewczynka. Dwie kobiety. *Oddaliśmy im.* Słowa, które wypowiedział Anton na górze, w pomieszczeniu sypialnym. To wszystko z hukiem dotarło do świadomości Marka, sprawiając, że zadrżał. Przypomniał sobie, jak kompletnie szaleni byli tamci ludzie przy ognisku. Chociaż wcześniej sądził, że gorzej już być nie może, teraz okazało się, że był w błędzie. Zmarnowali tyle czasu w bunkrze, a ich towarzyszek dawno tu nie było.

Bruce mówił dalej, ale Mark nie był w stanie się skupić na jego słowach. Nachylił się i wyszeptał wprost do ucha Aleca:

– Jak oni mogli je oddać tym... *ludziom?* Musimy iść. Kto wie, co ci psychole z nimi zrobią!

Alec uniósł dłoń, nakazując mu spokój.

– Wiem. Pójdziemy. Ale pamiętaj, z jakiego powodu tu przyszliśmy. Posłuchajmy, co ten facet ma do powiedzenia, a potem pójdziemy. Obiecuję. Lana znaczy dla mnie tyle samo, co Trina dla ciebie.

Mark kiwnął głową, ponownie oparł się o ścianę. Próbował słuchać tego, co mówił ze sceny Bruce.

– ...pożar mamy z głowy dzięki ostatniej burzy, która nadeszła parę

godzin temu. Niebo jest czarne, ale płomienie zgasły. Będziemy teraz mieli w całej okolicy mnóstwo osunięć ziemi. Wygląda na to, że wszystkie obiekty doświadczone pouciekały do swoich na wpół spalonych schronień w górach. Mam nadzieję, że zostaną tam przez jakiś czas, zanim w desperacji postanowią pomaszerować do Asheville w poszukiwaniu żywności. Ale myślę, że możemy bezpiecznie wyruszyć do miasta jutro czy pojutrze. Wkroczymy tam siłą i zażądamy tego, co nam się należy. Pójdziemy piechotą w nadziei, że dzięki temu ich zaskoczymy.

Tu i ówdzie dało się słyszeć pełne niepokoju pomruki, zanim Bruce podjął:

– Słuchajcie, nie ma sensu zaprzeczać, że wśród nas są zarażeni. Wszyscy widzieliśmy objawy, tu w naszym bezpiecznym schronieniu. Po prostu nie ma możliwości, żeby nasi zwierzchnicy zgodzili się wypuścić tego wirusa, nie dysponując czymś, co odwraca jego działanie. I mówię wam, że albo nam to dadzą, albo umrą. Choćbyśmy musieli w tym celu dotrzeć aż na Alaskę. Wiemy, że w swojej bazie mają Płaski Przenos. Przejdziemy przez niego i zmusimy ich, żeby nam dali to, na co zasługujemy!

W powietrzu zagrzmiało więcej wiwatów i tupania.

Mark pokręcił głową. Ci ludzie byli ewidentnie niezrównoważeni. W pomieszczeniu buzowała dzika energia, tak jakby byli gniazdem oszykującym się do ataku. Bez względu na to, w jakim celu wypuszczono wirusa, było jasne, co ta choroba robi z ludźmi: sprawia, że wariują. I wyglądało na to, że w miarę jak się rozprzestrzenia na kolejne ofiary, potrzebuje coraz więcej czasu, żeby wywołać objawy. A jeśli w Asheville, największym mieście, jakie przetrwało w promieniu setek mil, naprawdę wzniesiono fortyfikacje, aby uchronić się przed zarazą, to znaczyło, że musi być źle. Ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek potrzebował, była banda zainfekowanych żołnierzy biegających po ulicach. I ten Płaski Przenos...

Markowi nadal huczało i pulsowało w głowie, miał kłopot z uporządkowaniem swoich myśli. Wiedział, że musi się skupić na Trinie, na tym, żeby ją odzyskać. Ale co z tym wszystkim, czego się dowiedzieli? Szturchnął Aleca łokciem, posłał mu spojrzenie mówiące, że jego cierpliwość się kończy.

– Za moment, chłopcze – szepnął jego towarzysz. – Nigdy nie rezygnuj z szansy na zdobycie informacji. Potem ruszymy szukać naszych

przyjaciółek. Przysięgam.

Markowi nie podobało się, że miałby poświęcić Trinę na rzecz informacji. Nie po tym, przez co przeszli, żeby dożyć do tej pory. Nie mógł czekać dużo dłużej.

Na sali ponownie zapanowała cisza.

– Kryzysowa... Koalicja... Ocalałych. – Bruce wypowiedział każde z tych słów z przesadnie wyraźną dykcją i z pogardą. – Za kogo ci ludzie się uważają? Za bogów? Mogą tak po prostu zdecydować, że wymordują mieszkańców całej wschodniej połowy Stanów Zjednoczonych? Tak jakby KKO miała większe prawo do życia niż ktokolwiek inny?

Po ostatnim zdaniu nastąpiła kolejna długa pauza. Mark nie był już w stanie wytrzymać. Przepętlął obok Aleca i powoli wychylił głowę zza fotela, żeby spojrzeć. Bruce był potężnie zbudowanym mężczyzną o łysej głowie, która lśniła w słabym świetle. Twarz miał bladą, z kilkudniowym zarostem. Mięśnie jego rąk i ramion prężyły się pod przyciasną czarną koszulą, gdy stał z dłońmi splecionymi przed sobą, wpatrując się w podłogę. Gdyby Mark nie usłyszał tych wszystkich rzeczy, które mężczyzna powiedział chwilę wcześniej, pomyślałby, że Bruce się modli.

– Nie miejcie do siebie pretensji, przyjaciele. Nie mogliśmy odmówić zrobienia tego, co kazali nam zrobić – wyrzekł Bruce, powoli podnosząc wzrok, żeby ponownie spojrzeć na urzeczoną, jego przemówieniem publiczność. – Nie mieliśmy wyboru. Wykorzystali te zasoby, które usiłujemy chronić, przeciwko nam. My też musimy jeść, nie? To nie nasza wina, że wirus okazał się nie do końca taki, jak zakładali. Wszystko, co możemy zrobić, to to, co robiliśmy, odkąd rozbłyski słoneczne spustoszyły Ziemię: walczyć zębami i pazurami, żeby przeżyć. Już Darwin pisał o ewolucji drogą doboru naturalnego. Cóż, KKO usiłuje oszukać przyrodę. Pora zawalczyć o nasze własne dobro. Prze...ży...jemy!

Wybuchła kolejna burza ochrypłych wiwatów, gwizdów, klaskania i tupania, która trwała minutę czy dwie. Mark odsunął się do tyłu i usiadł obok Aleca, z silniejszym niż kiedykolwiek poczuciem, że muszą się stąd czym prędzej zwijać. Właśnie miał coś powiedzieć, kiedy tłum zamilkł, a głos Bruce'a wypełnił salę niczym nagłośnie syczenie żmii.

– Ale najpierw, przyjaciele, potrzebuję, żebyście zrobili coś dla mnie. Z tyłu tej sali ukrywa się dwóch szpiegów. Bardzo możliwe, że przysłała ich KKO. Chcę, żeby leżeli tu przede mną związani i zakneblowani, zanim

policzę do trzydziestu.

38

Mark skoczył na równe nogi, zanim jeszcze mężczyzna skończył mówić. Alec zareagował niewiele wolniej.

W tłumie wybuchł wściekły ryk, niczym okrzyk wojenny, gdy Mark zamarł na moment, żeby ogarnąć wzrokiem całą salę. Zebrani zakotłowali się, podrywając się z krzeseł i potykając o siebie nawzajem, tak się śpieszyli, żeby dotrzeć do przejścia między fotelami i pognać za dwójką intruzów.

Mark pobiegł w stronę wyjścia, nie mogąc oderwać wzroku od sceny rozgrywającej się poniżej. Obserwował wszystko z dziwną mieszaniną zgrozy i ciekawości. Bruce wyrykiwał rozkazy, wskazując Marka i Aleca palcem. Jego blada twarz poczerwieniała od gniewu, a ruchy miały w sobie coś dziecinnego, niemal jak z kreskówki. Gorączkowy zgiełk, który towarzyszył jego przepychającym się zwolennikom, również wydawał się przesadny, tak jakby wszyscy byli nabuzowani jakimś narkotykiem. Mężczyźni i kobiety wrzeszczeli i warczeli niczym wielkie, rozwścieczone małpy. I wszyscy chcieli złapać właśnie jego, zachowując się tak, jakby ich życie zależało od tego, czy dopadną go pierwsi.

Alec pierwszy dopadł do drzwi i wyskoczył na korytarz jak oparzony. Mark zatrzymał się gwałtownie – tak mocno skupił się na tłumie, który gnał w ich kierunku, że mało brakowało, a przebiegłby obok wyjścia. Jego dziwaczne, nieadekwatne do sytuacji zaciekawienie ich zachowaniem wreszcie zniknęło; w zamian uderzyła go straszliwa świadomość, że lada chwila zostanie złapany po raz drugi w ciągu tyłuż dni. Przenikliwe wrzaski ścigających przeraziły go, a gdy po raz ostatni zerknął w bok, wybiegając z auli, zobaczył, jak pierwsi członkowie grupy pędzą w jego stronę z mordem w oczach.

Na korytarzu pośliznął się na posadzce, złapał równowagę. Kiedy Mark przebiegł przez drzwi, Alec wyciągnął rękę i zamknął je, być może kupując im w ten sposób parę sekund. Światło było słabe, ale Mark zorientował się, że towarzysz zapomniał, którądy tutaj przyszli.

– Tędy! – wrzasnął, już znowu biegnąc. Usłyszał za sobą tupot stóp Aleca, a potem drzwi rozwarły się z hukiem, po czym dało się słyszeć wypadających z auli ludzi, którzy nadal wznosili okrzyki bojowe.

Mark biegł ile sił w nogach, starając się nie wyobrazić sobie ścigających ani tego, co zrobią, jeśli go złapią. Bruce kazał ich związać i zakneblować, ale miny malujące się na twarzach jego podwładnych powiedziały Markowi, że to będzie zaledwie początek. Zerknął za siebie, żeby się upewnić, że Alec nie został z tyłu; przekonał się, że stary niedźwiedź pędzi jak olimpijczyk, wymachując rękami, po czym ponownie skupił się na tym, co miał przed sobą, gnając sprintem wzdłuż zakręcającego łagodnie korytarza. Kierował się w stronę schodów prowadzących w górę, bo nie wiedział, gdzie indziej mogliby pobiec.

Ciało Marka wypełniała adrenalina, a jego żołądek boleśnie skręcał się z głodu. Chłopak nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł. Mógł tylko żywić nadzieję, że wystarczy mu energii na to, żeby uciec z powrotem do lasu rozciągającego się w górze. Przed nimi pojawiła się klatka schodowa i spróbował jeszcze trochę przyśpieszyć. Rozdzierające okrzyki ścigających, odbijające się echem w wąskiej przestrzeni korytarza, przywodziły mu na myśl ten przeszywający dźwięk, jaki wydawały nadjeżdżające pociągi transmetra, pędzące swoimi tunelami.

Mark dopadł do schodów, już wskakiwał na drugi stopień, kiedy dopędził go Alec. Chłopak usłyszał ciężki oddech towarzysza, wtórujący jego własnemu. Ich kroki głośno łomotały na schodach. Mark łapał się poręczy przy każdym zakręcie, pomagając sobie wskoczyć wyżej. On i Alec w szybkim tempie pokonali trzy piętra, docierając na samą górę w momencie, gdy Mark usłyszał, jak pościg dociera do najniższych stopni. Głuche echo ich gorączkowych okrzyków sprawiło, że dreszcze zmroziły jego spoconą skórę.

Wybiegł na korytarz na górze, gdzie nadal panowały ciemności. Mógł tylko się modlić, żeby im to pomogło. Nagle dopadło go chwilowe niezdecydowanie, powodując uderzenie paniki.

– W którą stronę? – wrzasnął do Aleca. Przemknęło mu przez myśl, że powinni się gdzieś schować – może w tym pomieszczeniu, gdzie stały generatory. Szukanie wyjścia oznaczało, że będą pozostawali na widoku i lada chwila zostaną złapani, jeśli go nie znajdą, ale ukrycie się tylko odwlecze moment, gdy tamci ich dopadną.

Zamiast odpowiedzieć, Alec zaczął biec w prawo, z powrotem w kierunku ogromnego obrotowego lądowiska, na którym siadały góroloty. Mark ruszył w ślad za nim, pełen ulgi, że jego przyjaciel ponownie objął dowodzenie.

Gnali przez ciemność w tempie, które urągało zdrowemu rozsądkowi. Mark przesuwiał dłonią po ścianie, żeby nie stracić orientacji, ale wiedział, że jeśli wpakuje się na coś leżącego na posadzce, już po nim. Minęli pomieszczenie z generatorami – słabe czerwone światło ledwo dychającej żarówki dało im chwilę wytchnienia od kompletnego mroku. Pomruk maszynierii przywodził na myśl bzyczenie pszczoł w ulu. Sprintem pobiegli dalej, a poświata i odgłos szybko zostały za nimi. Właśnie wtedy Mark zauważył coś, co niemal sprawiło, że się zatrzymał.

Odgłosy pościgu ucichły. Całkowicie. Tak jakby tamci w ogóle nie weszli na klatkę schodową.

– Alec – wyszeptał. Prawie nie usłyszał własnego głosu, bo zagłuszały go ich zdyszane oddechy i szybkie kroki. Powtórzył imię przyjaciela nieco głośniej.

Jego towarzysz zatrzymał się i Mark minął go, zanim sam przystanął. Łapiąc głębokie hausty powietrza, odwrócił się, żeby stanąć twarzą do przyjaciela. Desperacko pragnął odrobiny światła.

– Czemu już ich nie słychać? – zadał retoryczne pytanie.

– Nie wiem – odparł Alec. – Ale powinniśmy iść dalej. – Mark usłyszał, jak mężczyzna maca wokół po ścianach korytarza. – Ty szukaj po prawej stronie, ja będę się trzymał lewej. Może jest tu jakieś inne wyjście, o którym nie wiemy.

Mark zaczął szukać. Ściany były chłodne w dotyku. Przypomniał sobie drzwi, które minęli wcześniej, otoczone prostokątem słabego światła – teraz nigdzie ich nie widział. Można było szалу dostać od przebywania w tej ciemności, nie wiedząc, gdzie się podziali ścigający ich ludzie. Przyprawiało go to o gęsią skórkę. Miał złe przeczucia.

Doszli do końca korytarza, tam, gdzie znajdował się okrągły właz prowadzący do komory leżącej bezpośrednio pod ruchomą płytą lądowiska. Mark usłyszał, jak Alec przechodzi przez otwór, po czym wraca.

– Tam też nic nie widać.

– Nie ma innego miejsca, gdzie moglibyśmy pójść – odparł Mark. – Po

prostu wejdźmy tam, zatrzaśnijmy drzwi i spróbujmy coś wykombinować. Może damy radę...

Alec uciszył go, nim chłopak zdążył dokończyć zdanie.

– Słyszałeś to? – wyszeptał.

Samo to pytanie sprawiło, że Mark się wzdrygnął. Znieruchomiał i wstrzymał oddech. Z początku nic nie słyszał; potem doleciał do niego szelest, słaby, ale dobiegający z głębi korytarza. Nie cichł, a w dodatku dźwięk brzmiał dziwnie – raz wydawało się, że jego źródło znajduje się tuż obok nich, a kiedy indziej, że w oddali. Nagle Marka uderzyło przemożne wrażenie, że nie są sami.

Zmroziła go zgroza. Wyciągnął rękę, żeby popchnąć Aleca, zmusić go, żeby wszedł do komory, wiedząc, że to ich jedyna szansa. Dostać się tam, zatrzasnąć właz, przekręcić klamkę i nie pozwolić, żeby tamci sforsowali wejście. Jednak zanim Mark zdążył zrobić więcej niż jeden krok, coś kliknęło, po czym zabłysła oślepiająca smuga światła z latarki wycelowanej prosto w nich. Ten, kto ją trzymał, stał zaledwie kilka kroków dalej.

– Nie powiedzieliśmy, że możecie już sobie iść – oznajmił kobiecy głos.

39

Nastąpiło gorączkowe poruszenie – włączały się kolejne latarki, smugi ich światła krzyżowały się i podskakiwały w powietrzu w chaotycznym tańcu. Ludzie Bruce’a zaszarżowali, ponownie wznosząc swoje bojowe okrzyki. Mark odwrócił się do Aleca, który zdążył już wyciągnąć rękę, złapał chłopaka za koszulę i pociągnął go w stronę otwartego włazu.

Alec był w progu komory, nadal trzymając Marka za koszulę, kiedy burza światła zrównała się z nimi. Oślepiały. Ktoś złapał Marka za stopę i szarpnął ją w górę, tak że chłopak wywinął orła i mocno walnął potylicą o posadzkę. Nagle odkrył, że jest wleczony za nogę. Ciągnięto go po posadzce, tak że zderzał się z ludźmi, szamocząc się jak szalony, usiłując się uwolnić.

Alec wykrzyknął jego imię, ale Mark ledwo go usłyszał przez zgiełk wściekłego tłumu. Został otoczony ze wszystkich stron i ktoś kopnął go w żebra; jakaś kobieta wrzasnęła piskliwie, po czym rąbnęła go pięścią w brzuch. Mark jęknął i spróbował się zwinąć w kłębek. Szarpnął stopą tak mocno, że wyrwał ją z uścisku prześladowcy. Wykorzystując dogodny moment, przewrócił się na brzuch i zaczął pełznąć z powrotem w stronę włazu. Rozpaczliwie wymachiwał rękami i nogami, usiłując nie pozwolić, żeby ktokolwiek ponownie go złapał.

Wśród szamotaniny rozległ się ryk. Ochrypiły, wściekły – dźwięk, który mogłaby wydać niedźwiedzica broniąca młodych. To był Alec – i nagle wszędzie zaroilo się od padających ciał. Stary żołnierz zaszarżował i wpadł w tłum, obalając połowę tych ludzi, którzy usiłowali dopaść Marka. W ogólnym chaosie ktoś upadł na nogę chłopaka, ktoś inny na jego plecy. Mark przekręcił się i nagle ktoś usiadł mu na twarzy. Przez moment wszystko wydawało się kompletnie absurdalne, tak jakby Mark znalazł się na scenie w cyrku, wśród kłownów. Omal się nie roześmiał.

Potem ktoś spoliczkował go, sprawiając, że ten obraz momentalnie zniknął z jego umysłu. Mark zacisnął pięść i też wymierzył cios, ale nie trafił. Spróbował jeszcze i jeszcze raz, bez skutku, wymachując rękami

niczym ślepy bokser. Przy czwartej czy piątej próbie rąbnął pięścią w czyjś podbródek i usłyszał krzyk. Kątem oka dostrzegł Aleca, który walczył jak lew, rozpychając ludzi, waląc łokciami w twarze i rzucając ciała na podłogę. Rozległ się brzęk spadającej latarki, potem metaliczny stukot, gdy się toczyła, aż oparła się o ścianę i znieruchomiła. Jej światło padało na posadzkę i na okrągły właz prowadzący do komory, od którego dzieliło ich góra sześć metrów. Mark wiedział, że jakimś cudem muszą pokonać napastników i przedostać się na drugą stronę, inaczej już po nich.

Dźwignął się na czworaki, ale ktoś skoczył mu na plecy, ponownie go obalając. Czyjeś ramię otoczyło jego szyję, zaczęło go dusić. Mark zakrztusił się, usiłując złapać oddech, ale nie mógł wciągnąć powietrza. Rozbolały go płuca. Zdołał się oprzeć na rękach i odepchnął się od posadzki, przekręcając się w bok, tak że zrzucił napastnika z siebie. Okręcił się i kopnął tego człowieka w twarz – w ostatniej chwili dotarło do niego, że to kobieta. Jej głowa z trzaskiem odskoczyła w bok, a z nosa chlusnęła krew.

Dwie inne osoby rzuciły się na Marka od tyłu, złapały go za ręce i szarpnięciem postawiły na nogi. Próbował się uwolnić, ale trzymali zbyt mocno. Trzeci mężczyzna stanął przed chłopakiem, uśmiechając się paskudnie. Zamachnął się i z całej siły rąbnął Marka pięścią w brzuch. Mark zgiął się wpół, czując eksplozję bólu i mdłości. Zakrztusił się, ale nie miał w żołądku nic, czym mógłby zwymiotować.

Usłyszał kolejny ryk, a potem Alec zaatakował jednego z ludzi, którzy trzymali chłopaka. Gdy tylko tamten puścił jego rękę, Mark zamachnął się mocno i walnął drugiego napastnika łokciem w podbródek, uwalniając drugie ramię. Rzucił się do przodu i obalił na ziemię człowieka, który go uderzył. Tamten upadł z głuchym stęknieniem.

Mark nie poświęcił mu drugiego spojrzenia. Pośpiesznie dźwignął się na nogi, po czym zanurkował po tę upuszczoną latarkę, która na jego oczach potoczyła się pod ścianę. Podpełzł szybko, złapał ją i mocno ścisnął w rękę. Była ciężka, z solidną metalową obudową. Wstał i zamachnął się nią szeroko, w ogóle nie sprawdzając, kto go atakuje. Udało mu się walnąć jakiegoś faceta w ucho; trafiony krzyknął i osunął się na podłogę. Alec, który ukradł latarkę komuś innemu, właśnie wstawał; chwilę wcześniej szamotał się z dwoma czy trzema przeciwnikami, którzy teraz leżeli bez ruchu u jego stóp. Mark podbiegł do niego i obaj obrócili się powoli, stojąc

twarzą w twarz z pozostałymi napastnikami, którzy nadal znacznie przewyższali ich liczebnością. Utworzyli dwie grupy – jedną po jednej, drugą po drugiej stronie korytarza – i wyraźnie szykowali się do ostatniej, decydującej szarży, żeby zgnieść Marka i Aleca pośrodku.

Mark omiótł otoczenie snopem światła z latarki i spostrzegł, że grupa znajdująca się między nimi a drzwiami do komory jest mniejsza, liczy sobie raptem może z osiem osób. Przynajmniej los dał im chociaż tyle. Jak gdyby on i Alec skomunikowali się telepatycznie, obaj równocześnie ryknęli i zaszarżowali na małą grupkę. Wpadli na przeciwników, których ciała poleciały i poprzewracały się na wszystkie strony. Mark w przyпіływie desperacji wpadł niemalże w szał, kopiąc, waląc kolanami i tłukąc latarką we wszystko, co się poruszało. Szarpiąc się, przeciskając i pchając, wyrывая się za każdym razem, gdy ktoś próbował go złapać za rękę, nogę lub ubranie, przedzierał się do przodu przez stłoczonych ludzi.

Jakimś cudem dotarł na drugą stronę, przed sobą miał teraz wolną drogę do otwartych drzwi. Alec też zdołał się przedrzeć – przepychając się między ostatnimi przeciwnikami upadł, ale szybko poderwał się z powrotem. A potem obaj podbiegli do okrągłego otworu i przeleźli przez niego. Sekundę później Alec już złapał drzwi i usiłował je zatrzaskać. Kilka rąk wsunęło się przez otwór, uniemożliwiając ich zamknięcie.

– Chodź i pomóż mi! – wrzasnął.

Mark zaczął walić swoją latarką w ręce i dłonie; potem Alec otworzył drzwi szeroko i z powrotem nimi trzasnął, miażdżąc tych, którzy nadal usiłowali się wdrzeć do środka. Rozległ się skowyt i wrzaski, a kilka rąk cofnęło się gwałtownie. Jednak kolejna fala napastników naparła na drzwi tak mocno, że Alec omal się nie przewrócił.

Mark odrzucił latarkę i skoczył, żeby pomóc towarzyszowi. Obaj chwycili zewnętrzną krawędź drzwi i otwarli je szarpnięciem, po czym walnęli nimi tych, którzy usiłowali się wdrzeć do komory. Więcej rąk się cofnęło, ale natychmiast zastąpiły je nowe, mimo że Mark i Alec ponownie' odciągnęli drzwi do tyłu i rąbnęli ich wewnętrzną krawędzią w napastników. Znów rozległy się wrzaski bólu i zostało mniej rąk. Zrobili to jeszcze raz. I jeszcze raz. Szybciej, mocniej, i za każdym razem udawało im się domknąć drzwi trochę bardziej.

– Jeszcze raz, mocno! – ryknął Alec.

Mark spiął się, odciągnął drzwi daleko, po czym wrzasnął i pchnął je

całym ciałem, wkładając w to wszystkie siły. Metalowa płyta zmiażdżyła kości i sprasowała palce, i ostatnie ręce zniknęły z widoku.

Alec oparł się o drzwi i zamknął je. Zatrzasnęły się z grzmiącym metalicznym łoskotem.

Mark przekręcił obręcz.

40

Ogłuszająca cisza, która wypełniła komorę, została rozdarta przez pisk obracającego się kolistego uchwyty. Mark zakręcał go ciaśniej i ciaśniej. Alec pomógł mu, bo ludzie po przeciwnej stronie drzwi próbowali przekręcać obręcz z powrotem w drugą stronę. Im mocniej Alec i Mark dokręcali mechanizm zamykający, tym łatwiej było powstrzymać napastników od odkręcania go.

– Po prostu przytrzymaj to draństwo – polecił w końcu Alec, gdy nie mogli już obrócić uchwyty dalej. Cofnął się o krok, a Mark ujął prawą połowę obręczy w obie dłonie i trzymał ją mocno. Komora przed nim, gdzie obracała się płyta lądowiska przed schowaniem się pod ziemię, była ogromna i pusta. Po walce na korytarzu w głowie chłopaka tętnił wściekły ból, podobnie jak w całej reszcie ciała.

Alec właśnie podnosił upuszczoną latarkę leżącą tuż obok latarki Marka. Skierował snop niebieskawego światła w stronę komory po prawej, na masywny kształt spoczywającego tam górolotu. Drobin kurzu tańczyły w smudze blasku, gdy Alec wodził nią tam i z powrotem, wydobywając z mroku poobijany metal, rzędy śrub oraz wystające rogi i krawędzie. W niemal całkowitej ciemności machina wyglądała niczym statek kosmitów wyłaniający się z otchłani oceanu.

– W środku wydaje się dużo większy – powiedział Mark. Mięśnie jego rąk zaczynały się męczyć, ale cały czas czuł nacisk na obręcz, która co chwila podnosiła się o parę centymetrów, po czym opadała z powrotem. – Są jakieś szanse na to, żebyśmy stąd uciekli tym potworem?

Alec powoli obchodził górolot naokoło w poszukiwaniu czegoś, przypuszczalnie luku.

– To najlepszy pomysł, jaki zgłosiłeś od rana.

– Dobrze, że jesteś pilotem. – Rozległy się dudniące głucho uderzenia w płytę drzwi i Mark wyobraził sobie, jak pełni frustracji podwładni Bruce'a walą w nią pięściami, niemal wychodząc z siebie.

– Taa... – odmruknął z roztargnieniem Alec. Wkrótce jego głos doleciał z

przeciwległej strony komory, zza wielkiej maszyny. – Luk jest tutaj!

Ich prześladowcy nagle zaprzestali prób dostania się do środka, wszelkie odgłosy ucichły.

– Opuścili! – zawołał Mark z tak dziecinnym podnieceniem, że aż się zawstydził.

– To znaczy, że coś knują – odparł Alec. – Musimy się dostać na pokład tej bestii i przygotować ją do lotu. I otworzyć tę płytę lądowiska.

Mark podniósł wzrok na obręcz mechanizmu drzwi i puścił ją powoli, gotów z powrotem ją złapać, gdyby się poruszyła. Dźwignął się na nogi, nie odrywając od niej wzroku.

Podskoczył, kiedy powietrze rozdarł głośny szczęk, a potem przeraźliwy zgrzyt metalu trącego o metal. Odwrócił się gwałtownie, żeby sprawdzić, co się stało, ale masywna bryła górolotu znajdowała się między nim a źródłem hałasu. Widocznie Alec jakimś sposobem zdołał zmusić luk, żeby się otworzył. Mark po raz ostatni popatrzył na obręcz, upewniając się, że chwilowo nie dzieje się z nią nic niebezpiecznego, po czym podszedł do górolotu, żeby dołączyć do towarzysza. Stary żołnierz stał po drugiej stronie statku, z rękami wspartymi na biodrach niczym dumny mechanik, podczas gdy ogromna rampa powoli zniżała się ku ziemi.

– To co, drugi pilocie, wsiadamy? – spytał Alec z krzywym uśmiechem. – Jestem pewien, że płytę lądowiska da się zdalnie otworzyć ze środka.

Po wyrazie jego oczu Mark poznał, że towarzysz chciał jak najszybciej znaleźć się ponownie za sterami górolotu, lecieć nim przez podniebne przestrzenie, ciesząc się szybkością i wolnością.

– Pod warunkiem, że mówiąc „drugi pilot” masz na myśli „facet, który tylko siedzi i patrzy, jak ty wszystko robisz”.

Alec wybuchnął donośnym, łobuzerskim śmiechem, tak jakby wszelkie problemy przestały dla niego istnieć. Markowi spodobał się ten dźwięk. Na sekundę czy dwie chłopak zapomniał, w jak koszmarnej sytuacji się znajdują. Potem jednak pomyślał o Trinie, a równocześnie jego żołądek ponownie skręcił się w bolesnych głodowych skurczach. To by było na tyle.

Alec wskoczył na rampę, gdy tylko dotknęła posadzki, i wspiął się po niej w kierunku szerokiego otworu, znikając w ciemności wewnątrz statku. Mark wybiegł z powrotem do głównej komory, żeby ponownie

sprawdzić drzwi. Gdy tylko upewnił się, że są bezpieczni, a obręcz się nie porusza, zawrócił i poszedł w ślady towarzysza.

Wspiąwszy się na rampę, zatrzymał się na sekundę w progu, żeby oświetlić wnętrze latarką. Górolot sprawiał niepokojące wrażenie, mroczny i zakurzony. Wyglądał podobnie do tego, na pokład którego Alec i Mark zdołali się dostać w osadzie, ale było tam bardziej pusto. Alec chodził tam i z powrotem, rozglądając się czujnie.

Mark wkroczył na pokład statku. Jego kroki zadudniły metalicznie o pokład. Dźwięk odbił się echem w ciemnościach, przywołując z powrotem wspomnienie starego filmu – była tam scena, gdzie astronauta wchodził na opuszczony statek obcych. Oczywiście okazał się pełen kosmitów lubiących pożerać ludzi. Chłopak miał nadzieję, że on i Alec nie natrafią tutaj na podobną niespodziankę.

– Nie widzę ani śladu tych pudeł ze strzałkami, które widzieliśmy na pokładzie drugiego górolotu – powiedział Alec, oświetlając latarką rząd pustych regałów.

Mark spostrzegł coś wciśniętego w róg najdalszej półki.

– Hej, a to co? – spytał. Podeszedł tam, oświetlił to coś latarką, po czym podniósł trzy workpady ułożone jeden na drugim i przypięte elastycznymi paskami.

– Spójrz na to! – zawołał do Aleca. – Workpady!

– A działają w ogóle? – odparł jego towarzysz, któremu to znalezisko najwyraźniej niezbyt zaimponowało.

Mark przytrzymał swoją latarkę w zgięciu łokcia i spróbował włączyć jedno z urządzeń. Jego monitor rozjaśnił się, pokazując ekran powitalny wymagający wpisania hasła w postaci ciągu cyfr.

– Tak, ten działa, jak najbardziej – odparł chłopak. – Ale chyba będziemy potrzebowali twojego nadludzkiego żołnierskiego mózgu, żeby się włamać do systemu.

– Wracaj tu... – Alec przerwał w pół słowa, kiedy cały górolot zatrząsł się i zadygotał na sekundę. Mark niemal upuścił workpad, usiłując złapać równowagę. Latarka wysunęła mu się z ręki, z brzękiem upadła na posadzkę i wyłączyła się.

– Co to było? – spytał Mark, chociaż miał przecucie, że już wie.

Gdy tylko te słowa wydobyły się z jego ust, powietrze rozdarł donośny zgiełk – szcęk kół zębatych oraz zgrzyt metalu. Ktoś z podwładnych

Bruce'a musiał nacisnąć jakiś guzik.

Płyta lądowiska w centralnej komorze ponownie zaczęła się obracać.

41

– Szybko, musisz zamknąć luk! – wrzasnął Alec do Marka. – Panel sterowania jest zaraz obok. Ja zstartuję to maleństwo. Przebijemy się nim na powierzchnię ziemi, jeśli będziemy musieli!

Wybiegł z ładowni nie czekając na odpowiedź i pognał w głąb statku. Niestety światło zniknęło razem z nim, a Mark został sam w nieprzebitej czerni. Jednak w komorze zdążyło już zrobić się minimalnie jaśniej, bo wokół obracającej się płyty lądowiska pojawiła się szczelina, dzięki czemu chłopak dostrzegł swoją latarkę.

Podniósł ją, po czym podbiegł do miejsca, gdzie leżały workpady, i przypiął je z powrotem, mając nadzieję, że uda mu się przeżyć wystarczająco długo, żeby sprawdzić, jakie informacje zawierają. Włączył latarkę i szybko rozejrzał się po pomieszczeniu, świecąc nią po kątach. Przez hałas obracającej się płyty przebiły się głosy – okrzyki – przywracając go momentalnie do brutalnej rzeczywistości.

Już mieli goście, przypuszczalnie szykujących się do zeskoczenia z góry, tak jak on i Alec zrobili wcześniej. Musiał zamknąć ten luk, zanim intruzi spróbują dostać się na pokład.

Podbiegł tam i zaczął szukać. Wokół drzwi znajdowało się pełno kabli, haków oraz płytki, które łączyły przypominającą szkielet hydrauliczną maszynę służącą do ich otwierania z bardziej estetycznym tworzywem pokrywającym ściany obszernej ładowni. Mark znalazł ulokowany po lewej stronie panel sterowania i przyjrzał mu się, po czym wybrał właściwy przycisk i wcisnął go. Silniczek włączył się i ze zgrzytem oraz piskiem rampa zaczęła się zamykać, podnosząc się powoli.

Mark usłyszał więcej głosów. Teraz dobiegały z mniejszej odległości. Wyglądało na to, że będzie zmuszony walczyć z prześladowcami do czasu, aż rampa się zatrzaśnie. Zszedł z widoku i oparł się o ścianę, rozglądając się, jakby oczekiwał, że przed nim zmaterializuje się jakaś magiczna broń. Szybko jednak pogodził się z rzeczywistością: miał do dyspozycji tylko latarkę oraz własne pięści.

Wydawało się, że zamykanie rampy trwa całą wieczność – zdążyła się podnieść zaledwie do połowy. Powolnemu ruchowi wielkiego metalowego kwadratu towarzyszył pisk zawiasów. Przypominało to oglądanie w zwolnionym tempie, jak zatraskuje się liść pułapkowy muchołówki. Mark spiął się, przekonany, że intruzi dotrą do niego, zanim luk zamknie się do końca. Zacisnął latarkę w rękę, unosząc ją przed sobą jak krótki miecz. Był gotów do walki. Na zewnątrz zrobiło się znacznie jaśniej niż wcześniej, co oznaczało, że płyta lądowiska przypuszczalnie znajduje się teraz mniej więcej w pozycji pionowej.

Dwoje ludzi wskoczyło na wznoszącą się rampę i zaczęło się po niej wspinać. Mężczyzna i kobieta. Mark napiął mięśnie i zamachnął się latarką, mierząc w mężczyznę, ale nie trafił. Tamten złapał go za koszulę, po czym szarpnął go do przodu. Chłopak wypuścił z ręki latarkę, która koziołkując wypadła ze statku – głośny brzęk i trzask szkła obwieściły, że już po niej. Mark upadł na metalową rampę i zagapił się na twarz mężczyzny. Nie malowały się na niej absolutnie żadne emocje, nie było widać choćby śladu zmęczenia czy wysiłku, mimo że przed chwilą wspinał się po stromej rampie.

– Jesteś cholernym szpiegiem – oznajmił obcy tak spokojnie, jakby właśnie usiedli, żeby napić się razem kawy. – A co gorsza próbujesz ukraść nasz górolot. I po trzecie, śmierdzący brzydka z ciebie, co?

– Właśnie miałem to samo powiedzieć o tobie – odparł Mark. Cała sytuacja nabrała surrealistycznego posmaku.

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

– Mam go! – zawołał do towarzyski. – Wejź do środka i zablokuj luk, żeby się nie zamknął.

Dopiero teraz do Marka dotarło, kim byli ci ludzie. Pilotami. To ich słyszał, gdy rozmawiali wcześniej.

– Przykro mi – oznajmił Mark. Poczucie odrealnienia zmieniło się w dziwny trzepot w jego klatce piersiowej, przez który chłopak czuł się niemal tak, jakby opuszczał swoje ciało. W jego głowie pulsował ból. – Obawiam się, że nie mogę państwa wpuścić na pokład bez biletów.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Jego towarzyszka znajdowała się nieco dalej z tyłu, na samym skraju rampy. Pełzła w górę, żeby dostać się na statek, zanim luk się zatrzaśnie. We wnętrzu Marka coś pękło. Nie był pewien, co dokładnie się stało, ale coś uległo zmianie. Za nic w świecie

nie zamierzał pozwolić, aby ci ludzie weszli na pokład.

Chwyił mężczyznę za koszulę, a lewą nogą brutalnie kopnął kobietę. Trafił ją prosto w splot słoneczny. Krzyknęła i poleciała do tyłu, wymachując rękami – usiłowała złapać się towarzysza, ale nie dała rady. Przewróciła się i spadła z podnoszącej się rampy, po drodze uderzając drugiego pilota głową w kolano. Mark usłyszał, jak jej ciało łomotnęło o posadzkę komory.

Kłapa luku już niemal się zamknęła – zwężający się otwór miał najwyżej półtora metra szerokości – ale poruszała się boleśnie wolno. Mężczyzna przechylił się przez brzeg rampy, żeby sprawdzić, czy jego towarzysze nic się nie stało, a teraz odwrócił się z powrotem do Marka, pełen wściekłości. Mark też poczuł wściekłość. Niepodobną do czegokolwiek, co wcześniej zdarzyło mu się czuć. Tak jakby wzbierał w nim sztorm.

– Twoja kolej.

42

– Umrzesz – wydyszał gniewnie mężczyzna, łapiąc oddech. – Już za moment.

– Nie – odparł Mark. – Wcale nie.

Zacisnął pięść i walnął pilota w policzek. Mężczyzna krzyknął, po czym wyrzucił ręce do przodu, usiłując złapać Marka za włosy, twarz lub ubranie. W końcu udało mu się pochwycić koszulę chłopaka oraz jego ramię i szarpnął go do siebie, unieruchamiając jego ciało w chwycie zapaśniczym. Potoczyli się pod sam luk. Metalowe żebrowanie wbiło się w plecy Marka, podczas gdy pilot przygniótł go od góry, nachylając się i przyciskając przedramieniem szyję chłopaka, żeby odciąć mu dopływ powietrza.

– Podpadłeś dzisiaj nie temu gościowi co trzeba – oznajmił przyciszonym, zjadliwym głosem. – Dużo ludzi mnie ostatnio wkurza, a ty jeszcze ty postanowiłeś ukraść mój statek. Zamierzam się na tobie odegrać, chłopcze. I będę to robił przez bardzo długi czas. Rozumiesz?

Nacisk jego ręki zelżał i Mark zaczerpnął tchu, napełniając płuca powietrzem. Potem pilot ponownie złapał go za koszulę i usiadł, całym swoim ciężarem przygniatając brzuch chłopaka. Z rozmachem trzasnął Marka pięścią prosto w szczękę. Chłopak poczuł, że coś chrupnęło mu w twarzy. Pilot rąbnął go ponownie i ból stał się dwa razy silniejszy. Mark zamknął oczy usiłując powściągnąć furję, która narastała w nim niczym reakcja jądrowa. Ile mógł znieść w ciągu jednego dnia?

– Lepiej, żeby ten luk nie zamknął się do końca – oznajmił mężczyzna, najwyraźniej przekonany, że wygrał walkę. – Chociaż fajnie byłoby wystawić twoją głowę na zewnątrz i patrzeć, jak zostaje wyciśnięta jak cytrynka, myślę, że wolałbym ci poświęcić trochę więcej czasu.

Zsunął się z ciała Marka i wstał, po czym podszedł do panelu sterowania i nacisnął coś. Nastąpił wstrząs, który Mark odczuł w plecach, rozległ się wizg, a następnie nieprzerwany odgłos powolnego zgrzytania, gdy luk ponownie zaczął się otwierać. Chłopak zobaczył, że w komorze robi się

jaśniej niż kiedykolwiek. Widocznie płyta lądowiska zdążyła już się obrócić i teraz zagłębiała się pod ziemię. Za kilka minut komora stanie otworem przed całą hordą podwładnych Bruce'a. Będą mogli tu wpaść, wdrzeć się na pokład górolotu i wszystko się skończy.

Walcząc z żądzą działania, Mark czekał, pozwalając, by furia w jego wnętrzu narastała.

Pilot podszedł do niego, sięgnął w dół, złapał chłopaka za stopy i podniósł je ze stęknieniem.

– No chodź. Trzeba cię ułożyć w odpowiedniej pozycji. – Zaczął obracać ciało Marka, schodząc w bok, w głąb ładowni górolotu. – Zadbam o to, żebyś sobie wygodnie leżał, zanim...

Mark ożył – wrzasnął, zaczął kopać i szarpać się, żeby wyrwać się z uścisku pilota. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, aż uderzył plecami o ścianę obok otwierającego się na nowo luku. Mark z rozpaczliwym pośpiechem dźwignął się na nogi i zaatakował niczym napastnik w futbolu. Wreszcie udało mu się rąbnąć przeciwnika ramieniem w brzuch. Mężczyzna zgiął się w pół i wczepił się oburącz w plecy chłopaka na ułamek sekundy przed tym, zanim obaj zwalili się na posadzkę. Przekoziołkowali, szamocząc się, wymachując rękami i tłukąc się pięściami. Mark usiłował walnąć przeciwnika kolanem w krocze, ale tamten zablokował cios, po czym rąbnął sierpowym w górę, trafiając chłopaka w podbródek.

Głowa Marka odskoczyła do tyłu i zleciał z pilota, który dał susa naprzód i ponownie przygniótł go do posadzki. Jednak Mark wykorzystał impet swojego ruchu, żeby przekręcić się do tyłu, zrzucając mężczyznę z siebie. Potem wstał i podbiegł do panelu sterowania, uświadomiwszy sobie z przerażeniem, że rampa już zdążyła się opuścić o dobre półtora metra. Domyślał się, że w chwili, gdy luk stanie otworem, podwładni Bruce'a całą hurmą wpadną na pokład.

Szybko wcisnął przycisk zamykania. Zabrzmiał wizg mechanizmu, po czym rampa ponownie zaczęła się podnosić. Mark właśnie odwracał się, żeby znaleźć się twarzą w twarz ze swoim wrogiem, gdy ten rzucił się na niego i obaj zwalili się na szeroką płytę rampy. Zjechali po niej ponad metr niżej, prawie do samej krawędzi. Mark przekręcił się i oburącz schwycił koszulę pilota, usiłując go z siebie zepchnąć i zrzucić do komory, ale mężczyzna zaparł się nogami i zdołał z powrotem przygnieść chłopaka całym ciałem.

Szamotali się, waląc pięściami i kopiąc. Mark był zmęczony, głodny i słaby, ale nie przestawał walczyć, napędzany wyłącznie adrenaliną. Wyobraził sobie Trinę, którą gdzieś tam przetrzymywali w niewoli ludzie od ogniska. Ich szaleństwo przypuszczalnie tylko się pogłębiło po tym, jak minął kolejny dzień, a pożar lasu zgasł. Mark wiedział, że musi przeżyć. Musiał ją znaleźć. Nie mógł pozwolić, żeby ten człowiek mu to uniemożliwił. Kłęb kotłującej się wściekłości – ten wrzący reaktor pełen żaru, ognia i bólu, które wzbierały i wzbierały w jego piersi – w końcu eksplodował.

Chłopak szarpnął się z siłą, o jaką sam siebie nie posądzał, zrzucając pilota ze swojego ciała. Skoczył na mężczyznę, zanim ten zdążył się podnieść. Całym ciężarem przygniół jego plecy, grzmocąc go pięściami. Ile sił. Pojawiła się krew. Ciosom towarzyszył upiorny chrupot. Mark poczuł się tak, jakby oddzielił się od własnego ciała – niemal przestał cokolwiek widzieć. Przed oczami tańczyły mu maleńkie, jaskrawe światełka, dygotał od stóp do głów i czuł, jak krew gotuje mu się w żyłach.

Częścią świadomości zarejestrował, że rampa już niemal się zatrasnęła. Kątem oka dostrzegł ściany komory. Obecni w niej ludzie wrzeszczeli i krzyczeli, szykując się do przypuszczenia ataku na górolot. Jednak Mark kompletnie stracił kontrolę nad sobą.

Spojrzał w dół i z zaskoczeniem zobaczył, że wlecze ciało przeciwnika na krawędź rampy. Wypchnął go do połowy na zewnątrz, tak że głowa i ramiona mężczyzny znalazły się poza płytą, w powietrzu. Pilot usiłował się uwolnić z uścisku Marka, ale ten mu nie pozwolił. Zamachnął się i ponownie rąbnął mężczyznę pięścią. Ten wrzasnął i zaczął się szamotać ze wszystkich sił. Ewidentnie wiedział, co Mark zamierza zrobić.

Może nawet lepiej niż sam Mark. Chłopak nie puszczał przeciwnika, przytrzymując go w tej samej pozycji – do połowy wewnątrz statku, do połowy na zewnątrz. Coś w Marku uległo zmianie. Teraz skupił wszystkie myśli na mężczyźnie, którego trzymał, i na tym, jak sprawić, żeby tamten zapłacił za wszystko. Wściekłość wypełniała jego głowę niczym mgłą. I nie mógł się powstrzymać.

Coś w nim pękło.

Zamykająca się rampa natrafiła na klatkę piersiową mężczyzny. Zgniotła go, usiłując się domknąć. Wrzaski nieszczęśnika były tak przeraźliwe, że

ostudziły wrzący w Marku gniew i otrzeźwiły go. Tak jakby zobaczył całą scenę po raz pierwszy, dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co robi. Torturował inną istotę ludzką. Chrupot miażdżonego mostka i żeber ofiary, wizg zawiasów, podczas gdy luk nadal usiłował się zamknąć mimo blokującej go przeszkody – Mark poczuł przyływ zgrozy i przerażenia tym, co zrobił.

Popchnął ciało pilota, ale ten uwiązł na dobre w zewężającym się otworze. Zdawało się, że krzyki mężczyzny wprawiają metalowe cielsko górolotu w wibracje, że dygocze od nich cały statek. Mark pośpiesznie obiegł go naokoło, położył się na wznak, oparł łokciami o rampę, a potem z całej siły kopnął mężczyznę obiema nogami, trafiając w jego tors. Ciało nieszczęśnika przesunęło się o kilkanaście centymetrów. Mark z wrzaskiem kopał, kopał i kopał, odpychając mężczyznę od siebie, usiłując zakończyć jego cierpienia.

Wreszcie ostatnim silnym kopniakiem udało mu się wypchnąć pilota na zewnątrz. Mężczyzna zniknął w otworze, a luk się zatrzasnął.

43

W ładowni zapadła głęboka, budząca ciarki cisza. Zapanował też niemal całkowity mrok. Kilka sekund później zazgrzytał silnik i górolot zaczął się przesuwać po torach, wyjeżdżając z powrotem do centralnej komory.

Gdy oczy Marka przyzwyczyły się do ciemności, dźwignął się z trudem i podpełzł do ściany, żeby oprzeć się o nią. Odczuwał coś, co mu się nie podobało.

Oplótł rękami kolana i schował w nich twarz. Tak naprawdę nie rozumiał, co się z nim przed chwilą stało. Te tańczące błyski, ta ognista kula wściekłości, adrenalina pulsująca w nim niczym tłoki starego silnika benzynowego... Był doszczętnie pochłonięty przez furie, bez żadnej kontroli nad sobą. Każda cząstka jego jaźni pragnęła zniszczyć tamtego pilota. Poczłł niemalże radość, gdy mężczyzna utknął w zamykającym się luku. A potem się opamiętał i wypchnął go na zewnątrz.

Było tak, jak gdyby Mark postradał...

Podniósł głowę, gdy dotarła do niego prawda. Tak, na sekundę postradał zmysły. Kompletnie. Wprawdzie teraz wydawało się, że powrócił do normalności, ale to nie znaczyło, że proces się nie rozpoczął. Opierając się o ścianę, Mark powoli wstał, po czym splótł ręce na piersi. Wzdrygnął się, roztarł ramiona.

Wirus. Ta choroba. Świństwo, które atakowało ludzki mózg, tak jak to opisał w koszarach mężczyzna imieniem Anton. To przypomniało mu jeszcze o czymś innym, co usłyszeli tam na dole – jak na ironię, z ust tego właśnie pilota, kiedy Mark wcześniej podsłuchiwał jego rozmowę z koleżanką. Jedno słowo.

Mark był na to chory. Wszystkie jego instynkty to potwierdzały. Nic dziwnego, że tak strasznie bolała go głowa.

Był chory na Pożogę.

44

Ogarnął go zaskakujący spokój.

Czy nie spodziewał się tego? Nie pogodził się z faktem, że ich szanse na to, aby *nie* zarazić się wirusem, są bliskie zeru? Trina prawdopodobnie już była chora. Lana i Alec też. Nie miał pojęcia, czemu wszystko wskazywało na to, że Deedee jest odporna na zarazę – została trafiona strzałką *przed dwoma miesiącami* Ale co takiego powiedział Bruce? Brzmiało to sensownie: każdy, kto ryzykuje wypuszczenie wirusa, musi dysponować środkami ochrony dla siebie. Gdzieś musiał być jakiś lek, antidotum. Inaczej to wszystko nie trzymało się kupy.

Może, może istniała iskierka nadziei. Może.

Ile razy w ciągu ostatniego roku zaglądał śmierci w oczy? Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to skupić się na kolejnym szczeblu drabiny. Trina. Musiał znaleźć Trinę. Choćby tylko po to, żeby umrzeć razem z nią.

Był zaskoczony, kiedy górolot zatrzymał się gwałtownie. Potem rozległo się więcej zgrzytania oraz łoskotu kół zębatych i bloków. Płyta lądowiska wreszcie wznosiła się ku niebu. Górolot ożył – nad głową Marka zamigotały światła, silniki i mechanizmy zwiększały obroty.

Czując nieoczekiwany przyptyw podniecenia, Mark pognał sprintem w stronę drzwi ładowni. Musiał zobaczyć na własne oczy, jak Alec pilotuje tego potwora.

* * *

Wyglądało na to, że Alec czuje się w kokpicie bardziej komfortowo niż gdziekolwiek, gdzie Mark miał wcześniej okazję go obserwować. Działał w szaleńczym tempie, wciskając guziki, przerzucając przełączniki i przesuwając dźwignie.

– Co u licha zajęło ci tyle czasu? – spytał, nie poświęcając nawet sekundy na to, żeby spojrzeć na chłopaka.

– Pojawiły się drobne kłopoty. – Ostatnią rzeczą na jaką Mark miał teraz ochotę, było omawianie tego, co się stało. – Naprawdę będziesz w stanie nas stąd wywieźć tym diabelstwem?

– Jak najbardziej. Na pokładzie jest od groma ogniwo paliwowych i wszystko wygląda cacy. – Alec skinął głową w stronę znajdującego się przed nimi okna, za którym już zaczynała się wyłaniać linia drzew. – Ale lepiej się pośpieszmy, zanim te świrusy wleżą nam na kadłub i spróbują się włamać do środka.

Mark podbiegł do okna, żeby się rozejrzeć. Gdy się nachylił, zobaczył, że całkiem spora liczba podwładnych Bruce'a zgromadziła się poza krawędzią lądowiska. Sprawiali wrażenie cokolwiek ogłupiałych, wskazywali palcami to tu, to tam, ewidentnie nie wiedząc, co robić. Jednak parę osób stało bardzo blisko statku i byli czymś zajęci, chociaż Mark ze swojego miejsca nie potrafił dostrzec, czym. W jego głowie raptem pojawiła się alarmująca myśl.

– Co z klapą luku? – spytał. – Ty byłeś w stanie ją otworzyć od zewnątrz, nie?

– W pierwszej kolejności zablokowałem tę funkcję. Nie martw się. – Alec nadal był zajęty przy sterach. – Wystartujemy tym maleństwem za jakąś minutę. Może lepiej posadź swój chudy tyłek w fotelu i przypnij się.

.- Dobra. – Ale Mark chciał jeszcze raz wyrzeć na zewnątrz. Obszedł Aleca i zbliżył się do przeciwległego krańca linii okien, żeby wyrzeć. Z tej strony lepiej było widać ścianę kanionu i szare skały przykuły jego uwagę, zanim zdążył popatrzeć niżej. Jego oczy właśnie przesuwają się wzdłuż granitowych urwisk, kiedy coś mignęło mu na skraju pola widzenia i Mark zamarł. Obuch potężnego młota wyleciał znikąd i z rozmachem runął w stronę szyby. Trafił w nią z przeraźliwym łoskotem. Siatka pęknięć rozbiegła się we wszystkich kierunkach. Ktoś wspiął się po kadłubie górolotu.

Mark odskoczył do tyłu, a Alec wydał okrzyk zaskoczenia.

– Szybko, wzbijmy się w powietrze! – zawołał chłopak.

– A jak myślisz, nad czym właśnie pracuję? – Alec zaczął działać jeszcze szybciej, skupiając się na środkowym panelu pulpitu sterowniczego. Trzymał palec nad jaskrawozielonym przyciskiem na ekranie.

Mark spojrzał z powrotem w okno i w tym samym momencie obuch rąbnął ponownie, przebijając się przez szybę z okropnym trzaskiem. Na

pulpit sterowniczy sypnął się grad okruchów szkła. Sam młot poszedł w ich ślady, odbił się od jednego z paneli i spadł na posadzkę. W powstałym otworze pojawiła się twarz mężczyzny, a potem jego ręce i nogi. Zaczął włączyć do środka.

– Pozbądź się tego gościa! – wrzasnął Alec. Równocześnie dotknął zielonego przycisku i górolot chwiejnie oderwał się od ziemi. Huk silników odrzutowych wypełnił powietrze niczym ryk wściekłych lwów.

Mark złapał równowagę i sięgnął w dół po młot. W chwili, gdy jego palce zaciskały się na stylisku, ktoś chwycił go za włosy i szarpnął. Ból sprawił, że z jego ust wydarł się nieludzki wrzask. Chłopak upuścił młot i zaczął walić pięściami w dłoń oraz rękę, które go trzymały. Jednak mężczyzna nie rozluźniał uchwytu. Szybko objął drugą ręką szyję Marka i szarpnął do tyłu, pociągając chłopaka za sobą.

Głowa Marka uderzyła o górną krawędź wybitego okna i prześliznęła się przez nie, w gorące powietrze na zewnątrz. Ranek był upalny. Potem połowa ciała chłopaka znalazła się za oknem, aż do pasa – złapał się framugi, żeby nie wypaść. Widział tylko wierzchołki drzew i błękitne niebo za nimi. Ze zgrozą uświadomił sobie, że mężczyzna dosłownie wisi na nim, nadal trzymając go za włosy i szyję. Po raz drugi tego dnia Mark nie był w stanie zaczerpnąć tchu.

Górolot wznosił się w stronę nieba i Mark przez mgnienie oka zobaczył, jak zaszokowany Alec gapi się na niego przez okno, wytrzeszczając oczy. W następnej chwili Alec zniknął z widoku, pozwalając statkowi zawisnąć bez ruchu jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią; potem Mark poczuł, że mężczyzna szarpie go za nogi, co sprawiło, że ból w jego szyi i głowie jeszcze się nasilił. Z gardła chłopaka wyrwało się zduszone, mokre kaszlnięcie, które przeraziło go bardziej niż ból.

Alec ciągnął go od góry. Mężczyzna wisi na nim od dołu. Mark czuł się tak, jakby unieruchomiono go na średniowiecznym łożu tortur, rozciągając mu kości i ścięgna. Zastanawiał się, czy głowa za chwilę mu nie odpadnie jak korek wyjęty z butelki. Uświadomił sobie, że teraz, kiedy Alec go trzyma, może już puścić framugę okna; zaczął tłuc pięściami w ręce swojego prześladowcy, walić w nie, drapać je. Świat był obrócony do góry nogami, dno doliny rozpościerało się nad Markiem jak lesiste niebo.

Zsunął się jeszcze kilkanaście centymetrów niżej – błyskawica czyste

zgrozy przeleciała przez jego umysł niczym wstrząs elektryczny, zanim jego ciało ponownie zatrzymało się w powietrzu. Coś ciemnego i rozmazanego przemknęło przez jego pole widzenia. Młot. Rozległ się okropny głuchy stuk, trzask i wrzask. Alec cisnął młotem prosto w twarz wroga.

Ręka mężczyzny rozluźniła uchwyt wokół szyi Marka i przeciwnik runął jak kamień w stronę ziemi. Mark spazmatycznie zaczerpnął tchu, napełniając płuca upragnionym powietrzem.

Alec powoli wciągnął jego ciało do góry, z powrotem przez okno. Mark padł z łoskotem na podłogę kokpitu. Nadal rozpaczliwie łapiąc powietrze, pomacał swoją obolałą szyję.

Stary żołnierz przyjrzał mu się uważnie. Potem, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że Mark będzie żył, Alec wstał, wrócił do pulpitu sterowniczego i wzniósł górolot nad ziemię.

45

Żołądek Marka niezbyt dobrze zniósł gwałtowne ruchy górolotu. Alec wzniósł maszynę pionowo, aż znalazła się powyżej ścian kanionu, po czym posłał ją do przodu jak pocisk wystrzelony z procy. Wnętrznosci chłopaka wywróciły się. Targany mdłościami pełzył na rękach i kolanach, aż w końcu udało mu się znaleźć toaletę. Z trudem wsunął się do środka i zwymiotował. Samą żólcia oraz kwasem żołądkowym. Gardło paliło go tak, jakby połknął żrące chemikalia.

Siedział tam przez dłuższą chwilę, zanim siły wróciły mu na tyle, że był w stanie dojść z powrotem do kokpitu.

– Jedzenie. Proszę, powiedz mi, że jest tu jakieś jedzenie – wychrypiął.

– I woda? – spytał Alec. – Woda też by się przydała?

Mark kiwnął głową, mimo że towarzysz nie mógł go teraz zobaczyć.

– Pozwól mi najpierw gdzieś posadzić tę maszynę. Zawisłbym nią w powietrzu, ale nie możemy zmarnować całego paliwa. Będzie nam jeszcze potrzebne. Założę się, że na pokładzie tej kupy złomu znajdzie się jakieś żarcie. Potem ruszymy na poszukiwanie tamtych świrów od ogniska.

– Proszę – wymamrotał Mark. Powieki mu opadały, bynajmniej nie dlatego, że był zmęczony. Wiedział, że za chwilę zemdleje z powodu niskiego poziomu cukru we krwi. Miał wrażenie, że od jego ostatniego posiłku upłynął tydzień. A do tego jeszcze pragnienie. Jego usta przypominały wiadro pełne piasku.

– Miałeś ciężką przeprawę – powiedział cicho Alec. – Daj mi tylko minutę czy dwie.

* * *

Mark ponownie usiadł na podłodze i zamknął oczy.

W zasadzie nawet na chwilę nie stracił przytomności.

Jednak świat wydawał mu się odległy, tak jakby rzeczywistość była sztuką w teatrze, którą Mark oglądał z tylnego rzędu, leżąc na podłodze.

Z kilkoma kocami zarzuconymi na głowę. Dźwięki były stłumione, a brzuch bolał go z głodu.

W końcu górolot zwolnił, po czym nastąpił silny wstrząs, od którego cały statek zadygotał. Potem zapanowały cisza i bezruch. Upłynęła długa chwila, gdy Mark był przekonany, że zaraz zaśnie. A wraz ze snem powróci przeszłość. Walczył z sennością, nie wiedząc, czy będzie w stanie teraz znieść napływ wspomnień. Usłyszał dolatujące z oddali kroki. Potem Alec odezwał się do niego.

– Masz, synu. To z grubsza standardowy wojskowy prowiant, ale da się zjeść i zawiera mnóstwo składników odżywczych. Od razu postawi cię na nogi. Posadziłem maszynę w pustej dzielnicy pomiędzy bunkrem a centrum Asheville. Wygląda na to, że wszyscy wariaci uciekli przed pożarem na południe.

Mark otworzył oczy. Powieki tak mu ciążyły, że o mały włos, a musiałby je podnosić palcami. Zobaczył Aleca, którego sylwetka w pierwszej chwili była rozmazana, ale wyostrzyła się. Przyjaciel wyciągał w jego stronę srebrzystą folię, na której leżały kawałki... czegoś. Marka nie obchodziło, co to jest. Ani trochę. Złapał od razu trzy i wepchnął te pyszne – cudownie pyszne – kęski do ust. Słone i mięsne. Ale kiedy nadszedł czas, żeby je połknąć, ledwo był w stanie to zrobić.

– Wo... – zaczął, po czym rozkaszał się tak, że jedzenie, którego nie zdołał przełknąć, wylądowało na twarzy Aleca.

Przyjaciel wytarł je.

– Brawo. Bardzo ładnie.

– Wody – wychrypiał Mark.

– Taa, wiem. Trzymaj. – Alec wyciągnął manierkę, w której chlupotała ciecz.

Mark usiadł. Jęknął, bo ruch sprawił, że przez jego ciało przebiegła salwa bólu.

– Ostrożnie – dodał Alec. – Nie pij za szybko, bo się porzygasz.

– Okej. – Mark wziął manierkę, odczekał chwilę, żeby ręce przestały mu się trząść, po czym podniósł ją i objął wargami ustnik. Cudowna chłodna woda wlała mu się do ust i spłynęła do gardła. Stłumił kaszel, skupił się na tym, żeby przełknąć wszystko, nie marnując ani kropli. Potem napił się jeszcze.

– Wystarczy – ostrzegł go Alec. – Teraz zjedz jeszcze parę kęsów tego

smakołyku, który ci przyniosłem z szafki w mesie.

Mark usłuchał. Tym razem jedzenie smakowało jeszcze lepiej. Bardziej słone i mięsne. Teraz, gdy już zwilżył usta i gardło, łatwiej było je przełknąć, chociaż gardło bolało go tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Odrobina siły powróciła do jego mięśni, a ból głowy nieco osłabł. I co najważniejsze, mdłości minęły.

Poczuł się na tyle dobrze, że miał ochotę pójść spać.

– Wyglądasz, jakby parę lampek w twoim mózgu zapaliło się z powrotem – oznajmił Alec, siadając. Oparł się wygodnie o ścianę i napchał sobie jedzenia do ust. – To paskudztwo nie jest wcale takie złe, nie?

– Nie powinieneś mówić z pełnymi ustami – odparł Mark ze słabym uśmiechem. – To niegrzeczne.

– Wiem. – Alec odgryzł jeszcze jeden potężny kęs i zaczął ostentacyjnie żuć tak, żeby zaprezentować Markowi całą zawartość jamy ustnej. – Komu w ogóle trzeba mówić takie rzeczy? Znaczą, mamuśka uczyła mnie manier, nie?

Mark wybuchnął śmiechem. Szczerym śmiechem, od którego bolała go klatka piersiowa i gardło. Rozkaszał się. Kiedy mu przeszło, zapytał:

– To gdzie w końcu nas zabrałeś? – Potem wrócił do jedzenia.

– Cóż, bunkier znajdował się trochę na zachód od Asheville. No więc podleciałem kawałek w kierunku wschodnim, bo wzdłuż tej strony gór znajduje się kilka bogatych dzielnic. Zauważyłem dużo aktywności parę mil na południe od nas. Myślę, że ci wszyscy ludzie, z którymi mieliśmy nieprzyjemność się spotkać przy ognisku, musieli tam właśnie uciec po tym, jak podpalili las. Wygląda na to, że tutaj jest spokojnie.

Zawiesił głowę, żeby odgryźć kolejny kęs.

– Stoimy teraz w zaułku w zarąbisku eleganckiej dzielnicy. Znaczą, była elegancka, zanim słońce ją usmażyło. Wiesz, kiedyś na obrzeżach Asheville mieszkało mnóstwo zamożnych ludzi. Większość tych domów jest teraz na wpół zrujnowana.

– Ale co z...

Alec podniósł dłoń, ucinając pytanie Marka.

– Wiem. Jak tylko trochę odzyskamy siły i prześpimy się kilka godzin, odzyskamy nasze przyjaciółki.

Mark nie chciał marnować więcej czasu, ale wiedział, że Alec ma rację. Musieli odpocząć.

– Widziałeś jakieś oznaki... czegokolwiek?

– Miałem wrażenie, że rozpoznaję niektórych ludzi, kiedy przelatywaliśmy nad terenem na południe stąd. Jestem prawie pewien, że to ci z osady, gdzie mieszkała Deedee. Będziemy po prostu musieli sprawdzić, czy Lana i reszta też tam są, tak jak wynikało ze słów tego całego Bruce'a.

Mark na sekundę przymknął oczy, niepewny, czy powinien mieć nadzieję, że tak jest.

Przerwali rozmowę, żeby zjeść więcej prowiantu i napić się. Marka ciekawiło, jak wygląda świat na zewnątrz, ale był zbyt zmęczony, żeby wstać i podejść do okna. Poza tym naoglądał się już w życiu wystarczająco wielu wypalonych szkieletów, które ludzie kiedyś nazywali domami.

– Jesteś pewien, że nic nam tutaj nie grozi? Na wypadek gdybyś zapomniał, wariat z młotem rozwalił nam jedno z okien.

– Jak na razie nikt nie próbował się do nas zbliżyć. Jedyne, co możemy zrobić, to obserwować, co się dzieje na zewnątrz. A kiedy pójdziemy szukać Lany i pozostałych, będzie trzeba po prostu mieć nadzieję, że ludzie nie zauważą dodatkowego wejścia.

Wspomnienie człowieka z młotem sprawiło, że Marka ponownie ogarnęły mdłości. Kazało mu znowu pomyśleć o tym, co go ogarnęło, kiedy zabił pilota, wpychając go w zamykający się luk.

Alec spostrzegł, że coś jest nie w porządku.

– Wiem, że kiedy zostawiłem cię w ładowni i spędziłeś w niej tyle czasu, to nie dlatego, że piłeś tam herbatkę i jadłeś pączki. Jesteś gotów mi powiedzieć, co się stało?

Mark posłał przyjacielowi zawstydzone, niemal nerwowe spojrzenie.

– Przez parę minut było tak, jakbym stracił kontrolę nad sobą. Zacząłem się dziwnie zachowywać. Prawie jak sadysta.

– Synu, to jeszcze nic. Widziałem, jak niejednemu porządnemu człowiekowi kompletnie odwalało na polu bitwy, a w tamtych czasach nie było żadnego wirusa, na którego moglibyśmy rzucić winę. To nie znaczy, że... zaraziłeś się tym draństwem. Ludzie robią wariackie rzeczy, byle tylko przetrwać. Czy przez ostatni rok nie obserwowałeś tego dzień w dzień?

Mark nie poczuł się ani trochę lepiej.

– To było... co innego. Patrzyłem, jak ten gość jest miażdżony żywcem, i przez sekundę czułem się tak, jakbym otwierał prezenty na Gwiazdkę.

– Powiadasz. – Alec mierzył go wzrokiem przez dłuższą chwilę, a Mark nie miał pojęcia, co towarzysz sobie myśli. – Za parę godzin zrobi się ciemno. Nie ma sensu nigdzie łązić po nocy. Pora, żebyśmy się solidnie przekimali.

Mark skinął głową, zaniepokojony do głębi. Zastanawiał się, czy nie lepiej by było, gdyby do niczego się nie przyznał. Ziewając, położył się wygodnie, zamierzając przemyśleć sobie to wszystko, zastanowić się nad różnymi rzeczami.

Jednakże pełny żołądek i skumulowane wyczerpanie z ostatniego tygodnia odebrały mu przytomność.

Oczywiście zaraz potem napłynęły sny.

46

Mark leży w pokoju konferencyjnym w Lincoln Building, zwinięty w kłębek pod ogromnym stołem, gdzie – jak się domyśla – przed katastrofą bardzo ważni ludzie zbierali się, żeby dyskutować o bardzo ważnych sprawach. Brzuch go boli od śmieciowego żarcia i gazowanych napojów, którymi żywią się od tygodni, bo ich jedynym źródłem zaopatrzenia są automaty rozmieszczone w budynku. Dobranie się do ich zawartości wymagało nieco zachodu – ale dawni żołnierze, tacy jak Alec i Lana, zostali wyszkoleni do tego, żeby rozwalać różne rzeczy, nieprawdaż? Zarówno ludzi, jak i przedmioty.

Lincoln Building to straszne miejsce. Jest tu goręcej niż w piekle. Wszędzie unosi się duszący, mdlący odór gnijących trupów – zwłok tych ludzi, których zabiła pierwsza fala wysokiej temperatury i promieniowania. Są wszędzie. Mark i jego nowi przyjaciele oczyścili z nich całe piętnaste piętro ale potworny smród nadal wisi w powietrzu. Jest coś, do czego po prostu nie da się przyzwyczać. I, oczywiście, nie ma nic do roboty. Nuda rozpanoszyła się w budynku niczym nowotwór, gotowa ich doprowadzić do szaleństwa. Nie wspominając już o czyhającym na zewnątrz promieniowaniu, chociaż Alec sądzi, że to zagrożenie wreszcie zaczęło maleć. Niemniej, on i Lana każą wszystkim w miarę możliwości trzymać się z dala od okien.

Mimo wszystko Mark przez cały czas myśli sobie, że jest jedna rzecz, dzięki której to wszystko wydaje się odrobinę mniej okropne niż mogłoby być: on i Trina żyli się ze sobą bardziej niż kiedykolwiek. Bardzo. Mark uśmiecha się głupio i cieszy się, że nikt nie może go zobaczyć.

Drzwi otwierają się i zamykają; potem słychać kroki. Po podłodze z brzękiem toczy się puszka i ktoś rzuca przyciszone przekleństwo.

– Hej – słychać szept tej osoby. Mark zgaduje, że to Baxter. – Nie śpisz tam?

– Nie – odpowiada sennie Mark. – A nawet gdybym spał, do tej pory już byś mnie obudził. Niezbyt dobrze ci wychodzi poruszanie się po cichu.

– Sorry. Przysłali mnie, żebym cię odszukał. Ulicą Broadway płynie łódź. Zmierza prosto w naszą stronę. Chodź i zobacz.

Mark nie sądził, że kiedykolwiek usłyszy te słowa. Łódź płynąca jedną z najszalonejszych ulic na świecie, gdzie powinny jeździć samochody. Jednak Manhattan przemienił się w szachownicę rzek i strumieni, a jarzące się wściekle słońce stale odbija się od wody, siejąc spektakularnymi, oślepiającymi błyskami. Jest tak, jakby mieli jedno niebo nad sobą, a drugie pod sobą.

– Mówisz serio? – pyta w końcu Mark, uświadomiwszy sobie, że milczał przez kilka sekund, zaskoczony wieściami. Usiłuje nie dać się ponieść nadziei, że niedługo zostaną uratowani.

Baxter prychnął pogardliwie.

– Nie, zmyśliłem to. Chodź.

– Promieniowanie faktycznie musiało osłabnąć, chyba że tą łodzią steruje banda mutantów. – Mark przeciera twarz i oczy, po czym wysuwa się spod wielkiego stołu. Wstaje i przeciąga się, ziewa od ucha do ucha, drażniąc Baxtera udawaniem, że się nie śpieszy. W końcu jednak ciekawość wygrywa.

Wychodzą na korytarz, gdzie zmysły Marka atakuje nowa fala gorąca i smrodu. Chociaż przeżył w tych warunkach całe tygodnie, chłopak i tak krztusi się, powstrzymując wymioty.

– Gdzie oni są? – pyta, zakładając, że to Alec i Lana wypatrzyli łódź, a teraz ją obserwują.

– Niżej, na piątym. Tam na dole śmierdzi tysiąc razy gorzej, ale to tam przebiega linia wody. Śmierdzi gnijącymi rybami oraz ludźmi. Mam nadzieję, że nie jadłeś od jakiegoś czasu.

Mark po prostu wzrusza ramionami, nie chcąc myśleć o jedzeniu. Nie może już patrzeć na chipsy ziemniaczane oraz batoniki – kiedyś nie przypuszczał, że kiedykolwiek mógłby mieć ich dość.

Docierają do głównej klatki schodowej i zaczynają schodzić dziesięć pięter w dół, na piąte. Wszechobecną ciszę przerywają tylko tupnięcia i szurające odgłosy ich kroków. W miarę jak schodzą coraz niżej, Mark czuje, że jego ekscytacja i pragnienie, żeby się dowiedzieć, kto płynie tą łodzią, stają się silniejsze od obrzydzenia wywołanego narastającym smrodem. Na schodach widnieją plamy krwi. Mark spostrzega kłęb włosów i zaschniętego mięsa przyklepiony do jednej z poręczy. Nie jest w

stanie sobie wyobrazić paniki, jaka musiała wybuchnąć w tym miejscu, gdy doszło do katastrofy, ani budzących grozę scen, jakie musiały się tu rozegrać. Na szczęście – w każdym razie dla nich – kiedy tutaj dotarli, nikt już nie żył.

Docierają na piąte piętro. Przy drzwiach na klatkę schodową czeka Trina.

– Pośpieszcie się! – rzuca, szybkim ruchem głowy dając do zrozumienia, żeby szli za nią. Zaczyna biec truchtem i mówi do nich przez ramię, gdy zmierzają długim korytarzem w kierunku najbardziej zewnętrznej ściany, gdzie są okna. – To duży jacht i zdaje się, że przed katastrofą był naprawdę super hiper. Teraz wygląda tak, jakby został zbudowany sto lat temu. Trudno uwierzyć, że w ogóle utrzymuje się na wodzie, a co dopiero, że silnik działa.

– Zdołaliście już zobaczyć tych ludzi, którzy nim płyną? – pyta Mark.

– Nie. Ewidentnie są pod pokładem. W kokpicie, na mostku, czy jak to się tam nazywa.

Wygląda na to, że Trina wie na temat łodzi równie mało co Mark.

Skręcają za róg. Alec i Lana stoją w miejscu, gdzie okna są powybijane, a morska woda liże zewnętrzną ścianę budynku zaledwie jakieś trzydzieści centymetrów niżej. Ropuch i Misty siedzą na podłodze, gapiąc się na to, co się dzieje na dworze. Mark słyszy zbliżającą się łódź, zanim jeszcze ta pojawi się w zasięgu wzroku – zduszony, przerywany dźwięk silników, które najlepsze czasy mają dawno za sobą. Potem ruchomy kształt wsuwa się w pole widzenia, wyłaniając się zza niewielkiego budynku. Sfatygowany jacht motorowy porusza się niezbyt szybko, jego rufa znajduje się tuż nad wodą. Kadłub ma jakieś dziewięć metrów długości i pięć szerokości. Ziejące w nim liczne dziury oraz pęknięcia zostały załatanie za pomocą wodoodpornej taśmy i kawałków sklejki. Bulaj z przyciemnioną szybą pokryty siatką pęknięć, przypomina wpatrzone w nich złowrogie oko.

– Czy oni wiedzą, że tu jesteśmy? – pyta Mark. Dopuszcza do siebie tylko możliwość, że ci ludzie przybyli, aby ich uratować. A przynajmniej przywieźć jedzenie i wodę. – Wołaliście do nich?

– Nie – odpowiada szorstko Alec. – Wygląda na to, że sprawdzają każdy budynek. Pewnie szukają żywności i wszystkiego, co może się przydać. Ale do tej pory zdążyli już nas zobaczyć.

– Mam nadzieję, że nie mają wrogich zamiarów – szepcze Trina, tak jakby nie chciała, żeby nieznajomi ją usłyszeli.

– Polecę na księżyc i z powrotem, jeżeli mają dobre – odpowiada Alec tonem kompletnie wypranym z emocji. – Miejcie oczy szeroko otwarte i bądźcie gotowi na wszystko. Za mną.

Łódź jest już bardzo blisko, hałas silnika wypełnia powietrze, a wraz z nim zapach paliwa. Teraz Mark widzi niewyraźne zarysy dwóch postaci za przyciemnioną szybą i wygląda na to, że są to dwaj mężczyźni. W każdym razie obie sylwetki mają krótkie włosy.

Silniki jachtu milkną, a jego rufa zaczyna się obracać, tak aby łódź mogła się ustawić równolegle do ściany budynku. Alec i Lana cofają się, a Mark spostrzega, że w którymś momencie Ropuch i Misty odsunęli się aż na przeciwległy kraniec pomieszczenia. Trina, Baxter i Mark stoją skupieni w ciasną grupkę. Na ich twarzach maluje się wyraźne napięcie.

Jeden z członków załogi wyłania się z luku i staje na pokładzie jachtu. To mężczyzna, który oburącz dzierży olbrzymią strzelbę, już wycelowaną w tych, którzy na niego patrzą z wnętrza Lincoln Building. Jest brzydki jak noc: tłuste włosy lepiące się do głowy, niechlujna broda – jedna z tych, które wyglądają jak kudłate porosty pokrywające szyję – i czarne okulary przeciwsłoneczne. Jego skóra jest brudna i spalona słońcem, a ciuchy obszarpane.

Za nim pojawia się druga osoba i zaskoczony Mark widzi, że to kobieta z ogoloną głową. Uwiązuje łódź przy ścianie, podczas gdy jej towarzysz podchodzi bliżej rozbitego okna, gdzie stoją Alec i Lana.

– Chcę zobaczyć wszystkie ręce – oznajmia mężczyzna, wodząc lufą broni tam i z powrotem, celując przez sekundę w każdego z obecnych. – Dwie rączki u każdego. W górze. No już.

Większość z nich bez szemrania wypełnia rozkaz. Tylko Alec stoi bez ruchu. Mark ma nadzieję, że towarzysz nie zamierza zrobić czegoś szalonego, co skończy się tak, że wszyscy zostaną zastrzeleni.

– Naprawdę myślisz, że blefuję? – pyta obcy ochryłym, szorstkim głosem. – Ręce do góry albo nie żyjesz.

Alec powoli spełnia polecenie.

Mężczyzna ze strzelbą nie wydaje się usatysfakcjonowany. Oddycha szybciej niż powinien i gapi się na Aleca z za tych swoich ciemnych szkieł. Potem nagle kieruje broń na Baxtera i oddaje trzy szybkie salwy. Huk

rozrywa powietrze, a Mark zatacza się do tyłu, aż uderza plecami o ściankę działową pomieszczenia biurowego. Kule rozerwały pierś Baxtera, bryzgając wszędzie czerwienią, i obaliły chłopca na wznak, tak że łomotnął głucho o podłogę. Nie krzyczy – zginął na miejscu. Jego tors jest bezkształtną masą krwi i poszarpanej skóry.

Mężczyzna głęboko wciąga powietrze.

– Sądzę, że teraz będziecie robili to, co każę.

47

Mark gwałtownie poruszył się przez sen i omal się nie zbudził. Zawsze lubił Baxtera, lubił jego lekko bezczelny sposób bycia i podejście „a kogo to obchodzi”. Widzieć, jak zrobiono z nim coś takiego...

Mark wiedział, że przypuszczalnie nigdy się z tym nie pogodzi. Ze wszystkich wspomnień, które powracały, aby go dręczyć w snach, to pojawiało się najczęściej. I Mark pragnął się zbudzić, pragnął znowu zostawić to za sobą, zamiast ponownie przeżywać ciąg dalszy tego, co właśnie zobaczył, oraz szaleństwo, które nastąpiło potem.

Jednak jego ciało potrzebowało odpoczynku i nie chciało na to pozwolić. Sen z powrotem ściągnął go w swe objęcia, nie zamierzając ukoić jego niespokojnego umysłu.

To jeden z tych momentów, kiedy mózg potrzebuje chwili, aby przetworzyć zdarzenia, które rozgrywają się przed twoimi oczami – szok nie dopuszcza ich w pełni do świadomości. Mark leży na podłodze, odchylony do tyłu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, z głową opartą o ścianę. Trina splotła ramiona na piersi i nagle zaczyna wrzeszczeć. Dźwięk przywodzi na myśl milion przerażonych wron wyfruwających z tunelu. Ropuch i Misty wtulili się w siebie, twarze mają skamieniałe w zgrozie. Lana i Alec nadal stoją sztywno z uniesionymi rękami. Jednak Mark widzi, jak napięte są ich mięśnie.

– Zamknij się! – krzyczy mężczyzna ze strzelbą. Ślina pryska mu z ust. Trina milknie; jej wrzask urywa się jak ucięty nożem. – Jeśli jeszcze raz usłyszę, że ktoś z was tak drze mordę, zastrzelę go na miejscu. Zrozumiano?

Teraz Trina dygocze, zasłoniła usta obiema dłońmi. Jakimś cudem udaje jej się kiwnąć głową ale nadal nie może oderwać oczu od zakrwawionych zwłok Baxtera. Mark nie pozwala sobie patrzeć na martwego chłopca. Zamiast tego gapi się na mężczyznę, który go zabił, a nienawiść sprawia, że jego pole widzenia zasnuwa się mgłą.

– Zrobione, szefie – mówi kobieta z łodzi. Wstaje i wyciera palce w

brudne spodnie. Uwiązała jacht do czegoś – Mark widzi zwinięty koniec liny – i albo nie zdaje sobie sprawy z morderstwa, które właśnie popełnił jej partner, albo nie przejmuje się nim. Może po prostu jest przyzwyczajona. – Co teraz?

– Idź i weź swoją strzelbę, idiotko – odpowiada mężczyzna, spoglądając na nią koso, tak że nie ma wątpliwości, w jaki sposób zawsze ją traktował. – Co, będę musiał ci też wytłumaczyć, jak się korzysta z kibla?

Dla Marka w jakiś sposób jeszcze smutniejszy od tego, co facet właśnie powiedział, jest fakt, że obiekt jego pogardy tylko kiwa głową i przeprosza. Potem kobieta na sekundę znika z powrotem pod pokładem jachtu, a następnie wyłania się uzbrojona w podobną strzelbę, dzierżoną kurczowo w obu dłoniach. Zajmuje miejsce obok swojego partnera i celuje ze swojej broni kolejno w Marka oraz w każde z jego przyjaciół.

– Wytłumaczę wam, co będzie dalej – mówi mężczyzna. – Jeśli chcecie żyć, wszystko, co musicie robić, to mnie słuchać. Proste jak drut. Jesteśmy tu po paliwo i żywność. Zgaduję, że macie jedno i drugie, sądząc po tym, że nie jesteście bandą chodzących szkieletów. A w każdym budynku tej wielkości znajdują się generatory. Przyniescie nam to, czego potrzebujemy, to odpłyniemy. Możecie nawet zatrzymać trochę dla siebie. Mamy dobre serca. Chcemy tylko naszej części.

– To bardzo wielkoduszne z waszej strony – mówi przyciszonym głosem Alec.

Mark zrywa się na równe nogi, gdy brodacz podnosi broń i mierzy prosto w twarz starego człowieka.

– Nie! Stop!

Zbir obraca się i celuje ze strzelby w Marka, który gwałtownie podnosi ręce i cofa się pod ściankę działową.

– Proszę! Niech pan da spokój! Przyniesiemy wam wszystko, czego chcecie!

– Zgadza się, chłopcze, przyniesiecie. Teraz ruszcie się. Wszyscy. Pora szukać fantów. – Brodacz szybkim gestem lufy daje znak, że pora zacząć działać.

– Uważajcie, żeby nie nadepnąć na waszego martwego przyjaciela – mówi kobieta.

– Zamknij się! – wybuchają jej partner. – Serio. Robisz się głupsza z każdym dniem.

– Przepraszam, szefie.

Nagle zmieniła się w pokorną małą myszkę ze zwieszoną nisko głową. Serce Marka nadal bije tysiąc razy na minutę, ale chłopak mimo woli współczuje kobiecie.

Mężczyzna z powrotem skupia uwagę na pozostałych.

– Pokażcie nam, gdzie trzymacie zapasy. Nie zamierzam tu spędzić całego dnia.

Mark na poły spodziewa się, że Alec zrobi coś szalonego, ale stary żołnierz po prostu zaczyna iść z powrotem w kierunku klatki schodowej. Mijając Marka, posyła mu szybkie mrugnięcie. Chłopak nie wie, czy powinien się czuć podniesiony na duchu, czy raczej się zaniepokoić.

Maszerują korytarzem, pozostawiając za sobą zakrwawione ciało Baxtera. Teraz są więźniami w budynku, który przez ostatnie tygodnie był ich warownym zamkiem. Docierają do schodów i zaczynają się wspinać. Szef – teraz Mark nie potrafi już inaczej myśleć o tym człowieku, bo raz po raz słyszy w głowie ton, jakim zwracała się do niego zastraszona partnerka – kolejno szturcha ich w plecy lufą strzelby, żeby przypadkiem nie zapomnieli, kto tu jest uzbrojony.

– Pamiętaj, co zrobiłem z twoim kumplem – szepcze, kiedy nadchodzi kolej Marka, by zostać szturchniętym.

Mark wchodzi po schodach. Stopień za stopniem.

* * *

Kolejne dwie godziny spędzają na ogoławaniu wszystkich pięter wieżowca Lincoln Building z żywności i paliwa. Każdy centymetr kwadratowy skóry Marka spływa potem. Mięśnie go bolą od noszenia ciężkich pojemników wypełnionych paliwem do generatorów z magazynu na trzydziestym piętrze na dół do łodzi. Przetrzęsają automaty z przekąskami w rozlicznych pokojach socjalnych i na korytarzach, wyciągając ponad połowę ich kurczącej się zawartości.

W kabinie jachtu jest gorąco jak w piecu, co tylko sprawia, że panujący tam smród wydaje się jeszcze bardziej dokuczliwy. Wyładowując przyniesione zapasy, Mark zastanawia się, czy Szef i jego partnerka uznali za stosowne chociaż raz zanurzyć się w ciepłych wodach, które ich otaczają. Żyją praktycznie w wielkiej wannie – nawet jeśli woda w niej jest

dosyć brudna – a mimo to się nie kąpią. Z każdym kursem po schodach Mark czuje coraz większe obrzydzenie do tych dwojga. Dziwi go też stoickie milczenie Aleca, który pracuje ciężko bez najmniejszych oznak buntu.

Napełnili już łódkę niemal do ostatniego centymetra wolnej przestrzeni. Teraz cała ich grupka znalazła się na dwunastym piętrze – kończą po raz ostatni przetrząsać dolną połowę budynku, Szef powiedział, że mogą zatrzymać wszystko, co zostało wyżej.

Mężczyzna stoi pod oknami, nadal mierząc do nich ze swojej strzelby. Pomarańczowa poświata zachodzącego słońca barwi szyby za jego plecami. Jego podwładna znajduje się obok i ma równie bezmyślny wyraz twarzy co wcześniej. Trina wyciąga kilka ostatnich batoników i opakowań chipsów przez otwór w rozbitej obudowie automatu. Ropuch, Misty, Lana, Alec i Darnell czekają na nią. Nie mają już wiele do zrobienia. Całe piętro zostało opróżnione i wszyscy przypuszczalnie myślą o tym samym co Mark – po prostu odliczają sekundy do odpłynięcia tych ludzi. Mając nadzieję, że nikt więcej nie zginie.

Alec podchodzi do Szefa, unosząc rękę w pojednawczym geście.

– Ostrożnie – ostrzega uzbrojony mężczyzna. – Teraz, gdy już zrobiliście, co do was należało, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeszcze trochę poćwiczyć strzelanie. Może nawet z bliskiej odległości.

– Owszem, skończyliśmy – odpowiada Alec, niemal warcząc. – Nie jesteśmy głupi. Chcieliśmy załadować wszystko na jacht, zanim...

– Zanim co? – Wygląda na to, że Szef wyczuł kłopoty, bo mięśnie jego ramion się napinają; Mark widzi, jak jego palec zaciska się na spuście.

– To.

Alec nagle przechodzi do działania. Niczym atakujący wąż, jego ręka wybija broń z uchwytu Szefa – strzelba wypala raz, w przypadkowym kierunku, już lecąc przez powietrze. Potem z łoskotem ląduje na podłodze. Partnerka Szefa okręca się na pięcie i ucieka pędem w dół korytarza wzdłuż rzędu okien. Po raz pierwszy, odkąd ją zobaczyli, porusza się naprawdę prędko. Lana gna w ślad za nią, mimo że druga kobieta jest uzbrojona. Mark ledwo ma czas to zarejestrować, bo Alec rzuca się całym ciałem na Szefa i obaj z hukiem wpadają na taflę wielkiego okna.

Wszystko dzieje się tak szybko. Powietrze w pomieszczeniu rozdziera

lodowaty odgłos pękającego szkła, a z miejsca uderzenia rozbiega się siatka pęknięć. Potem cała szyba eksploduje, rozpadając się na milion kawałków akurat w momencie, gdy Alec usiłuje złapać równowagę i podnieść się znad ciała Szefa. Obaj zaczynają spadać, przechylając się jakby w zwolnionym tempie, osuwając się w stronę wody. Mark już pędzi w ich stronę – rzuca się na podłogę, sunie po niej, żeby móc zaprzeć się nogami o framugę okna, sięgając w górę, by złapać Aleca za rękę. Chwyta ją, zaciska palce i trzyma mocno, ale jego stopy nie trafiają w ramę okienną, tylko raptem zawisają w powietrzu. Jego całe ciało zaraz wypadnie z budynku razem z Alecem i Szefem.

Ktoś łapie go od tyłu, obejmując ramionami jego tors. Mark trzyma Aleca ze wszystkich sił, spoglądając w dół, na rzekę, która niegdyś była ulicą. Szef spada z krzykiem, rozpaczliwie wymachując wszystkimi kończynami. Mark ma wrażenie, że ręce zaraz wyskoczą mu ze stawów, ale Alec szybko odzyskuje refleks, odwraca się i wolną dłonią chwyta dolny parapet okna, po czym podciąga się, żeby wejść z powrotem do środka, podczas gdy ten, kto złapał Marka, również wciąga go do pomieszczenia. To Ropuch.

Wkrótce wszyscy są znowu na nogach, bezpieczni. Lana nadbiega z powrotem z głębi korytarza.

– Uciekła – mówi. – Na pewno schowała się w jakiejś szafie.

– Wyośmy się stąd – odpowiada Alec, już zmierzając do wyjścia. Mark i pozostali ruszają za nim. – Plan zadziałał idealnie. Mamy łódź załadowaną zapasami, a teraz możemy nią odpłynąć. Zwijamy się z miasta.

Odnajdują klatkę schodową i zbiegają w pośpiechu, przeskakując co dwa stopnie. Mark jest spocony, wyczerpany i zaniepokojony tym, co planują zrobić. Opuścić miejsce, które stało się ich domem po katastrofie. Wyruszyć w nieznaną. Nie wie, co jest silniejsze, ekscytacja czy strach.

Docierają na piąte piętro, gnają sprintem wzdłuż korytarza, przełazą przez wybite okno, wchodzą na pokład łodzi.

– Odcumuj! – woła Alec do Marka.

Alec i Lana wchodzą do kabiny. Darnell, Ropuch, Misty i Trina siadają na pokładzie. Sprawiają wrażenie nieco zagubionych i bardzo niepewnych. Mark zaczyna rozplątywać cumę, za pomocą której kobieta wcześniej uwiązała jacht przy budynku. W końcu udaje mu się rozwiązać wszystkie węzły i wciągnąć linę na pokład akurat w chwili, gdy silniki ożywają, a łódź

zaczyna się oddalać od Lincoln Building. Mark siada na ławeczce na rufie i przekręca się do tyłu, zadziera głowę, żeby popatrzeć na górujący nad nimi drapacz chmur. Gasnące światło dnia odbija się w jego oknach bursztynowymi refleksami. Nagle Szef wyskakuje z wody niczym oszalały delfin. Jego ręce uderzają z hukiem o pokład i zaczyna się w pośpiechu gramolić na górę. Jego nogi kopią i biją wodę, podczas gdy dłonie szukają czegokolwiek, czego mógłby się przytrzymać; chwytą hak i jego mięśnie napinają się, gdy podciąga się do góry. Woda spływa strumieniami z jego ciała. Połowę twarzy pokrywa wielki purpurowy siniec. Druga połowa jest czerwona i gniewna, tak jak jego oczy.

– Zabiję was – warczy mężczyzna. – Wszystkich!

Łódź przyspiesza. W Marku wszystko nagle eksploduje – nie pozwoli tej żałosnej kreaturze zniszczyć ich szansy na ucieczkę. Przytrzymując się ławeczki, bierze zamach nogą i z całej siły kopie Szefa w ramię. Ten prawie nie reaguje. Mark zamierza się na nowo i kopie go jeszcze raz. I jeszcze. Trafia za każdym razem. Szef zaczyna rozluźniać chwyt.

– Pu... szczaj! – wrzeszczy Mark, wymierzając kolejnego kopniaka w ramię mężczyzny.

– Zabiję... – powtarza Szef, ale wygląda na to, że brakuje mu już sił.

Mark krzyczy, czując przyptyw adrenaliny, po czym wkłada całą swoją energię w jeden ostatni atak – tym razem podskakuje i wyrzuca naprzód obie nogi. Trafia Szefa w nos i szyję. Mężczyzna wydaje zduszony okrzyk i puszcza łódź, spadając w kotłującą się wodę za rufą. Jego ciało znika wśród białej piany.

Mark desperacko łapie oddech. Odwraca się, wchodzi na ławeczkę i wygląda ponad krawędzią rufy. Widzi tylko pianę kilwateru oraz czarną wodę rozciągającą się dalej. Potem spostrzega ruch przy wybitym oknie Lincoln Building, z którego wcześniej spadł Szef. Budynek oddala się, maleje w oczach, ale kobieta – partnerka Szefa – stoi tam, trzymając swoją strzelbę. Mark pochyla głowę, spodziewając się gradu kul. Zamiast tego widzi, jak kobieta wymierza broń w siebie, opierając muszkę o podbródek od spodu.

Mark chce wrzasnąć do niej, żeby tego nie robiła. Ale jest za późno.

Kobieta pociąga za spust.

Jacht płynie dalej.

48

Mark ocknął się zlany zimnym potem, tak jakby zamoczyły go rozbryzgi wody, o której śnił. Głowa znowu okropnie go bolała. Zupełnie jakby coś się obluźowało w jego czaszce i turlało po niej przy każdym ruchu. Na szczęście Alec potraktował go ulgowo i prawie się nie odzywał, gdy obaj jedli oraz zbierali siły przed nadchodzącym dniem. Dniem, gdy ruszą szukać swoich przyjaciółek.

Siedzieli we dwóch w kokpicie. Przez okna wlewało się światło późnego poranka. Ciepły wietrzyk ze świstem wpadał przez rozbitą szybę.

– Byłeś zbyt zmordowany, żeby się ocknąć – powiedział Alec po tym, jak dłuższy czas przesiedzieli w ciszy – ale poleciałem tą kruszynką na rekonesans, kiedy spałeś. I... potwierdziło się to, cośmy podejrzewali. Zaledwie kilka kilometrów stąd ci... od ogniska... przetrzymują Lanę, Trinę i Deedee. Widziałem, jak je pędzili jak owce.

Te słowa sprawiły, że Mark poczuł mdlący ucisk w brzuchu.

– Co... masz na myśli?

– Kilka osób prowadzono z jednego domu do drugiego. Wypatrzyłem czarne włosy Lany oraz Trinę z tym dzieciakiem na rękach. Specjalnie podleciałem bliżej, żeby się upewnić. – Alec wziął głęboki oddech, zanim dokończył. – Przynajmniej już wiemy, że żyją i gdzie są. I teraz wiemy też, co musimy zrobić.

Mark powinien był poczuć ulgę, że jego przyjaciółki nie postradały jeszcze życia. Jednak zamiast tego gryzła go narastająca świadomość, że aby je uwolnić, będą musieli tam pójść i walczyć. We dwóch przeciwko... ilu?

– Co, młody, zapomniałeś języka w gębie?

Mark od długiej chwili gapił się na oparcie fotela pilota, tak jakby namalowano na nim coś wyjątkowo fascynującego.

– Nie. Po prostu się boję. – Już dawno odpuścił sobie udawanie odważnego przed starym weteranem.

– Boisz się. To dobrze. Dobry żołnierz zawsze się boi. To znaczy, że

jesteś normalny. Liczy się to, jak sobie radzisz ze swoim strachem.

Mark się uśmiechnął.

– Wygłaszałeś już tę maksymę parę razy. Chyba zdążyłem załapać, o co chodzi.

– To wlej sobie w gardziółko trochę wody i będziemy się zbierać.

– Dobra. – Mark napił się obficie ze swojej manierki, po czym wstał. Ciężar, który czuł na duszy, odkąd się obudził, wreszcie zaczynał maleć. – To jaki mamy plan?

Alec właśnie ocierał usta. Skinął głową w kierunku środkowej części górolotu.

– Uwolnić nasze przyjaciółki. Ale wcześniej włamiemy się do magazynu z bronią tu na pokładzie.

Mark nie wiedział o górolotach zupełnie nic, za to Alec wiedział więcej niż większość ludzi. W centralnej sekcji statku znajdowała się zamknięta na cztery spusty komora, gdzie przechowywano broń i inne rzeczy. Żeby się tam dostać, konieczne było podanie hasła oraz zeskanowanie siatkówki oka. Ponieważ nie dysponowali ani słowami, ani gałkami ocznymi, które umożliwiłyby otwarcie zamka, postanowili popracować nad nim staroświecką metodą: toporkiem.

Na ich szczęście górolot był stary i najlepsze dni miał dawno za sobą, więc wystarczyło, że pomęczyli się przez pół godziny, zmieniając się pięć razy, i udało im się rozwalić zawiasy oraz zamki metalowych drzwi. Drobne odłamki stali ze szczękiem potoczyły się po posadzce korytarza, a wielkie drzwi przechyliły się i rąbnęły w przeciwległą ścianę z takim hukiem, że jego echo rozbrzmiewało na całym statku jeszcze przez dobrą minutę.

To Aleć wymierzył ostatni cios toporkiem, dopełniając dzieła zniszczenia.

– Miejmy nadzieję, że coś znajdziemy w brzuchu tego potwora – oznajmił.

W magazynie panował mrok i pachniało kurzem. Na górolocie działało zasilanie, ale większość lamp w tym pomieszczeniu była rozbita. W kącie świeciła tylko jedna mała czerwona żarówka oświetlenia awaryjnego, przez co pomieszczenie wyglądało jak skąpane we krwi. Alec zaczął przetrząsać półki, ale Mark widział, że większość jest pusta. Nic, tylko śmieci i opróżnione pojemniki, rozrzucone chaotycznie po tym, jak

górolot wykonywał powietrzne akrobacje. Alec klął półgłosem po każdym rozczarującym odkryciu. Mark też czuł się zawiedziony. Jakie będą mieli szanse, jeśli ruszą po Trinę uzbrojeni tylko we własne pięści i nogi?

– Tu coś jest – wymamrotał z napięciem Alec. Już usiłował otworzyć to, co znalazł.

Mark podszedł do towarzysza i spojrział na znalezisko ponad jego ramieniem. Przedmiot był niemal w całości skryty w cieniu, ale wyglądał na duże pudło, zamknięte na kilka metalowych klamer.

– To na nic – stwierdził w końcu Alec, gdy jego ręce zsunęły się z klamer po raz trzeci. – Daj mi ten toporek.

Mark szybko przyniósł narzędzie z korytarza, gdzie towarzysz upuścił je po tym, jak rozwalił zawiasy drzwi. Chłopak zamierzył się, gotów spróbować roztrzaskać zamknięcie pudła.

– Ty chcesz się tym zająć? – spytał Alec, prostując się. – Jesteś pewien?

– A co? Coś nie tak?

Alec wskazał pudło.

– Młody, masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, co może się znajdować w środku? Materiały wybuchowe. Jakaś maszyna pod wysokim napięciem. Trucizna. Kto wie?

– I? – naciskał Mark.

– No, nie waliłbym w to jak głupi, inaczej możemy nie dożyć do południa. Musimy być ostrożni. Uderzać delikatnie i precyzyjnie, prosto w klamry.

Mark omal się nie roześmiał.

– Ponieważ w całym twoim ciele nie ma ani jednej delikatnej komórki, myślę, że ja spróbuję.

– W porządku – odparł Alec. Cofnął się o krok i wyciągnął rękę z zamaszystym ukłonem. – Po prostu bądź ostrożny.

Mark mocno ścisnął stylisko toporka, nachylił się i zamiast walić z rozmachem, zaczął wymierzać drobne, dobrze wycelowane uderzenia w nieduże, lecz wytrzymałe klamerki. Pot ciekł mu ciurkiem po twarzy, a toporek kilka razy omal nie wysliznął się z ręki, ale w końcu chłopakowi udało się rozprawić z pierwszą klamrą i mógł zająć się następną. Dziesięć minut później ramiona bolały go jak jeszcze nigdy w życiu, a palce niemal zdrętwiały od zaciskania ich tak mocno. Ale rozwalił wszystkie klamry co do jednej.

Wstał i rozprostował plecy, mimo woli krzywiąc się z bólu.

– O w mordę, to było trudniejsze niż sądziłem.

Obaj się roześmiali, tak że Mark aż się zdziwił w duchu, skąd ten nagły przyptyw wesołości. Zadanie, które ich czekało, było zdradzieckie i budzące strach, ale z jakiegoś powodu jego umysł nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

– Przyjemnie się trochę spocić, nie? – spytał Alec. – Teraz zobaczmy, co się kryje w środku. Złap za tamten koniec.

Mark wsunął palce pod krótszy bok pokrywy pudła i poczekał, aż Alec da mu sygnał. Starszy mężczyzna policzył do trzech, po czym obaj dźwignęli pokrywę. Była ciężka, ale zdołali ją podnieść i pchnąć w stronę ściany, o którą walnęła z hukiem. Wewnątrz pudła Mark zobaczył błyszczące, podłużne kształty, w których odbijała się czerwona poświata. Wyglądały prawie jak nasmarowane ciecżą.

– Co to takiego? – spytał Mark. Zerknął na Aleca i zobaczył, że ten gapi się na znalezisko z wytrzeszczonymi oczami i niemal szalonym wyrazem twarzy. – Sądząc po twojej minie, zgaduję, że wiesz dokładnie, czym one są.

– O tak – wyszeptał z napięciem Alec. – Wiem. Naprawdę sędzę, że wiem.

– I? – Teraz Mark czuł, że dosłownie rozsadza go ciekawość.

Zamiast odpowiedzieć, Alec nachylił się i wyciągnął z pudła jeden z przedmiotów. Podniósł go – urządzenie miało z grubsza te same rozmiary i kształt, co strzelba – i obejrzał, obracając znalezisko w dłoniach. Wyglądało na to, że dziwny przedmiot jest wykonany głównie ze srebrzystego metalu i plastiku. Wzdłuż długiej lufy wiły się wąskie rurki. Po jednej stronie znajdowały się kolba i spust, tak jak w normalnej strzelbie, natomiast drugi koniec wyglądał jak wydłużona bańka z wystającym lejkiem. Był też pasek do przerzucenia przez ramię.

– Co to za diabelstwo? – spytał Mark, słysząc we własnym głosie podziw zmieszany z lękiem.

Alec tylko kręcił głową z niedowierzaniem, nadal oglądając znalezisko.

– Masz pojęcie, ile kosztuje taka zabawka? Były o wiele za drogie, żeby kiedykolwiek trafić na rynek broni. Nie mogę uwierzyć, że trzymam w rękach jeden z nich.

– Co to? – powtórzył Mark, zniecierpliwiony nie na żarty. – Co to jest?

Alec wreszcie podniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie.

– Ten niegrzeczny chłopczyk to tak zwany transmiotacz.

– Transmiotacz? – powtórzył Mark. – Co on robi?

Alec podniósł dziwną broń z taką rewerencją, jakby była to święta relikwia.

– Sprawia, że ludzie rozpływają się w powietrzu.

49

– Rozpływają się? – powtórzył sceptycznie Mark. – Co to znaczy?

– No cóż, nie będzie to mieć większego znaczenia, jeśli te ustrojstwa nie działają. – Alec przez chwilę oglądał pudło, po czym wyciągnął z niego masywny czarny przedmiot ze srebrzystymi ryglami. Zabrał swoje cenne znaleziska, a następnie minął Marka i wyszedł z magazynu na korytarz. – Chodź! – krzyknął, gdy już zniknął z widoku.

Mark po raz ostatni zerknął na groźne, niemal magicznie wyglądające połyskliwe przedmioty w pudle, po czym pobiegł za towarzyszem. Odnalazł go w kokpicie. Alec siedział w fotelu kapitana, podziwiając broń, którą trzymał w rękach. Wyglądał jak dziecko z nową zabawką. Czarne urządzenie, które również przyniósł z magazynu, stało na posadzce. Wyglądało jak stojak na broń. Może było czymś na kształt ładowarki.

– Dobra – powiedział Mark, podkradłszy się cicho, żeby stanąć za plecami towarzysza. – Powiedz mi, jak to ustrojstwo działa.

– Sekundę – odparł Alec. Umieścił swoją zabawkę w długiej kołysce czarnego urządzenia i wcisnął przycisk na małym panelu kontrolnym z boku. Coś zapiszczało, potem zabręczało i nagle cała broń zaczęła emanować szarawym światłem.

– Naładujemy drania, a potem zobaczysz na własne oczy, co on potrafi – oznajmił z dumą Alec. Podniósł wzrok na Marka. – Słyszałeś o czymś takim jak Płaski Przenos?

Mark przewrócił oczami.

– Pewnie, że słyszałem. Mieszkam na planecie Ziemi.

– W porządku, mądralo. Nie napinaj się. Wiesz, jak drogie są te cuda, nie? I jak działają?

Mark wzruszył ramionami i usiadł na podłodze – w tym samym miejscu, gdzie wcześniej usnął. Teraz miał wrażenie, że nastąpiło to milion lat wcześniej.

– No cóż, nigdy nie korzystałem z Przenosu. Ani nie widziałem żadnego na własne oczy. Ale wiem, że to molekularny transporter materii.

Alec parsknął ochryplym, wymuszonym śmiechem.

– No jasne, że nigdy żadnego nie widziałeś, bo nie masz na koncie miliarda dolarów. Ani nie pracujesz dla rządu. Tylko jedno takie urządzenie kosztuje więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Ale masz rację, tak właśnie działają. Rozbijają struktury molekularne, po czym ponownie je składają w miejscu docelowym. Ta wypasiona spluwa robi to samo, tyle że przerywa w połowie.

Mark popatrzył na ładującą się broń i poczuł ciarki.

– Chcesz powiedzieć, że rozwała ludzi na kawałki? Rozbija ich na atomy?

– Tak. To dobre podsumowanie sprawy. Rozrzuca ich cząsteczki w powietrzu jak rozsypywane prochy zmarłych. Kto wie, może później przez całą wieczność latają po kosmosie, wrzeszcząc, żeby ktoś ich poskładał z powrotem. A może w ciągu sekundy jest po wszystkim. Nie ma jak tego stwierdzić. Może to w sumie nie jest najgorsza śmierć.

Mark pokręcił głową. Współczesna technologia. Na świecie istniały różne fajne rzeczy, ale nic szczególnie się nie przydało w momencie, gdy słońce postanowiło zniszczyć większą część cywilizacji.

– Czyli to by było na tyle, nie? – spytał. – W tamtym magazynie chyba nie było już nic ciekawego.

– Nie. Tak więc... miejmy nadzieję, że te maleństwa działają. Mark pomyślał, że będzie musiał uważać, aby przypadkiem nie strzelić sobie z tej broni w stopę.

– Jak długo potrwa ładowanie?

– Niezbyt długo. Akurat zdążymy przez ten czas spakować trochę zapasów na naszą misję ratunkową. – Mark pomyślał, że to typowo żołnierski sposób ujęcia sprawy. – Potem przetestujemy ten egzemplarz i naładujemy drugi dla ciebie. Oraz może jeszcze jeden na zapas.

Mark patrzył na ładującą się broń, aż w końcu Alec zmusił go do wstania. Poszli pakować się na wyprawę.

* * *

Pół godziny później mieli w plecakach prowiant i wodę oraz trochę czystych ubrań, które znaleźli pochowane w małych kajutach załogi. Alec ścisnął w rękach pierwszy transmotaż, w pełni naładowany. Przerzucił sobie pasek broni przez ramię. Otworzyli luk ładowni, opuszczając rampę.

Pobieżnie przepatrzyli już otoczenie i nie zauważyli w pobliżu nikogo, więc uznali, że mogą bezpiecznie przetestować swoją wypasioną nową broń.

Mark skrzywił się, bo zawiasy obniżającej się rampy skrzypiały przeraźliwie. Popatrzył na swojego dumnego towarzysza.

– Nie ściskasz tego sprzętu trochę za mocno? – Powierzchnia transmotača lśniła jak wypastowana. Teraz, gdy broń została naładowana, emanowała słabą pomarańczową poświatą.

Alec posłał Markowi spojrzenie mówiące: *Daj mi spokój.*

– Te maleństwa może i wyglądają jak coś, co łatwo uszkodzić, ale tak naprawdę są cholernie wytrzymałe. Moglibyśmy go upuścić z dachu Lincoln Building i nie rozleciałby się.

– To dlatego, że wylądowałby w wodzie.

Alec obrócił transmotač i podniósł go, tak że koniec służący do strzelania – ten dziwny mały lejek wystający z wydłużonej bańki – celował teraz prosto w Marka.

Chłopak wzdrygnął się mimo woli.

– To nie jest śmieszne – powiedział.

– A byłoby jeszcze mniej śmieszne, gdybym pociągnął za spust.

Koniec rampy uderzył o popękany chodnik zaułka, w którym stał górolot. Na świecie zapanowała nagła, uderzająca cisza, przerywana tylko odległymi krzykami ptaka. Otoczyło ich gorące, wilgotne powietrze, niemal utrudniając oddychanie. Mark zakaszłał, kiedy spróbował zaczerpnąć głębszy oddech.

– Chodź – powiedział Alec, który już schodził po rampie. – Znajdźmy sobie wiewiórkę. – Idąc, wodził lufą broni tam i z powrotem w poszukiwaniu potencjalnych celów – Albo jeszcze lepiej, któregoś z tych szajbusów, jeśli jacyś się tu błąkają. Szkoda, że te ustrojstwa trzeba ładować, inaczej moglibyśmy się raz dwa pozbyć tej wirusowej zarazy. Oczywiście byśmy te dzielnice w mig.

Mark dołączył do niego na ziemi pod górolotem, obawiając się, że ktoś może ich obserwować z któregoś z pobliskich zrujnowanych domostw albo ze spalonego lasu rozciągającego się dalej.

– Płakać mi się chce na myśl o tym, jak wysoko cenisz ludzkie życie – wymamrotał.

– Perspektywicznie – odparł Alec. – Czasem trzeba myśleć

perspektywicznie. Ale to tylko słowa, synu. Tylko słowa.

Przebywanie na przedmieściach naprawdę wytrącało Marka z równowagi – zdążył się przyzwyczaić do życia w górach, w lesie, do mieszkania w chatce. Ta opuszczona dzielnica sprawiała, że czuł się dziwnie i nieswojo. Musiał wziąć się w garść, zanim wyruszą, żeby się zająć tym, co musiało zostać zrobione.

– Zajmijmy się w końcu tym testem i miejmy go z głowy.

Alec zaczął iść w kierunku murowanej, na wpół rozwalonej skrzynki pocztowej. Wyglądała tak, jakby ktoś wjechał w nią autem osobowym lub ciężarówką w czasie rozpaczliwej próby ucieczki.

– Dobra – oznajmił. – Chciałem go przetestować na czymś, co żyje, bo ta technologia znacznie skuteczniej działa na organiczne żywe tkanki. Ale masz rację, musimy się pośpieszyć. Spróbuję sieknąć tę kupę gru...

W częściowo zrujnowanym domostwie znajdującym się najbliżej nich z hukiem otwały się drzwi. Wpadł stamtąd mężczyzna i rzucił się biegiem w ich stronę, wrzeszcząc na całe gardło. Jego słowa były niezrozumiałe, oczy pełne obłędu, a włosy skołtunione i pozlepiane; twarz pokrywały otwarte rany, tak jakby porozdrapywał sobie skórę. I był zupełnie nagi.

Mark chwiejnie cofnął się o kilka kroków, oszołomiony wyglądem nieznanego i nieprzytomnie przerażony. Zastanawiał się gorączkowo, co powiedzieć lub zrobić.

Jednak Alec już podniósł transmiotacz, celując prosto w zbliżającego się szaleńca.

– Stój! – ryknął. – Stój, bo... – Urwał, ponieważ pędzący w jego stronę wariat ewidentnie nie słuchał. Wrzeszcząc niezrozumiale, potknął się, ale nie zwolnił kroku, biegnąc prosto na Aleca.

Zabrzmiało ostre „ping”, dobiegające jakby zewsząd jednocześnie, a potem szumiący odgłos, jakby coś wirowało bardzo szybko, podobny do furczenia łopat silnika odrzutowego. Mark zauważył, że emanująca z transmiotacza pomarańczowa poświata pojaśniała, tak że było ją widać nawet w blasku słońca. Potem Alec nagle zatoczył się do tyłu, kiedy z broni wystrzelił promień oślepiającego białego światła, trafiając wrzeszczącego mężczyznę prosto w pierś.

Krzyki szaleńca urwały się gwałtownie, tak jakby został zamurowany w grobie. Jego całe ciało przybrało barwę popiołu, tracąc wszelkie szczegóły oraz trójwymiarowość. Wyglądał teraz jak kształt wycięty z

szarego materiału, który migotał i falował. Potem eksplodował w mgłę i rozpułnął się w nicość. Tak po prostu, nie pozostawiając żadnego śladu, który Mark byłby w stanie dostrzec.

Chłopak odwrócił się, żeby spojrzeć na Aleca, który opuścił broń i oddychał ciężko. Nadal wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami w miejsce, gdzie zaledwie parę sekund wcześniej znajdował się szalenie.

Stary żołnierz w końcu odwzajemnił oszołomione spojrzenie Marka.

– No cóż, wygląda na to, że działa.

50

Markowi brakowało słów. Tym, co najbardziej mu ciążyło na duszy, nie był nawet widok transmiotacza przemieniającego ludzkie ciało w dym rozwiewający się na wietrze. Prosto na nich właśnie wybiegł szalenciec. Co myślał? Atakował czy chciał błagać o pomoc? Czy inni będą w równie złym stanie? Równie obłąkani?

Świadomość, co ta choroba robi z ludźmi, gryzła go do głębi. Co robi z nich. Musiało być coraz gorzej. Tamtemu gościowi kompletnie odbiła palma. A Mark już raz poczuł coś podobnego – leciutki przebłysk – we własnym wnętrzu. Kryła się w nim bestia, która może niedługo wyrwie się na wolność, upodabniając go do tego nieszczęśnika, którego Alec unicestwił strzałem z transmiotacza.

– Halo, dobrze się czujesz?

Mark pokręcił głową, wracając do rzeczywistości.

– Nie, ani trochę. Widziałeś tego gościa?

– Tak, widziałem! Jak sądzisz, czemu go posłałem w kosmos? – Alec oparł kolbę broni o pasek i rozglądał się, wypatrując innych ludzi. Jak dotąd wokół nie było żywej duszy.

Chociaż powinno to było nastąpić znacznie wcześniej, do Marka wreszcie dotarło – rąbnęło go jak młot w samo serce – w jakich opałach znajdowała się Trina. Więzili ją wariaci, którzy mogli teraz być w równie złym stanie jak ten, którego chłopak widział przed chwilą. A Mark i Alec poświęcili czas na to, żeby się przespać? Jeść? Spakować plecaki? Nagle poczuł nienawiść do siebie.

– Musimy ją ratować – powiedział.

– Co takiego? – Alec szedł w jego stronę.

Mark podniósł głowę i spiorunował przyjaciela wzrokiem.

– Musimy ruszać. Teraz.

Przez następną godzinę najpierw uwijali się jak szaleni, a potem musieli czekać tak długo, że też doprowadzało ich to do szału.

Zamknęli luk; Alec stał przy rampie z transmiotaczem w pogotowiu na

wypadek, gdyby ktokolwiek spróbował się dostać na pokład w ciągu tych ciągnących się w nieskończoność minut, zanim podniosła się i zatrzasnęła. Potem upewnili się, że mają w plecakach wszystko co trzeba, i Alec szybko pokazał Markowi, jak należy trzymać transmotaż oraz z niego strzelać. Wydawało się to stosunkowo proste. Na koniec stary żołnierz poderwał górolot z ziemi i silniki odrzutowe uniosły ich w niebo.

Lecieli nisko; Mark przyjął rolę głównego obserwatora i przepatrywał teren, nad którym przelatywali. W miarę jak zbliżali się do zrujnowanej dzielnicy, w której Alec ostatnio widział Trinę i jej towarzyszkę, chłopak widział coraz więcej oznak życia. Małe grupki ludzi przebiegające pomiędzy domami; parę ognisk płonących w ogródkach oraz dym wznoszący się z nadkruszonych kominów; zwierzęce truchła obrane z mięsa. Wypatrzył nawet ludzi leżących, bez życia tu i tam – miejscami ciała spoczywały jedne na drugich.

– Jesteśmy na przedmieściach Asheville – powiedział Alec. Znajdowali się u wylotu dużej doliny otoczonej przez lesiste wzgórza, na których jeszcze niedawno szalał pożar. Kilka domostw uległo spaleniu aż do fundamentów – nie zostało z nich nic poza czarnymi połaciami żgliszcz.

Mark zobaczył, że na ulicach roi się od ludzi, przemieszczających się grupkami to tu, to tam. Były ich całe tuziny. Garstka z nich dostrzegła już górolot – niektórzy pokazywali go palcami, gapiąc się w niebo, inni biegli się schować. Jednak wyglądało na to, że większość w ogóle nie zauważyła latającego statku, tak jakby wszyscy ogłuchli i oślepli.

– Na tamtej ulicy jest ich olbrzymia grupa. – Wskazał kierunek. Alec skinął głową.

– To tam widziałem, jak zapędzają Trinę, Lanę i tę małą do jednego z domów.

Alec wprowadził górolot w zakręt, żeby zejść niżej i przyjrzeć się dokładniej. Zawisł statkiem jakieś trzydzieści metrów nad miejscem, o którym mówili, po czym dołączył do Marka, który nadal tkwił przy oknie. Obaj popatrzyli w dół, gdzie trwał jeden wielki koszmar.

Wyglądało to tak, jakby ze szpitala psychiatrycznego wydostali się wszyscy pacjenci. W szaleństwie, które Mark widział na ziemi, nie było żadnej metody. Opodal zobaczył dziewczynę leżącą na wznak, która wrzeszczała nie wiedząc do kogo. Gdzie indziej trzy kobiety były dwóch mężczyzn, którzy zostali związani razem, plecami do siebie. W innym

miejscu ludzie tańczyli i pili jakąś czarną ciecz gotującą się w garnku nad zaimprovizowanym paleniskiem. Inni biegali w kółko albo błakali się chwiejnie jak pijani.

A potem Mark zobaczył najgorszą rzecz ze wszystkiego. Teraz nie miał już wątpliwości, że ludziom, którzy zgromadzili się tam w dole, nie pomoże absolutnie nic.

Grupka mężczyzn i kobiet walczyła o coś, co wyglądało tak, jakby nigdy było człowiekiem. Ich ręce i twarze pokrywała krew.

Oprócz obrzydzenia, Marka zdjął paniczny strach, że może patrzy właśnie na szczątki jedynej dziewczyny, jaką kiedykolwiek kochał. Jego całe ciało nagle zaczęło się trząść. Dygotał od stóp do głów.

– Sprowadź maszynę w dół – warknął. – W dół, mówię! Ale już! Wypuść mnie!

Alec sekundę wcześniej cofnął się od okna z twarzą pobladłą jak płótno. Mark jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie.

– Ja... Nie ma mowy.

Mark poczuł, jak wybucha w nim wściekły ładunek gniewu.

– Nie możemy teraz dać za wygraną!

– O czym ty mówisz, dzieciaku? Musimy wylądować w bezpieczniejszym miejscu, inaczej te świry wedrą się na pokład. Potrzebujemy górolotu, żeby móc stąd uciec. Nie będziemy się za bardzo oddalać.

Mark nie mógł uwierzyć, jak ciężko mu się oddycha.

– Okej... okej. Przepraszam. Ale... pośpiesz się. Proszę.

– Po tym, co właśnie widzieliśmy? – spytał Alec, zasiadając z powrotem za sterami. – Taa, sądzę, że to rozsądna sugestia.

Mark potknął się, oparł o ścianę. Gniew, który buzował w nim przed chwilą, stopniowo przeradzał się w przytłaczający smutek. Jakim cudem Trina mogła nadal żyć wśród takiego szaleństwa? Czym był ten wirus Pożogi? Co musiało opętać ludzi, którzy zdecydowali się go uwolnić? Każde kolejne pytanie tylko powiększało jego rozpacz. I nie było żadnych odpowiedzi.

Górolot ożył i ponownie wszedł w zakręt, zawracając, żeby polecieć z powrotem w kierunku, z którego przybyli. Mark zastanawiał się, ilu ludzi tam w dole w ogóle zauważyło, że olbrzymi latający statek przez chwilę unosił się nad ich głowami. Lecieli kilka minut, a kiedy Alec wypatrywał miejsce, które go satysfakcjonowało, posadził górolot w zaułku, wokół

którego rozciągały się puste działki budowlane. Wyglądało to na obszar jakiejś inwestycji deweloperskiej, która nie doszła do skutku. I już nigdy nie dojdzie.

– Cała ta ulica była pełna ludzi – powiedział Mark, gdy wraz z przyjacielem szli z powrotem do ładowni. Każdy z nich niósł plecak oraz naładowany transmiotacz. – I wyglądało na to, że są też w każdym domu. Prawdopodobnie opanowali całą tamtą część dzielnicy.

– Nie wiemy, czy znowu gdzieś nie zabrali Lany i pozostałych – odparł Alec. – Rozsądnie byłoby sprawdzić wszystkie domy przy tamtej ulicy. Ale pamiętaj, dziś rano nasze przyjaciółki jeszcze żyły. Widziałem je, jestem tego pewien. Nie trać jeszcze nadziei, synu.

– Mówisz do mnie „synu” tylko wtedy, kiedy się boisz – odparł Mark.

Alec uśmiechnął się życzliwie.

– Święta prawda.

Dotarli do dużej ładowni i Alec podszedł do panelu kontrolnego, wcisnął guziki opuszczające rampę. Ta zaczęła się otwierać, a skrzypiące zawiasy obwieściły ten fakt wszem wobec.

– Myślisz, że statek będzie bezpieczny pod naszą nieobecność? – spytał Mark. Nadal dręczyła go świadomość, że jedno z okien w kokpicie jest rozbite.

– Mam tu pilot do sterowania rampą. Zamkniemy luk. To wszystko, co możemy zrobić.

Rampa dotknęła ziemi i hałas ucichł. Kiedy schodzili po pochyłej metalowej płycie, otoczyło ich duszne, rozgrzane powietrze. Gdy tylko zeszli, Alec wcisnął guzik na pilocie, posyłając rampę z powrotem do góry. Wkrótce luk się zatrzasnął i zapadła cisza.

Mark popatrzył na Aleca, a ten odwzajemnił jego spojrzenie. Chłopak pomyślał, że gdyby startowali w konkursie na najbardziej zdeterminowaną minę, ciężko byłoby wskazać zwycięzcę.

– Chodźmy po nasze przyjaciółki – powiedział Mark.

Zaczęli się oddalać od górolotu, z bronią w pogotowiu, maszerując w stronę szaleństwa i chaosu, które czekały za zakrętem.

51

Powietrze było suche i pełne pyłu.

Zdawało się, że z każdym krokiem go przybywa, tak że prawie zaczynali się dusić. Każdy centymetr kwadratowy ciała Marka ociekał już potem. Wiatr, który od czasu do czasu ich owiewał, był tak gorący, jakby wydobywał się z pieca hutniczego, i w ogóle nie chłodził skóry. Chłopak parł dalej, mając nadzieję, że jego dłonie nie staną się zbyt śliskie, aby dało się w nich utrzymać broń. Słońce wisiało na niebie niczym ślepie jakiejś piekielnej bestii spoglądającej w dół i stopniowo przemieniającej cały świat w pustynię.

– Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio tak łąziłem po dworze w samo południe – powiedział Mark. Wysiłek włożony w wypowiedzenie tych słów sprawił, że zachciało mu się pić. Miał wrażenie, że spuchł mu język. – Jutro będę czerwony jak raczek. – Wiedział, co właśnie robi. Usiłował wmówić sam sobie, że nie jest tak źle – że jeszcze nie ogarnia go obłąd, że wściekłość i bóle głowy nie uniemożliwią mu skupienia i działania, i że wszystko będzie dobrze. Jednak ten wysiłek wydawał się bezcelowy.

Dotarli do pierwszego skrzyżowania i Alec wskazał w prawo.

– Dobra, stąd to będzie już tylko parę zakrętów w tamtą stronę. Od tej pory trzymajmy się bliżej domów.

Mark ruszył za towarzyszem na skróty przez wyschnięty trawnik, a w zasadzie połąć chwastów i żwiru. Wkroczyli w cień budynku, który niegdyś był elegancką rezydencją. Kamień elewacyjny i ciemne drewno w dużym stopniu przetrwały nietknięte, choć całość sprawiała teraz wyblakłe, smutne wrażenie, tak jakby utrata dawnych mieszkańców sprawiła, że willa postradała też duszę.

Alec oparł się plecami o ścianę, więc Mark zrobił to samo. Popatrzyli z powrotem w kierunku, z którego przyszli, na wszelki wypadek kierując tam również lufy broni. Woleli się upewnić, czy nikt ich nie śledzi. Jednak w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. O dziwo wiatr ustał, przez co świat sprawiał wrażenie równie pozbawionego życia jak ta dzielnica. Mark

powiercił się niespokojnie w klejącym się do ciała ubraniu.

– Nie możemy się odwodnić – powiedział Alec, kładąc broń na ziemi. Zsunął plecak i wyciągnął z niego jedną z dwóch manierek. Pociągnął długi łyk, po czym wręczył pojemnik Markowi, dla którego rozkoszą była każda kropelka zwilżająca wyschnięte usta i gardło.

– O ludzie – westchnął chłopak, gdy skończył pić i oddał towarzyszowi manierkę. – To była najlepsza woda, jaką w życiu piłem. Ta tutaj.

– To dużo powiedziane – mruknął Alec, chowając pojemnik do plecaka. Z powrotem zarzucił go na plecy. – Biorąc pod uwagę, jak często chcieli nam się pić w ciągu ostatniego roku.

– Mam wrażenie, że ten szalony gość, którego zlikwidowałeś, trochę mnie rozstroił. Ale teraz mogę już iść dalej. – Naprawdę odczuwał przyływ sił, tak jakby manierka zawierała adrenalinę, a nie wodę.

Alec podniósł swoją broń i przerzucił pasek przez ramię.

– Idź za mną. Od teraz będziemy się trzymali pod osłoną domów, tak żeby przez cały czas oddzielały nas od ulicy.

– Brzmi sensownie.

Alec wysunął się z cienia i ruszył na skróty w kierunku najbliższej posesji, kierując się na tyły domu. Mark podążał tuż za nim.

Minęli około tuzina domów, za każdym razem stosując ten sam schemat. Szybki sprint przez martwe, pozbawione życia podwórka, żeby schować się w cieniu budynku; potem przekradali się na tyły i Alec wyglądał zza rogu, poszukując jakichkolwiek oznak towarzystwa. Gdy zasygnalizował, że droga wolna, pędzili do kolejnego domu i powtarzali całą procedurę.

Dotarli do końca następnej ulicy, gdzie można było skręcić w lewo lub w prawo.

– Dobra – wyszeptał Alec. – Musimy pójść tędy, prosto, a potem drugą przecnicą w lewo. Ona dociera do dużej ulicy, gdzie widzieliśmy tych wszystkich imprezowiczów

– Imprezowiczów? – powtórzył Mark.

– Taa. Jak na nich patrzyłem, przypomnieli mi się spidziarze, których pakowaliśmy do pierdła w latach dwudziestych, kiedy ogłoszono stan wojenny. Tamci goście byli tak samo szurnięci jak ci tutaj. Banda psycholi z piekła rodem. Chodź.

Spidziarze. Mark zdążył w swoim życiu poznać trochę narkomanów, ale

ci, którzy brali spid, byli najgorsi. Ten narkotyk w kolejnych dekadach stawał się coraz silniejszy. Teraz uzależniał tak, że w ogóle nie było już potem szansy na normalne życie. Nigdy. Z jakiegoś powodu to słowo utkwiło Markowi w pamięci.

– Hej! – Alec był już w połowie drogi do kolejnego domu. Odwrócił się do Marka. – Rusz się, śpiąca królewno!

Mark otrząsnął się i pobiegł za towarzyszem. Dogonił go i obaj przyłgnęli do ściany trzypiętrowej rezydencji, w cieniu, który jak zwykle przyniósł miłą ulgę. Nawet jeśli nie miała potrwać długo. Skradali się wzdłuż muru, aż dotarli na tył budynku. Alec wyjrzał ostrożnie zza rogu, po czym zaczęli zmierzać na drugą stronę posesji. Mark zdążył przejść zaledwie trzy czy cztery kroki, gdy nagle usłyszał nad głową coś pośredniego między mokrym kasznięciem a chichotem. Podniósł wzrok, na poły spodziewając się, że zobaczy jakieś egzotyczne zwierzę, tak dziwny i obcy wydał mu się ten dźwięk.

Jednak na dachu siedziała kobieta, równie rozczochrana i brudna jak wszyscy zarażeni, których Mark widział w ostatnim czasie. Jej włosy sterczały na wszystkie strony, a twarz była wymazana błotem we wzory przypominające obrzędowe malunki.

Chora wydała ten sam chichoczący odgłos – ni to śmiech, ni rżenie. Uśmiechnęła się, ukazując idealnie białe zęby, a zaraz potem zawarczała. Raz jeszcze zaniósła się chichotem, po czym stoczyła się do tyłu, znikając za krawędzią rynny – to był jeden z niewielu domów, które w ogóle *miały* jeszcze dachy.

Mark zadrżał. Miał nadzieję, że uda mu się wyrzucić z pamięci obraz tej kobiety. Odwrócił się i zobaczył, że Alec stoi parę metrów od willi, celując ze swojej broni w dach, ale nie ma do kogo oddać strzału.

– Gdzie ona się podziała? – spytał w osłupieniu starszy mężczyzna.

– Po prostu wynośmy się stąd. Może jest sama.

– Nie liczyłbym na to.

Przesuwali się wzdłuż muru, aż dotarli do przeciwległego rogu tylnej strony domu. Alec wychylił się, żeby szybko ogarnąć wzrokiem teren.

– Czysto. Jesteśmy już blisko celu, więc czuj duch i głowa do góry.

Mark potaknął.

Alec ruszył w stronę następnego domu, a chłopak miał właśnie pójść w jego, ślady, gdy straszliwy wrzask osadził go w miejscu. Mark podniósł

wzrok akurat w porę, by zobaczyć, jak chora kobieta zeskakuje z dachu, lecąc naprzód z ramionami rozłożonymi niczym skrzydła. Jej twarz jaśniała szaleństwem. Krzyczała nadal, spadając prosto w stronę Marka, który nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Odwrócił się, by uciekać, ale było za późno. Jej ciało zważyło mu się na plecy i oboje upadli na ziemię.

52

Próbowała wydrapać mu oczy, tak jakby w ogóle nie poczuła upadku. Z jej ust wydobywało się wycie, jakby była torturowanym zwierzęciem. Ciężar jej ciała pozbawił Marka tchu, a od uderzenia o twardą ziemię bolały go kolana. Przewrócił się na bok, z trudem łapiąc powietrze, i chwycił jej dłonie, próbując je odsunąć od swojej twarzy. Kobieta wyrwała się z jego uchwytu i paznokciami zaatakowała jego uszy, nos, policzki, drapiąc i waląc na oślep. Szamotał się z nią dalej.

– Ratunku! – wrzasnął do Aleca.

– Zepchnij ją, żebym mógł strzelić! – odkrzyknął towarzysz.

Mark przekręcił się i posłał mu szybkie spojrzenie. Alec stał kawałek dalej i przymierzał się rozpaczliwie do strzału pod różnymi kątami, czekając na moment, gdy będzie mógł zaryzykować.

– Chodź tu i... – zaczął krzyczeć Mark i urwał, bo kobieta nagle wsadziła mu palce do ust, szarpiąc go za wargi. Zaczepiła kciuk o jego policzek i pociągnęła, jakby chciała oderwać mu pół twarzy, ale na szczęście straciła chwyt. Jej dłoń wzniosła się gwałtownie i zacisnęła w pięść, po czym rąbnęła Marka z całej siły w szczękę. Ból i wściekłość eksplodowały w nim jak seria odpalonych petard.

Odzyskawszy wreszcie oddech, wsunął ręce pod ciało obłąkanej, zgiął łokcie, po czym pchnął ją z całej siły. Zleciała z niego i upadła na wznak z głuchym łomotem. Uderzenie o ziemię sprawiło, że na moment zamilkła. Potem zaczęła się pośpiesznie gramolić na czworaki. Jednak Mark zdążył już dźwignąć się na nogi i podszedł chwiejnie. Oparł się mocno na lewej stopie, a prawą wymierzył potężnego kopniaka, trafiając kobietę czubkiem buta w bok głowy. Wrzasnęła i przewróciła się, po czym zwinęła się w kłębek i schowała twarz w dłoniach. Zaczęła się kiwać, pojękując.

Mark pośpiesznie wycofał się jak najdalej od niej.

– No dalej, zrób to!

Jednak Alec nie strzelił. Spokojnie podszedł i stanął obok Marka, nadal

celując z transmiotacza do cierpiącej kobiety.

– Szkoda strzału. Czeka nas polowanie na grubszą zwierzynę.

– Ale co jeśli ona pójdzie za nami? Albo ściągnie swoich przyjaciół? Uniemożliwi nam podkradnięcie się niepostrzeżenie do tych tam z przodu?

Alec jeszcze raz uważnie przyjrzał się kobiecie, po czym podniósł wzrok na Marka.

– Jeśli masz się przez to lepiej poczuć, ty to zrób. – Odwrócił się i zaczął iść w stronę następnego domostwa, rozglądając się w poszukiwaniu potencjalnych wrogów.

Mark podszedł, żeby podnieść transmiotacz i plecak, które upuścił, walcząc z obłąkaną. Nie odrywając od niej oczu, podniósł oba przedmioty. Założył plecak i skrócił jego paski, a gdy już miał obie ręce wolne, ujął broń. Wycelował w kobietę i podszedł bliżej, zatrzymując się zaledwie półtora metra od niej. Nadal leżała zwinięta w pozycji płodu, popłakując i jęcząc, kiwając się w przód i w tył. Mark odkrył, że nie czuje litości ani żalu. Choroba odebrała tej kobiecie człowieczeństwo, pozbawiając ją zdrowych zmysłów, i nie była to jego wina. A w pobliżu mogli czaić się jej przyjaciele, lub też tylko udawała bezbronną, żeby Mark i Alec odeszli, nie robiąc jej krzywdy.

Nie. To już nie był czas na okazywanie litości.

Mark cofnął się o krok, mocno przycisnął kolbę broni do piersi, wycelował jeszcze staranniej i pociągnął za spust. Rozległo się brzęczenie, potem szum; w następnej sekundzie chłopak poczuł uderzenie odrzutu, a z lufy transmiotacza wystrzelił promień białego światła, trafiając w korpus kobiety. Zanim zdążyła krzyknąć, jej ciało zmieniło się w rozedrganą falę szarości, po czym eksplodowało w mgiełkę i po sekundzie zniknęło.

Mark zatoczył się dwa kroki do tyłu, ale cieszył się, że udało mu się nie upaść. Zagapił się na pustą przestrzeń na ziemi, gdzie jeszcze przed chwilą leżała zarażona. W końcu podniósł wzrok. Zobaczył, że Alec zatrzymał się, odwrócił i teraz przygląda mu się z nieodgadnioną miną. Jednak sądząc po wyrazie twarzy starego żołnierza, oprócz szoku odczuwał też ewidentną dumę.

– Nasze przyjaciółki – powiedział Mark, przekonany, że jeszcze nigdy nie słyszał z własnych ust słów wypowiedzianych równie gorzkim tonem. – Nie wolno nam teraz myśleć o niczym oprócz nich.

Podniósł broń, oparł ją między szyją a ramieniem i przytrzymał tam jedną dłoń, a drugą opuścił wzdłuż ciała. Potem spokojnie, w milczeniu podszedł do Aleca.

Stary żołnierz poczekał na niego, też nie mówiąc ani słowa. Przeszli do następnego domu.

53

Gdy minęli dwa kolejne domostwa, Mark zaczął słyszeć harmider. Wrzaski, śmiechy i brzęk metalu uderzającego o metal. Z całego zgiełku najbardziej przerażały go krzyki i nie wiedział, czy jest gotów ujrzeć ich źródło. Próbował nie myśleć o tym, że wkrótce może być równie chory jak ludzie, których teraz słyszał. Może już znajdował się na drodze do tego stanu.

Przekradłszy się zygzakiem obok jeszcze paru domów, on i Alec wreszcie dotarli do ulicy, którą wcześniej widzieli z góry.

Alec uniósł dłoń, nakazując Markowi się zatrzymać za ostatnim domem w rzędzie. Fasada tego budynku wychodziła bezpośrednio na ulicę, ale mimo to zapewniał im osłonę przed wzrokiem szaleńców. Obaj stali w cieniu na wpół rozwalonego daszku.

– Dobra – stwierdził Alec, zsuwając plecak. – To jesteśmy. Zjedzmy coś i napijmy się. Potem wchodzimy twardo i agresywnie.

Mark był zaskoczony tym, jak mało się boi, w każdym razie póki co. Może dlatego, że zatrzymali się na krótki odpoczynek i cała sytuacja nie wydawała się jeszcze realna. Jednak napięcie narastało już od tak dawna, że po prostu chciał wreszcie tam pójść i pozwolić, żeby stało się to, co miało się stać. W głowie znowu pulsował mu dotkliwy ból i intuicja mówiła Markowi, że odtąd będzie tylko gorzej. Nie mógł sobie pozwolić na marnowanie czasu.

Usiedli i zjedli trochę suszonego paczkowanego prowiantu, który zabrali z górolotu. Mark rozkoszował się każdym łykiem wody z manierki. Pomyślał przelotnie, że może pije ją już po raz ostatni. Pokręcił głową. Coraz trudniej było odpychać od siebie takie upiorne myśli. Wepchnął do ust kilka ostatnich kęsów i wstał.

– Nie wytrzymam tego dłużej – oznajmił. Podniósł z ziemi plecak i założył go. – Chodźmy tam i znajźmy nasze przyjaciółki.

Alec posłał mu baczne spojrzenie.

– Mam już po prostu dość tego czekania... Szlag mnie trafia. – Marka

nadal bolała głowa, ale twardo starał się to ignorować. – Chodź. Załatwmy to.

Alec wstał i z powrotem spakował wszystko do plecaka. Gdy skończył, obaj ujęli broń, gotowi do walki.

– Pamiętaj – powiedział Alec – wprawdzie przed tymi transmiotaczami nie ma żadnej obrony, ale guzik to da, jeśli tamci je nam odbiorą. Nie pozwól, powtarzam, *nie pozwól* nikomu podejść na tyle blisko, żeby mógł ci wyrwać broń. I cały czas miej pasek przerzucony przez ramię. To nasz priorytet numer jeden: nie stracić tych cacek.

Mark mocniej ścisnął broń w rękach, tak jakby ktoś miał zaraz spróbować mu ją odebrać, i kiwnął głową.

– Nie martw się. Nikomu nie pozwolę się zbliżyć.

Alec wyciągnął rękę.

– Wyjdziemy cało z tego syfu, ale na wypadek gdyby nie... Mark mocno uściskał dłoń towarzysza.

– Dzięki za to, że miliard razy ratowałeś mi życie.

– Cieszę się, że mogłem służyć razem z tobą, dzieciaku. Może dzisiaj ty jeszcze parę razy uratujesz moje.

– Postaram się.

Z bronią w pogotowiu skręcili za róg budynku. Alec spojrzał na Marka i skinął głową, po czym pobiegł naprzód ile sił w nogach. Mark ruszył w ślad za nim, wypadając na ulicę.

Większość hordy zarażonych znajdowała się kawałek dalej, ale w pobliżu było wystarczająco dużo ludzi, żeby stwarzać potencjalne zagrożenie. Jedna kobieta siedziała na środku jezdni, klaszcząc rytmicznie. Parę metrów dalej dwóch mężczyzn walczyło o coś, co wyglądało jak martwy szczur. Kolejny chory stał na rogu, śpiewając na całe gardło.

Mark i Alec przeszli przez ulicę i skierowali się w stronę pierwszego domu. Podobnie jak większość zrujnowanych zabudowań w tej dzielnicy, był olbrzymi i na wpół spalony. To, co ocalało, spróchniało. Mark podążył tuż za towarzyszem. Obaj zatrzymali się z boku budynku. Podkradli się do ściany i przystanęli, żeby złapać oddech. Wyglądało na to, że nikt jeszcze ich nie zauważył. Oczywiście, wcześniej wielu zarażonych nawet nie podniosło wzroku, kiedy tuż nad ich głowami przelatywał górolot, którego silniki odrzutowe ryczały głośniejszym niż cokolwiek, co Mark potrafił

sobie wyobrazić.

– Dobra – oznajmił Alec. – Kiedy je widziałem, Lanę i pozostałe wleczono do domu, który stoi tam. – Wskazał ulicę po prawej. – Ale sądzę, że dla pewności powinniśmy sprawdzić wszystkie zabudowania po kolei, bo kto wie, czy później nie zaprowadzono ich gdzieś indziej. Jeśli dzięki temu uda nam się uniknąć spotkania z główną bandą świrów, tym lepiej.

– To lepiej zaczynajmy – odparł Mark. – Od tej willi tutaj. Alec kiwnął głową.

– Chodź.

Wyśliznęli się spod osłony muru i ruszyli w stronę frontowych drzwi – tylko po to, by niemal wpaść na mężczyznę, który stał przed wejściem. Miał postrzępione ubranie i brudną twarz, z krwawą szramą zajmującą prawie cały policzek.

– Z drogi – warknął Alec. – Zostaw te drzwi i zejdź do ogrodu, albo za pięć sekund nie będziesz żył.

Mężczyzna popatrzył na nich pustym wzrokiem. Potem uniósł brwi i spełnił polecenie: spokojnie opuścił ganek i zszedł – powoli – na zarośniętą chwastami, kamienistą połąć ziemi, która niegdyś była ogrodem rozciągającym się z przodu posesji. Szedł dalej, nie oglądając się ani razu, aż dotarł na chodnik, gdzie skręcił w prawo i ruszył w stronę tłumy kłębiącego się w dalszej części ulicy.

Alec pokręcił głową.

– Bądź gotów na wypadek, gdyby ktoś na nas wyskoczył.

Mark mocno zaparł się nogami i naszykował broń.

Trzymając transmiotacz w jednej ręce, Alec wyciągnął drugą, złapał drzwi i otworzył je. Gdy rozwarły się na całą szerokość, dał krok w bok, żeby Mark mógł strzelać do tego, co ewentualnie wyłoni się ze środka. Jednak wewnątrz było pusto.

– Właż pierwszy, żebym mógł cię osłaniać – powiedział Alec, gestem dając do zrozumienia, że Mark ma wejść do środka.

– Albo patrzeć, jak wariaci zjadają mnie w pierwszej kolejności, zanim zjedzą ciebie.

– Zaufaj mi, dzieciaku: będziesz bezpieczniejszy, jeśli ja zostanę tutaj. A teraz rusz się.

Mark czuł, jak wzbiera w nim fala ekscytacji. Już nie targał nim strach; w zamian świerbiły go ręce, żeby coś wreszcie działać. Krótco skinął

towarzyszowi głową, po czym wkroczył na ganek i wszedł do domu. Wodząc lufą tam i z powrotem, przeszukał pokój. Panowały tu mrok i duchota. Wszystko pokrywał kurz. Słońce było widoczne tylko przez dziury w ścianach, ale wyglądało na to, że na piętrze jest znacznie jaśniej.

Podłoga skrzypiała przy każdym kroku.

– Stań na moment i nadstawmy ucha – powiedział Alec za jego plecami.

Mark znieruchomiał i wyteżył słuch. Pomijając odległy zgiełk chaotycznego wiecu, nie słyszał kompletnie nic. W domostwie panowała cisza.

– Przeszukajmy najpierw górę, a potem dół – zasugerował Alec.

Okazało się jednak, że schody są w zbyt kiepskim stanie, aby dało się po nich wejść. Mark dał za wygraną, gdy stopa uwięzła mu w trzecim stopniu.

Alec wskazał drzwi, które wyglądały na prowadzące do piwnicy.

– Odpuśćmy sobie. Nic nie słyszę tam na górze. Sprawdźmy, co jest na dole, a potem idźmy dalej.

Mark ostrożnie uwolnił nogę spomiędzy spróchniałych desek, po czym podszedł do wejścia do piwnicy. Spojrzał na towarzysza, żeby potwierdzić, że zamierza tam wejść, po czym złapał klamkę i szarpnięciem otworzył drzwi. Alec wycelował tam lufę na wypadek, gdyby ktoś postanowił ich zaatakować, ale nic się nie stało. Z dołu napłynęło wilgotne, cuchnące powietrze i owionęło Marka, sprawiając, że się zakrztusił. Musiał kilka razy odkaslnąć i przełknąć, żeby się powstrzymać od wymiotów.

Tym razem Alec postanowił pierwszy wejść do środka. Przekroczył próg i zatrzymał się na podeście. Sięgnął do tyłu, wyciągnął z plecaka latarkę, po czym włączył ją i oświetlił schody. Nachyliwszy się, Mark zobaczył drobinki kurzu tańczące w smudze blasku. Alec właśnie podnosił nogę, żeby zacząć schodzić, gdy z dołu dobiegł ich głos.

– Ani kroku d-dalej, b-bo zapalę zap-p-pałkę.

To był głos męczyzny, słaby i roztrzęsiony. Alec obejrzał się pytająco na Marka.

Kątem oka Mark spostrzegł, że u podnóża schodów coś się poruszyło. Skierował tam lufę broni. Alec poświecił w tamtym kierunku latarką, wydobywając z mroku postać mówiącego, który właśnie wyłonił się z głębi pomieszczenia. Dygotał na całym ciele i był kompletnie przemoczony – ciemne włosy miał przyklejone do głowy, a z jego odzieży

kapalo. Na podłodze już formowały się małe kałuże. Twarz mężczyzny była trupioblada, tak jakby nie opuszczał piwnicy od tygodni. Mrużył oczy przed jaskrawym światłem latarki.

Mark w pierwszej chwili pomyślał, że facet tak obficie się poci. Potem przyszło mu do głowy, że może tam na dole jest rozwalona rura albo do piwnicy przesiąkają wody gruntowe. Zagadka wyjaśniła się, gdy poczuł zapach paliwa – benzyny lub nafty. A potem zobaczył, że mężczyzna trzyma jakieś drobne przedmioty, przyciskając je do brzucha. W jednej ręce miał prostokątne pudełko. W drugiej – pojedynczą zapałkę.

– Jeszcze jeden krok i zapalę ją – oznajmił.

54

Mark chciał się odwrócić i uciec, ale Alec ani drgnął. Po prostu stał w miejscu, celując ze swojej broni w mężczyznę trzymającego zapalniczkę.

– Nie przyszliśmy tu, żeby pana skrzywdzić – powiedział ostrożnie. – Szukamy tylko naszych przyjaciółek. Czy tam na dole jest ktoś jeszcze?

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby nie usłyszał niczego, co powiedział Alec. Po prostu stał tam, dygocząc i ociekając paliwem.

– Wiecie, oni się boją ognia. Wszyscy boją się ognia, bez względu na to, jak dalece im odwaliło. Nie przychodzą tu, bo wiedzą, że mam w pogotowiu zapalniczkę i benzynę.

– Trina! – zawołał Mark. – Lana! Jesteście tam?

Nikt nie odpowiedział, a mężczyzna z zapalniczką nie sprawiał wrażenia wytrąconego z równowagi tymi okrzykami.

– To wasz wybór, moi nowi przyjaciele. Możecie dać krok w dół, a wtedy ja zapalę ogień, który raz na zawsze rozwiąże moje problemy. Lub też możecie pójść spokojnie w swoją stronę i pozwolić mi przeżyć kolejny dzień.

Alec powoli kręcił głową. W końcu zaczął się wycofywać tyłem, popychając Marka, aż obaj znaleźli się z powrotem w holu. Alec bez słowa wyciągnął rękę i wolno pchnął drzwi, aż zamknęły się cicho. Potem odwrócił się do Marka.

– Co się porobiło z tym światem?

– Coś naprawdę chorego. – Mark też to czuł. Widok faceta oblanego paliwem i trzymającego zapalniczkę w jakimś sensie idealnie podsumowywał rzeczywistość. – I wątpię, czy to się dla nas dobrze skończy. Wszystko, co możemy zrobić, to znaleźć nasze przyjaciółki i zadbać o to, żebyśmy zakończyli życie w taki sposób, jaki sami uznamy za stosowne.

– Dobrze powiedziane, synu. Dobrze powiedziane.

Mark i Alec cicho opuścili pierwszy dom i przeszli do kolejnego.

Zgiełk stał się głośniejszy. Trzymając głowy nisko, Alec i Mark przebiegli do domu po przeciwnej stronie ulicy – zamierzali się posuwać zygzakami.

Tym razem zostali zauważeni. Kilku błakających się zarażonych zaczęło ich wskazywać palcami, ale dość szybko stracili zainteresowanie. Mark miał nadzieję, że dopisze im szczęście i nikt nie będzie im poświęcał większej uwagi. Niestety było niemal pewne, że błyszcząca broń pogrzebie te nadzieje.

Podchodzili właśnie pod ganek następnego domu, kiedy ze środka wybiegły dwie drobne postacie. Palec Marka drgnął na obudowie spustu, ale chłopaka ogarnęła ulga, gdy dotarło do niego, że zbliżające się sylwetki to tylko dwójka dzieci. Były okropnie brudne i miały tak samo pusty wzrok, co wszyscy ludzie widziani do tej pory. Zachichotały i pobiegły dalej, ale gdy tylko zniknęły z widoku, rozległy się ciężkie kroki i na ganek wyszła gruba kobieta, wrzeszcząc coś o przeklętych bachorach i grożąc, że sprawi im lanie.

Krzyczała przez dobre kilka sekund, sprawiając wrażenie, jakby w ogóle nie dostrzegła dwóch obcych przybyszy, a kiedy w końcu ich zauważyła, obdarzyła ich tylko spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– W tym domu nie ma żadnych wariatów – oznajmiła, a jej twarz nagle poczerwieniała od gniewu. – W każdym razie jeszcze nie. Nie ma potrzeby zabierać mi dzieci. Tylko one chronią mnie przed potworami. – Pustka w jej spojrzeniu zmroziła Marka aż do szpiku kości.

Alec wyglądał na zirytowanego.

– Proszę posłuchać, pani dzieci kompletnie nas nie obchodzą i bynajmniej nie jesteśmy tu po to, żeby je zabierać. Chcemy tylko zajrzeć szybko do pani domu, upewnić się, że nie ma tam naszych przyjaciółek.

– Przyjaciółek? – powtórzyła kobieta. – Potwory są waszymi przyjaciółkami? Te, które chcą zjeść moje dzieci? – Jej oczy nagle straciły pusty wyraz, źrenice rozszerzyły się w panicznym strachu. – Proszę... proszę, nie róbcie mi krzywdy. Mogę wam dać jedno z nich. Tylko jedno. Proszę.

Alec westchnął.

– Nie znamy żadnych potworów. Po prostu... proszę się przesunąć i pozwolić nam wejść. Nie mamy czasu.

Postąpił naprzód, cały spięty, gotów w razie konieczności użyć siły, ale kobieta cofnęła się z takim pośpiechem, że omal nie przewróciła się w zwiędłe chwasty porastające podwórko. Mark popatrzył na nią ze smutkiem – wcześniej założył, że „potwory” to zarażeni hałasujący

kawałek dalej na ulicy, ale teraz uświadomił sobie, że się mylił. Ta kobieta miała tak samo nierówno pod sufitem jak facet, którego znaleźli w piwnicy, i było nader prawdopodobne, że naprawdę wierzy w ukrywające się pod łózkami monstra.

Mark zostawił ją przed domem i wszedł do środka w ślad za towarzyszem. Przekroczywszy próg osłupiał. Wnętrze wyglądało bardziej jak zaułek w jednej z najgorszych dzielnic Nowego Jorku niż jak willa na przedmieściach. Na wszystkich ścianach widniały rysunki wykonane, jak się zdawało, czarną kredką świecową i kredą. Mroczne, przerażające. Przedstawiały potwory Istoty obdarzone szponami, ostrymi kłami i drapieżnymi ślepiami. Były to nieporządne szkice, jakby narysowane w pośpiechu, ale niektóre cechowały się bogactwem detali. Takich, że Markowi zjeżyły się włoski na rękach.

Posłał Alecowi ponure spojrzenie i ruszył za nim w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Zeszli tam, trzymając broń w pogotowiu.

Na dole znaleźli większą grupę dzieci. Co najmniej piętnaścioro, może więcej. Przebywały tam w strasznym brudzie i zaduchu. Większość skupiła się w grupkach, kuląc się tak, jakby oczekiwały ze strony nowo przybyłych jakiejś strasznej kary. Wszystkie były umorusane, obdarte i wyglądały na zagłodzone. Oszołomiony Mark nie do końca zarejestrował fakt, że osób, których szukali, nie było nigdzie w polu widzenia.

– My... nie możemy ich tu zostawić – powiedział. Puścił swoją broń, pozwalając jej zawisnąć na pasku przerzuconym przez ramię. Zgroza wbiła go w ziemię. – Nie ma mowy, żebyśmy je tu zostawili.

Alec chyba wyczuł, że nie przekona Marka do zmiany zdania. Stanął przed nim i oznajmił z powagą:

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, synu. Pojmuję, o co ci chodzi. Ale posłuchaj mnie. Co możemy zrobić dla tych dzieci? Wszyscy w tym przeklętym miejscu są chorzy, a my nie mamy nikogo, kto mógłby nam pomóc je stąd wydostać. Przynajmniej one... Nawet nie wiem, jak to ująć.

– Żyją – powiedział cicho Mark. – Myślałem, że jedyne, co się liczy, to fakt, że człowiek przeżył, ale myliłem się. Nie możemy zostawić tych dzieci.

Alec westchnął.

– Spójrz na mnie. – Kiedy Mark się nie poruszył, Alec pstryknął palcami i krzyknął głośno: – Spójrz na mnie!

Mark spojrzał.

– Chodźmy i odszukajmy nasze przyjaciółki. Potem możemy tu wrócić. Ale jeśli zabierzemy je teraz, nie będziemy mieć żadnych szans. Słyszysz mnie? Absolutnie zero.

Mark kiwnął głową. Wiedział, że stary żołnierz ma rację. Ale na widok tych dzieci w jego sercu coś pękło i sprawiało mu fizyczny ból. Nie sądził, by ta rana mogła się kiedykolwiek zabiścić.

Odwrócił się, żeby zebrać myśli. Jedyne, co mógł zrobić, to skupić się na Trinie. Musiał uratować Trinę. I Deedee.

– Okej – powiedział w końcu. – Chodźmy.

Mark i Alec szli dalej, od domu do domu, przeszukując je od strychu aż po piwnice.

Wszystko stopniowo zlało się w umyśle Marka w jedną zamgloną plamę. Im więcej widział, tym bardziej obojętniał na dziwaczność nowego świata. Na tę epidemię, która została wywołana celowo. W każdym kolejnym domostwie oglądał rzeczy gorsze niż to, co wcześniej wydajało mu się najgorsze ze wszystkiego. Zobaczył kobietę, która zeskoczyła z dachu i wylądowała z połamanymi kośćmi na schodkach prowadzących do jej własnych frontowych drzwi. Zobaczył trzech mężczyzn, którzy rysowali na ziemi okręgi i przeskakiwali z jednego do drugiego, niczym bawiące się dzieci. Tyle że coś wyraźnie coraz bardziej ich denerwowało, aż w końcu wybuchła między nimi zaciekle bójka. W jednym z domów Alec i Mark natrafili na pokój, gdzie dwadzieścioro czy trzydzieścioro ludzi leżało bez ruchu w całkowitym milczeniu. Z całą pewnością żyli, ale nie poruszali się.

Kobieta jedząca kota. Mężczyzna żujący dywan w rogu salonu. Dwoje dzieci z całej siły ciskających kamieniami w siebie nawzajem. Zakrwawionych i posiniaczonych od stóp do głów. Śmiejących się przez cały czas. Ludzie stojący bez ruchu na podwórzach i gapiący się w niebo. Inni leżący twarzą w dół w pyle, gadający do siebie. Mark zobaczył mężczyznę, który raz po raz walił głową w pień drzewa, jakby miał nadzieję, że w końcu wygra ten nierówny pojedynek.

Szli dalej, szybko przeszukując kolejne domostwa i coraz bardziej zbliżając się do tego, co Alec określił mianem imprezy. Najdziwniejsze było jednak to, że jak dotąd nikt ich nie zaatakował. Prawdę mówiąc, większość mijanych ludzi zachowywała się tak, jakby śmiertelnie bali się

przybyszy.

Podchodzili właśnie do kolejnego budynku, kiedy powietrze nagle rozdarł wrzask, głośniejszy niż wszystkie inne dźwięki razem wzięte. Był przeszywający i dziki, niósł się przez całą długość ulicy jak obdarzony własnym życiem.

Alec stanął jak wryty, Mark też. Obaj odwrócili się w kierunku, skąd dobiegał.

Jakieś pięć domów dalej dwóch mężczyzn właśnie wywlekało czarnowłosą kobietę za nogi przez frontowe drzwi. Jej głowa obijała się o kolejne betonowe stopnie, kiedy ściągali ją z ganku.

– Matko święta... – wyszeptał Alec. – To Lana.

55

Alec nie czekał na odpowiedź Marka.

Rzucił się biegiem naprzód, wypadając na ulicę. Jego buty głośno waliły o chodnik, gdy pędził w stronę Lany i obcych, którzy teraz wlekli ją po kamienistej ziemi za domem. Zareagował tak szybko, że Mark został daleko w tyle. Usiłował dogonić przyjaciela, ale plecak obijał mu się o grzbiet, a broń mogła w każdej chwili wysliznąć się ze spoconych dłoni.

Alec wrzeszczał do mężczyzn, żeby przestali. Podniósł transmiotacz, ale tamci albo nie rozumieli groźby, albo ją zignorowali. Dalej wlekli Lanę przez zdewastowany ogród, aż wyciągnęli ją na chodnik i tam z całej siły cisnęli jej nogi na ziemię. Do tego czasu zdążyła już przestać krzyczeć i Mark zastanawiał się, czy nadal jest przytomna. Czy żyje.

Alec zatrzymał się jakieś cztery metry od nieruchomego ciała Lany. Celował ze swojej broni, wrzeszcząc do tamtych, żeby podnieśli ręce, kiedy Mark wreszcie go dopędził. Musiał przez chwilę łapać oddech, zanim on też zdołał unieść transmiotacz.

Mężczyzn było trzech i stali wokół ciała Lany, patrząc w dół, na nią. Kompletnie nie przejmowali się faktem, że dwóch przybyszy celuje do nich z dziwnej broni.

– Cofnijcie się od niej! – krzyknął Alec.

Teraz, gdy znaleźli się bliżej, Mark wreszcie mógł się dobrze przyjrzeć przyjaciółce. To, co zobaczył, sprawiło, że żołądek mu się ścisnął. Była pobita, cała we krwi i w siniakach. Dużą część jej włosów wydarto razem z cebulkami – w tych miejscach prześwitywała zakrwawiona skóra. Ostatnim szczegółem, jaki rzucił się Markowi w oczy, było ucho Lany wyglądające tak, jakby ktoś usilnie próbował je oderwać. Zgroza rąbnęła chłopaka z taką siłą, jakby kowadło przygniotło mu pierś, a równocześnie zawrzał w nim ten szalony gniew, który stał się już aż nazbyt znajomy. Ci ludzie byli potworami, a jeśli to samo zrobili z Triną...

Dał krok w ich stronę, lecz Alec wyciągnął dłoń, powstrzymując go.

– Sekundę – powiedział, po czym zwrócił się z powrotem do dręczycieli

Lany. – Nie będę powtarzał. Cofnijcie się od niej albo strzelam.

Jednak zamiast odpowiedzieć, trzech mężczyźni uklękli na ziemi, tak że ich kolana dotykały ciała Lany. Rozpaczliwie wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego.

– Po prostu zrób to! – zawołał Mark. – Na co czekasz?

– Nie mogę strzelać, kiedy są tak blisko niej! – odwarknął Alec. – Nie chcę jej posłać w kosmos razem z nimi!

Słowa towarzysza tylko rozżłościły Marka jeszcze bardziej. Nie zamierzał po prostu stać i nic nie robić przez choćby sekundę dłużej.

– Mam tego dość – wymamrotał, po czym ruszył naprzód, odpychając dłoń Aleca, gdy ten ponownie spróbował go powstrzymać.

Mężczyźni nawet nie spojrzeli na niego, gdy podchodził. Wszyscy grzebali w kieszeniach w poszukiwaniu czegoś. Ustawili się tak, że ich ciała zasłaniały Markowi widok.

– Hej! – krzyknął, unosząc broń. – Zostawcie ją albo strzelam. Wierście mi, wtedy nic już wam nie pomoże!

Nie usłyszeli go lub udawali, że nie słyszą. To, co nastąpiło chwilę później, było tak szokujące i rozegrało się tak szybko, że Mark aż się potknął, omal nie upadając. Jeden z mężczyzn błyskawicznie wyciągnął nóż sprężynowy i dźgnął Lanę. Jej krzyki sprawiły, że zgroza przeszła Marka aż do kości. Potem rzucił się naprzód, pozwalając, aby transmiotacz zwiśł na pasku. Skoczył na mężczyznę znajdującego się najbliżej, tak że obaj zwałili się na ziemię i odtoczyli od Lany.

Słyszał, jak Alec wykrzykuje jego imię, ale zignorował to. Myślał wyłącznie o tym, że musi rozbroić tego gościa wystarczająco szybko, żeby móc powstrzymać pozostałych. A przynajmniej odciągnąć ich na tyle daleko od Lany, żeby Alec mógł się nimi zająć. Mężczyzna, którego Mark powalił, był silny, ale ponieważ chłopak zaatakował go z zaskoczenia, udało mu się przygwoździć szaleńca do ziemi i wyrwać mu nóż. Bez zastanowienia dźgnął go w klatkę piersiową, kończąc walkę.

Mark stoczył się z przeciwnika i upadł na wznak, ale pozbierał się pośpiesznie. Zagapił się w zgrozie na dzieło własnych rąk. Jednak równie szybko dotarło do niego, co dzieje się wkoło, i skoczył na równe nogi. Alec podbiegł i zamachnął się trzymaną oburącz bronią, trafiając kolbą w głowę jednego z napastników. Ten zgiął się wpół i osunął na ziemię.

Z przeciwległej strony ulicy nadbiegła grupa ludzi. Mark nie miał

zielonego pojęcia, skąd się wzięli, ale było ich siedmiu czy ośmiu. Sami mężczyźni. Wszyscy dzierżyli noże, młotki i śrubokręty, a ich twarze płonęły wściekłością.

– Uwaga! – krzyknął Mark do Aleca.

Jednak mężczyźni nawet na nich nie spojrzeli. Zamiast tego jak jeden mąż rzucili się na Lanę, którą nadal atakował jedyny pozostały przy życiu członek tej trójki, która wywlokła kobietę na zewnątrz. Alec cofnął się chwiejnie o parę kroków, a Mark podbiegł, żeby stanąć obok niego. Patrząc na bestialską scenę, która rozgrywała się przed nimi, chłopak uświadomił sobie, że nie mają żadnych szans na powstrzymanie tego szaleństwa, chyba że zaczną strzelać z transmiotaczy. Ogarnęła go nagła, przerażająca pewność.

Nieoczekiwanie wszystkie mięśnie Aleca, jak się zdawało, stężały – w całym jego ciele zaszła widoczna zmiana. Jego twarz zastygła, stwardniała jak kamień. Wyprostował się, a potem bez słowa podniósł broń i wycelował w grupę szaleńców atakujących Lanę.

Strzelił. Strumień czystej bieli trysnął z lufy i trafił najbliższego mężczyznę, biorącego właśnie zamach ręką, w której ścisnął zakrwawiony młotek. Postrzelony błyskawicznie zmienił się w drgającą szarą płachtę, a potem eksplodował w chmurę mgły, którą zdmuchnął niewyczuwalny wiatr. Alec już strzelał do kolejnego napastnika. Mark wiedział, że nie wygrają tej walki, chociaż Lana była ich dzielną, wierną i silną towarzyszką od dnia, gdy po raz pierwszy się spotkali w tunelach transmetra.

Mark też podniósł broń i zaczął strzelać. On i Alec kolejno likwidowali atakujących. Pociągnął za spust. Następny.

Wkrótce wszyscy zwyrodnialcy zniknęli i na ziemi leżał już tylko zmaltretowany, żaloszny kształt, który był niegdyś ich przyjaciółką. Alec nie zawahał się ani przez chwilę. Wycelował raz jeszcze i strzelił.

Cierpienia Lany dobiegły końca w obłoku szarej mgły.

56

Mark z trudem oderwał wzrok od krwawej plamy na ziemi, by popatrzeć na Aleca. Mina starszego mężczyzny mówiła wszystko, a nawet trochę więcej. Na jego twarzy malował się bezdeny smutek. Choć Mark nigdy w pełni nie zrozumiał, co dokładnie łączy dwójkę weteranów, ich więź była głęboka i pełna wspomnień.

A teraz Lany już nie było.

Wyraz twarzy Aleca znormalniał po kilku sekundach, ale wydawały się one Markowi wiecznością. Nigdy wcześniej nie widział przyjaciela tak smutnego.

Nagle Alec stał się z powrotem zimny i rzeczowy. Wskazał dom wznoszący się przed nimi.

– To stamtąd ją wywlekli. Wchodzimy tam. Jestem pewien, że Trina i dzieciak znajdują się w środku.

Mark odwrócił się, żeby spojrzeć. Budynek w pełni zasługiwał na miano rezydencji: trzy piętra, neogotyckie zdobienia, olbrzymie okna – szyby w większości z nich były teraz porozbijane – i dekoracyjna cegła. Jednak osmalony dach, brudne ściany oraz pożółkły, zarośnięty chwastami trawnik sprawiały, że wydawał się bardzo stary. Mark czuł paniczny strach na samą myśl o tym, co mogą zastać w środku.

A tymczasem wokół nich gromadzili się ludzie.

Mniej niż minuta upłynęła, odkąd Mark i Alec obrócili w nicość swoją umierającą przyjaciółkę oraz atakujących ją szaleńców, ale wyglądało na to, że tłum kłębiący się na podwórku oraz na ulicy podwoił swoją liczebność przez ten czas. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Ciało większości z nich były pokryte sińcami i zadrapaniami, ale niektórzy mieli poważniejsze obrażenia. Mężczyźni, który nadchodził powoli, brakowało dużej części ramienia, tak jakby ktoś w napadzie furii okaleczył go siekierą. Była też kobieta bez jednej ręki – z odsłoniętego stawu została krwawa miazga. Jednak największą grozę budziło kilkoro brutalnie okaleczonych dzieci, które najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy z tego, że cokolwiek im

dolega.

Wszyscy ci ludzie zaczęli się powoli posuwać w stronę Marka i Aleca, otaczając ich. Obszarpane i brudne ubrania, tłuste włosy, błędne spojrzenia – uwaga tłumu była całkowicie skupiona na dwóch przybyszach.

Alec zaczął powoli iść w kierunku frontowych drzwi dużej willi. Mark naśladował jego ostrożne ruchy, tak jakby jakikolwiek gwałtowny gest mógł wyzwolić szaleństwo kumulujące się w zarażonych, którzy obserwowali każdy ich krok. We dwóch podkradali się coraz bliżej drzwi, mocno ściskając w rękach broń. Mark nie zamierzał już podejmować najmniejszego ryzyka. Był zdeterminowany zastrzelić każdego, kto spróbuje na niego ruszyć.

Tłum wokół nich gęstniał – zarażeni tłoczyli się jak widzowie na paradzie. Musiały ich być tuziny, może ponad setka. Potem kilku mężczyzn oderwało się od głównej grupy i odcięło intruzom drogę do frontowych drzwi. Kolejne osoby natychmiast poszły za ich przykładem, tak że teraz otaczali Marka i Aleca ze wszystkich stron, zacieśniając krąg.

– Nie wiem, czy rozumiecie, co do was mówię – ryknął Alec. – Mam dla was jednorazową, niepowtarzalną ofertę. Zejdźcie nam z drogi albo zaczynamy strzelać.

– W tym domu są nasze przyjaciółki – dodał Mark. – I nie odejdziemy bez nich. – Podniósł transmiotacz tylko po to, żeby podkreślić wagę swoich słów.

Miny widoczne na otaczających go twarzach uległy zmianie. Pusta obojętność zniknęła. Oczy się mrużyły, czoła marszczyły, a wargi cofały w nieznacznym wrogim grymasie. Kilka kobiet zasyczało na nich, a jedno z dzieci wyszczerzyło zęby jak dzikie zwierzę.

– Z drogi! – wrzasnął Alec.

Tłum znów ścieśnił się o kilkanaście centymetrów, napierając na nich, podchodząc coraz bliżej. Marka snów ogarnęło tamto znajome uczucie, jakby coś miało lada chwila w nim pęknąć. Jakby tracił kontrolę. Zapłonęła w nim nagle fala nienawiści.

– Chrzanić to – wymamrotał.

Wycelował transmiotacz w mężczyznę stojącego najbliżej między nim a głównym wejściem i nacisnął spust. Oślepiający potok białego światła wystrzelił z broni i trafił nieszczęśnika w pierś, szybko zmieniając go w

szary zarys, a potem w eksplozję cząstek, która zniknęła. Mark się nie zawahał. Natychmiast wycelował w kolejnego mężczyznę, nacisnął spust, patrzył, jak tamten zmienia się w chmurkę oparów. Obok stała kobieta. Trzy sekundy później już jej nie było.

Nie wiedział, czy Alec go nie powstrzyma. Ale były żołnierz nie marnował czasu. Gdy tylko kobieta rozviała się w powietrzu, on również zaczął strzelać. Skupili się na tym, żeby oczyścić przejście do budynku, powoli zataczając półkola lufami broni i zdejmując jednego zarażonego po drugim. Jaskrawe rozbłyski wypełniły powietrze, a dwa transmiotacze rozgrzały się, bez ustanku siejąc zniszczenie. A wszystko to bez jednej kropli krwi.

Wyeliminowali około tuzina ludzi – połowę tłumu stojącego przed nimi – kiedy reszta zarażonych w końcu załapała, co się dzieje. Zabrzmiał pełen furii krzyk – przeszywający, okropny dźwięk – i nagle wszyscy obłąkani, co do jednego, zaszarżowali naprzód, rzucając się na dwóch mężczyzn uzbrojonych w śmiertelność broni.

Mark wodził lufą transmiotacza z lewa na prawo, strzelając krótkimi seriami, nawet nie zadając sobie trudu, żeby celować. Smugi bieli trafiły kilka kobiet. Jeden zabłąkany strzał uderzył w małego chłopca, który natychmiast wyparował. Reszta szaleńców nadal pędziła w stronę Marka. Odwrócił się do ludzi, których miał za sobą. Wystrzelił raz jeszcze, po czym mocno chwycił transmiotacz i zamachnął się nim, trafiając kolbą prosto w twarz jakiegoś mężczyzny. Ten padł jak długi na ziemię, krzycząc z bólu.

Mark zatoczył się do tyłu, ale złapał równowagę. Wszędzie wokół tłoczyli się ludzie, sycząc, obnażając zęby, podskakując w dzikim tańcu, z szalonym wzrokiem i histerycznym śmiechem. Mark znowu przycisnął transmiotacz mocno do piersi i zaczął strzelać bez celowania, obracając się powoli wokół własnej osi i unicestwiając tych, którzy stali najbliżej. Potem powiódł lufą w drugą stronę, uważając, żeby przypadkiem nie strzelić w kierunku Aleca.

Kolejne kilka sekund było czystym szaleństwem. Mark poczuł ukłucie paniki. Strzelał dalej, kierując lufę w lewo, potem w prawo. Atakował ludzi łokciami, rozpychał ich, parł do przodu, znowu strzelał i tak bez końca, coraz bardziej zbliżając się do budynku. Zabił jeszcze co najmniej dziesięciu ludzi, po czym nagle potknął się o schody prowadzące na

ganek.

Upadł, ale zdołał przekręcić transmiotacz i strzelić prosto w pierś mężczyzny, który na niego skoczył. Szara mgła przepłynęła przed twarzą Marka i zniknęła. Niecałe dwa metry dalej dostrzegł Aleca, który właśnie rąbnął jakąś kobietę kolbą w twarz. Potem zaczął biec, wskoczył na schody i minął Marka, zmierzając do drzwi wejściowych.

Mark strzelił raz jeszcze, a potem zaczął pełznąć tyłem po stopniach. Na górze stanął na nogi i dopadł do drzwi akurat w momencie, gdy Alec przez nie przechodził. Mark minął go i wpadł do domu, a jego przyjaciel zatrzasnął drzwi. Gdy tylko przekręcił zamek, z drugiej strony doleciał głuchy łomot – zarazem próbowali się dostać do środka. Mark wątpił, by drzwi wytrzymały długo.

Potem pobiegli. W dół korytarza, w prawo, następnym korytarzem. Zaatakowało ich dwoje ludzi, którzy pilnowali jednego z pomieszczeń. Alec zastrzelił oboje z transmiotacza. Mark minął go, otworzył drzwi. Za nimi były schody prowadzące w dół. Wspinał się po nich mężczyzna o płonących oczach i umorusanej, podrapanej twarzy. Mark unicestwił go.

Schodami w dół, skacząc co drugi stopień. Rzucili się na niego mężczyzna i kobieta uzbrojeni w noże, atakując, zanim zdążył podnieść broń. Odepchnął ich ręce i zanurkował w stronę podłogi, a w tym samym momencie pojawił się Alec i wystrzelił dwukrotnie. Potem zapadła cisza, tylko z oddali dolatywały stłumione wrzaski ludzi, którzy już wkrótce dostaną się do wnętrza budynku.

Znajdowali się w piwnicy. Smuga słonecznego blasku wpadała przez wąskie okno osadzone w górnej części ściany po prawej stronie. A w kącie pomieszczenia kuliły się dwie osoby. Dwie najbardziej przerażone osoby, jakie Mark kiedykolwiek widział.

Trina i Deedee. Wczepione w siebie nawzajem, obejmujące ramionami swoje posiniaczone ciała. Mark podbiegł do nich, ukląkł przed nimi, położył broń na ziemi.

Deedee płakała i odezwała się pierwsza.

– Ona jest chora – powiedziała swoim drżącym dzieciennym głosem. Objęła Trinę jeszcze mocniej, szlochając.

Mark wyciągnął dłoń i ujął rękę Triny, ucisnął ją.

– Wszystko będzie dobrze. Znaleźliśmy was. Wyciągniemy was stąd.

Trina przez cały czas wpatrywała się w podłogę, ale teraz powoli

podniosła głowę i popatrzyła na Marka. Jej oczy były mroczne i puste.
– Kim ty jesteś? – spytała.

57

Jej słowa rąbnęły go niczym seria ciosów prosto w serce. Usiłował przekonać sam siebie, że istniał milion wytłumaczeń, czemu powiedziała to, co powiedziała. Może w pomieszczeniu nie było dostatecznie jasno; może oberwała w głowę; może niewyraźnie widziała. Ale prawda wyzierała z jej oczu. Trina nie miała zielonego pojęcia, kim on jest.

– Trina... – Szukał słów. – Trina, to ja. Mark.

Piętro wyżej rozległ się huk – coś roztrzaskano. Potem kilka głuchych uderzeń. I kroki.

– Musimy stąd wiać – warknął Alec. – I to już.

Trina nadal wpatrywała się w Marka, marszcząc twarz w wyrazie konsternacji. Przekrzywiła głowę w bok, jakby rozważając wszystkie możliwe odpowiedzi na pytanie, kim jest ten facet przed nią. Ale w jej oczach widać też było strach, panikę, coś niepokojącego.

– Może istnieje lek – Mark nagle odkrył, że szepcze to na głos, znalazłszy się w czymś na kształt transu. Jedyna osoba na świecie, którą pragnął mieć przy sobie, zdrową i całą... – Może...

– Mark! – wrzasnął Alec. – Każ im się ruszyć! Ale już!

Chłopak odwrócił się i zobaczył, że jego przyjaciel stoi u podnóża schodów z bronią w pogotowiu, gotów postrzelić tego, kto pierwszy spróbuje zejść do piwnicy. Nad nimi narastał harmider: ludzie biegali i krzyczeli. Trzeszczały łamane sprzęty. Potem Mark dostrzegł za oknem plamę ruchu – para stóp pojawiła się i zaraz zniknęła.

– Coś wykombinujemy – powiedział, z powrotem kierując uwagę na dwie dziewczyny. – Chodźcie, musimy się stąd wydostać.

Narastający hałas niemal wprawiał go w panikę, ale Mark wiedział, że musi bardzo uważać na Trinę. Nie miał pojęcia, jak ta zareaguje, jeśli będzie próbował ją popędzać.

– Deedee? – powiedział najdelikatniej jak umiał. Podniósł transmiotacz i przerzucił sobie pasek przez ramię. – Chodź tu, Deedee. Weź mnie za rękę i wstań.

Powietrze rozdarł' głośny trzask dochodzący od strony schodów. Ktoś właśnie otworzył drzwi z takim rozmachem, że walnęły o ścianę. Krzyki osiągnęły historyczne natężenie. Mark usłyszał charakterystyczny odgłos ładującej się broni Aleca, a potem „zing” wystrzału – w górze rozległy się zaszokowane westchnienia, gdy obłąkani zobaczyli, że jeden z ich towarzyszy rozpułnął się w szarą mgłę. Mark wyobraził sobie tę scenę, nadal klęcząc z wyciągniętą ręką i usiłując wyglądać spokojnie, żeby nie przerazić Deedee.

Dziewczynka po prostu gapiła się na niego przez kilka nieznośnie długich sekund. Wyglądało na to, że przez jej główkę przebiegają tysiące myśli. Mark nie pozwolił sobie na najmniejszy ruch, po prostu dalej się uśmiechał i czekał z wyciągniętą dłonią. W końcu Deedee zareagowała, ujęła jego palce i pozwoliła, żeby pomógł jej wstać. Nie puszczając jej rączki, nachylił się i wsunął drugą rękę pod plecy Triny, ujął ją mocno. Użył całej siły, jaka mu pozostała, żeby ją dźwignąć z ziemi i postawić na nogi.

Nie opierała się, ale Mark bał się, że jeśli ją puści, dziewczyna straci równowagę i się przewróci.

– Kim jesteś? – powtórzyła. – Przyszedłeś tu, żeby nas uratować?

– Jestem twoim najlepszym przyjacielem, od zawsze – odparł, starając się nie pozwolić, żeby jej słowa go zraniły. – Tamci ludzie cię porwali, a teraz zamierzam cię zabrać z powrotem w bezpieczne miejsce. No wiesz, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

– Proszę – powiedziała. – Proszę, nie pozwól, żeby mnie znowu skrzywdzili.

W jego piersi otworzyła się otchłań, omal nie pochłaniając serca.

– Po to tu jestem. Potrzebuję tylko, żebyś ze mną poszła, dobrze? Chodź i trzymaj się blisko mnie.

Z góry doleciało więcej dźwięków: wrzask, brzęk tłuczonej szyby. Potem na schodach zabrzmiały kroki. Alec wystrzelił znowu.

Trina przesunęła się tak, żeby oprzeć się mocno na własnych nogach.

– Dobrze. Nic mi nie jest. Zrobię wszystko, co tylko będzie trzeba, żeby się stąd wydostać.

– Zuch dziewczyna. – Mark z ociąganiem wysunął rękę spod jej pleców, po czym przeniósł uwagę na Deedee. Schylił się, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Czeka nas coś naprawdę strasznego, okej? Ale potem będzie po wszystkim. Trzymaj się blisko...

– Wytrzymam – odparła, przerywając mu w pół słowa. W jej oczach nagle zapłonął ogień, który sprawił, że wydawała się o dziesięć lat starsza.
– Chodźmy.

Mark poczuł na swoich ustach lekki uśmiech.

– Super. Idziemy.

Ujął rączkę dziewczynki, wsunął ją w dłoń Triny i ścisnął je razem. Potem chwycił swój transmiotacz i oparł go mocno o klatkę piersiową, gotów strzelać.

– Trzymajcie się tuż za mną – powiedział i popatrzył kolejno na każdą z nich, upewniając się, że zrozumiały. Trina sprawiała teraz wrażenie przytomniejszej, jej spojrzenie stało się mniej mętne. – Tuż za mną.

Mocno ujął broń, oparł palec na obudowie spustu, po czym stanął przodem do schodów, u podnóża których nadal zajmował pozycję Alec.

Mark zdążył uczynić dwa kroki w stronę towarzysza, mając Deedee i Trinę za plecami, kiedy okno po ich lewej stronie nagle wybuchło do wewnątrz deszczem tłuczonego szkła, a na podłogę z hukiem spadła cegła. Deedee wrzasnęła, zaś Trina skoczyła do przodu, potknęła się i zderzyła z plecami Marka. Ten zatoczył się do przodu, ale udało mu się nie upaść. Wycelował lufę transmiotacza w rozbite okno. Przez wąski otwór zdążyła się już precyzyjnie ręka mężczyzny i macała teraz po ścianach.

Mark strzelił. Pierwsza smuga białego żaru nie sięgnęła celu – wywierciła w murze dziurę, z której wzbil się dziwny obłok pyłu. Chłopak spróbował ponownie i tym razem się udało. Ręka intruza rozpułyła się w szary obłok, a potem zniknęła. Na miejscu mężczyzny pojawiło się dwoje kolejnych ludzi, ale Mark widział, że okienko jest zbyt wąskie, aby człowiek mógł przez nie wpełznąć do środka. Odwrócił się i ponownie ruszył w kierunku schodów, gdzie nadal stał Alec z wycelowaną bronią. Dokładnie w momencie, gdy chłopak na niego spojrzał, stary żołnierz strzelił do kogoś, kto pojawił się wyżej.

– Nie mamy wyboru, musimy wejść z powrotem na górę – warknął, nie odrywając oczu od drzwi. – Na zewnątrz przypuszczalnie z każdą minutą przybywa psycholi.

– Jesteśmy gotowi – odparł Mark, chociaż nie miał zielonego pojęcia, jak przeprowadzić ich czteroosobową grupkę przez hordę zainfekowanych Pożogą maniaków. – Może powinniśmy wziąć dziewczyny w środek.

– Tak zrobimy. Tym razem ja pójdę pierwszy, ty zamykaj pochód. Przepychanie się przez tych świrów będzie mało fajne.

Mark kiwnął głową i cofnął się o krok. Trina sprawiała wrażenie coraz przytomniejszej, chociaż nie dała jeszcze żadnego znaku, że go pamięta. Złapała Deedee za rączkę i podprowadziła ją do przodu, tak, żeby mała znalazła się tuż obok Aleca. Ten mrugnął do dziewczynki, po czym ruszył w górę po schodach. Trina poszła w jego ślady, prowadząc Deedee. Mark wchodził po stopniach tyłem, na wypadek gdyby któryś z otaczających budynek szaleńców wykombinował, jak dostać się do piwnicy inną drogą.

Krok za krokiem zbliżali się do chaosu, który czekał na gorze.

– Zejdźcie nam z drogi! – wrzasnął Alec. – Za trzy sekundy zaczynam strzelać!

Ryk i kotłowanina wzmogły się – kakofonia krzyków, gwizdów, drwin i śmiechu. Mark porzucił myśl o pilnowaniu tyłów i podniósł wzrok. Ujrzał pięcioro czy sześcioro ludzi stłoczonych przy drzwiach, którzy czekali na nich. Wzrok mieli szalony i najwyraźniej łaknęli krwi. W piersi wezbrał mu taki strach, że ciężko było zaczerpnąć tchu. Wiedział jednak, że jeśli tylko jakimś cudem uda im się wyjść na zewnątrz, mają szansę.

– Czas się skończy! – ryknął Alec. Potem oddał trzy szybkie strzały z transmiotacza. Dwie kobiety i mężczyzna zostali wysłani do nibylandii.

Nagle cały tłum rzucił się naprzód, krzycząc i wrzeszcząc, przepychając się przez drzwi jako jedna zbita masa ciał. Alec strzelił jeszcze parę razy, ale potem nie był już w stanie. Z dziesięć osób rzuciło się na niego w dzikich susach, skacząc i wymachując rękami.

Alec poleciał do tyłu na Trinę i Deedee, które upadły na Marka. Cała ich grupka stoczyła się po schodach w plątaninie rąk i nóg. A zarażeni zaszarżowali w ślad za nimi.

Głowa Marka uderzyła o stopień, potem o ścianę i o posadzkę. Przez cały czas trafiały go kopniaki, biły go dłonie i dźgały łokcie. Świat zamienił się w wirujący, pełen bólu obłęd. Kiedy wszystko znieruchomiło, Trina i Alec przygniatali klatkę piersiową chłopaka, a Deedee leżała na jego nogach i wiała się, usiłując wstać. Alec niezgrabnie spróbował podnieść transmiotacz, żeby oddać strzał, nagle jednak został zaatakowany przez mężczyznę, który zeskoczył z czwartego stopnia schodów i rzucił się na niego, gwałtownie spychając go z Marka.

Trina sięgnęła po Deedee; złapała małą i objęła mocno, uciekając z szamotaniny, podczas gdy z góry zeskakiwało coraz więcej napastników. Wszyscy rzucili się na Marka – tuzin lub więcej ludzi, którzy tłukli go pięściami, kopali i najwyraźniej chcieli go rozerwać na strzępy. Mark nie miał pojęcia, co robić. Wszystkie plany diabli wzięli, pozostała mu już tylko czysta desperacja. Przekręcił ciało i spróbował się wyrwać z masy atakujących. Oburącz ścisnąwszy transmiotacz, machał nim w lewo i prawo, żeby odepchnąć ludzi od siebie.

Trina krzyknęła głośno, przeszywającym tonem:

– Stop! Wszyscy przestańcie i posłuchajcie mnie!

Jej słowa przecięły powietrze, a dolatujące zewsząd okrzyki, nawoływania i stękania wydawane przez splątaną masę ciał wypełniającą schody od góry do dołu ucichły. Wszelki ruch zamarł. Mark był zdumiony nagłą zmianą. Pośpiesznie wylazł spod paru przygniatających go ludzi, którzy gapili się na Trinę jak wmurowani. Plecami uderzył w ścianę naprzeciwko najniższego stopnia. Trina stała po jego lewej, nadal kurczowo obejmując Deedee. Po prawej Alec też już się uwolnił.

Wszystkie oczy wpatrywały się w Trinę, tak jakby dziewczyna posiadała magiczną, hipnotyzującą moc. Ciszę w piwnicy przerywały tylko oddechy osób znajdujących się w środku.

– Wszyscy musicie mnie posłuchać – powiedziała ciszej dziewczyna. W jej wzroku było coś dzikiego. – Teraz jestem jedną z was. Ci mężczyźni

przyszli tu, żeby nam pomóc. Ale musicie nas puścić, żeby mogli to zrobić.

To wywołało w tłumie falę pomruków i mamrotania. Mark patrzył z chorą fascynacją, jak szaleńcy wstają, szepcząc gorączkowo między sobą. Wyglądało na to, że są posłuszni. Byli zakrwawieni i potwornie brudni, ale zaczęli działać w zorganizowany sposób. Wkrótce ustawili się w dwóch rzędach po obu stronach schodów, zostawiając pośrodku wolne przejście. Mark widział, że stojący na górze komunikują się z pozostałymi ludźmi znajdującymi się w domu, przekazując wiadomość dalej. Czynie to wszystko ze swoistą czcią.

Trina odwróciła się do Marka.

– Idziemy na górę. Prowadź.

Nic w jej wzroku nadal nie wskazywało, że go rozpoznała, i ta świadomość ponownie ukłuła go w serce. Nie miał pojęcia, co się dzieje ani jak sprawiła, że to morze maniaków posłuchało jej rozkazu, ale nie zamierzał zmarnować okazji. Skoczył na równe nogi, trzymając transmiotacz w pogotowiu, ale w taki sposób, żeby broń nie rzucała się zanadto w oczy. Popatrzył na Aleca. Ten sprawiał wrażenie bardziej zaniepokojonego niż kiedykolwiek; spoglądał ponuro, z powątpiewaniem. Dał głową znak Markowi, żeby ten szedł pierwszy.

Mark podszedł do schodów, po czym odwrócił się do Triny i Deedee.

– W porządku, wchodzimy na górę. Chodźcie, wszystko będzie dobrze.
– Nigdy w życiu nie powiedział niczego z mniejszym przekonaniem.

Podeszły, gotowe ruszyć za nim. Trina trzymała Deedee przed sobą, zaciskając dłonie na ramionach dziewczynki. Alec stanął tuż za ich plecami.

– Idziemy – mruknął niechętnie. Wodził wzrokiem od jednego szeregu ludzi stojących wzdłuż schodów do drugiego, a jego spojrzenie mówiło wszystko – był przekonany, że to pułapka. Ścisnął transmiotacz w dłoniach trochę bardziej kurczowo niż Mark.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu – i uświadomiwszy sobie przy okazji, jak okropnie śmierdzą otaczający go ludzie – Mark ponownie odwrócił się twarzą do schodów: Wszedł na pierwszy stopień. Wszystkie oczy stojących powyżej były skupione na jego twarzy. Po prawej stronie stała kobieta z włosami zwisającymi w strąkach i posiniaczonymi policzkami, która patrzyła na niego z nieznacznym, porozumiewawczym uśmiechem. Po lewej znajdował się nastoletni chłopiec w obszarpanym ubraniu,

podrapany i ubrudzony od stóp do głów. On też sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał wybuchnąć śmiechem. Więcej ludzi czekało z podobnym wyrazem twarzy, a wszyscy wpatrywali się w Marka. Wszyscy milczeli, nieruchomi.

– Ruszysz się wreszcie? – wyszeptał Alec z tyłu.

Mark dał następny krok. Bał się ruszyć prędko w górę po schodach, tak jakby Trina wprowadziła zarażonych w trans i każdy zbyt pośpieszny ruch mógł sprawić, że czar pryśnie. Podniósł nogę i wszedł na kolejny stopień. Potem na kolejny. Obejrzał się szybko przez ramię i zobaczył, że Trina i Deedee są tuż za jego plecami, a Alec za nimi. Stary żołnierz posłał Markowi wściekłe spojrzenie, dając jasno do zrozumienia, że nie podoba mu się to, jak wolno się poruszają.

Mark zrobił kolejny krok, potem następny. Spojrzenia otaczających go ludzi sprawiały, że po jego skórze i wzdłuż kręgosłupa pełzały zimne ciarki. Uśmiechy szaleńców stawały się coraz szersze i coraz bardziej upiorne.

Przebyli dwie trzecie długości schodów, kiedy tuż za sobą usłyszał głos kobiety.

– Śliczna. Och, jaka śliczna.

Odwrócił się i zobaczył, że kobieta poklepuje Deedee po główce, niemal tak, jakby głaskała zwierzę w zoo. Na buzi dziewczynki malowała się zgroza.

– Takie urocze dziecko – ciągnęła kobieta. – Mogłabym cię po prostu zjeść. Jak piezzonego indyka. Taka słodka.

Mark odwrócił się od niej, pełen obrzydzenia. W jego piersi wzbierało takie uczucie, jakby coś usiłowało się wyrwać na zewnątrz. Zdążył zrobić pojedynczy krok, kiedy jeden z mężczyzn wyciągnął rękę i szturchnął go palcem w ramię.

– Taki porządny, silny chłopak – powiedział obcy. – Założę się, że mama jest z ciebie dumna, co?

Mark zignorował go, zrobił kolejny krok. Tym razem ludzie stojący po obu stronach schodów dotknęli dłońmi jego ręki – nie był to groźny gest, zaledwie muśnięcie. Jeszcze jeden krok. Jakaś kobieta oderwała się od ściany i zarzuciła mu ręce na szyję, uściskała go krótko i zajadłe. Potem puściła go i ponownie zajęła pozycję z boku. Jej rysy wykrzywiły się w nikczemnym uśmiechu.

W Marku wezbrało obrzydzenie. Nie był w stanie wytrzymać w tym domu przez choćby minutę dłużej. Porzucił ostrożność i sięgnął za siebie, złapał Deedee za rękę, po czym zaczął szybciej wchodzić po schodach. Słyszał za sobą głośne kroki Aleca, który zamykał pochód.

W pierwszej chwili wyglądało na to, że zaskoczyli zarażonych, którzy osłupieli w obliczu nagłego ruchu. Mark dotarł do szczytu schodów, przeszedł przez podest, mijając obłąkane twarze, które wpatrywały się w nich ze wszystkich stron – a potem znalazł się na korytarzu. Dom był pełen ludzi – tłoczyli się wszędzie, a niektórzy trzymali kawały drewna, kije baseballowe i noże. Ale środkiem korytarza biegło puste przejście, prowadzące do frontowych drzwi. Mark bez wahania puścił się sprintem w stronę wyjścia, ciągnąc Deedee za sobą.

Zdążyli przebyć połowę drogi, kiedy zapanował chaos. Zdawało się, że wszyscy szaleńcy obecni w domostwie wrzasnęli jednym głosem, po czym zakotłowali się i rzucili na Marka oraz jego przyjaciół. Dłoń Deedee wysliznęła się z ręki Marka, który zobaczył, jak dziewczynka znika w tłumie – jej cienki głosik zabrzmiał tak, jakby anioł krzyczał wśród demonów.

59

Mark skoczył za nią, ale stracił równowagę, pośliznął się i upadł. W jednej sekundzie zwalili się na niego szaleńcy, drapiąc go paznokciami i szarpiąc za ubranie. Przekręcił się i wymierzył dwa ciosy łokciami, poczuł, że oba trafiły w ciała wrogów, usłyszał wrzaski. Ręce wyciągały się, żeby chwycić jego broń – było ich zbyt wiele, żeby potrafił się obronić. Zaczął kopać nogami, przekręcił się na brzuch, żeby noc się odepchnąć. Coś twardego rąbnęło go w tył głowy i upadł, uderzając twarzą o płytki podłogowe. Potem coś cienkiego boleśnie szarpnęło go za szyję – z przerażeniem uświadomił sobie, że to pasek jego broni. Mark usiłował właśnie sięgnąć po niego, kiedy pasek przesunął się nad jego brodą przez głowę. Rozległy się pohukiwania, radosne okrzyki i wiwaty.

Zabrano mu transmiotacz.

Uwaga wszystkich obecnych skupiła się na skradzionej broni, dzięki czemu Mark zyskał kilka sekund, żeby się pozbierać i stanąć z powrotem na nogi. Mężczyzna który zabrał mu transmiotacz, trzymał go teraz oburącz wysoko w górze i obracał się powoli, tanecznym krokiem. Otaczający go ludzie podskakiwali, wyciągając ręce, żeby dotknąć błyszczącej powierzchni. Oddalali się powoli od Marka, a coraz więcej zarazonych, tłoczyło się wokół nich, żeby obejrzyć trofeum. Cała ta ciżba przemieszczała się w dół korytarza, w stronę pomieszczenia, które wyglądało na kuchnię.

Mark wiedział, że już nie odzyska transmiotacza. Rozpaczliwie rozejrzał się za przyjaciółmi. Troje lub czworo ludzi szarpało Deedee. Kopała i krzyczała, a oni usiłowali ją wnieść po schodach. Trina była tuż za nimi, za wszelką cenę próbowała się przepchnąć do dziewczynki. Alec walczył z co najmniej sześcioma napastnikami, którzy sprawiali wrażenie zdeterminowanych, żeby zdobyć kolejne błyszczące trofeum. Akurat w momencie, gdy Mark na niego spojrzał, przyjaciel rąbnął jednego z napastników kolbą transmiotacza w twarz, a w innego strzelił promieniem białego światła, zmieniając go w chmurkę oparów. Jednak

inni rzucili się z furią na starego żołnierza, który padł na podłogę, a ludzie skakali na niego.

Mark nie miał wyboru, musiał w pierwszej kolejności ruszyć za Triną i Deedee.

Pobiegł naprzód, przepychając się obok ludzi, którzy – jak się zdawało – nie wiedzieli do końca, co mają robić, i wskoczył na schody po zewnętrznej stronie poręczy. Miejsca było bardzo mało, ale chłopak wiedział, że to jego jedyna szansa. Przytrzymując się poręczy, zaczął się powoli wspinać.

Jakiś mężczyzna zamachnął się na niego pięścią. Nie trafił. Jakaś kobieta rzuciła się na niego całym ciałem, nie przejmując się, że może sobie zrobić krzywdę. Mark zdołał się schylić i napastniczka przeleciała nad nim, lądując z łomotem na podłodze poniżej. Inni starali się go zepchnąć, a ci, którzy stali niżej, próbowali go bić, łapali za nogi, usiłując go ściągnąć w kotłującą się masę ciał. Markowi jakimś cudem udało się udaremnić te zakusy. Jedną ręką przytrzymując się drewnianej poręczy, uchylał się, oganiał i kopał, uniemożliwiając próby zatrzymania go.

W końcu udało mu się wyprzedzić tych, którzy wspinali się na czele grupki – mężczyznę i kobietę, którzy nieśli na rękach Deedee. Mark oburącz złapał się poręczy i przeskoczył przez nią, lądując gładko na stopniu blisko szczytu schodów. Tamci nie zatrzymali się, nadal parli ku niemu. Mark nie wiedział, co innego może zrobić, więc zanurkował do przodu, chwycił Deedee w ramiona i objął ją mocno, pozwalając, żeby impet jego ciała wyszarpnął dziewczynkę z uchwytu prześladowców.

Stoczyli się w dół po schodach, roztrącając zarażonych na prawo i lewo, aż odbili się od najniższego stopnia i wylądowali na posadzce. Podniósł głowę z miejsca, gdzie leżał, nadal obejmując dziewczynkę, którą ochronił własnym ciałem, i zobaczył, że Trina gna ku niemu, przepychając się między ludźmi. Jej oczy płonęły, skupione wyłącznie na Deedee.

Jęcząc z bólu, który przeszywał jego ciało, Mark jakimś cudem zdołał się dźwignąć na nogi i wstał akurat w momencie, gdy Trina dotarła do nich. Złapała Deedee, objęła ją mocno obiema rękami. Dziewczynka szlochała. Jednak krótka chwila spokoju już dobiegła końca; ludzie nadbiegali ku nim ze wszystkich stron.

Mark rozejrzał się prędko i uświadomił sobie, że mają marne szanse. W całym domostwie królował chaos.

W jadalni Alec nadal walczył z tuzinem napastników, strzelając ze swojej broni, ilekroć miał taką możliwość. Niektórzy spośród tych, którzy go atakowali, dali za wygraną na widok Marka i postanowili zamiast tego zaatakować chłopaka. Duża grupa ludzi nadbiegła też z przeciwnej strony – z korytarza prowadzącego do kuchni – i gnali pędem, jakby uciekali przed czymś, a nie atakowali. Więcej зараżonych stało między Markiem a drzwiami, blokując drogę ucieczki. A wszyscy wyglądali, jakby byli gotowi zabijać lub zginąć.

Mark podniósł ręce, żeby bronić Triny i Deedee. Cofnął się, przyciskając je do ściany obok schodów. Pierwszą osobą, jaka do niego dopadła, był pokiereszowany staruszek, którego głowę zamiast włosów pokrywały zadrapania i skaleczenia. Wskoczył w powietrze, rzucając się prosto na Marka, gdy z kuchni dobiegło głucho „łup”. Ciało mężczyzny zmieniło się w szarą plamę, a potem rozpląnął się w chmurę mgły, która owionęła Marka.

Chłopaka zmroziło. Dźwięk nie dobiegł od strony Aleca – ktoś odkrył, jak działa drugi transmiotacz.

Zaledwie ta myśl zdążyła się uformować w jego głowie, pocisk białego światła przemknął tuż obok i trafił w pierś kobiety stojącej w grupce obok drzwi.

– Alec! – wrzasnął Mark. – Ktoś strzela z drugiego transmiotacza!

Strach, który zjeżył chłopakowi włosy na głowie, nie przypominał niczego, co Mark czuł kiedykolwiek wcześniej, nawet po wszystkich potwornościach, jakich doświadczyli od tamtego dnia, kiedy w transmetrze zapadły ciemności. Szalenciec miał w rękach broń, która była w stanie w ciągu sekundy zmienić człowieka w chmurkę oparów. Życie Marka mogło się zakończyć w każdej chwili, zanim w ogóle dotrze do niego, co się stało.

Musieli się stąd wydostać.

Mimo swych chorych umysłów, pozostali зараżeni znajdujący się w domu poznali, że dzieje się coś niezwykłego. Cały tłum ogarnęła panika – wszyscy co do jednego odwrócili się i rzucili do frontowych drzwi. Powietrze wypełniły wrzaski i histeryczne krzyki o pomoc. Korytarz stał się wzburzoną rzeką kotłujących się rąk, nóg i przerażonych twarzy, stłoczonych razem i przepychających się do wyjścia. Rozległo się więcej strzałów ze skradzionego transmiotacza; więcej ludzi zniknęło.

Mark poczuł, że jego zdrowie psychiczne rozpada się na strzępy. Okręcił się na pięcie i chwycił Deedee na ręce, potem złapał Trinę za ramię i odciągnął ją od ściany. Odepchnął ją dalej od tłumu i zmusił, żeby weszła do jadalni, gdzie nadal walczył Alec. Otaczała go masa ludzi – zbyt wielu, by zdołał ich wszystkich wystrzelać.

Mark popchnął Trinę w stronę wielkich przeszklonych wykuszy – były to ostatnie okna w tym domu, których jeszcze nie stłuczono. Podniósł lampę i cisnął nią w szybę, rozbijając ją na milion odłamków. Mocno obejmując Deedee prawą ręką, pobiegł naprzód, dopędzając Trinę i łapiąc ją za łokieć lewą ręką. Nie zwalniając, pognął sprintem prosto w stronę otworu; potem puścił Trinę i zanurkował, w ostatniej sekundzie obracając całe ciało tak, żeby przelecieć przez okno plecami do przodu. Mocno przycisnął dziewczynkę do siebie, próbując ją w miarę możliwości osłonić sobą, gdy rąbnął o udeptaną ziemię, która niegdyś była klombem. Upadek pozbawił go oddechu.

Z trudem łapiąc powietrze, Mark popatrzył w górę, w jasne niebo, i zobaczył, że z domostwa wychyla głowę Alec.

– Naprawdę postradałeś rozum – stwierdził starszy mężczyzna, ale nim jeszcze skończył wypowiadać to krótkie zdanie, już pomagał Trinie wyjść przez rozbite okno.

Sam zeskoczył po tym, jak Trina bezpiecznie wylądowała. Potem oboje pomogli Markowi wstać, a Trina wzięła Deedee z powrotem na ręce. Niektórzy z zarażonych dostrzegli ich ucieczkę i ruszyli w pogoń; inni wysypywali się z frontowych drzwi. Naokoło rozlegały się wrzaski i krzyki. Na zewnątrz ludzie już walczyli między sobą.

– Mam dość tej imprezy – warknął Alec.

Mark wreszcie zdołał złapać oddech i wszyscy czworo rzucili się do biegu przez pyliste podwórze, kierując się w stronę ulicy, która prowadziła z powrotem w stronę górolotu. Alec spróbował wziąć Deedee od Triny, ale ta się nie zgodziła i biegła dalej, chociaż po jej minie było widać, jak ciężko jej nieść małą. Dziewczynka, która w którymś momencie przestała krzyczeć, teraz milczała jak zakłęta. Na jej buzi nie było nawet widać łez.

Mark obejrzał się do tyłu. Na ganku przed domem stał mężczyzna i strzelał z transmota w przypadkowych kierunkach, skazując ludzi na mglistą śmierć. W końcu spostrzegł grupkę uciekinierów oddalających się

ulicą i wypalił kilkakrotnie w ich stronę. Żaden ze strzałów nie doleciał w ich pobliże – białe promienie trafiały w chodnik, wzbijając chmury pyłu. Typ dał za wygraną, powrócił do zabijania tych, których łatwiej mu było dosięgnąć.

Mark i jego przyjaciele biegli dalej. Kiedy minęli dom pełen małych dzieci, Mark pomyślał o Trinie, o Deedee i o przyszłości. Nie zatrzymał się.

60

W końcu ponownie ujrzeni górolot. Wznosił się w oddali, piękniejszy niż kiedykolwiek – Mark nigdy nie przypuszczał, że tak się ucieszy na widok jednego z tych poobijanych starych olbrzymów. Chociaż wszyscy z ich czwórki dyszelali tak, jakby każdy oddech mógł być ostatnim, nie zwolnili kroku, i wkrótce znaleźli się w cieniu rzucanym przez potężną bryłę powgniatanego metalu.

Mark nie wiedział, jakim cudem Trina zdołała tu dobiec, przez cały czas dźwigając w ramionach Deedee. Ale nie chciała pozwolić, żeby ktokolwiek jej pomógł.

– Nic ci... nie jest? – spytał między głębokimi wdechami.

Trina osunęła się na ziemię, wypuszczając dziewczynkę z rąk najdelikatniej jak mogła. Podniosła na niego wzrok, nadal nie dając żadnego znaku, że go rozpoznaje.

– Wszystko... w porządku. Dziękuję, że nas uratowaliście.

Mark ukląkł koło niej. Teraz, gdy obłęd ucieczki dobiegł końca, do jego serca z powrotem wpełzał ból.

– Trina, ty mnie naprawdę nie pamiętasz?

– Wydajesz się... znajomy. Ale za wiele rzeczy mi się kłębi w głowie. Musimy tylko zabrać dziewczynkę. Nie mam wątpliwości, że ona jest odporna. Musimy ją dostarczyć do ludzi, którzy coś znaczą. Zanim wszyscy staniemy się zbyt obłąkani, żeby cokolwiek zdziałać.

Mark poczuł, że skręca mu się żołądek, i odchylił się do tyłu, dalej od swojej najlepszej przyjaciółki. Ten budzący dreszcz sposób, w jaki wypowiedziała ostatnich kilka słów...

Wiedział, że coś jest z nią poważnie nie tak. I czy nie mógł powiedzieć o sobie tego samego? Ile czasu mu zostało, zanim wszystko przestanie mieć znaczenie? Dzień? Może dwa?

Kłapa wielkiego luku drgnęła i zaczęła się opuszczać z głuchym łomotem oraz piskiem zawiasów, co dało Markowi wymówkę, żeby nie odpowiadać. Patrzył, jak rampa opuszcza się na ziemię.

Alec przemówił głośno, żeby było go słychać mimo zgrzytających kół zębatach i hydrauliki.

– Wprowadźmy je na pokład i zorganizujmy dla wszystkich jakieś jedzenie. Potem musimy się zastanowić, co ze sobą począć. Niedługo możemy się upodobnić do tych świrów, przed którymi udało nam się zwać.

– Dziewczynka nie – powiedział Mark tak cicho, że nie był pewien, czy przyjaciel w ogóle go usłyszał.

– Co masz na myśli? – spytał Alec.

– Ta blizna na jej ramieniu. Deedee została trafiona strzałą całe miesiące temu. Pomyśl tylko. Trina ma rację. Mała jakimś cudem jest odporna na to świństwo. To musi coś znaczyć.

Słyszając te słowa, Trina się ożywiła, przytakiwała mu energicznie. Zbyt energicznie. Serce Marka znów zamarło na moment. Dziewczyna wyraźnie nie całkiem kontaktowała.

Alec wydał jeden ze swoich niesympatycznych pomruków.

– No cóż, o ile nie wykombinujesz, jak się z nią zamienić ciałami, nie kapuję, w jaki sposób miałyby ci to pomóc. Co?

– Ale może mogłoby pomóc innym. Jeśli tamci nie opracowali jeszcze leku...

Alec posłał mu powątpiewające spojrzenie.

– Po prostu wejdźmy na pokład, zanim te świry tu przybiegną.

I zastrzelą nas z mojego transmiotacza – pomyślał ponuro Mark. Był wdzięczny Alecowi, że ten nie robi mu wyrzutów z powodu utraty broni.

Alec skierował się w stronę rampy, która już prawie dotknęła ziemi, pozostawiając Markowi zajęcie się przyjaciółkami. Chłopak wyciągnął rękę w stronę Triny.

– Chodź. Na pokładzie będziemy bezpieczni. Jest tam jedzenie i jest gdzie odpocząć. Nie martw się. Możesz mi... zaufać. – Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło mu ból.

Deedee wstała, nadal z kamienną miną, i ujęła dłoń Marka, zanim Trina zdążyła to zrobić. Dziewczynka popatrzyła na niego, a chociaż jej rysy nawet nie drgnęły, coś w jej oczach sugerowało, że jeszcze trochę i będzie gotowa się uśmiechnąć. Trina dźwignęła się na nogi.

– Mam tylko nadzieję, że na tej maszynie nie mieszka zły – powiedziała rozkojarzonym tonem z nutą lęku. Potem zaczęła iść w kierunku rampy.

Mark westchnął i ruszył za nią, prowadząc Deedee.

Kolejne godziny upłynęły spokojnie, podczas gdy słońce szybko zniżyło się za horyzont i wokół górolotu zapadły ciemności. Alec przeleciał statkiem do tej samej dzielnicy, gdzie zaparkowali poprzednio – wyglądała na opuszczoną. Potem zjedli posiłek i pościelili koje dla Triny oraz Deedee, żeby mogły się trochę przespać. Trina dużo mamrotała do siebie, a w pewnym momencie Mark dostrzegł nawet, że na podbródek spływa jej strużka śliny. Kiedy wycierał przyjaciółce usta, w jego sercu ponownie wezbrał smutek.

On sam czuł, że nie ma szans, żeby zasnął.

Planował zagadać do Aleca, zdecydować wspólnie z nim, jaki powinien być ich następny ruch, ale kiedy odszukał towarzysza, stary niedźwiedź głośno chrapał w fotelu pilota. Siedział wyprostowany z głową opadającą na bok. Mark poczuł pokusę, żeby wrzucić mu w otwarte usta kęs jedzenia, i zachichotał na myśl o tym.

Zachichotał.

Naprawdę zaczyna mi odwalać – pomyślał. I jego samopoczucie zjechało w mroczną głębinę. Desperacko potrzebował czegoś, co odwróciłoby jego uwagę.

Nagle przypomniał sobie o workpadach, które widział w ładowni – tych, które zabezpieczył paskami na półce. Błysnęła mu nadzieja, że może jakieś informacje zapisane na tych urządzeniach podpowiedzą im, co powinni zrobić. Kto wie, może nawet istniał jakiś sposób, żeby pozbyć się wirusa. Może była jakaś szansa.

Dwa razy walnął się w kolano – i raz w głowę – biegnąc na oślep przez słabo oświetlone korytarze górolotu w stronę ładowni. W połowie drogi przypomniał sobie, że będzie potrzebował latarki, i zawrócił, żeby ją wyjąć ze swojego plecaka. Wreszcie stanął przed półką. Szybko ściągnął workpady na dół i usiadł, żeby przeczytać ich zawartość.

Były trzy urządzenia. Pierwszego nie udało się uruchomić. Drugi okazał się zabezpieczony hasłem, ale jego ekran migał, więc bateria przypuszczalnie i tak była na wyczerpaniu. Podeksycytowanie, które wcześniej ogarnęło Marka, w jednej chwili przygasło. Ale trzeci workpad ożył, a poświata rzucana jego przez ekran rozjaśniła całe pomieszczenie, tak że Mark wyłączył latarkę. Właściciel – najwyraźniej był to niejaki Randall Spilker – nie uważał za stosowne używać hasła, i natychmiast

wyświetlił się pulpit.

Mark spędził kolejne pół godziny, przeglądając bezużyteczne informacje. Pan Spilker uwielbiał gry i czaty. Chłopak miał już zrezygnować, sądząc, że facet wykorzystywał urządzenie tylko do zabawy. Jednak w końcu udało mu się odkryć trochę ukrytych plików zawierających dane związane z pracą.

Kolejne katalogi nie zawierały niczego użytecznego. Jednak Mark w końcu trafił w dziesiątkę, sprawdzivszy miejsce, którego większość ludzi nie miałaby w ogóle cierpliwości odszukać. Był to katalog o równie enigmatycznej nazwie jak pozostałe, praktycznie nie do wypatrzenia wśród stu innych – pustych.

Nosił nazwę ROZKAZ ZAGŁADY.

61

Katalog zawierał tyle dokumentów, że Mark nie wiedział, od czego zacząć. Wszystkie pliki były ponumerowane i wyglądało na to, że zostały zapisane w losowej kolejności. Mark wiedział, że nie starczy mu czasu, aby przeczytać je wszystkie, więc postanowił, że po prostu zacznie je otwierać i przekona się, co znajdzie.

Jak się okazało, plik za plikiem zawierały zapisaną korespondencję, notatki służbowe i oficjalne ogłoszenia. Najliczniej występowały mailowe wymiany zdań – skopiowane do kilku plików – między panem Spilkerem i jego przyjaciółmi, zwłaszcza niejaką Ladeną Lichliter. Oboje pracowali dla Kryzysowej Koalicji Ocalałych – organizacji, o której ludzie w osadach słyszeli, ale nie wiedzieli prawie nic. Z tego co Mark był w stanie zrozumieć, ta grupa zebrała razem tylu członków agencji rządowych z całego świata, ile się dało. Wszyscy zgromadzili się na Alasce – jeśli wierzyć pogłoskom, tamten obszar nie ucierpiał zanadto z powodu rozbłysków słonecznych – i teraz starali się przywrócić świat do jakiejś takiej normalności.

Wszystkie te wysiłki wydawały się nadzwyczaj szlachetne – i frustrujące dla osób zaangażowanych w nie – dopóki Mark nie natrafił na wymianę zdań między panem Spilkerem a Ladeną Lichliter, która najwyraźniej była jego najbardziej zaufaną znajomą. Treść tego maila sprawiła, że poczuł lodowaty dreszcz. Wszystkie wcześniejsze tylko pobieżnie przeglądał, ale ten przeczytał dwa razy.

DO: Randall Spilker
OD: Ladena Lichliter
TEMAT:

Wciąż jeszcze jestem w szoku po dzisiejszym zebraniu. Po prostu nie mogę uwierzyć. Nie jestem w stanie zaakceptować tego, że KKP przedstawił tę propozycję, patrząc lam w oczy. Serio. Byłam oszołomiona.

A potem więcej niż połowa sali ZGODZIŁA SIĘ Z NIMI! Poparli to! Co tu się do cholery dzieje? Randall, powiedz mi, co się do CHOLERY dzieje? Jak możemy w ogóle MYŚLEĆ o zrobieniu czegoś takiego? Jak?

Całe popołudnie przesiedziałam, łamiąc sobie nad tym głowę.

Nie potrafię tego przyjąć. Nie potrafię.

Jak do tego doszło?

Przyjdź dzisiaj do mnie. Proszę.

– LL

Co u licha? – głowił się Mark. KKP... Mężczyzna imieniem Anton wymienił ich jako współodpowiedzialnych za atak wirusem. A może to była KKO – Kryzysowa Koalicja Ocalałych? Może ta pierwsza organizacja była częścią drugiej. I mieli kwaterę główną gdzieś na Alasce. Szukał dalej.

Kilka minut później znalazł serię maili przekopiowanych do jednego pliku. Ich treść sprawiła, że serce omal mu nie stanęło. Lodowate dreszcze, które czuł wcześniej, przemieniły się w zimny pot.

Kryzysowa Koalicja Ocalałych – notatka służbowa

Data 217.11.28,

Godzina 21:46

DO: Wszyscy członkowie zarządu

OD: John Michael, Kanclerz

RE: Problem liczebności populacji

Raport, który nam dzisiaj przedstawiono i którego kopie zostały przesłane do wszystkich członków koalicji, nie pozostawia żadnych wątpliwości w kwestii problemów, w obliczu których wkrótce stanie nasz okaleczony świat. Jestem pewien, że – podobnie jak ja – wszyscy powróciliście do schronów w zaszokowanym milczeniu. Liczę, że brutalna rzeczywistość opisana w raporcie jest już dla was wystarczająco oczywista, byśmy mogli porozmawiać o rozwiązaniach.

Problem jest prosty: na świecie jest zbyt wielu ludzi i zbyt mało zasobów.

Kolejne zebranie zaplanowaliśmy za tydzień, licząc od jutra. Chcę, żeby każdy z członków był gotów przedstawić na nim

możliwe rozwiązanie, bez względu na to, jak niezwykle mogłoby się wydawać. Zapewne znacie sformułowanie „myśleć nieszablonowo”. Sądzę, że nadeszła pora właśnie na to.

Z niecierpliwością czekam na Wasze pomysły.

DO: John Michael
OD: Katie McVoy
TEMAT: Potencjalne rozwiązanie

John,

poczyńska kroki, żeby zorientować się w kwestii, o której rozmawialiśmy wczoraj przy kolacji. Wojskowy Instytut Medyczny Chorób Zakaźnych z trudem przetrwał katastrofę, ale są pewni, że systemy zabezpieczające podziemnych bunkrów, w których przechowywane są najbardziej niebezpieczne wirusy, bakterie i inna broń biologiczna, pozostał nienaruszony.

Wymagało to z mojej strony pewnego nacisku, ale uzyskałam informacje, których potrzebujemy. Przejrzałam wszystko i mogę przedstawić rekomendację. Wszystkie potencjalne rozwiązania są o wiele zbyt nieprzewidywalne, żeby nadawały się do wykorzystania. Z wyjątkiem jednego.

To wirus. Atakuje mózg i niszczy go w bezbolesny sposób. Działa szybko i definitywnie.

Wirus został tak zaprojektowany, żeby jego zdolność do infekowania kolejnych gospodarzy malała w miarę rozprzestrzeniania się. Będzie idealny do naszych potrzeb, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak poważnie ograniczone są teraz możliwości podróży. To może zadziałać, John.

I, chociaż wydaje się to straszne, sądzą, że może zadziałać skutecznie.

Prześlę Ci wszystkie szczegóły. Daj znać, co o tym sądzisz.

– Katie

DO: Katie McVoy
OD: John Michael

TEMAT: RE: Potencjalne rozwiązanie

Katie,

potrzebuję Twojej pomocy.

Trzeba przygotować pełną wersję prezentacji opisującej projekt uwolnienia wirusa.

Musimy się skupić na tym, że kontrolowana likwidacja części populacji to jedyny sposób, żeby uratować pozostałych. Chociaż umożliwi to przeżycie tylko pewnej liczbie wybranych, jeśli nie podejmiemy drastycznych działań, czeka nas stopniowe wymarcie rodzaju ludzkiego.

Oboje wiemy, jak hipotetyczne jest to rozwiązanie.

Jednak przeprowadzaliśmy symulacje tysiąc razy i po prostu nie widzę żadnej alternatywy. Jeżeli tego nie zrobimy, na świecie wyczerpią się zasoby.

Jestem przekonany, że to najbardziej etyczna decyzja –ryzyko wymarcia ludzkości uzasadnia eliminację ograniczonej liczby jednostek.

Podjąłem już decyzję. Teraz to kwestia przekonania pozostałych członków zarządu.

Spotkajmy się w mojej kwaterze o 17:00. Wszystko musi być sformułowane w idealnie dobranych słowach, tak więc przygotuj się na całonocną pracę.

Do zobaczenia,

John

Kryzysowa Koalicja Ocalałych – notatka służbowa

Data 219.2.12, Godzina 19:32

DO: Wszyscy członkowie zarządu

OD: John Michael, Kanclerz

TEMAT: Projekt RW

Proszę wszystkich o zgłaszanie uwag na temat poniższego projektu. Ostateczna wersja rozporządzenia zostanie wydana jutro.

Rozporządzenie Wykonawcze nr 13 Kryzysowej Koalicji Ocalałych, wydane w związku z zaleceniem Komitetu Kontroli Populacji, o najwyższym priorytecie, ŚCIŚLE TAJNE pod karą śmierci.

My, Koalicja, niniejszym udzielamy KKP upoważnienia, aby natychmiast wdrożyć w życie ich Inicjatywę KP nr 1, przedstawioną w szczegółach w załączonym dokumencie.

My, Koalicja, bierzemy pełną odpowiedzialność za tę akcję i będziemy monitorować jej przebieg oraz zapewnimy maksimum wsparcia, na jakie pozwalają nasze zasoby. Wirus zostanie uwolniony w lokalizacjach zarekomendowanych przez KKP i zatwierdzonych przez Koalicję. Będą tam stacjonować siły zbrojne, aby zagwarantować, że cały proces będzie przebiegać zgodnie z planem.

RW nr 13 i IKP nr 1 zostały niniejszym ratyfikowane. Należy niezwłocznie przystąpić do ich realizacji.

Mark musiał na minutę wyłączyć urządzenie. Szumiało mu w uszach, a twarz płonęła od gorąca. Jego głowa pulsowała od bólu.

Wszystko, czego świadkiem był przez ostatni tydzień, zostało usankcjonowane przez działający rząd świata spustoszonego przez rozbłyski słoneczne. Nie uczynili tego terroryści ani szaleńcy. Cała akcja została zatwierdzona i przeprowadzona w celu kontroli populacji. Chodziło o to, żeby wyludnić całe obszary, pozostawiając więcej zasobów dla tych, którzy przeżyją.

Całe ciało Marka dygotało z gniewu, zintensyfikowanego przez szaleństwo, które w nim narastało. Siedział w całkowitej ciemności, gapiąc się w czarną pustkę, ale przed oczami pływały mu plamy. Plamy, które formowały się w kształty. Smugi ognia, które kazały mu myśleć o rozbłyskach słonecznych. Twarze wrzeszczących ludzi, wzywających pomocy. Strzałki z wirusem świszczące w powietrzu, trafiające w karki, ręce i ramiona. Tańczące przed nim obrazy przyprawiły go o niepokój – zastanawiał się, czy ta rewelacja okaże się kroplą, która przepełni czarę szaleństwa.

Dygotał, a jego skóra pokryła się potem. Zaczął płakać; potem wrzasnął najgłośniej jak potrafił. Zwaliła się na niego lawina takiego gniewu, jakiego

nie czuł nigdy wcześniej. Usłyszał głośny trzask, który dobiegł z jego kolan.

Mark popatrzył w dół, ale nic nie zobaczył. Spróbował włączyć workpad, jednak bez efektu. Macał wokół siebie, aż znalazł latarkę, po czym włączył ją. Ekran workpada został zniszczony – cały górny panel urządzenia był wygięty pod dziwnym kątem. W przypiływie wściekłości Mark rozwalił to badziewie. Nigdy nie przypuszczał, że starczy mu na to siły.

Mimo furii, która tętniła pod jego czaszką, jakimś cudem zdołał sformułować sensowną myśl. Wiedział, co muszą teraz zrobić, i że to ich ostatnia, jedyna szansa. Jeżeli załoga bunkra zmierzała do Asheville, żeby się skonfrontować ze zwierzchnictwem – kimkolwiek byli ci ludzie – to Mark i jego przyjaciele też udadzą się właśnie tam. Przedostanie się do ufortyfikowanego miasta było jedynym sposobem, jaki chłopak potrafił wymyślić, żeby znaleźć tych, którzy wydali rozkaz zagłady. Mógł tylko mieć nadzieję, że tamci znają jakiś sposób na chorobę. Bardzo chciał otrzymać pomoc.

Asheville. Tam musieli się udać. Tak jak powiedział tamten zbir Bruce, wygłaszając swoje przemówienie w auli. Tyle że Mark chciał ich wyprzedzić.

Dźwignął się na nogi, czując lekki zawrót głowy z powodu obrazów, które chwilę wcześniej wirowały mu przed oczami. Wściekłość pulsowała w nim tak, jakby to ona wylewała się z jego serca do tętnic zamiast krwi, ale gdy już wstał, poczuł, że zaczyna się uspokajać. Ponownie skierował światło latarki na pęknięty workpad, po czym cisnął urządzenie w przeciwległy kąt pokoju. Z łoskotem wylądowało na posadzce. Miał nadzieję, że pewnego dnia będzie miał szansę powiedzieć temu całemu KKP, co o nich sądzi.

Czaszkę przeszył mu ból i zalała go nagła fala wyczerpania, ciężka, przytłaczająca, tak jakby ktoś zarzucił mu na ramiona dwutonowy koc. Mark osunął się na kolana, potem legł na boku, kładąc głowę na zimnej posadzce. Było tyle do zrobienia. Nie miał czasu na sen. Ale był tak strasznie, strasznie zmęczony...

Tym razem przyśniło mu się coś przyjemnego.

62

Trzask gromu sprawia, że Trina wzdryga się gwałtownie w ramionach Marka.

Znajdują się w jaskini, a na zewnątrz szumi ulewa – coś, czego nie widzieli od co najmniej trzech miesięcy, od czasu katastrofy. Po skórze Marka przebiegają dreszcze. Zimno, które odczuwa, jest miłą odmianą po tygodniach i miesiącach piekielnego upału. Mieli szczęście, że znaleźli tę głęboką jamę w zboczu góry, i chłopak uświadamia sobie, że wcale by mu nie przeszkadzało, gdyby spędzili resztę swojego życia w tym mrocznym, chłodnym miejscu. Alec i pozostali leżą dalej od wejścia. Wszyscy śpią

Mark mocniej obejmuje ramiona Triny, opiera czoło o jej głowę. Wdycha jej zapach, słony i słodki zarazem. Po raz pierwszy, odkąd porzucili jacht na wybrzeżu New Jersey, czuje spokój. Niemal zadowolenie.

– Uwielbiam ten dźwięk – szepcze Trina, tak jakby mówienie zbyt głośno mogło sprawić, że bębnienie kropel na zewnątrz zamilknie. – Sprawia, że mam ochotę zasnąć. Wtulić głowę w twoją pachę i chrapać przez trzy dni.

– W moją pachę? – powtarza Mark. – Dobrze, żeśmy się wszyscy wykąpali podczas burzy dziś rano. Moje pachy pachną jak róże. Miłego leżenia.

Trina kręci się i wierci przez chwilę, po czym układa się z powrotem.

– Serio nie mogę uwierzyć, że jeszcze żyjemy, Mark. Po prostu nie mogę uwierzyć. Ale kto wie, może za sześć miesięcy będziemy martwi. Albo już jutro.

– To się nazywa pozytywne nastawienie – odpowiada chłopak z kamienną miną. – Daj spokój. Nie mów takich rzeczy. Już nie może być gorzej niż było, nie? Zostaniemy tu przez jakiś czas, a potem wyruszymy poszukać osad w górach na południu.

– Plotki – mówi cicho Trina. – Co?

– Plotki na temat osad. Mark wzdycha. – Będą tam. Zobaczysz.

Opiera głowę o ścianę jaskini i myśli o tym, co powiedziała dziewczyna.

Mają szczęście, że żyją. Nikt nigdy nie powiedział prawdziwszych słów.

Przetrwali tygodnie podwyższonego promieniowania słonecznego, ukrywając się we wnętrzu Lincoln Building. Przeżyli bezlitosny upał i suszę. Wędrówkę przez niezliczone kilometry pustkowi oraz opuszczonych ulic, gdzie grasowali kryminaliści. Pogodzili się ze świadomością, że ich rodziny nie żyją. Podróżowali nocami, ukrywali się za dnia, zdobywali żywność tam, gdzie się dało, czasem obywając się całymi dniami bez jedzenia. Mark dobrze wie, że gdyby nie Alec i Lana, dwójka dobrze wyszkolonych wojskowych, nigdy nie dotarliby tak daleko. Nigdy.

Ale udało się. Wciąż jeszcze żyją i nieźle się mają. Chłopak uśmiecha się, niemal rzucając wyzwanie tej nadprzyrodzonej sile, która postawiła na ich drodze takie przeszkody. Zaczyna myśleć, że może za kilka lat wszystko wróci do normalności.

Gdzieś w oddali błyska się; kilka sekund później słychać grzmot. Wydaje się głośniejszy, rozbrzmiewa bliżej niż wcześniej. Ulewa przybiera na sile, siekąc ziemię przed wejściem do jaskini. Mark po raz tysięczny myśli o tym, jakie mieli szczęście, że udało im się natrafić na to ukryte schronienie.

Trina przekręca się, żeby popatrzeć do góry, na niego.

– Alec mówił, że jak już zaczną się burze, mogą być naprawdę paskudne. Że pogoda na całym świecie będzie teraz kompletnie pochrzaniona.

– Taa. To nic strasznego. Wierz mi, sto razy wolę deszcz, wiatr i pioruny od tego, co było do tej pory. Po prostu zostaniemy w tej jaskini. Co ty na to?

– Nie możemy tu zostać na zawsze.

– No dobra. Tydzień. Miesiąc. Po prostu przestań *myśleć*. Kurczę, no.

Trina wyciąga się w górę i całuje go w policzek.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? Stres i depresja zabiłyby mnie jeszcze szybciej niż siły przyrody.

– Pewnie tak. – Mark uśmiecha się, mając nadzieję, że przyjaciółka po prostu będzie się przez chwilę cieszyć spokojem.

Ułożywszy się z powrotem w wygodnej pozycji, Trina przytuliła się do niego trochę mocniej.

– Serio, wiesz? Naprawdę się cieszę, że cię mam. Ogromnie dużo dla mnie znaczysz.

– I nawzajem – odpowiada Mark. A potem milknie, bojąc się pozwolić,

żeby jego usta powiedziały coś głupiego, co zniszczy nastrój tej chwili. Zamyka oczy.

Błyska się, a zaraz potem słycać trzask grzmotu. Burza ewidentnie się przybliża.

Mark zbudził się i jeszcze przez parę sekund pamiętał tamto uczucie, kiedy patrzył na Trinę, wszystko zaczynało wyglądać trochę lepiej i w jej oczach było widać nadzieję. Najlżejszy ślad nadziei. Nawet jeśli tamtego dnia nie chciała się do tego przyznać. Po raz pierwszy od miesiący Mark żałował, że nie może z powrotem zatonać w swoich snach. Tęsknota w sercu niemal sprawiała mu ból. Potem jednak ciemność wypełniająca ładownię pomogła mu wrócić do rzeczywistości. *Tak, burze były paskudne* – pomyślał. Naprawdę paskudne. Ale je też przetrwali i w końcu udało im się dotrzeć do osad.

Gdzie być może żyliby spokojnie po dziś dzień, gdyby nie organizacja o nazwie KKP.

Z jękiem przetarł oczy, ziewnął rozdzierająco, po czym wstał. I wtedy przypomniał sobie w całej rozciągłości decyzje, które podjął, zanim pokonało go zmęczenie.

Asheville.

Schylił się, podniósł latarkę i włączył ją. Potem odwrócił się, żeby ruszyć do drzwi, i z zaskoczeniem zobaczył, że w progu stoi Alec, blokując przejście. Wydawało się, że dotyka głową framugi, tak jakby urósł o kilkanaście centymetrów. Ponieważ słabe światło miał za plecami, jego twarz niknęła w cieniu, ale w jego całej postaci było coś złowróbnego. Normalnie nie stałby tam nie wiadomo jak długo, nie odzywając się ani słowem. Nadal milczał.

– Alec? – odezwał się Mark. – Hej, wielkoludzie, wszystko gra?

Mężczyzna chwiejnie dał krok do przodu, prawie stracił równowagę. Nie przewrócił się jednak, ponownie wyprostował się na całą wysokość. Mark do tej pory nie chciał świecić przyjacielowi prosto w twarz, ale uznał, że nie ma wyboru. Podniósł latarkę i skierował ją na Aleca. Stary żołnierz był spocony, miał wypieki, a jego wytrzeszczone oczy zerkały to tu, to tam, jakby spodziewał się, że z mroku może w każdej chwili wypaść potwór.

– Hej, co z tobą? – spytał Mark.

Alec dał kolejny chwiejny krok naprzód.

– Jestem chory, Mark. Jestem chory jak diabli. Potrzebuję umrzeć. Potrzebuję umrzeć i nie chcę umierać bez sensu.

63

Mark nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek do tego stopnia brakowało mu słów.

Alec osunął się na ziemię, klęknął na jedno kolano.

– Mówię serio, chłopcze. Dziwnie mi już od jakiegoś czasu, umysł płata mi figle. Widzę różne rzeczy, czuję różne rzeczy. W tej chwili ciut mi lepiej, ale nie chcę się zrobić taki jak ci ludzie. Chcę umrzeć. I wolałbym nie czekać z tym do rana.

– Co... Dlaczego... – Mark zająknął się, szukając właściwych słów. Stało się nieuniknione, ale i tak szokowało go to do głębi. – Co chciałbyś, żebym zrobił?

Tamten posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Myślałem, że to...

Dopadł go spazm. Ciało Aleca zwinęło się w nienaturalny sposób – głowę odrzucił do tyłu, a twarz wykrzywiła mu się z bólu. Z gardła wydarł się zduszony, zdławiony krzyk.

– Alec! – krzyknął Mark, podbiegając. Musiał się uchylić, gdy mężczyzna nieoczekiwanie zamachnął się pięścią. Alec upadł na podłogę. – Co z tobą?

Ciało starszego mężczyzny zwiotczało i dźwignął się na czworaki, oddychając ochryple, z trudem.

– Ja... Ja po prostu... Nie wiem. Dziwne rzeczy się dzieją z moją makówką.

Mark przeczesał palcami włosy, rozglądając się gorączkowo, tak jakby spodziewał się, że w mrocznym kącie ładowni nagle zmaterializuje się magiczna odpowiedź na ich problemy. Gdy odwrócił się z powrotem do przyjaciela, ten już wstał, unosząc ręce, jakby kapitulował.

– Posłuchaj mnie – powiedział Alec. – Mam parę pomysłów. Oczywiście wszystko wygląda kiepsko. Ale... – Wyciągnął palec w kierunku kwater załogi, gdzie spały Trina i Deedee. – Mamy tam bezcenną małą dziewczynkę, którą możemy uratować. Nawet jeśli nie jesteśmy w stanie zrobić niczego innego. Musimy ją dostarczyć do Asheville, odstawić tam.

Potem...

Wzruszył ramionami – bezradny gest, który mówił wszystko. Dla nich nie było ratunku.

– Kuracja, lek... – powiedział Mark, słysząc bojowy ton we własnym głosie. – Ten cały Bruce sądził, że może coś mają. Musimy tam polecieć również ze względu na to, i...

– Och, banialuki – warknął Alec, przerywając mu w pół słowa. – Po prostu posłuchaj mnie, póki jeszcze nie zacząłem bredzić. Jestem tu jedyną osobą, która potrafi pilotować to bydlę. Chcę, żebyś przyszedł do kokpitu i patrzył, co robię, nauczył się tyle, ile ta twoja głowa będzie w stanie przyswoić. Na wszelki wypadek. Masz rację: zabierzemy tę dziewczynkę do Asheville, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Marka ogarnęło dławiące, mroczne uczucie. Wkrótce będzie obłąkany lub martwy. Ale zamysł Aleca brzmiał mniej więcej tak samo jak jego własny, i jedyne, co chłopakowi przychodziło do głowy, to działać.

– Więc chodźmy – powiedział, walcząc z nagłym przypiływem palących łez. – Nie marnujmy już ani sekundy.

Alec wzdrygnął się i jego rękami szarpnęło w niekontrolowany sposób, potem jednak zacisnął pięści i opuścił je z powrotem z napiętym wyrazem twarzy, tak jakby powstrzymał kolejny atak samą siłą woli. Jego spojrzenie z powrotem stało się przytomne i na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na Marku. Zdawało się, że cały miniony rok – wspomnienia, zgroza, nawet momenty śmiechu – przewinał się błyskawicznie przed oczami ich obu, i Mark zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z nich będzie jeszcze myślał równie klarownie jak teraz. Za kulisami czaiło się szaleństwo.

Stary żołnierz szybko skinął głową i obaj skierowali się do drzwi.

* * *

Dotarli do kokpitu, nigdzie nie widząc ani śladu Triny czy Deedee. Mark miał nadzieję, że dziewczyny już się zbudziły – że może jakimś cudem Trina będzie w lepszym stanie, uśmiechnięta, kojarząca fakty. To była niemądra myśl.

Podczas gdy Alec zajął się urządzeniami pokładowymi, Mark wyglądał przez okno. Na wschodnim niebie dostrzegł pierwsze oznaki świtu – ponad domami i drzewami w oddali ciemność przechodziła w jasny fiolet.

Większość gwiazd już zgasła; słońce wszędzie w ciągu godziny, niczym główny aktor wchodzący na scenę. Chłopakowi ciążyło przecucie, że nim ten dzień dobiegnie końca, wszystko nieodwracalnie się zmieni.

– Trochę mi lepiej – powiedział Alec, wstając, żeby ogarnąć wzrokiem instrumenty oraz ekrany na pulpicie sterowniczym. – Słuchaj no, idź zobacz, co u dziewczyn. Za moment startujemy. Pokrążymy trochę nad miastem i zobaczymy, co zobaczymy.

Mark kiwnął głową i poklepał go po plecach – idiotyczny gest, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Włączył latarkę i opuścił kokpit, wchodząc do korytarzyka, który prowadził do kwater załogi, gdzie zostawił Trinę odpoczywającą na koi razem z Deedee.

Był prawie przy drzwiach pomieszczenia, kiedy usłyszał nad sobą dziwne skrobanie, tak jakby szczury biegły po panelach sufitu. Potem wyraźnie usłyszał męski chichot zaledwie metr nad swoją głową. Mark poczuł dreszcz zgrozy. Podbiegł kawałek w dół korytarza i obrócił się gwałtownie, przyciskając plecy do ściany. Popatrzył w górę, na sufit, oświetlając panele latarką, ale nie zobaczył niczego niezwykłego.

Wstrzymał oddech, nasłuchując.

Coś było tam na górze. Poruszało się tam i z powrotem, niemal rytmicznie.

– Hej! – krzyknął Mark. – Kto... – Urwał w połowie pytania, gdy zdał sobie sprawę, że nie sprawdził jeszcze, co z Triną. Jeśli ktoś, lub cos, zakradło się na pokład górolotu...

Podbiegł do drzwi kajuty i otworzył je na oścież, by gorączkowo oświetlić latarką koję, gdzie ostatnio widział śpiącą Trinę. Na ułamek sekundy serce w nim zamarło – poślanie było puste. Leżały tam tylko zmięte prześcieradła i koc. Potem kątem oka zobaczył Trinę, która siedziała na podłodze, a tuż obok niej Deedee. Trzymały się za ręce, a na twarzach ich obu malowała się najczystsza zgroza.

– Co? – spytał Mark. – Co się stało?

Deedee drżąc wskazała paluszkami sufit.

– Tam się chowa zły. – Zamilkła, trzęsąc się jak listek. Serce Marka krajało się, gdy na to patrzył. – I przyprowadził kolegów.

64

Tuż po tym, jak wymówiła ostatnie słowo, silniki górolotu ożyły i statek wystartował. Podłoga przechyliła się, Mark stracił równowagę i opadł na kolę, po czym stanął na nogi.

– Wy tu zostańcie – polecił. – Zaraz wrócę.

Tym razem nie zamierzał się wahać.

Wybiegł z kajuty na korytarz, rozświetlając latarką mrok, i pobiegł prosto do kokpitu. Wydało mu się, że znowu słyszy chichot dobiegający od strony sufitu w tym samym miejscu co wcześniej, i w jego głowie pojawiły się okropne myśli: wizja krwiożerczych mężczyzn i kobiet, zarażonych i obłąkanych, którzy wyskoczą zza paneli, gdy tylko on zniknie z pola widzenia, i zaatakują dziewczyny, które zostawił. Ale nie miał wyboru. Uwinie się szybko. Poza tym jeśli faktycznie *byli* tam intruzi, to zwlekali aż do tej pory, nic nie robiąc. Istniała szansa, że miał trochę czasu.

Wpadł do kokpitu, gdzie Alec siedział za sterami. Był spocony, na policzkach miał rumieńce i koncentrował się mocno na swoim zadaniu.

– Gdzie transmotaż? – krzyknął chłopak.

Alec odwrócił się gwałtownie, na jego twarzy odmalował się strach. Ale Mark nie tracił czasu na wyjaśnienia – broń stała oparta o ścianę zaraz za fotelem pilota. Chłopak podbiegł, złapał ją i przerzucił sobie pasek przez ramię, po czym upewnił się, że jest naładowana, i ruszył z powrotem w stronę kwater załogi. W stronę Triny i Deedee.

– Włącz tu jakieś światło! – krzyknął przez ramię do Aleca, wysuwając się z kokpitu. W którymś momencie upuścił swoją latarkę, a wszędzie było ciemno jak w grobie. Oszczędzanie energii i paliwa nie miało już znaczenia. Zdążył przejść korytarzem zaledwie kilka kroków, gdy zapaliły się słabe żarówki, oświetlając mu drogę, choć pod ścianami nadal czały się cienie.

Pot kapał Markowi do oczu, gdy chłopak gnał korytarzem. Miał wrażenie, że temperatura wewnątrz górolotu wzrosła do pięciuset stopni Celsjusza. Duchota w połączeniu z jego roztrzęzionymi nerwami – tą

brzytwą szaleństwa, która podcinała jego psychikę – sprawiała, że niemal odchodził od zmysłów. Musiał tylko wytrzymać jeszcze trochę. Wkładając w to całą siłę woli, koncentrował się jedynie na następnych sekundach swojego życia.

Przebiegł pod miejscem, gdzie poprzednio słyszał chichot. Tym razem z góry dobiegł wiedźmowaty śmiech. Był niski i ochrypły, tak złowrogi, jak to tylko możliwe. Ale panel tkwił na swoim miejscu. Mark wpadł do kajuty i z ulgą zobaczył, że Trina i Deedee nadal siedzą skulone na podłodze.

Zmierzał właśnie w ich stronę, kiedy trzy prostokąty sufitu nagle się zawaliły, rozpadając się z trzaskiem masy gipsowej i metalu. Wśród odłamków wylądowało kilka postaci, spadając prosto na obie dziewczyny. Deedee wrzasnęła.

Mark podniósł broń i rzucił się naprzód. Bał się strzelać, ale był gotów walczyć.

Troje ludzi właśnie wstawało niezgrabnie, odpychając Deedee i Trinę, jakby były zawadzającymi przedmiotami. Mężczyzna i dwie kobiety. Śmiali się histerycznie, skakali z nogi na nogę i wymachiwali rękami jak dzikie małpy. Mark dopadł do mężczyzny i wymierzył mu cios kolbą transmiotacza, trafiając w bok głowy. Szalencie krzyknął i padł na podłogę. Mark z rozpędu okręcił się i kopnął jedną z kobiet, odpychając ją od przyjaciółek. Wrzasnęła i osunęła się na najbliższą koję, a on wyceLOWał transmiotacz i nacisnął spust. Smuga białego żaru trafiła w obłąkaną, której ciało poszarzało i rozwiało się w powietrzu.

Zaraz potem druga kobieta rzuciła się na Marka z boku. Oboje wylądowali na podłodze i – chyba po raz setny w ciągu ostatniego tygodnia – całe powietrze opuściło jego płuca. Przekręcił się na plecy, pociągając napastniczkę na siebie, podczas gdy ona usiłowała wyszarpnąć transmiotacz z jego rąk.

Zobaczył, że Trina i Deedee stoją przyciśnięte plecami do ściany, bezradnie obserwując szamotaninę. Mark wiedział, że dawna Trina włączyłaby się do walki, próbowałaby jakoś pomóc. Zaatakowałaby tę kobietę i pewnie złałaby ją na kwaśne jabłko. Ale ta nowa Trina, chora Trina, po prostu stała pod ścianą jak przestraszona mała dziewczynka. Kurczowo przyciskając do siebie Deedee.

Mark stęknął, dalej szamocząc się z obłąkaną. Usłyszał jęk, odwrócił głowę i zobaczył, że mężczyzna, którego wcześniej znokautował, pełźnie

w jego stronę na rękach i kolanach. Wlepił w Marka spojrzenie pełne nienawiści i szaleństwa. Obnażył zęby i zawarczał.

Potem zaszarżował na czworakach, jakby zmienił się we wściekłe zwierzę. Odepchnął się od ziemi i skoczył na Marka oraz szarpiącą się z nim kobietę niczym lew atakujący zdobycz. Zderzył się z kobietą i nagle oboje splekli się w uścisku. Spadli z Marka i potoczyli się po podłodze, zupełnie jakby grali w jakąś grę. Mark nadal z trudem łapał powietrze, ale przekręcił się na bok, potem na brzuch. Zgiął kolana. Oparł się na łokciach. Dźwignął się. Złapał się koi i w końcu zdołał wstać.

Spokojnie wycelował transmiotacz w mężczyznę, a potem w kobietę. Strzelił dwukrotnie, trafiając za każdym razem. Grzmot wystrzałów rozdarł powietrze i szaleńcy przestali istnieć.

Mark usłyszał własny oddech, ciężki i wysilony. Popatrzył ze znużeniem na Trinę i Deedee, które nadal kuliły się pod ścianą. Trudno było powiedzieć, która sprawiała wrażenie bardziej przerażonej.

– Przykro mi, że musiałyście to oglądać – wymamrotał Mark, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć. – Chodźcie. Idziemy do kokpitu. Zabierzemy... – Chciał powiedzieć: *zabierzemy Deedee*, ale powstrzymał się. Nie wiedział, jak zareagowałyby Trina. – Lecimy w bezpieczne miejsce – zakończył.

Rozległ się wybuch basowego śmiechu, który wydawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz. To był ten sam okropny dźwięk co wcześniej. Potem zabrzmiała seria zduszonych kaszlnięć, które z powrotem przerodziły się w upiorny chichot. Dla Marka stanowił on najlepszy dowód, że miejsce wesołka jest w szpitalu psychiatrycznym. Mimo panującego gorąca ciało chłopaka pokryło się gęsią skórą. Trina wpatrywała się w podłogę, a spojrzenie miała tak puste, że Mark poczuł kolejne ukłucie bolesnej tęsknoty za tym, co stracił. Podszedł do dziewczyn i wyciągnął rękę. Szalencie ukryty za podsufitką rechotał dalej.

– Damy radę – powiedział Mark. – Wystarczy, że weźmiecie mnie za rękę i pójdziecie ze mną. Niedługo wszyscy będziemy... bezpieczni. – Nie planował zająknąć się przy ostatnim słowie.

Deedee podniosła tę rączkę, na której miała bliznę, i złapała go za środkowy palec, ścisnęła kurczowo. Zdawało się, że ten gest spowodował jakąś reakcję u Triny, która odsunęła się od ściany, przenosząc cały ciężar ciała na nogi. Nie odrywała wzroku od podłogi i nadal oburącz trzymała

Deedee za ramiona. Ale wyglądało na to, że pójdzie za nią.

– Dobrze – wyszeptał Mark. – A teraz zignorujemy tego biednego gościa tam w górze i spokojnie pójdziemy do kokpitu. Chodźmy.

Odwrócił się i zaczął iść, nie czekając, aż wyraz twarzy Triny ulegnie zmianie. Ciągnąc Deedee za rączkę, szybko podszedł do drzwi kajuty. Rzut okiem do tyłu powiedział mu, że Trina podąża za nimi, uczepiona dziewczynki, jakby zostały sklezione ze sobą. Nad ich głowami zabrzmiał tupot; słysząc to Mark omal się nie zatrzymał, ale opanował nerwy i podążył dalej.

Przeszli przez drzwi i znaleźli się na korytarzu – innego wyboru nie mieli. Na zewnątrz było jeszcze ciemniej. Światła awaryjne miały postać jarzącej się blado kreski biegnącej wzdłuż górnego brzegu ścian. Zerknąwszy pośpiesznie w lewo i prawo, Mark ruszył w stronę kokpitu. Za ledwie jednak zrobił krok, hałas gwałtownie się nasilił.

A potem bezpośrednio nad Markiem rozległ się łoskot. Zabrzmiał maniacki śmiech. Znienacka tuż przed chłopakiem pojawiły się twarz i ręce mężczyzny, który zwiisał z sufitu bezpośrednio przed nim. Z ust Marka wydarł się mimowolny krzyk. Szok sprawił, że chłopak zamarł w miejscu.

Ogarnięty stuporem nie był w stanie zareagować na czas – mężczyzna sięgnął po transmiotacz i wyrwał mu go z rąk. Szarpnął tak mocno, że zapięcie paska pękło. Mark ocknął się i chciał złapać broń, ale obcy poruszał się z prędkością atakującego węża.

Potem z powrotem zniknął za podsufitką, cały czas się śmiejąc. Jego łomoczące kroki i chichot przycichły, gdy pobiegł do innej części statku.

65

Mark widział, że raczej nie da rady wspiąć się do sufitu i pognać w ślad za szaleńcem. Zresztą ten mógł się ukrywać dosłownie wszędzie, a każdemu, kto się zbliży, zafundować natychmiastową i pewną śmierć.

– Nie wierzę – wyszeptał chłopak. Jak mógł pozwolić, żeby wariat tak po prostu wyrwał mu transmiotacz z rąk? Stało się to po raz drugi w ciągu niecałej doby. A teraz gdzieś na statku czał się obłąkany facet uzbrojony w najbardziej niebezpieczną broń ręczną, jaką kiedykolwiek wymyślono.

– Chodźcie – powiedział z napięciem, a potem zaczął biec korytarzem, ciągnąc za sobą Deedee i Trinę. Co kilka sekund spoglądał w górę, zastanawiając się, czy mężczyzna pojawi się nagle, zwisając z sufitu, gotów do strzału. Nasłuchiwał też, usiłując wychwycić jakikolwiek inny dźwięk poza tupotem ich własnych kroków.

Gdy dotarli do kokpitu, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy Markowi, był Alec. Siedział zgarbiony w takiej pozycji, jakby zasnął nad pulpitem sterowniczym 2: głową na złożonych rękach.

– Alec! – Mark puścił dłoń Deedee i rzucił się w stronę przyjaciela. Jednakże Alec wyprostował się gwałtownie, zanim chłopak do niego dotarł. Zaskoczyło to Marka tak bardzo, że niemal pośliznął się na podłodze. – Rany. Nic ci nie jest?

Alec nie wyglądał dobrze. Oczy miał podpuchnięte i przekrwione, a skórę bladą i spoconą.

– Ja... Trzymam się... jakoś..

– Tylko ty potrafisz pilotować tego grata. – Mark czuł się okropnie, mówiąc to. Jak samolub. Ale spojrzął w okna i zobaczył, że w dole przesuwają się łagodne wzgórza wznoszące się powyżej Asheville. – To znaczy... Ja nie umiem...

– Nie musisz sobie zdierać gardła, dzieciaku. Znam stawkę. Próbuję sprawdzić, w którym miejscu w mieście KKO ma swoją kwaterę główną. Musiałem tylko chwilę odpocząć.

Mark wyjawiał mu, co się stało.

– Na statku jest szaleniec. Ukradł transmiotacz.

Alec nic nie powiedział. Zmarszczył tylko twarz, która przybrała odcień niepokojąco głębokiej czerwieni. Wyglądał, jakby lada chwila miał dosłownie pęknąć.

– Spokojnie – powiedział powoli Mark. – Odzyskam broń. Ty tylko znajdź to miejsce.

– Tak... zrobię – wysyczał starszy mężczyzna przez zaciśnięte zęby. – Niedługo... będę musiał ci pokazać, jak działają stery.

– Boję się – powiedziała Deedee, która stała opodal z rączką w dłoni Triny.

Mark zobaczył, że mała wpatruje się w okna – biedactwo prawdopodobnie nigdy wcześniej nie leciało górolotem. Spodziewał się, że Trina pocieszy dziewczynkę, ale ona nie zrobiła nic. Po prostu tam stała, znowu wlepiając puste spojrzenie w podłogę.

– Słuchaj, wszystko będzie dobrze – powiedział Mark, ponownie klękając, tak żeby jego twarz znalazła się na wysokości Deedee. Zaraz potem statek gwałtownie się zatrząsł, natrafiając na turbulencje. Deedee znowu wrzasnęła i tym razem wyszarpnęła rączkę z dłoni Triny, rzucając się do ucieczki. Wypadła z kokpitu, zanim ktokolwiek zdążył ją złapać.

– Hej! – krzyknął Mark, biegnąc za nią. Wizja, jak dziewczynka zostaje zmieniona w chmurkę oparów, omal nie przyprawiła go o zawał. Pognał sprintem za małą i dostrzegł, jak Deedee skręca za zakręt korytarza, który zaczynał się za kokpitem. Biegła w stronę ładowni. – Wracaj!

Jednak ona zniknęła. Mark popędził za nią, ale zdążył zrobić zaledwie kilka spanikowanych kroków, kiedy ponownie ją zobaczył. Stała bez ruchu, wpatrując się w coś, co znajdowało się przed nią. Mark zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy dobiegł do Deedee i zobaczył, co przykuło jej uwagę.

Chory mężczyzna, który ukradł transmiotacz, stał tuż za drzwiami do ładowni, kurczowo ściskając broń. I celował z niej w Deedee.

– Proszę – wyszeptał Mark, tak cicho, że łomot jego zlodowaciałego serca niemal zagłuszył słowa. – Proszę, niech pan tego nie robi. – Wyciągnął dłoń w kierunku mężczyzny, a drugą położył na ramieniu Deedee. – Błagam pana. Ona jest tylko...

– Wiem, kim ona jest! – krzyknął obcy i strużka śliny spłynęła mu na brodę. Ręce mu drżały, a kolana się trzęsły. Skołtunionie ciemne włosy

zwisały z jego dawno niemytej głowy, okalając bladą, podrapaną twarz, która lśniła od potu. Opierał się o framugę, jakby bez tego nie mógł ustać.

– Słodka mała dziewczynka? Pewnie wydaje ci się, że tym właśnie jest?

– O czym pan mówi? – Mark głowił się, jak prowadzić rozmowę z kimś, kto jest tak kompletnie szalony.

Mężczyźni ewidentnie nic już nie mogło pomóc. Jego oczy mówiły wszystko.

– Ona sprowadziła demony! – Machnął lufą transmiotacza, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Mieszkałem w tej samej wiosce co ona. Spadli na nas tak jak ogień ze słońca, błyskawice i trujący deszcz. Pozostawili nas, żebyśmy wyzdychali w mękach, i popatrz tylko na nią! Mimo że ją trafili. Miewa się kwitnąco! Śmieje się do nas po tym, co zrobiła.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego – powiedział Mark. Czuł, jak Deedee dygocze pod jego dłoń. – Zupełnie nic. Jak mogłaby? Ma najwyżej pięć lat! – Kotłował się w nim gniew; gniew, którego nie potrafił ukryć.

– Nic wspólnego? To dlatego została postrzelona i nie ma ani śladu objawów? Jest służebnicą tych demonów i zamierzam ją wysłać z powrotem do nich!

Mężczyzna chwiejnie ruszył naprzód. Zrobił dwa długie kroki, prawie stracił równowagę, ale jakimś cudem udało mu się nie upaść. Transmiotacz dygotał w jego rękach, ale szalencie nadal celował w Deedee.

Wściekłość Marka rozmyła się, a jej miejsce zajęła wielka kula strachu tkwiąca w gardle. Czuł się tak bezsilny, że oczy zapiekły go od łez.

– Proszę... Nie wiem, co mam panu powiedzieć. Ale przysięgam, że ona jest niewinna. Poszliśmy do bunkra, skąd pochodzą te góroloty. Odkryliśmy, kto odpowiada za tę zarazę. To nie demony. To po prostu ludzie. Sądzimy, że ona jest odporna na tę chorobę i to dlatego nie zachorowała.

– Zamknij się – odparł mężczyzna, wolno zbliżając się jeszcze o parę kroków. Podniósł transmiotacz i wycelował prosto w twarz Marka. – Widzę, jak wyglądasz. Żałosny. Głupi. Demony w ogóle nie przejęłyby się kimś takim jak ty. Kompletnie bezużyteczny kawał mięcha. – Uśmiechnął się, przy czym jego wargi cofnęły się bardziej, niż wydawało się możliwe.

Brakowało mu połowy zębów.

W głębi duszy Marka coś uległo zmianie. Wiedział, co to było, nawet jeśli nie ważył się przyznać do tego przed sobą: ten bąbel szaleństwa, który niedługo pęknie na dobre. Zalała go fala gniewu i adrenaliny.

W jego klatce piersiowej wezbrała wściekłość i wystrzeliła przez gardło, wrywając się w postaci tak głośnego wrzasku, że sam nie uwierzyłby, iż ma siłę go wygenerować. Rzucił się naprzód i zadziałał, zanim do mężczyzny w ogóle dotarło, co się dzieje. Mark zobaczył, że palec tamtego się porusza, dotyka spustu, ale jakimś cudem – tak jakby kiełkujące szaleństwo na moment wyostrzyło mu wszystkie zmysły – chłopak okazał się od niego szybszy. Zanurkował w przód i zamachnął się ręką, odbijając lufę broni, z której wystrzeliła smuga białego żaru. Usłyszał, jak wystrzał z głuchym hukiem trafia w ścianę za nimi.

Potem ramię Marka zderzyło się z ciałem mężczyzny i ten poleciał na podłogę. Chłopak zwałił się na niego, ale momentalnie się pozbierał, stanął na nogi. Złapał przeciwnika za koszulę, szarpnął do góry, wyrwał mu transmiotacz i rzucił w kąt. Taka śmierć byłaby zbyt lekka dla tego psychola.

Mark zaczął wlec wroga korytarzem, na wpół świadom, że on sam wkroczył na terytorium, z którego być może już nie wróci.

Mężczyzna wrzeszczał i drapał twarz Marka, kopał na oślepie, próbował wstać i uciec. Ale Mark nie pozwolił, żeby cokolwiek z tego wpłynęło na jego decyzję. Zdawało się, że wiruje w nim cały wszechświat furii, nieprawdopodobne uczucie – wiedział, że nie potrwa długo, ale nie był w stanie tego stłumić. Jego zdrowie psychiczne zawisło na cienkiej nitce.

Powlókł mężczyznę dalej. Za zakręt korytarza. Przez drzwi kokpitu. W stronę rozbitego okna. Zdawało się, że Alec niczego nie zauważył; siedział bez ruchu z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, gapiąc się pustym wzrokiem na kontrolki pulpitu.

Mark nic nie powiedział. Miał wrażenie, że jeśli tylko odważy się otworzyć usta, coś w nim eksploduje. Zatrzymał się obok okna, schylił się i chwycił szaleńca, obejmując jego tors, po czym podniósł go. Okręcił się, żeby wziąć zamach, i cisnął go w kierunku okna. Głowa nieszczęśnika rąbnęła o ścianę i upadł na podłogę. Mark podniósł go, zamachnął się i spróbował ponownie. Z tym samym efektem – mężczyzna znów łomotnął głową o ścianę i osunął się.

Mark podniósł go i po raz trzeci spróbował go wyrzucić przez wybite okno. Tym razem ciało szaleńca przeszło przez otwór – głowa, ramiona, potem tors – i utknęło. Chłopak nie odpuszczał, dalej pchał i szarpał, wkładając wszystkie siły w to, żeby zakończyć życie tego człowieka.

Statek zachybotał się akurat w momencie, gdy Mark przepchnął biodra mężczyzny przez otwór, wysilając wszystkie mięśnie. Cały świat się przechylił, a chłopakowi zakręciło się w głowie od nagłego napływu krwi. Zdawało się, że grawitacja też zniknęła. Wypadł przez okno razem z obcym. Zamiast błękitnego nieba i pierzastych chmur, jego pole widzenia wypełniała teraz ziemia rozciągająca się bezpośrednio pod nim. Lada chwila polecą w dół, gdzie czeka go śmierć.

Mark zamachał nogami i udało mu się zaczepić stopy o ramę okna, zanim z niego wypadł. Reszta jego ciała wisiała w powietrzu, a mężczyzna go nie puścił. Kurczowo trzymał się ramion Marka i jego koszuli, żeby się

uchronić przed runięciem ku odległej ziemi. Mark próbował odepchnąć przeciwnika, ale ten był zdesperowany i na wprost oszalały. Wspiął się po ciele chłopaka jak po linie, na tyle wysoko, że zdołał owinąć nogi wokół głowy Marka. Wiatr szarpał ich obu.

Jakim cudem to znowu się stało? Mark z rezygnacją zadał sobie to pytanie. Wypaść przez okno górolotu dwa razy!

Statkiem zatrzęsło i nagle ten powrócił do właściwej pozycji. Mark i mężczyzna zostali rzućni o kadłub i rąbnęli o jego ścianę tuż pod oknem, z którego zwisali. Nogi chłopaka przeszywał ból od utrzymywania ciężaru dwóch ciał. Zamachał rękoma, szukając czegoś, co mógłby chwycić. Zewnętrzna powierzchnia górolotu była usiana różnymi pudełkowatymi wystęпами i uchwytami rozmieszczonymi z myślą o pracownikach dokonujących napraw. Mark przesuwiał po nich dłońmi, ale huśtało nim za mocno, żeby był w stanie się czegoś chwycić.

Jego palce w końcu wymacały długi pręt i Mark złapał się go mocno. W samą porę, bo jego nogom zabrakło już siły. Jego stopy wysunęły się z okna. Dwa splecione ciała przekoziółkowały i ponownie rąbnęły o kadłub górolotu. Mark odczuł ten wstrząs w całym ciele, ale trzymał się twardo; wsunął przedramię w przestrzeń między uchwytem a płytami poszycia, tak że całym ciężarem wisiał teraz na łokciu. Brzuchem i twarzą był przyciśnięty do ciepłego metalu kadłuba, a szalenie nadal szamotał się na jego plecach. Mężczyzna wrzeszczał Markowi wprost do ucha.

Umysł chłopaka oscylował między pełnią przytomności a mglistą wściekłością. Co wyprawiał Alec? Co się działo w środku? Statek z powrotem przybrał właściwą pozycję i teraz leciał normalnie – acz wolniej – ale z okna nikt się nie wychylał, żeby zaoferować pomoc. Mark popatrzył w dół i momentalnie tego pożałował – ogarnęła go gwałtowna fala paniki, gdy zobaczył, jaka odległość dzieli ich od ziemi.

Musiał się pozbyć tego człowieka. Inaczej nigdy nie zdoła się wspiąć z powrotem.

Pęd powietrza rozwiewał włosy mężczyzny, tak że te wpadały Markowi do oczu, i szarpał odzieżą ich obu. Hałas był nie do zniesienia – wiatr, wrzaski, ryk silników odrzutowych. Najbliższy jezor błękitnych płomieni huczał kawałek pod nimi, może z pięć metrów dalej, palący niczym oddech smoka.

Mark usiłował trząść ramionami, potem odepchnął się stopami od

kadłuba górolotu i pozwolił, żeby jego ciało z powrotem rąbnęło o płyty. Na nic, mężczyzna nadal trzymał się kurczowo. Zdążył już podrapać szyję, ręce i policzki chłopaka, zostawiając wszędzie piekące skaleczenia. Mark czuł ból w całym ciele, we wszystkich mięśniach. Rozejrzał się szybko i na kadłubie górolotu wypatrzył kilka miejsc, gdzie dałoby się wcisnąć stopę. Wspięcie się z powrotem do okna wydawało się niemożliwe, dopóki dźwigał na plecach dodatkowy ciężar w postaci tego wariata. Postanowił więc zejść niżej, bo w jego głowie uformował się przerażający pomysł.

Gama możliwości się wyczerpała. A jemu brakowało już sił.

Sięgnął daleko w dół, złapał się krótkiej rączki, po czym pozwolił, żeby jego ciało opadło, i oparł stopę na pudełkowatym występie, który wypatrzył wcześniej. Mężczyzna wrzasnął i prawie puścił ręce Marka, osuwając się, ale udało mu się przytrzymać, otaczając przedramionami szyję chłopaka i ściskając na tyle mocno, że ten zaczął się krztusić.

Tłumiąc kaszel, Mark poszukał dalszych uchwytów dla rąk i nóg, po czym znów opuścił się o jakiś metr. I znowu. Mężczyzna na jego plecach przestał się szamotać. Co więcej, zamilkł. Mark jeszcze nigdy nie czuł takiej nienawiści w stosunku do kogoś, i jakaś nieśmiała częśćka jego psychiki wiedziała, że nie jest to całkiem racjonalne. Ale *nienawidził* tego człowieka i życzył mu śmierci. To był jedyny cel w jego głowie.

Schodził dalej. Pęd powietrza szarpał ich ciałami, próbując ich zdmuchnąć. Silnik znajdował się już cholernie blisko – tuż poniżej i po lewej. Jego ryk był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki Mark kiedykolwiek słyszał. Chłopak dał kolejny krok w dół i nagle jego stopy zawisły w powietrzu – nie miał ich gdzie oprzeć. Jeszcze jeden metalowy uchwyt biegł wzdłuż dolnej krawędzi górolotu i było tam akurat dość miejsca, żeby Mark mógł wcisnąć pod niego przedramię.

Wsunął prawą rękę i zgiął łokieć, pozwalając, żeby każdy gram połączzonego ciężaru – jego samego oraz szalonego mężczyzny – ponownie zawisł na stawie. Ból był straszliwy, zdawało się, że jego ręka lada chwila rozerwie się na pół. Ale potrzebował tylko kilku sekund. Tylko kilku.

Przekręcił całe ciało, wyginając do tyłu szyję, żeby popatrzeć na mężczyznę, który wisiał uczepiony jego pleców. Obejmował Marka jedną ręką nad ramieniem, owinąwszy drugą wokół jego klatki piersiowej. Mark jakimś cudem zdołał podnieść wolną dłoń, przesuwając ją między ich

ciałami, aż zbliżył ją do szyi wroga. Chwycił mężczyznę za krtań i zacisnął palce.

Mężczyzna zaczął się dusić, jego szarawofioletowy język wysunął się spomiędzy spierzchniętych warg. Prawy łokieć Marka dygotał z bólu, tak jakby ścięgna, kości i inne tkanki zaczynały się rozłazić. Chłopak jeszcze mocniej zacisnął palce na gardle wroga. Mężczyzna zakaszał i splunął. Oczy wylazły mu z orbit. Jego uchwyt na ciele Marka zaczynał się rozluźniać, a gdy tylko zelżał, Mark zadziałał.

Z okrzykiem wściekłości odepchnął ciało mężczyzny, prostując rękę, tak że wepchnął tamtego prosto w błękitne płomienie odrzutu. Na jego oczach głowa i ramiona wroga zostały pochłonięte przez ogień, rozpadając się tak szybko, że nieszczęśnik nie zdążył nawet krzyknąć. To, co zostało z jego zwłok, runęło w dół, w kierunku miasta, znikając z pola widzenia Marka, bo górolot nadal pędził naprzód.

Przez mięśnie chłopaka pełzło szaleństwo. Przed oczami tańczyły mu światełka. Wył w nim gniew. Mark wiedział, że jego życie prawie dobiegło końca. Ale była jeszcze jedna, ostatnia rzecz, którą musiał zrobić.

Zaczął się z powrotem wspinać po pancerzu monstrualnego górolotu.

67

Nikt nie pomógł mu wejść przez okno. Każdy centymetr ciała Marka bolał, a jego mięśnie przypominały miękką gumę, ale jakimś cudem chłopak zdołał wpełznąć do kokpitu i dopiero tam padł na podłogę. Alec tkwił skulony nad pulpitem sterowniczym; twarz miał bez wyrazu, oczy puste. Trina siedziała w kącie, a Deedee na jej kolanach. Obie spojrzały na Marka, ale nie potrafił nic wyczytać z ich min.

– Płaski Przenos – wyrzucił z siebie. Przez jego pole widzenia nadal płynęły migoty i rozbłyski. Ledwo był w stanie panować nad niestabilnymi emocjami, które w nim buzowały. – Bruce powiedział, że KKO ma w Asheville Płaski Przenos. Musimy go odszukać.

Alec gwałtownie podniósł głowę i spiorunował Marka wzrokiem. Potem jednak jego spojrzenie zmiękło.

– Chyba wiem, gdzie on jest. – Z jego ust chyba nigdy nie padły słowa równie pozbawione życia.

Mark poczuł, że górolot się zniża. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Przez moment nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, żeby zasnąć i więcej się nie obudzić, lub odwrotnie – uklęknąć i walić głową o podłogę, aż nadejdzie koniec. Ale w jego umyśle ostała się jeszcze ta jedna uparta cząstka trzeźwości. Wczepił się w nią niczym ktoś chwytający się korzenia, który wystaje z pionowego urwiska.

Otworzył oczy. Ze stęknieniem zmusił się do wstania, opierając się o okno. Pod nimi rozciągało się niewielkie miasto Asheville. Wokół niego wzniesiono zapory z drewna, złomu, aut – wszystkiego, co było wystarczająco duże i solidne, żeby chronić to, co znajdowało się w środku: wypalone pozostałości centrum. Za wyłomem w jednej z nich Mark zobaczył chmarę ludzi. Przełazili przez rozwaloną partię fortyfikacji. Wlewali się do miasta niczym armia mrówek.

Pojedynczy mężczyzna machał na nich czerwoną flagą uwiązaną do kija, zachęcając do dalszego marszu. To był Bruce, ten człowiek, który głosił przemówienie w bunkrze. Oni też przyszli tu ze względu na Płaski

Przenos, tak jak obiecał swoim współpracownikom. I wyglądało na to, że dołączyli do niego niezliczeni inni zainfekowani – przez rozwaloną ścianę przełaziły ich całe setki.

Górolot przeleciał nad nimi. Mijał jedną pustą ulicę za drugą. A potem w dole pojawił się mały budynek, którego dwuskrzydłowe drzwi stały otworem. Ręcznie wymalowany szyld głośił: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU KKO. Kilkoro ludzi stało w kolejce, czekając, aż będą mogli wejść do środka. Sprawiali wrażenie spokojnych i skupionych. Mark nienawidził ich za to i przez jedną przelotną chwilę aż go swędziało, żeby znaleźć transmiotacz i zacząć strzelać.

– To... tam – wymamrotał Alec.

I Mark zrozumiał, co towarzysz ma na myśli. Jeżeli Płaski Przenos rzeczywiście istniał, musiał się znajdować właśnie tam. Ta garstka ludzi wchodzących do budynku to pewnie ostatni z pracowników KKO, którzy uciekali jak szczury ze wschodniego wybrzeża Stanów, gdzie odtąd miały niepodzielnie królować szaleństwo i śmierć. Popatrzyli w górę, na górolot, i na ich twarzach odmalowało się coś na kształt przerażenia. Potem jak jeden mąż zniknęli za drzwiami.

Mark zaczął grzebać drżącymi rękami w wiszącej szafce, aż znalazł trochę staroświeckiego papieru i ołówek, schowane tam na wypadek awarii zasilania. Niezgrabnie nabazgrał wiadomość, o której myślał od jakiegoś czasu, po czym odwrócił się do Aleca.

– Ląduj – wyszeptał. Miał wrażenie, że jego płuca wypełnia ogień zamiast powietrza. – Pośpiesz się. – Złożył kartkę i wepchnął ją do tylnej kieszeni spodni.

W każdym ruchu Aleca znać było wysiłek. Mięśnie miał napięte, żyły odznaczały się pod skórą jak postronki. Jego twarz poczerwieniała i lśniła od potu. Dygotał. Ale kilka sekund później górolot wylądował, zaskakująco miękko osiadając na ziemi tuż przed wejściem do budynku KKO.

– Otwórz luk. – Mark już ruszył do akcji, mając wrażenie, że świat wokół niego rozmywa się we mgle. Chwycił Deedee i ściągnął ją z kolan Triny znacznie gwałtowniej niż zamierzał, ignorując okrzyki protestu małej. Trzymając ją w ramionach skierował się w stronę wyjścia, a Trina za nim. Nie powiedziała ani słowa i nie kiwnęła palcem, żeby go powstrzymać.

Przy drzwiach kokpitu Mark przystanął.

– Wiesz... co... zrobić... gdy to załatwię – wykrztusił do Aleca. Wypowiadanie słów sprawiało mu teraz dużą trudność. – Bez względu na to, czy to przejście tam jest, czy nie, wiesz co robić. – Nie czekając na odpowiedź, wymaszerował na korytarz.

Deedee uspokoiła się, gdy szedł do ładowni, gdzie znajdowało się wyjście ze statku. Jej ręczki mocno zacisnęły się wokół jego szyi i mała wtuliła buzię w jego ramię. Tak jakby nawet ona pojęła, że wkrótce będzie po wszystkim. Przed oczami Marka pływały mroczki, tańczyły migotliwe światełka. Jego serce łomotało jak szalone i miał wrażenie, że pompuje do żył żrący kwas. Trina w milczeniu dotrzymywała mu kroku.

Wkroczyli do ładowni. Zeszli po rampie przez otwarty luk. Zalało ich jaskrawe światło dnia. Gdy tylko zeskoczyli z rampy, zabrzmiało rozdzierające wycie maszynierii i kłapa zaczęła się zamykać. Silniki zaryczały, plunęły błękitnym ogniem i Alec poderwał górolot w powietrze. Mark z trudem zachowywał zdolność myślenia, ale poczuł nagły przypływ obezwładniającego smutku. Już nigdy nie zobaczy tego starego niedźwiedzia.

W górze słońce pociło się oślepiającym blaskiem. Niedaleko narastał zgiełk okrzyków, gwizdów i tupot maszerujących stóp. Grupki зараżonych nadchodziły ze wszystkich stron. Mark odniósł wrażenie, że daleko przed sobą, za chmarą rozbłysków, które tańczyły przed jego oczami, widzi Bruce'a z czerwoną flagą, podążającego na czele kolejnej fali tłumy. Jeśli ci ludzie dotrą do Płaskiego Przenosu, zanim ktoś go wyłączy lub zniszczy...

– Chodź – stęknął do Triny.

Podmuch powietrza wywołany przez wzlatujący górolot omiótł ich, gdy Mark podbiegł do drzwi budynku, które nadal stały otworem. Deedee przywarła do niego mocno, a Trina nie odstępowała go na krok. Weszli do środka, do rozległego, nieumeblowanego pomieszczenia. Znajdował się tam tylko jeden dziwny obiekt dokładnie pośrodku sali – dwa wysokie, lśniące metalicznie pręty, między którymi rozciągała się migotliwa szara płaszczyzna. Zdawało się, że drga i skrzy się lekko, a równocześnie jest nieruchoma i gładka. Oczy Marka bolały od samego patrzenia na to coś. Obok szarej pustki znajdowali się mężczyzna i kobieta. Popatrzyli z przestraszeniem na Marka i jego przyjaciółki. Zaledwie krok dzielił ich od wejścia w migotliwą nicość.

– Czekaście! – wrzasnął Mark.

Nie odpowiedzieli, nie zatrzymali się. Wskoczyli w otchłań i zniknęli. Powodowany instynktem Mark pognał na przeciwległy koniec sali, żeby obejrzeć szarą płaszczyznę od drugiej strony, ale nic tam nie było.

Płaski Przenos. Po raz pierwszy w życiu zobaczył, jak ktoś podróżuje za pomocą Płaskiego Przenosu. Zdawało się, że na zewnątrz zgiełk nadchodzącego motłochu przybiera na sile, i Mark uświadomił sobie, że brakuje mu czasu. Pod tyłoma względami.

Wrócił na właściwą stronę Płaskiego Przenosu i ukląkł tuż przed nim, łagodnie stawiając Deedee na ziemi. Musiał zebrać wszystkie siły, aż do ostatniej kropli, żeby zachować spokój i utrzymać swoje kotłujące się emocje, gniew oraz szaleństwo pod kontrolą. Trina też ukląkla, choć nic nie mówiła.

– Posłuchaj mnie – zwrócił się Mark do dziewczynki. Zamilkł, na sekundę zamknął oczy, walcząc z ciemnością, która próbowała go pochłoniąć. *Jeszcze tylko chwilę* – powiedział sobie. – Chcę... żebyś była teraz bardzo dzielna, dobrze? Po drugiej stronie tej czarodziejskiej ściany są ludzie, którzy... którzy ci pomogą. A ty pomożesz im. Pomożesz mi zrobić coś... naprawdę ważnego. Jesteś... wyjątkowa.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Że Deedee będzie protestować, rozpłacze się, ucieknie. Ale zamiast tego dziewczynka popatrzyła mu wprost w oczy i skinęła głową. Mark nie potrafił już myśleć wystarczająco klarownie, żeby zrozumieć, skąd u niej tyle odwagi. Naprawdę *była* wyjątkowa.

Prawie zapomniał o kartce, na której wcześniej nabazgrał wiadomość. Wyciągnął ją z tylnej kieszeni, przeczytał raz jeszcze. Ręka mu dygotała.

Ona jest odporna na Pożogę.

Użyjcie jej.

Zróbcie to, zanim wariaci was znajdą.

Delikatnie ujął rączkę Deedee i wcisnął kartkę w jej dłoń. Zamknął na niej palce dziewczynki. Uścisnął je obiema dłońmi. Okrzyki i nawoływania na zewnątrz narastały w złowrogim crescendo. Mark zobaczył, że Bruce biegnie w stronę drzwi, a za nim chmara ludzi. Smutek zalał całe jego ciało. Chłopak wskazał głową Płaski Przenos. Deedee potaknęła w

odpowiedzi.

Potem ona i Trina uściskały się z rozpaczliwą siłą. Z oczu jednej i drugiej płynęły łzy. Mark dźwignął się na nogi. Słyszał już niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym grzmot – górolot wracał. Na zewnątrz zaczynał się zrywać wiatr. Nadszedł czas.

– Idź, no już – powiedział Mark, walcząc z emocjami które niemal rozrywały go od środka.

Deedee oderwała się od Triny, odwróciła i wbiegła w szarą ścianę Płaskiego Przenosu. Ta połknęła ją w całości i dziewczynka zniknęła. Powietrze wypełnił ryk górolotu. Budynek zadrżał w posadach. Bruce pojawił się w drzwiach, wrzeszcząc niezrozumiale.

I wtedy Trina podbiegła do Marka. Zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go. Tysiące myśli przebiegły mu przez głowę, a we wszystkich widział właśnie ją. Jak tarzają się razem na podwórku przed jej domem, jeszcze za mali, żeby cokolwiek rozumieć; mówią sobie „cześć” na szkolnym korytarzu; jadą transmetrem; jej dłoń w jego dłoni w ciemności tuż po katastrofie; zgroza w tunelach, pędząca z szumem woda, Lincoln Building; czekanie, aż promieniowanie osłabnie, kradzież łodzi, niezliczone wędrówki przez spustoszone tereny w palącym słońcu. Przez cały ten czas była razem z nim. I Alec. Lana. Darnell i inni.

A tutaj, u kresu walki, trzymał Trinę w ramionach.

Monstrualny hałas i dygot już połykały świat, ale Mark i tak usłyszał to, co Trina wyszeptała mu do ucha, tuż zanim górolot uderzył w budynek.

– Mark.

Epilog

Dwa lata później

Z szarego sufitu mieszkania zwieszała się pojedyncza żarówka, która bzyczała mniej więcej co dziesięć sekund.

W jakiś sposób, jak się zdawało, odzwierciedlała to, czym stał się świat. Osamotniony, hałaśliwy, o krok od śmierci. Ledwo dający sobie radę.

Kobieta siedziała na krześle i desperacko starała się nie płakać.

Wiedziała, że pukanie zabrzmi, zanim jeszcze zabrzmiało. I chciała być silna dla swojego syna. Sprawić, aby chłopiec myślał, że nowe życie, które go czeka, to coś dobrego. Coś budzącego nadzieję. Musiała być silna. Kiedy jej syn – jej jedyne dziecko – odejdzie, będzie mogła dać upust łzom. Wtedy wypłacze ich całe morze, aż w końcu szaleństwo pozwoli jej zapomnieć.

Chłopiec siedział obok niej. W milczeniu. Bez ruchu. Był tylko dzieckiem, ale najwyraźniej rozumiał, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo. Spakowała dla niego małą torbę, chociaż podejrzewała, że jej zawartość zostanie wyrzucona, zanim jej syn dotrze tam, dokąd miał trafić. Czekali tak.

Przybysze zapukali do drzwi trzykrotnie. Bez gniewu, niezbyt mocno. Po prostu: *puk, puk, puk*, jakby ptak delikatnie stukał w drewno dziobem.

– Proszę – powiedziała tak głośno, że aż sama się wzdrygnęła. Nerwy. Była na skraju wytrzymałości.

Drzwi się otwały. Do ciasnego mieszkania weszło dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy w czarnych kombinezonach oraz maskach zasłaniających usta i nos.

Wyglądało na to, że kobieta dowodzi.

– Widzę, że jesteście gotowi – oznajmiła stłumionym głosem, podchodząc. Stała przed matką i jej synem. – Doceniamy pani gotowość do takiego poświęcenia. Nie muszę mówić, ile to znaczy dla

przyszłych pokoleń. Jesteśmy o krok od wielkiego odkrycia. Opracujemy ten lek, proszę pani. Daję pani słowo.

Matka mogła tylko skinąć głową. Gdyby spróbowała się odezwać, emocje przerwałyby tamę. Jej ból, jej strach. Jej wściekłość. Jej łzy. A wtedy cały wysiłek włożony w to, żeby być silną ze względu na chłopca, poszedłby na marne. Tak więc zdusiła wszystko w sobie. Tama przeciwko rwącej rzece.

Kobieta w czarnym kombinezonie była chłodno rzeczowa.

– Chodź – powiedziała, wyciągając rękę.

Chłopiec popatrzył na swoją mamę. On nie musiał powstrzymywać łez i nie zrobił tego. Obficie płynęły po jego buzi. Skoczył na równe nogi i uściskał matkę, łamiąc jej serce milion razy. Objęła go mocno w odpowiedzi.

– Dokonasz wspaniałych rzeczy dla tego świata – wyszeptała, jakimś cudem zachowując kontrolę nad sobą. – Będę z ciebie taka dumna. Kocham cię, serce. Tak bardzo cię kocham. Nigdy o tym nie zapomnij.

Jedyną odpowiedzią chłopca wtulonego w jej ramię był szloch. Szloch, który mówił wszystko.

W końcu pożegnanie musiało dobiec końca.

– Bardzo mi przykro – powiedziała kobieta w kombinezonie i masce. – Ale mamy napięty harmonogram. Naprawdę, szczerze mi przykro.

– Idź już – powiedziała matka do syna. – Idź i bądź dzielny.

Chłopiec odsunął się od niej. Twarz miał mokrą, a oczy zaczerwienione. Zdawało się, że poczuł przyływ siły, bo skinął głową, dając mamie do zrozumienia, że nic mu nie będzie. Był twardy, twardszy niż inni.

Odwrócił się. Nigdy więcej jej nie zobaczy. Podszedł do drzwi i bez wahania przekroczył próg. Ani jednego spojrzenia wstecz. Bez słowa skargi.

– Dziękuję raz jeszcze – powiedziała kobieta w masce. Potem wyszła w ślad za chłopcem.

Jeden z mężczyzn popatrzył na wiszącą, bzyzącą żarówkę, po czym odwrócił się do towarzysza.

– Wiesz, kto wynalazł te ustrojstwa, nie? Może tego tutaj powinniśmy nazwać Thomas. – A potem wyszli.

Kiedy drzwi się zamknęły, kobieta zwinęła się w kłębek i wreszcie pozwoliła łzom płynąć.

Podziękowania

Świat zna już imiona wszystkich, którzy pomagali mi stworzyć tę serię, bo wymieniałem ich w każdej z dotychczasowych książek. Zwłaszcza Kristę i Michaela.

Dlatego tym razem chcę podziękować wszystkim moim czytelnikom. Moje życie drastycznie się zmieniło, odkąd napisałem pierwszą powieść o Thomasie i innych Streferach, i ogromnie dużo z tego zawdzięczam właśnie wam. Dziękuję, że spodobała się wam ta historia. Dziękuję, że wydajecie swoje ciężko zarobione pieniądze na moje książki. Dziękuję, że opowiadacie o nich przyjaciółom i rodzinom. Dziękuję za wszystkie entuzjastyczne pochwały, jakie mi wysyłacie na Twitterze, Facebooku, na moim blogu i tak dalej. Dziękuję, że umożliwiliście mi zarabianie na życie w sposób, który tak bardzo kocham.

W mojej głowie czeka mnóstwo dalszych książek, więc mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi jeszcze przez długi czas. Całym sercem, umysłem, ciałem i duszą... dziękuję wam!